

SCIENCE FICTION POLECA NAJLEPSZĄ POLSKĄ FANTASTYKĘ

RAFAŁ KOSIŃSKI



MARS

WYBEE

KOSIK RAFAL

Mars

RAFAŁ KOSIK

powergraph

2009



Copyright © 2009 by Rafał Kosik

Copyright © 2009 by Powergraph

Copyright © 2009 for the cover by

Rafał Kosik

Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Rafał

Kosik

Wydanie drugie, poprawione

Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.

ul. Ceglowska 16/2, 01-803

Warszawa

tel./fax: 022 834 18 25, 022

834 18 26

www.powergraph.pl

e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-09-7

2040

Z tej wysokości widziała wyraźnie wylaniające się już ponad powierzchnię pustyni trzy ustawione w trójkąt okręgi o średnicy pięćdziesięciu metrów każdy. Krzątające się wokół nich postacie w białych skafandrach wyglądały jak termity oglądające fundamenty swojego przyszłego domu.

Przekręciła regulator ciągu, rozpoczynając hamowanie. Mały otwarty latacz zniżał lot, przymierzając się do lądowania w bazie umiejscowionej trzysta metrów od okręgów. Składała się z kilkunastu obłych kontenerów, łączących je zewnętrznych korytarzy oraz kopuły chroniącej główne pomieszczenia habitatu.

Na czarnym, bezchmurnym niebie świetnie widoczne były gwiazdy. Tak mogło wyglądać niebo nad australijskim Interiorem czy nad Teksasem. Ale to miejsce nazywało się Utopia Planitia i od Teksasu dzieliło je w tej chwili sto milionów kilometrów. Okolicę oświetlały ustawione na wysokich rusztowaniach lampy sodowe, nadające wszystkiemu w zasięgu wzroku zjadliwie pomarańczowy odcień.

Latacz, trzeszcząc amortyzatorami i wzbijając chmurę pyłu, usiadł wewnątrz

wyznaczonego okrągłego pola. Trzy niewielkie dysze zamaryły i po chwili, stygnąc, zaczęły tykać – ledwo słyszalnie za sprawą rzadkiej atmosfery. Jedna z postaci krzątających się przy zabudowaniach uniosła rękę, pozdrawiając przybyłą. Kobieta odpowiedziała tym samym gestem, choć z tej odległości nie mogła rozpoznać twarzy ukrytej za szkłem hełmu.

Odpięła pas i lekko, tak dalece jak pozwalał jej gruby kombinezon, zeskoczyła na ziemię. Podeszła do dystrybutora stojącego opodal lądowiska, wyciągnęła jeden z grubych kabli, rozwinęła go i wpięła trzy końcówki do trzech gniazd w tylnej części kadłuba latacza. Zielona kontrolka zgasła, zapaliła się czerwona. W papierowym notesie, leżącym za przezroczystymi drzwiczkami dystrybutora, ołówkiem, przyczepionym łańcuszkiem do urządzenia, kobieta zapisała godzinę rozpoczęcia ładowania. Potem starannie zamknęła drzwiczki.

Przestawiła częstotliwość radia na główny kanał bazy.

–... raz zacina się trójca w trójce – usłyszała fragment rozmowy. Rozejrzała się, ale nie stwierdziła, do kogo należy głos. Ten ktoś mógł być nawet po drugiej stronie bazy. Już w pierwszym tygodniu prac wysiadła udawana stereofonia, pozwalająca określić przynajmniej kierunek, z którego dochodzi sygnał. Nikt nie potrafił tego naprawić.

–Rozbieramy i jeszcze raz przeglądamy śrubkę za śrubką – odpowiedział drugi głos.
– Nie wyobrażam sobie nawet, co będzie, jak za tydzień albo za miesiąc to się zatnie.

–Ja też szanuję swoją emeryturę.

Z poziomu ziemi widać było, że trzy okrągłe mury mają kilkanaście metrów wysokości. Na krawędzi pierwszego z nich leżał podłużny ciemny kształt uczepony ścian dwiema solidnymi łapami. Po ledwo widocznej z tej odległości drabince wolno wspinał się w jego kierunku człowiek w krępującym mu ruchy skafandrze. Dotarł do maszyny i otworzył pokrywę. Wgramolił się wyżej, chowając się we wnętrzu do połowy. To zapewne on był jednym z rozmówców.

To już ostatnie poprawki. Dalej, oddalone ze względów bezpieczeństwa o pół kilometra, stały trzy wrzecionowate rakiety, którymi za dwa dni odlecą do domu. Ludzie pracujący we wszystkich bazach zostawią tę planetę bezludną na dwa lata. W tym czasie, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, automaty, krążąc wokół rosnących okręgów, będą wylewać kolejne warstwy betonu i zbudują sześćsetmetrowe budowle. Trzony wież elektrolitycznych. Po dwóch latach ludzie wrócą tu z nowym sprzętem i dokończą pracę zbyt już skomplikowaną dla maszyn. Wreszcie, po kilku sezonach prac, opuszczą Marsa na niemal sto lat. Kontrolowane reakcje nuklearne podgrzeją grunt, rozpoczynając proces uwalniania wody, uwięzionej dotychczas wiele metrów pod powierzchnią, i podgrzewania planety. To z

kolei przyczyni się do roztopienia czap polarnych i uwolnienia do atmosfery jeszcze większej ilości wilgoci i dwutlenku węgla, doprowadzając do gwałtownego efektu cieplarnianego.

Setki podobnych wież elektrolitycznych na całej planecie będą pracować przechwytywać wilgoć i produkować tlen, by pierwsi osadnicy mogli odetchnąć czystym powietrzem. Przywitają ich zielone od porostów skały, zarośnięte stepy, zamiast pustyni.

Lasy będą jednak musieli zasadzić sami, a morza... na morza trzeba będzie poczekać znacznie dłużej.

Jaka przyszłość nas tu czeka?, pomyślała.

Odpowiedzią był głośny wrzask, wypełniający wnętrze jej hełmu. Drgnęła, wyprostowała się i rozejrzała, próbując odszukać źródło dźwięku. Ludzie w zasięgu jej wzroku zrobili to samo. Krzyk zmienił częstotliwość, co oznaczało rozszczelnienie skafandra, po czym ucichł zduszonym jękiem i metalicznym zgrzytem. Słysząc było teraz monotonne szuranie i terkot. Dźwięk bez kierunku i odległości trwał zawieszony między ludźmi, to nasilając się, to słabnąc. Zdawał się dochodzić od strony rakiet, chwilę potem z habitatu, to znów od budowy.

Im mocniej wsłuchiwała się w ten dźwięk, tym mniej wiedziała, czym on jest. Poczowała nieprzyjemne ciarki na plecach. Obejrzała się – za barakiem magazynowym zaczynała się pustynia. Krzyk mógł dochodzić skądkolwiek, więc i stamtąd.

Wyobraziła sobie maszyny kroczące z *Wojny światów* H. G. Wellsa, które idąc przez pustynię w stronę bazy, szurały w piasku i terkotały gwintowanymi tulejami gigantycznych kończyn. Irracjonalnie czekała, aż wejdą w zasięg sodowego światła...

Technicy, poprawiający instalację hydrauliczną przy zabudowaniach bazy, stali zdezorientowani, trzymając w rękach narzędzia; troje ludzi pod jedną z rakiet gestykulowało, zetknęli się hełmami, aby rozmawiać bez radia. Mechanik na jednej z wież wciąż grzebał we wnętrzu automatu – na zewnątrz wystawały tylko jego nogi. Nie było wiadomo, co dzieje się wewnątrz bazy, ale przebywający tam ludzie zapewne nie korzystali z radia.

–Meldować się po kolei! – rzucił jakiś głos przebijający się przez szuranie. – Sekcjami. Pierwsza!

Kolejne osoby rzucały swoje nazwiska w kolejności alfabetycznej.

–Druga!

Znów kilka nazwisk. Gdy nikt nic nie mówił, mikrofony wyłączały się i powracał ów

niepokojący dźwięk – ni to terkot, ni szuranie. *Szur, szur...*

–Trzecia!

Nazwiska, potem kolejne dwie sekcje i kolejne nazwiska. Potem szuranie. Ludzie z bazy wiedzieli już o krzyku, bo w okrągłych oknach pojawiły się twarze.

Niektórzy ze strachem wpatrywali się w pustynię.

–Martinez?

Szur, szur, szur.

–Martinez?! Odezwij się.

Szur, szur, szur.

–Martinez!!!

Ktoś rzucił trzymane w dłoni narzędzie i zaczął biec, inni od razu poszli w jego ślady.

Kobieta spojrzała za nimi. Nie wiedziała, kim jest Martinez ani gdzie go szukać. Powiodła wzrokiem w kierunku celu, do którego wszyscy biegli – na powstające wieże. Zaciśnęła zęby. Z wnętrza powoli przesuwanego się automatu wystawały nogi. Nieruchome.

Ktoś wyłączył napęd. Terkot zwolnił i ustał. Wtedy pobiegła i ona.

Nie było maszyn kroczących ani Marsjan. Były tylko zacinający się mechanizm i nieostrożny, spieszący się mechanik.

Gdy z trudem łapiąc oddech, dotarła na miejsce, układali go na ziemi. Kombinezon był rozerwany w połowie klatki piersiowej, a wypływająca z niego krew od razu zamarzała. Górnej części ciała nie było – należała już do północnej wieży.

*** * ***

Pogrzeb trwał krótko. Nie było czasu na uroczyste ceremonie. Kilkadziesiąt osób w zamyśleniu wpatrywało się zza złocistych szyb hełmów w niski kurhan. Potem, jeden za drugim, odeszli. Liczyli się z ofiarami, były częścią tej gry.

Kobieta została najdłużej. Żegnała człowieka, którego nawet nie знаła, a potem ruszyła w przeciwną stronę niż wszyscy. Miała jeszcze dość tlenu. Weszła niemal na szczyt jednej z wydm, by przed snem popatrzeć na nocny Mars. Zasapała się, choć ważyła tutaj mniej niż połowę tego co na Ziemi. Z niepokojem myślała, co będzie, jak

wróci do domu. Po trzech zaledwie miesiącach pracy tutaj odzwyczaiła się od własnego ciężaru.

Za plecami miała pracującą całą dobę bazę, przed sobą zanurzoną w bladym blasku gwiazd, ciągnącą się przez tysiące kilometrów martwą pustynię. Nie, nie do końca martwą – gdzieś tam musi być następna baza i jeszcze następna. Obok każdej z nich rośnie, lub jest już wykańczana, wieża. Czasem dwie. Nie wiadomo, dlaczego układ trzech wież będzie tylko tu.

Gdzieś tam, sto, dwieście kilometrów dalej, spoczywała sonda Viking 2.

Żałowała, że nie dożyje narodzin nowego świata. Będzie się tu mogło osiedlić dopiero piąte pokolenie, ludzie, którzy ją będą oglądać na starych zdjęciach, pośród wielu innych anonimowych postaci. Żal przyszłych dni. Znowu ta sama cholerna nostalgia. Przecież tak samo myśleli jej przodkowie, i tak samo będą myśleć kolejne pokolenia o swoich następcach.

Odwróciła się i zrobiła pierwszy krok w dół, ale zatrzymała się. Wydało się jej, że widzi na sąsiedniej wydmie jakiś ruch. Zaczęła wspinać się piaszczystym zboczem na szczyt.

Zatrzymała się oniemiała. Teraz widziała już wyraźnie – pięćdziesiąt metrów dalej stała dwójka dzieci. Kilkuletni chłopczyk obejmował starszą dziewczynkę, a ona przytulała go opiekuńczo. Drugą ręką wskazywała jakiś odległy punkt na pustyni.

Kobieta, nie mogąc oderwać od nich wzroku, osunęła się na kolana. To musiał być odbłask... złudzenie...

Dzieci nie miały skafandrów.

Allen Ryan zajęty był zwracaniem obiadu do foliowej torebki. Każdy, kto miał wątpliwą przyjemność wymiotowania w stanie nieważkości, wie, jakie to trudne. Nie wystarczy pochylić się, by wszystko co zbędne wypłynęło z ust. O nie, trzeba to wydmuchnąć, wypchnąć językiem bądź w jakikolwiek inny sposób sprawić, by znalazło się na zewnątrz – najlepiej w torebce. Po każdej takiej sesji powietrze wokół pełne było małych mętnych kropelek, które przez długie minuty osiadały na ścianach, przedmiotach bądź współpasażerach.

Allen nie spodziewał się aż tak trudnych warunków. Nikt go na przykład nie uprzedził, że tu nie ma sztucznego ciężenia. Dwa dni temu, po wyłączeniu głównego ciągu zapewniającego przyspieszenie półtora G, wszystko, łącznie z pasażerami, nagle uniosło się w powietrze. Kilkakrotnie ostrzegano ich o zbliżającym się wyłączeniu silników, jednak Allen nie kojarzył tego z zanikiem ciężenia.

Chłopak wiedział, że aby zapewnić ciężenie, statek powinien się obracać jak pocisk wystrzelony z rewolweru lub mieć obrotowe pierścienie mieszkalne. To była teoria, ale poruszając się we wnętrzu statku płataniną korytarzy, trudno było stwierdzić, gdzie jest przód, gdzie tył i czy to wszystko się obraca, czy nie. Przed startem nie obejrzał statku, a w części dostępnej dla pasażerów nie było okien. To również bardzo rozczarowało Allena. Nie tylko nie mógł rzucić ostatniego spojrzenia malejącej w oddali matce Ziemi, ale nawet nie czuł, że się przemieszcza.

Bilet na podróż frachtowcem był tani. Za miejsce na bardziej komfortowym statku pasażerskim, nawet w trzeciej klasie, musiałby zapłacić pięciokrotnie więcej. Przed startem nie widział powodu do uszczuplania swoich skromnych oszczędności. Z perspektywy dwutygodniowego zamknięcia w zardzewiałym pudle wyglądało to z pewnością inaczej niż na miękkim fotelu na wprost biuściastej dziewczyny z biura podróży. Nie namawiała go wcale na podróż frachtowcem. Wprost przeciwnie – uprzedzała, że warunki będą surowe. Chyba tylko inaczej pojmowała słowo „surowe” lub, co bardziej prawdopodobne, nic o tych warunkach nie wiedziała.

Tak czy inaczej, sam wybrał i siedział teraz uczepony jedną ręką jakiegoś uchwyty, drugą próbując złapać w torebkę własne wymiociny. Nie on jeden rzygał, toteż zapach unoszący się w powietrzu był mało przyjemny. Wymienniki powietrza ustawiono na minimum, do tego stopniowo zmniejszono ciśnienie, by ułatwić późniejszą aklimatyzację. Po dwu dniach braku ciężenia wszyscy, nawet ci, których żołądek nie buntował się, stracili apetyt.

Dla pasażerów przeznaczono trzy kajuty z piętrowymi kojami i wiecznie migającymi,

dającymi zimne, nieprzyjemne światło jarzeniówkami. Z oferty podróży tym złodem skorzystało dwadzieścia pięć osób. Zapewne równie ubogich jak on.

Coraz mniej ludzi emigrowało na Marsa. Allen wiedział o tym, ale właśnie w tym upatrywał swojej szansy. Miał dwadzieścia lat i cały majątek zakodowany w mikrochipie jedynej karty kredytowej. Już samo posiadanie karty kredytowej świadczyło o jego niskiej pozycji społecznej. Rodziców nie znał, dalszej rodziny też nie. Był sam, a rachunek ekonomiczny ostatnich trzech lat nie wyglądał najlepiej. Oszczędności kurczyły się niezależnie od tego, jakiej pracy się podejmował. Życie w mieście było zbyt drogie. Allen nie mógł zrozumieć, w jaki sposób ludzie, z którymi pracował, potrafili utrzymać siebie i rodzinę. Jeśli nie chciał wylądować w tekturowym domku pod mostem, miał do wyboru kilka rozwiązań, a Mars był prawdopodobnie najlepszym z nich. Dla wielu najtrudniejszą decyzją było porzucenie praktyk religijnych – na Marsie były zabronione. Jednak dla Allena to akurat nie stanowiło problemu.

Większość pasażerów prawie nie opuszczała kajut. Postanowili przewegetować podróż. Dokładnie tak to wyglądało. Jedli, spali, trochę rozmawiali. Allen nie mógł znieść ich towarzystwa. Nudzając się, wędrował korytarzami i oglądał wszystko, co nie było zamknięte.

Raz wszedł niechcący przez właz techniczny do jednej z ładowni. Była po brzegi wypełniona opakowanymi w drewniane ramy silnikami spalinowymi. Po co silniki spalinowe na Marsie? Tam przecież nie ma paliw kopalnych.

–Połknij to. – Czarnowłosa dziewczynka przerwała mu rozmyślania. Wyciągała do niego dłoń z szarą pastylką.

Uniósł wzrok, koncentrując się na jej palcach. Było mu już wszystko jedno. Wziął pastylkę i przyjrzał się jej z bliska.

–Pomoże, jeśli dasz jej wystarczająco dużo czasu – usłyszał.

Włożył ją do ust i połknął bez popijania. Powstrzymał kolejną falę nudności.

Kwadrans spędził na walce z żołądkiem. Potem poczuł się lepiej. Płynąc od ściany do ściany, odnalazł dziewczynę w mesie.

–Dzięki. – Uśmiechnął się. – Chyba działa.

–Kosztuje grosze i można kupić w każdej aptece. Znalazłam właśnie zapasowe opakowanie i rozdaję wszystkim. Jessica – przedstawiła się, wyciągając dłoń.

–Allen – uścisnął jej drobną rączkę, unosząc się na środek sali. Głupio to wyglądało, bo zamiast kontynuować rozmowę, szukał podparcia, by chociaż pozostać przodem

do dziewczyny. Ona jednak niezrażona kontynuowała:

–Podróżuję z mamą i bratem. Tato jest na Marsie od trzech lat. Nie mogę się już doczekać lądowania, bo tutaj jest strasznie nudno. Nic się nie dzieje.

–Nudno, fakt, ale lepiej, że nic się nie dzieje. – Chwycił się obudowy lampy. – To znaczy, że jeszcze żyjemy.

Mówił poważnie, ale ona zaśmiała się, biorąc to za żart.

–Jak to?

–Mam na myśli awarię. Zastanawiałem się też przed odlotem, że mogłoby okazać się, że nie ma żadnej kolonii, a statki otwierają luki i wyrzucają emigrantów w przestrzeń kosmiczną, by powrócić po następny ładunek. Nie, nie chciałem cię wystraszyć, przepraszam.

Nie powinno się opowiadać takich rzeczy trzynastoletnim dziewczynkom. Zmarszczyła brwi. Allen przyjrzał się jej dokładniej. Czarne włosy, niewinna buźka, porządne ubranie. Zapewne traktowała tę podróż jak zabawę. Tylko czemu mamusia wybrała taki substandard? Nie zapytał. Wolał uniknąć identycznego pytania z jej strony.

–Byłeś kiedyś na Marsie? – zapytała.

–Nie, ale... dużo czytałem. Pracowałem kiedyś w bibliotece.

Nie dodał, że jako sprzątac.

–Czy to prawda, że tam wszyscy są o połowę lżejsi? – zapytał mały chłopczyk, podlatując do nich tak sprawnie, jakby robił to od dawna.

–To mój brat, Jared – przedstawiła go dziewczynka.

–Będę archeologiem – oznajmił.

Powiedział to z niezwykłą pewnością siebie.

–Wybrałeś złą planetę – odparł Allen. – Na Marsie nikogo przed nami nie było. Może bakterie... miliardy lat temu.

–Byli Marsjanie!

–Jak ich znajdziesz, pierwszy ci pogratuluję. Co do ciążenia, to po kilku dniach się przyzwyczajasz, a kiedy wrócisz na Ziemię, będzie ci się wydawało, że nosisz drugiego siebie na plecach.

–My nigdy nie wrócimy na Ziemię – powiedział malec, poważniejąc.

Allen zamknął oczy i zaciągnął się rzadkim, ciepłym powietrzem pachnącym przegrzanym metalem powierzchni kadłuba. Przypomniał sobie historię pierwszych ludzi na Marsie. Kobieta i mężczyzna przylecieli tu, by zatknąć gwiazdzisty sztandar i flagę zjednoczonej Europy. Trwała wtedy zażarta dyskusja, kto ma pierwszy postawić stopę na Czerwonej Planecie – mężczyzna czy kobieta. Oni załatwili to w sposób najprostszy z możliwych. Zeskoczyli z trapu, trzymając się za ręce i nigdy nikomu nie powiedzieli, które z nich pierwsze dotknęło czerwonego piasku. Najpewniej sami nie wiedzieli. Nie chcieli też zdradzić, którą flagę wbili najpierw.

–Tutaj będę żył i tutaj umrę – powiedział cicho, wodząc wzrokiem po horyzoncie.

Inni pasażerowie nie dali mu się zachwycać pierwszą chwilą nowego życia. Potrącali go, mrużąc pod nosem nieuprzejme uwagi. Westchnął i razem z nimi ruszył stromym trapem rezonującym w rytm kroków. Marsjański wiatr rozwiewał jego jasne włosy.

Uderzenie gorąca nie było spowodowane upałem, to osłony radiacyjne w seriach trzasków i głuchych uderzeń oddawały nadmiar ciepła. Kiedy zeszli z trapu, poczuli jeszcze żar bijący od nagrzanego silnikami płyty lądowiska. Ciągnęła się daleko, przechodząc płynnie w pomarańczoworudą pustynię. Chyba od dawna nikt tu nie sprzątał, bo na betonie tworzyły się niewielkie ruchome wydmy wyglądające jak żebra. Lądujący statek oczyścił z piachu obszar o średnicy stu metrów, usypując na jego krawędziach dwumetrowy wał. Niebo było fioletowo-różowe, choć może to wrażenie wywołane długim przebywaniem w sztucznym oświetleniu. Nigdzie wokół ani śladu miasta.

Im dalej od statku, tym mocniej czuć było chłód zbliżającego się wieczoru. Allen odwrócił się i uniósł głowę – dopiero teraz mógł obejrzeć statek z zewnątrz. Nocą na Florydzie, w strugach ulewnego deszczu, niewiele widział. Statek był średniej wielkości klasycznym frachtowcem z ledwo widoczną nazwą wymalowaną białą farbą – „Yellowstone”. Nie mogło tu być mowy o sztucznej grawitacji. Wysoki na sto dwadzieścia metrów, najszerszy na dwóch trzecich wysokości i zwężający się łukiem ku górze kadłub, w kontrastowym świetle zachodzącego słońca wyglądał jak wieża gotyckiej katedry, choć zamiast wykuszy, rozet, gzymsów i przypór miał jedynie obłe wybrzuszenia i guzy kryjące bliżej nieznaną strukturę wnętrza. Powietrze wokół statku drgało. Cztery wielkie, szeroko rozstawione podpory utrzymywały gasnące czerwienią dysze kilka metrów nad ziemią. Rzadki, niebieskawy dym unosił się wzdłuż kadłuba, wyżej dawał się porwać wiatrowi.

Kilometr dalej stał identyczny frachtowiec i dwa statki pasażerskie klasy 500. Większe jednostki w ogóle nie wchodziły w atmosferę. Okrężały planetę, zrzucając

ładunek w cylindrycznych kontenerach, które spadały, rozżarzając się do białości w górnych warstwach atmosfery, by potem wypuścić spadochrony i uderzyć w pustynię gdzieś z dala od miast. Statki, uwolnione od ciężaru, wykorzystywały grawitację Marsa, by przy minimalnym zużyciu paliwa wrócić na Ziemię. Zawartość kontenerów zabierano kopterami bądź transporterami. Nic się nie marnowało – wykorzystywano nawet same kontenery i ich spadochrony.

Cóż, nie każdy ładunek mógł przetrwać lot przez atmosferę i uderzenie w grunt. Średnie jednostki zawsze będą potrzebne.

Allen przestał kontemplować ten widok i dogonił resztę grupy. Ponieważ jego bagaż ograniczał się do jednego plecaka, pomógł starszej kobiecie nieść ciężką torbę. Nie było tu portu kosmicznego w ziemskim rozumieniu. Nikt nawet po nich nie wyjechał. Właściwie tego właśnie należało się spodziewać, decydując się na emigrację do nieco zacofanego świata. Allen był z tego nawet zadowolony.

Pasażerowie, narzekając, szli w stronę odległego o pół kilometra, skonstruowanego z kilku kopuł, budynku z napisem „New London”. Pod nogami zaczynał im chrzęścić nawiewany znów piasek. Ciekawe, że znalazł się na powierzchni Marsa częściowo w wyniku działań człowieka. Gdy już pokonali piaskowy wał otaczający statek, zobaczyli jadący w ich stronę mały pojazd, który okazał się wózkiem bagażowym. Kierowca zatrzymał się, zaczekał, aż upchną swoje torby, plecaki i walizki na niewielkiej platformie, i bez słowa odjechał.

Pasażerowie ruszyli dalej pieszo, wciąż narzekając. Cóż... Spacer kosztował mniej energii niż wysłanie po nich autobusu. Racje żywnościowe dla człowieka poruszającego się pieszo były przecież takie same, jak dla przywiezionego autobusem. Marsjańska rzeczywistość.

Tuż przed budynkiem portu minęli kilka kopterów przycumowanych linkami do ziemi. Allen czuł niezwykłą lekkość ciała, tym silniejszą, że przez ostatnie dni musiał znosić półtora G wstecznego ciągu. Przechodząc pod skrzydłem koptera, czuł, że bez trudu doskoczyłby do wiszącego cztery metry nad ziemią rotora.

Rzucił ostatnie spojrzenie na „Yellowstone”. Za dwa dni frachtowiec wystartuje w drogę powrotną. Potem, na blisko półtora roku komunikacja z Ziemią ustanie. Koniec sezonu tłumaczył te pustki i senną atmosferę.

Wnętrze hali wyglądało imponująco. Dopiero tutaj widać było, że budynki portu są ogromne – były zagłębione na kilka kondygnacji w ziemię.

Z dwudziestu stanowisk odprawy paszportowej pracowało tylko jedno. W pustej, przygotowującej się już do dłuższego przestoju hali uformowała się kolejka. W szczycie, kiedy Ziemia i Mars zbliżały się do siebie, przewijało się wtedy kilka tysięcy

osób dziennie.

Nie istniały prawne ograniczenia zabraniające swobodnego przemieszczania się po całej planecie. Mieszkańcy Marsa mieli takie same paszporty, posługiwali się, przynajmniej w teorii, jednym językiem i wybierali przedstawicieli do wspólnego parlamentu. Jedyną szansą na przystosowanie tej planety do potrzeb ludzi było prowadzenie jednolitej globalnej polityki. Formalnie wszyscy należeli więc do jednego społeczeństwa. Jednak oficer imigracyjny miał mundur brytyjski. Pewne siły obawiały się widocznie zbytniego poczucia jedności i dbały, by zachować przeniesione z Ziemi podziały. Trzy miliardy Marsjan stanowiły najliczniejsze państwo w Układzie Słonecznym. Nie mogło być oczywiście mowy o rebelii. Kolonia długo jeszcze nie będzie mogła funkcjonować bez dostaw z Ziemi.

Allen doczekał się na swoją kolej. Znużony, myślący już o urlopie oficer zadał rutynowe pytanie o cel podróży i nie czekając na odpowiedź, przybił cyfrową pieczęć. Palmtop Allena piknął, potwierdzając otrzymanie stempla przez kartę ID. Obyło się bez wylewnych powitań. Dziewczyna w czapce z daszkiem i przyklepionym do ust sztucznym uśmiechem przesłała każdemu broszurkę z podstawowymi informacjami dotyczącymi pierwszych dni w Nowym Londynie, rozdała dwulitrowe butelki wody i wskazała drogę do stacji kolejki podziemnej.

Utrzymanie naziemnych dróg poza miastami było nieopłacalne. Nawet przy ładnej pogodzie usuwanie z nich piasku kosztowałoby zbyt wiele, a metalowe szyny zużywałyby się szybko. Tak więc port z miastem łączył blisko trzydziestokilometrowy tunel z dwoma torami szybkiej kolejki elektrycznej podobnej do ziemskiego metra z połowy XXI wieku.

Zeszli kilkanaście metrów pod ziemię; nie było schodów ruchomych ani wind. Złożony z dwóch wagonów pociąg wyglądał zabawnie przy jednym z trzystumetrowych peronów pustej podziemnej stacji. Aby oszczędzać energię, zbędne wagony stały na bocznicach.

Wszyscy wsiedli. Pociąg łagodnie przyspieszył i teraz płynął niemal bezgłośnie na pneumatycznym zawieszeniu, nawet nie na poduszce magnetycznej. Dysze przed pierwszymi kołami zdmuchiwały ziarenka piasku, które mogłyby się tam znaleźć. Wszystko po to, by spowolnić proces zużycia szyn.

Allen nigdzie nie widział Jessiki. Zmęczeni podróżni w większości spali, ale ani jej, ani Jareda wśród nich nie było. Już pod koniec podróży trzymała się na uboczu. Widział ją kilka razy, ale uśmiechała się tylko, nie podejmując rozmowy – może przestraszył ją tym gadaniem o otwieraniu luków w próżni. No, a teraz znikła całkiem.

Za oknem przesuwały się nieregularne ściany korytarza. Pociąg monotonnie pokonywał kilometry tunelu. Ci, którzy nie spali, wertowali broszurę, uderzając

palcem wskazującym w ekrany palmtopów. Allen zerknął tylko na jej początek i wiedział, że po dotarciu do miasta najpierw musi udać się do centrum imigracyjnego.

Poprawił się w fotelu i pociągnął spory łyk z butelki. Był ciekaw, ile prawdy jest w tym, że do wszystkich napojów na Marsie dodawane są leki, głównie przeciw astmie.

*** * ***

Wyszedł z podziemnej stacji do przeszklonej hali. Rozejrzał się – właściwie przypominała halę pierwszego lepszego dworca kolejowego na Ziemi. Za oknami widział wysokie budynki, błyszczące czerwienią w świetle zachodzącego słońca. Johannesburg? Miami? Prawie. Poprawił plecak, sprawdził, czy portfel schowany jest głęboko w zapiętej kieszeni, i wyszedł na ulicę w kolorowy tłum. Tu było już widać różnicę. Ludzie może trochę wyżsi, nie było za to samochodów, z wyjątkiem elektrycznych autobusów miejskich. Przy krawężnikach parkowały łaziki na grubych oponach. Do oszklonych, zakurzonych kabin trzeba było się niemal wspinać.

Większość ludzi przemieszczała się na wszelkiego typu rowerach. Dwu-, trój – i czterośladowych, poziomych, pionowych, ze szklanymi osłonami i bez. W centrum stało kilkadziesiąt wieżowców. Słabe ciążenie znakomicie ułatwiało stawianie wysokich budynków. Głównym ograniczeniem przy ich konstruowaniu była odporność na wiatr. Działki w centrum miasta były najdroższe, bo kilometrami ciągnąca się we wszystkich kierunkach zabudowa dawała najlepszą ochronę przed pustynią. Dlatego też każdy nowy budynek biurowy projektowano co najmniej na czterdzieści kondygnacji, by zoptymalizować koszty. Tak wysokie budynki zachowywały się stabilniej w czasie trzęsień ziemi, co dla większości ludzi było trudne do zrozumienia.

Jednak najwyższymi budowlami w Nowym Londynie były trzy wieże elektrolityczne. Betonowe trzony konstrukcji miały ponad sześćset metrów wysokości. Otoczone płataniną rur i chodników główne elementy aparatury: skraplacze, baterie słoneczne i same komory elektrolityczne znajdowały się mniej więcej w połowie wysokości, powyżej miejsca, gdzie niszczące burze pyłowe wiały najsilniej. Aparatura po stu latach pracy traciła szczelność, toteż w trójkącie między wieżami cały czas siąpił rzadki deszczyk; w kogoś, kto stałby tam przez godzinę, mogły trafić jedna, dwie krople. Umieszczono tam główny park miejski, w którym rosły prawie stuletnie teraz dęby. Allenowi nie wydawało się to niecodzienne, ale dla przeciętnego Marsjanina drzewa były rzadkim widokiem.

Wilgoć tracona przez wieże zapewniała okolicy całkiem dobry klimat. Nic więc dziwnego, że park otaczały najdroższe w mieście apartamentowce z zielonymi od bujnej roślinności loggiami, z tarasami penthouse'ów przypominającymi dżunglę. Takie widoki zazwyczaj były głównym tłem reklamówek marsjańskich biur podróży. Brakowało tylko wyjaśnienia, że mieszkają tu jedynie najbogatsi. Pustynię

pokazywano za to jako ciekawostkę turystyczną, lokalną atrakcję, przemilczając, że mimo ogromnych wysiłków zajmuje ona nadal ponad dziewięćdziesiąt pięć procent powierzchni planety.

Z zapażenia wyrwał go hałasujący samochód-odkurzacz zbierający naniesiony w ciągu dnia piasek. Wszystko pokrywała warstwa pomarańczowego piasku i pyłu. Ich ziarenka gromadziły się już przy podszwach wojskowych butów Allena.

Biuro imigracyjne... Chłopak zerknął na plan centrum miasta na wyświetlaczu palmtopa. Central Park, jak nazywano trójkąt między wieżami, stanowił doskonały punkt orientacyjny. Stacja, na której wysiadł, była oddalona od parku o ponad pół kilometra. Biuro znajdowało się dwieście metrów stąd, ale... na pewno było już zamknięte.

Krwistoczerwone słońce kryło się za dachami biurowców. Niebo na wschodzie było wyraźnie fioletowe, co doskonale świadczyło o postępujących procesach zmiany składu atmosfery. Allen miał w zasięgu wzroku kilka sztydów hoteli z wyeksponowanymi informacjami o cenie za noc i dobowym limicie zużycia wody. Sztydy zamiast neonów... Ponownie wyjął z kieszeni palmtop i przeliczył dolary amerykańskie na lokalne. Wybrał najtańszy hotel i poprawiając plecak, ruszył w jego kierunku. Cena była prawie dziesięciokrotnie niższa od cen w podobnych hotelach na Ziemi.

Tutejszej architektury nie można było nazwać szczególnie ładną. Większość domów była po prostu kostkami ustawionymi wzdłuż ulicy, z trudem utrzymującymi jednolitą wysokość zabudowy. Hotel o oryginalnej nazwie „Mars” nie był wyjątkiem.

Allen pociągnął szklane drzwi i wszedł do zakurzonej recepcji. Najtańszym materiałem na Marsie, prócz szkła, był rodzaj sztucznego kamienia uzyskiwanego z nadtopionego i barwionego piasku. Nazywano go nie całkiem poprawnie lastrikiem. Większość elementów wystroju wnętrza w recepcji wykonano właśnie z lastriko i ze szkła.

Allen uderzył w dzwonek stojący obok płytkiej doniczki z iglastym bonsai. Doniczka miała szklaną przykrywkę w kształcie kopułki. Z zaplecza wyszedł przygarbiony staruszek nieco zdziwiony widokiem gościa. Pewnie nie spodziewał się już nikogo z Ziemi przez najbliższe półtora roku.

–Ostatni transport. – Przywitał go skinieniem głowy. Wpisał dane do archaicznego terminalu i poprosił o kartę płatniczą.

–Tym nie może pan płacić – stwierdził, biorąc do ręki Visę. – Dziś przenocuję pana na kredyt, ale jutro rano musi pan założyć konto w tutejszym oddziale banku.

Allen zapewnił go, że tak uczyni. Musiał zgłosić się też do urzędu pracy.

Z dwunastu pokoi jedenaście było wolnych. Dziadek dał mu lokum na drugim piętrze, na tyłach budynku. Widać było stamtąd śmietnik, niechlujne podwórka innych domów, ale też szczyty drzew Central Parku. Zapewne więc był to jeden z lepszych pokoi.

Allen wziął prysznic, wykorzystując ponad połowę czterolitrowego dziennego limitu wody. Położył się i natychmiast zasnął.

Obudził go głód. Nie zjadł przecież kolacji. Leżał z zamkniętymi oczami i próbował sobie przypomnieć, gdzie jest. Seattle... koja na „Yellowstone”... hotel „Mars”! Czując suchość w gardle i nosie, z trudem otworzył oczy. Uniósł się na łokciach. Przed oczyma zatańczyły mu czarne plamy. Odczekał chwilę i wstał. Wypił połowę pozostałej wody z butelki, którą dostał w porcie kosmicznym. Trochę pomogło.

Zauważył, że kibel ma konstrukcję przypominającą toalety w samolotach. Znowu oszczędność. Oszczędność wody, energii, powietrza, żywności, ubrań. Tu wszystko trzeba oszczędzać!

Przylot ostatnim transportem miał swoje plusy. Bez kolejki załatwił nowe obywatelstwo. Procedura była niezwykle prosta i po pięciu minutach miał w ręku kartę ze swoim nowym ID. O dziwo, pasowała do jego ziemskiego palmtopa – to nawet więcej niż globalizacja. W obecności urzędnika przejechał kciukiem po czytniku linii papilarnych, czym nieodwracalnie zaprogramował kartę do swojego wyłącznego użytku. W ogóle nie poczuł doniosłości chwili. Poszedł do najbliższego dużego banku i otworzył konto, wydając polecenie przelania na nie wszystkich oszczędności z konta ziemskiego. Tutaj również obsłużono go niezwykle szybko. Przelew z Ziemi miał iść dwa dni, ale bank przyznał mu od razu kredyt w wysokości stu dolarów. Kolejne miłe zaskoczenie.

Wyszedł na ulicę i zaczął się rozglądać za jakimś barem. Pierwszy był za drogi. Kanapka kosztowała ponad dziesięć dolarów. Allen przeliczył to na walutę amerykańską i ze zdziwieniem stwierdził, że zwykła kanapka jest tu prawie dziesięć razy droższa niż w Seattle. Sprawdził kilka następnych barów – wszędzie ceny były podobne.

Jednak musiał coś zjeść i się napić. Stał na ulicy, zastanawiając się, co zrobić. Gorąco stawało się nieznośne. Jak co dzień. Nie ma co tak stać... Wszedł do baru z kilkoma pustymi stolikami. Panował tu zaduch, nie było klimatyzacji. Zamówił kanapkę za jedenaście dolarów i dużą kawę za osiem. Jedno i drugie smakowało nieszczęśliwie. Zawartość kanapki smakiem i konsystencją przypominała mielone mięso, ale wolał nie pytać, co to jest naprawdę.

Z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że jego palmtop nie loguje się do sieci miejskiej. Na Ziemi, we wszystkich chyba miastach, internet był dobrem powszechnie dostępnym. Tutaj najwyraźniej nie istniały publiczne nadajniki, które kosztem gigawatów energii pokrywałyby miasto zasięgiem, umożliwiając każdemu swobodny dostęp do sieci.

Schował więc palmtop i na przypiętym linką do stołu książniku przejrzał poranne

serwisy informacyjne. Lokalne wiadomości niewiele mu mówiły. Przystudiował oferty biur pośrednictwa pracy, ale okazało się, że i tak musi się tam udać osobiście, by się najpierw zarejestrować. Ceny żywności skłaniały go do szybkiego działania. Umówił się w biurze Headsearchers, na wszelki wypadek zostawiając sobie godzinę zapasu.

Zjadł, wypił, zapłacił i wyszedł z dusznej nory do rozgrzanego piekarnika. Znów mroczki przed oczami. Wrócił do cienia i oparł się o ścianę. Paskudny klimat. Ludzie idący chodnikami mieli przeważnie sandały zakryte z wierzchu przewiewnym materiałem, spodnie do półtydek i koszule z szerokimi rękawami. Wszystko to z materiału przypominającego len. Wiele osób nosiło jasne kapelusze. Allen spojrzał po sobie. Długie bawełniane spodnie wojskowe, koszula, wprawdzie rozpięta, ale też bawełniana. No i buty. Solidne skórzane buty. Wiedział, że tu będzie gorąco, ale nie spodziewał się, że aż tak. Ciekawe, ile kosztują ubrania? Podwinął nogawki spodni i rękawy koszuli. Trochę pomogło.

Uniósł wzrok i uśmiechnął się. Biuro Headsearchers znajdowało się po przeciwnej stronie ulicy. Miał więc czas na godzinny spacer. Najbliższy i największy na całej planecie park znajdował się o kilka minut drogi. Central Park. Allen udał się w jego stronę, sphywając potem i kryjąc się w cieniu tam, gdzie było to możliwe.

*** * ***

W Central Parku znajdował się największy pod względem powierzchni zbiornik wody na Marsie. Reklamy pokazywały wielkie jezioro pod szklaną kopułą, przez którą przeświecało czerwone niebo. Allen stał teraz przed tym jeziorem. Na urodzonych tu musiało robić wrażenie, ale dla Allena był to zwykły staw. Zawsze fotografowano go tak, by wydawał się większy. W najszerszym miejscu miał siedemdziesiąt metrów. Głębokość nie przekraczała trzydziestu centymetrów. Nawet zamoczyć nóg nie było wolno.

Spojrzał w górę. I dopiero ten widok zrobił na nim wrażenie. Trzy wieże elektrolityczne zbiegały się w perspektywie sześćset metrów wyżej i wyglądały tam wysoko jak cienkie rurki. W rzeczywistości średnica kominów u podstawy wynosiła pięćdziesiąt, a na szczycie prawie trzydzieści metrów. Wyszedł na zewnątrz, by lepiej się im przyjrzeć. Na Ziemi budowano wyższe wieżowce, ale te wieże miały w sobie nieopisany majestat. Stały tutaj, nim pojawili się pierwsi osadnicy i będą tu stać dłużej niż jakiegokolwiek budynki w tym mieście. W dziwny sposób wiedział o tym.

Dalej, w cieniu drzew dostrzegł mały pomnik zagubionych duszyczek. Odlane z brązu postaci dwojga dzieci.

Obszedł park, pomimo tłumu dookoła, ciesząc się cieniem i chłodem. Stare drzewa, cień – zwykły ziemski park.

Wrócił przed biurowiec, w którym znajdowało się biuro Headsearchers. Windą wjechał na czterdzieste trzecie piętro. W biurze stały wyłącznie biurka, fotele i płaskie terminale. Żadnych przepierzeń, szaf, boksów. Zapewne wszystkie biura tak tu wyglądały. Szafy nie były potrzebne, bo wszystkie dokumenty leżały w pamięciach masowych serwerów gdzieś w podziemiach.

Allen skierował się do działu konsultantów. Dziewczyna z długimi blond włosami, na pewno niepraktycznymi w takim klimacie, wskazała mu krzesło przed swoim biurkiem. Tabliczka informowała, że konsultantka nazywa się Doris Westwood.

–Czym mogę panu służyć? – zapytała, uśmiechając się niewymuszenie.

–Szukam pracy.

–Przyleciał pan ostatnim transportem – stwierdziła, patrząc na jego strój. – Mało dziś klientów. Wypełnię ankietę za pana. – Znow się uśmiechnęła. – Proszę się nie martwić, mamy dużo ofert.

Skąd wiedziała, że się martwił? Wszyscy się martwili?

Stukała w klawisze terminala. Podłączony do niego książnik popiskiwał cicho za każdym razem, gdy naciskała enter. Allen przypuszczał, że gdyby nie jej pomoc, spędziłby tu dużo czasu.

–Pana imię i nazwisko?

–Allen Ryan.

–Urodzony?

–Minnesota. Piąty lipca dwa tysiące dwieście osiemdziesiąty czwarty.

–Minnesota? A dokładniej?

–Niestety...

–Wpiszę Saint Paul. To zdaje się stolica stanu. Nie mogę zostawić pustej rubryki. Imiona rodziców?

Allen spuścił wzrok.

–Moi rodzice też nie żyją – powiedziała dziewczyna. – Wykształcenie?

–Podstawowe...

–Języki obce?

–Portugalski. Ledwo ledwo.

–Lepiej wpiszę, że brak. Dotychczasowe doświadczenie zawodowe?

–Budowa i konserwacja urządzeń mechanicznych. Praktycznie każdego rodzaju – pracowałem w wielu różnych miejscach. Naprawiałem kosiarki do trawy, windy, klimatyzatory. Ostatnie dwa lata spędziłem przy budowie kopterów marsjańskich u Bella. Znam w nich każdą śrubkę, jeśli można tak napisać.

Doris spojrzała na niego.

–Chciałby pan pracować przy kopterach?

–Myślę, że tak.

–Zobaczę, co da się zrobić. – Już stuknęła w klawisze. – Na pewno potrzebują mechaników, choć w naszym biurze nie zgłaszali zapotrzebowania. Sami się do nich odezwiemy.

–Byłoby świetnie...

Allen przyłapał się na tym, że jak uczeń mnie w palcach róg koszuli.

–Jeśli znajdziemy panu pracę, nasza prowizja wynosi połowę pierwszej pensji miesięcznej. Może być płatna w ratach do pół roku. Zgadza się pan?

–Chyba muszę.

Anioł nie dziewczyna. Chciał zapytać, co robi wieczorem, ale przypomniał sobie, że stać go jedynie na zaproszenie jej na spacer. Znow spuścił wzrok.

–Proszę o pana ID.

–Wyciągnął z kieszeni palmtop i nacisnął przycisk identyfikacji.

–Dziękuję. Skontaktujemy się z panem, gdy tylko znajdziemy jakąś pracę. Nie wiem, czy będę to ja. Jutro kończy mi się kontrakt. Połowa naszych klientów to imigranci.

–Jeszcze jedno... nie mogę się zalogować do sieci miejskiej, żeby ściągnąć wiadomości.

–Nie przeczytał pan chyba do końca broszurki, którą rozdają w porcie kosmicznym. – Uśmiechnęła się. – Bez wykupienia dodatkowego abonamentu będzie pan mógł się logować tylko lokalnie, na przykład w knajpach, gdy miejskie serwery przetworzą pana nowe dane.

Pożegnał się i wyszedł. Wiadomość od dziewczyny przyszła po chwili, gdy był w windzie. Dostał pracę, zapewne tymczasową, choć nic nie było pewne. Następnego dnia rano miał się udać do zachodniej części miasta.

Zastanawiał się, czy gdyby wyszedł z budynku, dostałby tę wiadomość dopiero po zbliżeniu się do jakiegoś lokalnego nadajnika. Wrócił do hotelu bocznymi uliczkami, gdzie wyrastające z dachów kanciaste konstrukcje baterii słonecznych rzucały odrobinę cienia.

Senator Richard Griffin wyłączył ekran terminala, podniósł z popielniczki wypalone do połowy cygaro i wyszedł na obszerny taras swojego apartamentu przy Central Parku. Zaciągnął się. Z żeliwnego stolika podniósł dużą wojskową lornetkę. Zadarł głowę i wyregulował ostrość na płataninie rur wychodzących z cylindrów komór elektrolitycznych najbliższej wieży. Komory stanowiły najniższą część wielopiętrowego systemu pozyskiwania tlenu, który umieszczono w połowie wysokości betonowego trzonu wieży. Na pierwszy rzut oka widać korozję i zacieki. To było właśnie źródło życiodajnego dla roślin parku deszczu, ale oznaczało również ciągły spadek produkcji tlenu.

Konkretny lokalny zysk kosztem globalnie rozmytej straty. Działo się tak we wszystkich wieżach i nie był to wynik celowego działania. Wieże obliczono na sto pięćdziesiąt lat pracy. Po dwustu miały prawo zacząć szwankować. Tyle że według pierwotnego planu wszędzie wokół miast powinny być już lasy przerabiające dwutlenek węgla w tlen. Plan minimum zakładał roślinność stepową, ale w rzeczywistości i ta nie chciała się utrzymać na jałowym, ruchomym piasku.

Senator patrzył jeszcze chwilę na wieżę, po czym odłożył lornetkę i usiadł na leżaku.

–Można by tam polecieć – powiedział do siebie – i zobaczyć, jak to wygląda naprawdę.

W założeniu wieże miały być bezobsługowe. Plany leżały zapomniane gdzieś na Ziemi, a projektujący je inżynierowie od przeszło dwóch wieków odpoczywali w Alei Zasłużonych. Możliwe, że na Marsie nie było ani jednej osoby zdolnej się połapać w tych setkach kilometrów rur. Ostatnie ekspertyzy sprzed kilku lat zaginęły w okolicznościach na tyle dziwnych, że aż podejrzanych. Nowych nie było i nic nie wskazywało na to, by prędko miały powstać. Obszar w promieniu dwóch kilometrów od wież objęto całkowitym zakazem lotów, a z ziemi nie było jak się wspiąć do maszyny.

Nie dalej jak miesiąc temu spadająca śruba zabiła przechodnia. Strata niewielka, ale prasa podchwyciła tanią sensację. Ktoś nawet opublikował animację walącej się wieży. Bzdura! Beton będzie tu stać jeszcze i dwa tysiące lat.

Sprawa ucichła równie nagle, jak się pojawiła. Griffin bezskutecznie próbował odnaleźć w archiwach redakcyjnych nazwisko ofiary. Nie było też nigdzie aktu zgonu. Policja zagubiła wszelkie materiały dotyczące wypadku, a policjanci prowadzący śledztwo awansowali i zostali przeniesieni do Sargass. Senator nie miał czasu zajmować się dalej tą sprawą. Bałagan w biurokracji to problem kogo innego.

Raport, który przed chwilą przeczytał, niepokoił go, choć tego właśnie mniej więcej

się spodziewał. Optymiści twierdzili, że o tlen nie trzeba się już martwić, bo „Stan równowagi został osiągnięty”. Większości ludzi to wystarczało i z radością wyrzucali z głowy jedno zmartwienie. W rzeczywistości było źle, a ściślej mówiąc, wszystko zmierzało w złą stronę. Tyle że optymiści mieli znacznie silniejszy dar przekonywania niż Griffin.

Dobre efekty w zalesianiu osiągnano jedynie wewnątrz niewielkich i w miarę nowych kraterów uderzeniowych, których korony nie uległy jeszcze erozji. Osłonięte przed burzami piaskowymi oazy zieleni wciąż wymagały nawożenia i nawadniania. Nawożenie było proste: odpadki organiczne z miast, po wstępnym przetworzeniu i odzyskaniu w procesie fermentacji biogazu, transportowano do najbliższych oaz. Gorzej było z nawadnianiem. Wydajność nowoczesnych skraplaczy była niewystarczająca. Drzewa często usychały. Nie mieli kilku stuleci, by przechodzić stopniowo od roślinności pustynnej, poprzez stepową, sawannę, aż do lasów. A z braku oceanów tylko wielkie połacie lasów mogły ustabilizować klimat na poziomie umożliwiającym ludziom komfortowe życie. Bez nawadniania nawet mchy i porosty zdychały z braku wilgoci. Przetestowano kilkaset gatunków, nie znajdując odpowiedniego. O równowadze nie mogło być mowy.

Pozostawały wieże elektrolityczne produkujące tlen z wody.

Kiedyś planowano kolonizować Marsa, umieszczając na jałowej planecie szklane kopuły habitatów. Cóż to byłoby jednak za życie? Ciągły strach przed rozszczelnieniem powłoki i uduszeniem.

Dwa lata temu senator Griffin mógł sobie pogratulować przepchnięcia ustawy przyznającej środki na projekt Waterfall. W kierunku Marsa leciała pierwsza kometa, na tym etapie podróży kierowana już w prosty sposób. Towarzyszyły jej trzy bezzałogowe statki. Podgrzewając laserami powierzchnię komety, powodowały wrzenie i wyrzut masy w odpowiednim kierunku. To wystarczało do drobnych korekt toru lotu. Niewielkie jądro i kilkadziesiąt milionów ton lodu. Częściowo H_2O , częściowo CO_2 plus nieistotne domieszki. Wielkość imponująca, choć nie w skali planetarnej. Jeśli uda się trafić w okolice bieguna, bilans tlenowy poprawi się zaledwie o ułamek procenta, ale otworzy to drogę do zupełnie innego sposobu terraformowania. Zdecydowana większość lodu wyparuje podczas lotu przez atmosferę i spadnie w postaci deszczu. Dodatkową korzyścią będzie naruszenie pozostałej czapy lodowej, która dotychczas nie całkiem zanikła, i to mimo podgrzania atmosfery.

Już wkrótce dopuszczalnym kosztem energetycznym będzie można zmieniać tor lotu podobnych obiektów. Pozwoli to na pozyskanie tlenu, jak i wody, w ilościach umożliwiających dokończenie przemiany Marsa w prawdziwą drugą Ziemię.

Oczywiście istnieje ryzyko rozpadu obiektu przed dotarciem do celu. Stanowiłoby to

pewne zagrożenie dla obszarów zamieszkałych, choć największym zmartwieniem naukowców pozostawało niewielkie kamienne jądro, którego nie dawało się dokładnie zbadać. „Niewielkie” jądro uderzające w Marsa mogło oznaczać katastrofę na skalę ziemskiej zagłady dinozaurów i powrót sztucznie przerwanej epoki lodowcowej. Oznaczałoby to również kres panowania ludzi na Czerwonej Planecie. Ale do tego czasu został jeszcze ponad miesiąc. Parę tęgich głów pracowało nad tym w ścisłej tajemnicy.

Griffin uważał się za marsjańskiego patriotę i wizjonera, choć nie uzewnętrzniał tego ostentacyjnie. Myślał już o następcy projektu Waterfall, który miałby się rozpocząć wiele lat po jego śmierci. Skoro można zmieniać orbity asteroidów i komet, to czemu nie sprowadzić na orbitę Marsa wielkiej bryły tlenku żelaza? Bardzo ryzykowne, ale możliwe. Senator nie był jednak głupi i wiedział, że skomplikowane polityczne układy długo jeszcze na to nie pozwolą. To oznaczałoby przecież początek uniezależniania się Marsa od Ziemi. Trzeba z tym jeszcze poczekać.

Sprowadzenie komety było bardzo skomplikowane technicznie, ale to problemy prawne i logistyczne przyprawiły senatora o ból głowy. W świetle aktualnego prawa, za wprowadzenie w atmosferę tak dużego obiektu groziła kara śmierci. Trzeba przepchnąć parę ustaw, nim wszystko wyjdzie na jaw. Ponadto pamiętać o takich drobiazgach, jak na przykład odwołanie wszystkich ekspedycji polarnych.

Szczerze mówiąc, o komecie lecącej w stronę Marsa wiedział senator Griffin i zaledwie kilkunastu jego współpracowników. Jak i kiedy powiedzieć to pozostałym kilku miliardom obywateli – oto kolejny problem, pytanie bez dobrej odpowiedzi.

Na razie potrzebował jeszcze jednej osoby – koordynatora naziemnej części projektu. Kogoś niezależnego, spoza aktualnego politycznego przydziału. Zbyt wielu zależało na jego niepowodzeniu. Tak. Senator Griffin potrzebował kogoś niezależnego i uczciwego. I to szybko. Ale jak znaleźć kogoś takiego? Nikt odpowiedni nie przychodził mu do głowy. Jak nie dopuścić, żeby wrogowie nie podstawili mu wtyczki?

–Przejrzeć stare ogłoszenia – mruknął, wracając do gabinetu.

Usiadł przed terminalem i wywołał stronę największego biura pośrednictwa pracy.

Wokół miasta rozciągała się bariera składająca się z trzech oddalonych od siebie o kilkanaście metrów parkanów z gęstej metalowej siatki. Zewnętrzny miał pięć metrów wysokości, środkowy siedem i pół, a wewnętrzny dziesięć. Ich celem było spowodowanie zawirowań powietrza i wytrącenie przynajmniej większych ziaren. Barierę dawało się stosunkowo łatwo przesuwac. Po każdej burzy setki spychaczy i wywrotek podejmowało syzyfową pracę ponownego przetransportowania piasku w głąb pustyni. Wszystko wskazywało na to, że zachodniej części miasta nie uda się uratować. Prawie stumetrowa diuna napierała na mur, grożąc jego przekroczeniem w ciągu najbliższych tygodni.

Spychaczokoparka na wielkich niskociśnieniowych oponach wspinała się na strome zbocze. Allen co chwilę zerkał na wskaźnik przechyłu, choć do czerwonej linii było bardzo daleko. Tuż przed wierzchołkiem należało tylko opuścić czerpak i docisnąć gaz. Nie sposób się było nawet pomylić, bo całą hydrauliką czerpaka sterowały dwie dźwignie. Praca w sumie prosta. Gdy dostał ją po zaledwie kilku minutach od wypełnienia ankiety w urzędzie, nawet nie pomyślał o wybrzydzeniu. Zbyt dobrze pamiętał kłopoty, jakie miał na Ziemi.

Sto metrów dalej po prawej i lewej stronie inne maszyny robiły dokładnie to samo i z dokładnie takim samym efektem. Po trzech godzinach pracy Allen miał wrażenie, że poznał znaczenie powiedzenia „syzyfowa praca”. Jeśli nawet przesunął wierzchołek diuny o metr, to nikt nie mógł tego obiektywnie potwierdzić. Piasek drobnymi strużkami leniwie zsuwał się po łagodniejszym zboczku w stronę zewnętrznego podnóża wydmy, gdzie kilkanaście maszyn podkopywało zbocze, ładując piach na płaskie wywrotki. Przypominające żółwie pojazdy wywoziły urobek poza południową i północną część miasta.

Zewnętrzny kraniec zachodniej część Nowego Londynu zwano West Endem, analogicznie do wschodniego – East Endu. W większości były tu niemal slumsy. Mimo to broniono ich. Allen, wykonując automatycznie, po raz setny tę samą sekwencję czynności, zastanawiał się, ile w tym szczerzej troski o mieszkańców, a ile obawy przed ich migracją do lepszych dzielnic.

Marsjańska polityka była pełna sprzeczności. Z jednej strony, próbowano wszelkimi środkami zwiększyć produkcję tlenu, z drugiej, dużej mocy silnik spychaczokoparki spalał wodór, czyli robił coś dokładnie odwrotnego. Być może pojazdy elektryczne były za słabe, by tutaj pracować, ale przecież takich maszyn wokół innych miast musiały być tysiące!

Allen odczuwał senność spowodowaną niższym ciśnieniem i niższą zawartością tlenu. Aklimatyzacja jeszcze trwała. Powrót na Ziemię ponoć był trudniejszy z

powodu ciąży, ale on nie chciał przecież wracać. Tu miał pracę. Fotel był wygodny, kabina klimatyzowana – i nie chodziło nawet o komfort, ale o przeżycie – temperatura była tu taka sama, jak latem na Saharze. Nocą, niestety, spadała czasem znacznie poniżej zera. Warunki może trudne, ale potrafił na siebie zarobić, a to było najważniejsze. Nie orientował się jeszcze zbyt dobrze w cenach; wyliczył tylko, że rachunek za hotel zabierze dwadzieścia pięć procent jego wynagrodzenia. Dalej od centrum ceny na pewno były niższe. Zamierzał zwiedzić miasto i gdy tylko skończy załatwiać formalności, przenieść się do miłej i taniej dzielnicy.

Po południu, podczas przerwy na lunch przysiadł się do ławy, przy której siedział jego nowy szef. Nazywał się Briks i był solidnie zbudowanym czterdziestolatkiem. Nie golił się chyba od tygodnia.

Kilkudziesięciu robotników kończyło jeść bliżej nieokreśloną białą papkę smakującą rozgotowanym ryżem. Pod szerokim namiotem z metalizowanego materiału było tylko odrobinę chłodniej niż na zewnątrz.

–Przepraszam – odezwał się Allen. – Jaki sens ma moja praca? Od rana przesuwam piasek i ledwo spłaszczyłem odrobinę szczyt góry.

Szef spojrział na niego bez zdziwienia czy irytacji i odpowiedział:

–Wiatr porzuca ziarenka tuż za wierzchołkiem wydmy. Dlatego wierzchołek przesuwają się. Strona zawietrzna jest bardzo stroma. Gdy zostanie przekroczona wartość graniczna, ziarenka zaczynają osypywać się i przesuwają się również podstawa wydmy. – Mówiąc to, obrócił się na ławie i sięgnął dłonią do piasku leżącego na podłodze namiotu. Palcem przesypał ziarenka przez szczyt małej góry. – Cofając wierzchołek wydmy, opóźnimy jej marsz, a wybierając piasek tutaj – wskazał kciukiem podnóże – zmniejszamy ilość, jaka dociera do wierzchołka.

–Ta praca będzie trwać w nieskończoność – zauważył Allen.

Kilku robotników zaśmiało się, nie unosząc wzroku.

–Wydmy będą wędrować, dopóki będzie piasek i wiatr.

–Nie ma na to sposobu?

–Wielu nad tym myślało. Padł kiedyś pomysł zeszklenia powierzchni wydmy wokół miasta palnikami, żeby wiatr nie przesunął ziarenek.

–Czemu tego nie zrobiono?

–Bo piasek z pustyni wjechałby do miasta jak po autostradzie.

Znów śmiechy w tle.

–Dlaczego więc miasto wybudowano tutaj?

–Według optymistycznych planów, które zwabiły nas na tę cholerną planetę, wszędzie dookoła – zatoczył ręką łuk – od pół wieku miały być lasy. A przynajmniej zielone łąki.

W porze lunchu biuro opustoszało. Doris była jedyną osobą na całym piętrze. Siedziała przed płaskim ekranem terminala, a stukanie klawiszy niosło się do szklanych ścian i powracało. Poszukujących pracy było bardzo mało, jak zawsze pod koniec okresu bliskości Ziemi. Przybywało za to ofert pracodawców. Od wczoraj, od wyjścia tego nowego chłopaka z Ziemi, nikt nie przyszedł. Załatwiła dosłownie kilka zdalnych kontraktów. Allen Ryan... Był sympatyczny i nieco zagubiony. Bardzo chciała mu znaleźć pracę przy naziemnej obsłudze kopterów. Jeszcze wczoraj wysłała zapytanie na lotnisko i do kilku firm, które miały własne maszyny, ale nadal nie było odpowiedzi.

Zamierzała właśnie wyjść, gdy na ekranie pojawiła się nowa wiadomość. Odpowiedź z bazy danych, ale na zapytanie dotyczące jej samej. Od miesiąca raz dziennie przeczesywała bazę, a nawet umieściła w niej własne CV i dość wygórowane oczekiwania. Musiała znaleźć pracę i dla siebie. Okres ku temu był najlepszy, zresztą dlatego właśnie, wraz ze wznowieniem komunikacji z Ziemią, miała zamiar wrócić do biura pośrednictwa. Kontrakt okresowy umożliwiał jej dostęp do ofert i wybranie w ostatniej chwili tej najlepszej. Szefowie nie mieli nic przeciwko temu.

Otworzyła wiadomość, która właśnie przyszła, razem z czternastoma innymi przesłała ją do swojego palmtopa, po czym zjechała do baru na lunch, by przy jedzeniu przejrzeć oferty.

W barze też czuło się atmosferę końca sezonu. O połowę mniej ludzi. Ceny kanapek z serem i szynką, kawy i herbaty poszły już dziesięć procent w górę. Ceny żywności z Ziemi za miesiąc urosną o sto procent, a i tej lokalnej gdzieś o połowę. Potem, za trzy, cztery miesiące produkty miejscowe zaczną tanieć. Doris od kilku dni czekała, aż sałatka z tuńczyka się zestarzeje i zostanie przeceniona. Teraz kosztowała piętnaście dolarów, ale jeśli ten skąpiec nie przeceni jej jutro, to będzie się nadawała najwyżej na kompost. No tak, jutro już tu nie przyjdzie... Lodówka z ziemskimi specjałami niedługo zacznie pustoszeć. Mrożone ryby, mięso, jajka, przetwory mleczne i reszta zdrożeją tak, że całe zapasy, mimo że nafaszerowane przeciwutleniaczami, będą szły od razu do ekskluzywnych sklepów i barów dla *top managementu*.

Zamówiła kanapkę z serem, szynką i majonezem oraz dużą kawę. W końcu to ostatni dzień w pracy. Smakując kanapkę drobnymi kęsami, uważnie czytała oferty. Ponieważ dobrze wiedziała, jak sformułować zapytanie, wszystkie propozycje spełniały jej oczekiwania. Co wybrać? Kilka dotyczyło stanowisk w firmach handlowych; asystent dyrektora marketingu w transporcie miejskim; handlowiec w dużej agencji reklamowej; koordynator publicznego projektu – wymagane pełne zaangażowanie i dyspozycyjność; konsultant w liniach lotniczych – praca w systemie

zmianowym; konsultantka w *hot line* przedstawiciela dystrybutora systemów nawigacyjnych.

Od wczoraj pojawiła się tylko jedna nowa oferta, a słowo „koordynator” dobrze brzmiało. Niewiele myśląc, wysłała aplikację na podany adres. Pozostałych ofert przezornie nie skasowała.

Włożyła do ust ostatni kęs kanapki i z żalem odstawiła talerz. Gdy wychodziła, ktoś właśnie kupował sałatkę. Wjechała windą na czterdzieste trzecie piętro. Godzinę później jej palmtop pisnął trzykrotnie, oznajmiając odebranie nowej wiadomości: „16:00. Central West Road 3, Apt. 23”. Gwizdnęła cicho. Central West Road numer trzy to adres tuż przy Central Parku. Niezły projekt publiczny, w najdroższych apartamentach.

Mam nadzieję, że nie chodzi o dom publiczny, pomyślała z pewnym rozbawieniem, funkcja koordynatora oznaczałaby burdelmamę.

* * *

Nowy Londyn był miastem zaprojektowanym przez urbanistę z planem rozwoju na pierwsze pięćdziesiąt lat. Brak jakichkolwiek barier, wynikających z istniejącej zabudowy bądź warunków ukształtowania terenu, zdejmował wszelkie ograniczenia, co nad wyraz często przerastało wyobraźnię twórcy. Żeby chociaż jakieś góry, uskok terenu czy krater... Nowy Londyn powstawał w bólach na pustyni, pod którą rozciągała się lita skała, gładka jak stół. Jedynym punktem zaczepienia były trzy wieże elektrolityczne. Z braku jakichkolwiek założeń projektant wykonał cztery główne ulice biegnące w czterech kierunkach świata, kilometrowej średnicy rondo i dalej ulice porządkujące zabudowę w równe kwadraty. Początkowo wytworzył się okrąg o średnicy dwudziestu kilometrów. Miasto rozrastało się niemal równomiernie we wszystkich kierunkach. Na zdjęciach satelitarnych Nowy Londyn wyglądał jak organizm żyjący w trudnych warunkach, bojący się wypuścić dalej w otoczenie odnogę, by jej nie stracić. Nowe osiedla powstawały jako półkoliste narośla na ciele miasta. Początkowo były to niemal slumsy dla biednych imigrantów, ciągle zasypywane przez pustynię. W miarę upływu czasu następne i jeszcze następne budynki tworzyły ochronę przed piaskiem, a starsze osiedla podnosiły swój status. Wraz ze statusem rosły i czynsze. Mieszkańcy albo zdążyli się wzbogacić, albo przenosili się dalej.

Doris, nie spiesząc się, opuściła rejon prostopadłych ulic i weszła w obszar koncentrycznie usytuowanych budynków stanowiących ściśle centrum, zwane Centralnym Kręgiem. Tutaj ulokowały się najdroższe powierzchnie mieszkalne na całej planecie.

Policjanci niechętnym okiem patrzyli na przybyszów z peryferii zapuszczających się

poza rejon Central Parku, i poza cztery pasażę stanowiące przedłużenie czterech głównych alei. Wstęp tutaj nie był i nie mógł być zakazany, ale istniało wiele sposobów, by zniechęcić ludzi do myszkowania między apartamentowcami. Doris była ładna i zgrabna, a do tego dobrze ubrana. Mogła uchodzić za mieszkankę dzielnicy. Nie groziła jej więc kontrola. W najgorszym wypadku mogła pokazać wiadomość stanowiącą zaproszenie.

Odszukała dom numer trzy i wcisnęła odpowiedni przycisk na domofonie. Zerknęła na zegarek – za minutę czwarta. Wiedziała, że przy pierwszym kontakcie punktualność jest niezwykle istotna.

Domofon wyświetlił prośbę o identyfikację. Wyciągnęła z plecaczka palmtop i nacisnęła przycisk ID. Drzwi otworzyły się same. Nie dostrzegła spisu lokatorów. Przeszła przez pusty hall, wsiadła do windy i wcisnęła przycisk z numerem dwadzieścia trzy – tutaj każde mieszkanie zajmowało całe piętro.

Winda otworzyła się na mały kwadratowy hall. Poza drzwiami od windy były tutaj wielkie mahoniowe drzwi apartamentu i przeszklone wyjście do schodów ewakuacyjnych. Pożary na Marsie zdarzały się rzadko, niska zawartość tlenu w atmosferze i sporadyczne używanie w budownictwie materiałów palnych nie sprzyjały im. Niemal wszystko, co łatwo ulegało spaleni, musiało przylecieć z Ziemi. Było więc drogie.

Nie dostrzegła dzwonka, zapukała do drzwi. Od razu otworzył... lokaj. Coś takiego widziała ostatnio na filmie. Prawdziwy lokaj. Szpakowate włosy, spodnie w paski, i cała reszta.

–Panna Westwood? Zapraszam.

Nie poprosił o ponowną identyfikację. Przekroczyła próg apartamentu i od razu poczuła chłodny powiew klimatyzacji. Tylko raz w życiu była w budynku o takim standardzie. Lokaj zaprosił ją dalej, do gabinetu. Znalazła się nagle w innym świecie. Na podłodze przestronnego pomieszczenia leżał gruby dywan w skomplikowane wzory z dominującym kolorem purpurowym. W regał z książkami (papierowymi!) wmontowano ogromne akwarium. Stała przed nim i oczarowana wpatrywała się w łagodnie falującą roślinami zielonkawą migotliwą niezwykłość. Jaskrawe stworzenia ze starego świata snuły się sennie wzdłuż szklanej ściany. W jej umyśle obudziło się wspomnienie akwarium większego od domu. Miała wtedy trzy lata i mieszkała jeszcze na Ziemi, w starym Londynie. Ojciec zabrał ją do oceanarium, gdzie spędziła półtorej godziny z nosem przylepionym do szyby. Nigdy nie widziała prawdziwego oceanu.

–Myśli pani o marnowaniu wody?

–Och... nie. – Odwróciła się zaskoczona.

–Proszę się nie obawiać, to obieg zamknięty. Richard Griffin – przedstawił się właściciel akwarium. Elegancki, korpulentny pięćdziesięciolatek.

–Tak... poznaję pana – powiedziała. – Doris Westwood.

Uścisnął jej delikatną rękę, uśmiechając się pod siwymi wąsami.

–Wodę mamy pod stopami. Jest jej dość, by stworzyć morza na jednej czwartej powierzchni planety.

–Dlaczego więc...

–Nie umiemy jej wydostać na powierzchnię? Nie wiemy też, jak sprawić, by nie wsiąkła ponownie.

–Kiedyś były tutaj morza.

–Większość tamtej wody ulotniła się w przestrzeń kosmiczną. Cienka atmosfera nie mogła temu zapobiec. Istnieje też teoria, mówiąca, że woda pojawiała się okresowo, wyłącznie po upadkach meteorytów.

Sięgnął do ciężkiego drewnianego biurka i otworzył szklane wieczko humidoru.

–Cygara nie palą się tu zbyt dobrze. Trzeba je suszyć na wiór i ciągle podtrzymywać żar, bo gasną. To niestety wyklucza komfort delectowania się. Poczęstuje się pani?

Wyciągnął w jej stronę otwarte pudełko. Paliła kiedyś papierosy, ale okazało się to zbyt drogim nałogiem. Poza tym uważała, że kobieta z cygarem wygląda po prostu nieelegancko, tym bardziej że w tutejszej atmosferze cygaro trzeba było niemal ssać jak smoczek. Podziękowała. Senator sprawnym ruchem odciął końcówkę, lekko nacisnął cygaro w połowie długości, sprawdzając wilgotność, czy raczej jej brak, i włożył je do ust. Przypalił gabinetową zapalniczką oprawioną w kostkę marmuru.

–Wie pani, kim jestem?

–Jest pan ekologiem.

–Byłem nim w młodości, na Ziemi. Tutaj to słowo niewiele znaczy, choć tak nas nazywają. Staram się uformować środowisko tej planety tak, by przypominała Ziemię. Nasze organizmy nie są przystosowane do życia w tutejszych warunkach. Nie chcąc zmieniać organizmu, musimy zmienić środowisko.

–Czytałam pana książkę, choć było to tak dawno, że niewiele pamiętam. Pisał pan o problemach etycznych dotyczących terraformowania.

Gestem zaprosił ją na zacieniony taras. Było tu niewiele chłodniej niż na ulicy, ale

widok wart był opuszczenia strefy działania klimatyzacji. Na białych kafelkach w dużych donicach z przykrywkami szczelnie przylegającymi do pni stało kilkanaście tropikalnych roślin. Za białą balustradą łagodnie kołysały się wierzchołki drzew. Przy odrobinie wyobraźni można było poczuć się jak na Ziemi.

Wieże elektrolityczne były tak blisko, że zdawały się nachylać nad tarasem. Na policzek dziewczyny spadła kropla wody. Uśmiechnęła się. To na szczęście.

Usiedli przy żeliwnym stoliku na żeliwnych krzeselkach. Lokaj przyniósł dwie wysokie szklanki kawy frappe.

Griffin uśmiechnął się, widząc, jak dziewczyna patrzy na napój.

–Pisałem, że wobec braku życia na Marsie problem etyczny nie istnieje. Dlatego rozstałem się z przyjaciółmi, którzy twierdzili, że planetę należy zostawić jej własnemu losowi.

–Tak, teraz sobie przypominam – powiedziała Doris, słomką mieszając napój. Zagrzechotał kruszony lód. Czując zapach kawy, przełknęła ślinę i nie chcąc wyrzucić niekorzystnego wrażenia, powstrzymała się jeszcze przed skosztowaniem. – Pisał pan, że człowiek jest zwierzęciem, które wyewoluowało w sposób naturalny, więc i wszystko, co robi, jest naturalne.

–Jednak pani pamięta. Podąłem też przykład pierwszych jednokomórkowców, które doprowadziły do katastrofy ekologicznej na niespotykaną już nigdy potem skalę, „zatruwając” ziemską atmosferę tlenem cząsteczkowym.

–Dzięki temu mogliśmy się pojawić na świecie.

–Tak więc pojęcie katastrofy ekologicznej jest względne. Program stworzenia tutaj pierwszych baz kosztował państwa zachodnie bardzo wiele. Założę się, że pierwsi astronauta, którzy dotarli na Marsa, mieli rozkaz zniszczenia wszelkich organizmów, jakie odkryją. – Senator zmęczył się wysysaniem dymu z cygara i wypalone w jednej trzeciej odłożył na brzeg popielniczki. – Wie pani, po co ją tutaj zaprosiłem?

–Chodzi o pracę, ale... czuję się trochę, jakbym była po drugiej stronie lustra.

Senator wskazał najbliższą wieżę.

–Przez niewielkie otwory na dolnych dwustu metrach cały czas wlatuje powietrze. Komin tej wysokości podgrzewany przez słońce wytwarza ciąg zdolny porwać w górę dorosłego człowieka. Cała aparatura umieszczona jest w połowie wysokości wieży. To, co stąd wygląda jak liście, to w rzeczywistości baterie słoneczne na wysięgnikach. Wewnątrz tej kanciastej narośli są chłodnie, w których odzyskiwana jest wilgoć z powietrza. Po przetransportowaniu do komór elektrolitycznych

rozkładana jest na wodór i tlen. Tlen wydostaje się z wieży na wysokości trzystu metrów. Wodór, z powodu niebezpieczeństwa pożaru, wypuszczany jest w małym stężeniu do wnętrza komina. Leci wraz z suchym powietrzem do samej góry, skąd jako lekki gaz unosi się wciąż wyżej i wyżej, by w końcu ulecieć w kosmos. One są jednymi z ostatnich wież, jakie tu wybudowano. Wtedy zrezygnowano już z magazynowania wodoru. Dzięki temu miasto mogło powstać tak blisko. Deszcz, który daje życie tym drzewom, oznacza bliski kres działania całej maszynerii. W podobnym stanie są wszystkie wieże na Marsie. To ruiny. Jeśli nic nie zrobimy, zawartość tlenu zacznie szybko spadać. Może przetrwają niewielkie rośliny, ale nie my. Od ponad wieku nie ma już ludzi znających takie konstrukcje. Jesteśmy na tej planecie jak dzieci pozostawione w wielkim pustym domu. Nie dowie się pani tego z oficjalnych serwisów. Nasze lokalne media wspominają o jałowej pustyni wokół miasta. Mają stworzyć obraz zjawiska lokalnego i przejściowego. W umyśle przeciętnego człowieka powstaje przeświadczenie, że gdzie indziej jest trawa, niemal łąka. Przy każdym mieście uda się znaleźć skrawek ziemi porośniętej pożółkłą trawą. Nie wiem, kto o nią dba, bo sama by niewątpliwie uschła, ale takie miejsca z okolic Delaney są pokazywane w reportażach dla naszych serwisów informacyjnych, a podobne miejsca wokół Nowego Londynu rozpowszechniają w Delaney. Stanowią tylko tło, ale zapadają w pamięć. To tylko jeden przykład.

–Potrzebujemy więcej roślin – powiedziała ostrożnie Doris.

–Owszem, musimy wyhodować organizmy produkujące tlen bez naszej pomocy. Mamy problem z biomasą. Potrzebne składniki związków organicznych są, ale wydarcie ich planecie jest trudne. Jak, przy niemal zerowej wilgotności, zmusić do pracy jednokomórkowce? W kosmosie za to mnóstwo jest błakających się obiektów, czasem nawet pełnych związków organicznych, które tylko czekają, by je tu sprowadzić... Istnieje projekt, który być może zmieni wszystko. Pomysł jest prosty i polega na przechwyceniu lodowej komety, której trajektoria przebiega blisko orbity Marsa i która bez naszej ingerencji minęłaby planetę w niedużej odległości. Następnie należy zmienić tę trajektorię tak, by wprowadzić ją na orbitę lub nawet doprowadzić do zderzenia.

Doris z wrażenia prawie wypuściła szklankę. Senator nie pozwolił sobie przerwać.

–Z pewnych względów, głównie politycznych, jedynie ta druga opcja jest wykonalna. Kometę wycelowaną jest w biegun północny. Prawdopodobnie w pierwszym kontakcie z atmosferą rozleci się. Potrójna korzyść: są to tereny niezamieszkane, jest tam lód, który nie może wysublimować od przeszło stu lat, a po zderzeniu z pewnością zrobi to bardzo szybko. No i do atmosfery dostanie się mniej pyłów. Następstwa dla miast będą niemal pomijalne. Uwolniona zostanie pewna ilość dwutlenku węgla i wody, w postaci gazowej oczywiście.

–Czy tlen nie jest ważniejszy?

–Najważniejsza jest dyskrecja. Wiem, że potrafi pani być dyskretna i tylko dlatego rozmawiamy. Pierwotny plan zakładał wprowadzenie komety na orbitę i stopniową jej eksplorację. Ludzie nie chcieli się na to zgodzić. Bali się ryzyka, choć po stokroć groźniejsza Nefretete więcej niż sto lat bezpiecznie okrąża Marsa. Pierwotny plan był też trzykrotnie droższy. To suma niewiele znacząca w budżecie, ale dla zwykłego człowieka – przerażająca. Proszę słuchać dalej. Trawa jest bardzo wytrzymała na trudne warunki. Jej stożki wzrostowe są ukryte pod ziemią i zniszczenie łądygi nie jest wyrokiem śmierci dla całego organizmu. Dlaczego zatem trawa nie kiełkuje na pustyni? Po pierwsze, żeby wypuścić kielęk, ziarenko musi trafić na wilgoć. Po drugie, prócz wody musi mieć składniki mineralne, żeby budować swoje ciało. Po trzecie, trawa ukorzenia się przez kilka tygodni, kiedy to nie powinien wiać silny wiatr. Po czwarte, trzeba to wszystko zrobić naraz na dużym obszarze, a po piąte, ochronić go przed nadmiarem promieniowania UV. Żadnego z tych warunków nie potrafimy spełnić na pustyni. Tworzymy oazy na osłoniętych obszarach, głównie w kraterach uderzeniowych. Stamtąd pochodzą warzywa, które musimy hodować, by ludzie nie umierali z głodu. Jeśli wykorzystujemy każdy osłonięty skrawek gruntu do hodowli warzyw, to nie mogą powstać lasy produkujące najwięcej tlenu i stabilizujące klimat. W ciągu zaledwie stu pięćdziesięciu lat przeludniłoby Marsa! Jeśli nie uda się nam użyźnić pustyni – zginiemy z głodu lub udusimy się. My, może dopiero nasze dzieci, a może prawnuki. Moja kuracja jest ryzykowna, ale nie znam lepszej.

Doris była śmiertelnie poważna, wręcz przerażona.

–Kiedy... to się stanie?

–Za miesiąc. Oczywiście, że w promieniu kilku tysięcy kilometrów od bieguna północnego o godzinie „zero” nie powinno być ani jednego człowieka. Chcę, żebyś była koordynatorem tej części projektu Waterfall. Nie musisz się znać na technologii, której używamy. Twoje zadanie będzie polegać tylko na usunięciu stamtąd ludzi. Do tej pory robiłem to sam, ale nie starcza mi czasu. Więcej teraz nie mogę ci zdradzić.

–Uważa pan, że się nadaję?

–Twoje kompetencje znacznie przerastały pracę w biurze pośrednictwa pracy.

–Jak w tak krótkim czasie zdołał pan mnie sprawdzić? – zapytała zdziwiona.

–Skąd wiesz, ile to trwało? Nadajesz się do tej pracy. Wytrzymałaś prawie dwie minuty z pierwszym łykiem kawy. – Uśmiechnął się. – Wierz mi, że sprowadzenie tej kostki lodu nie jest najtrudniejszą częścią projektu. Trudniej jest przekonać głupich i krótkowzrocznych, że to konieczne.

–Uhh... Teraz nawet gdybym miała inne zdanie, nie mogłabym się ujawnić.

–Tak naprawdę, to zdanie na ten temat może mieć geofizyk, astrofizyk, klimatolog.

Dla przeciętnego człowieka to abstrakcja.

–Czyli dla mnie.

–Na studia nie ma czasu. Pomogą ci programy eksperckie. Musisz podjąć decyzję. Teraz.

–Nie boi się pan, że komuś wszystko powiem?

–Nie. Jak już powiedziałem, sprawdziłem cię dokładnie. Stąd też wiem, że docenisz szczerłość.

Doris spojrzała na wieże górujące nad miastem. Po tej rozmowie czuła się jak pacjent, któremu właśnie powiedziano, że jest śmiertelnie chory. Lekarstwo jednak istniało. Już zdecydowała.

–Zgadzam się.

–Nie zapytasz o pensję?

–Zakładam, że będzie wyższa od poprzedniej.

Chyba gdzieś tutaj zamieszkać, pomyślał Allen, przynajmniej poznałem tę część miasta.

Musiał znaleźć mieszkanie. Okazało się, że stosunkowo niska cena za pokój hotelowy dotyczyła tylko nowo przybyłych, co oznaczało, że po dwóch tygodniach miałyby płacić ponad połowę pensji otrzymywanej za przerzucanie piasku. Na szczęście spychaczokoparka to już historia. Ta dziewczyna, Doris, wyszukała mu pracę w niewielkiej firmie usługowej. Miał konserwować pięć znajdujących się tam kopertów.

Jechał rowerem szeroką ulicą wśród setek podobnych pojazdów. Większość to były składane trójkołowce. Sprzedawca doradził właśnie taki model, więc Allen go kupił.

Rowery dwukołowe były szybsze i lepiej sobie radziły w trudniejszym terenie. Jednak do codziennego przemieszczania się po mieście podróż trójkołowcem była mniej męcząca. Dwa skrętne koła z przodu i jedno tylne, napędowe. Fotel z siatki i trzy siatkowe torby. Cały pojazd sprytnie składał się do płaskiej paczki, wygodnej do przenoszenia.

Na pokładzie „Yellowstone” oraz przez tych kilka dni organizm zdążył naprodukować więcej czerwonych ciałek krwi, więc senność i zmęczenie już mu nie dokuczały tak mocno. Postanowił unikać jazdy autobusami, żeby utrzymywać kondycję.

Domy wyglądały podobnie. Elewacje mieniły się różnymi odcieniami brudnej czerwieni i pomarańcza, zachodnie ściany budynków najczęściej nie miały okien lub okna wybito później, gdy kolejne osiedla wytworzyły osłonę przed piaskami. Wtedy też zapewne powstały nieco bardziej wyszukane domy z większymi oknami. Niemal każdy miał na dachu baterie słoneczne lub szklarnię. A czasem jedno i drugie. Jeśli gdzieś znajdował się biurowiec, dom handlowy bądź niewielki skwer, to i tak powstał na miejscu wyburzonych wcześniej apartamentowców.

Im bliżej granic miasta, tym domy stawały się tańsze. Każde nowo powstałe osiedle miało bardzo niski standard, który kilkanaście lat później podnoszono, wraz z ceną.

Allen co kilka minut zerkał na palmtop wyświetlający plan miasta. Jadąc tędy, kilka razy przekraczał umowną granicę West i North Endu. Zależnie od tego, który „End” był akurat uznawany za bardziej prestiżowy, nowe osiedle przydzielano właśnie do niego. Gdy zbyt duży obszar miasta zwano już jakimś „Endem”, wydzielano z niego nową dzielnicę.

Wiatry zachodnie wiały częściej niż inne. Patrząc na plan Nowego Londynu, można

było odnieść wrażenie, jakby miasto próbowało przyjąć jak najbardziej aerodynamiczny kształt. Strona wschodnia wydłużała się nieznacznie jak w spadającej kropli. Warstwa „naskórka” z prostych, tanich domów była najgrubsza od zachodu.

Metro tutaj jeszcze nie docierało. Jego sieć rosła wolniej niż zabudowa.

* * *

W hangarze ze szklanym dachem stało pięć kopterów, w tym jeden bardzo stary MC-10, z zamontowanymi później rotorami od następnej wersji. Pozostałe cztery to MC-12 – produkowane od przeszło dwudziestu lat w niemal niezmienionej postaci.

Po serii katastrof marsjańskie helikoptery otrzymały zupełnie inną konstrukcję niż ziemskie. Była mniej wydajna energetycznie, ale znacznie bezpieczniejsza. Podstawowy model wyglądał jak osobliwa wersja małego górnopłatowego samolotu transportowego ze zdemontowanymi silnikami. Z przedniej części masywnego kadłuba wyrastały równie solidnie wyglądające skrzydła, po kilku metrach gwałtownie załamujące się w dół. Gdy maszyna znajdowała się w stanie spoczynku, ich krańce dzieliło od ziemi zaledwie pół metra. Zaokrąglony w przekroju kadłub zwężał się przy opuszczonym ku ziemi ogonie, zakończonym trzema statecznikami. Prócz głównego podwozia z ogona i końców skrzydeł można było wysunąć dodatkowe kółka pomagające wylądować przy silnym wietrze, jak również zakotwiczyć pojazd, by mógł przetrzymać nawet potężną burzę. To właśnie gwałtowność klimatu Marsa wymusiła tak radykalną zmianę konstrukcji, którą nazywano teraz po prostu „kopterem”.

Napędem koptera był silnik elektryczny połączony z turbiną tłoczącą sprężone powietrze do dwóch głównych rotorów. Umieszczono je poziomo w najszerszej części obu skrzydeł, blisko kadłuba, wewnątrz okrągłych otworów o średnicy kilku metrów. Takie rozwiązanie, w przeciwieństwie do klasycznego z jednym dużym rotorem nad dachem maszyny, zapewniało prawidłowe działanie i sterowność nawet podczas gwałtownej burzy piaskowej.

Poważnym problemem był pył, który dostawał się przez uszczelki na całym obwodzie rotora. Przez kilka lat zacieranie się rotorów było najczęstszą przyczyną awarii kopterów. Potem konstruktorzy wpadli na elementarnie proste rozwiązanie. Zamiast udoskonalać uszczelki, usunięto je całkowicie, umieszczając zmodyfikowany rotor w odpowiednio wyprofilowanej luźnej tulei. Po osiągnięciu pewnych obrotów powietrze z turbiny, wydostające się z dysz na obwodzie rotora, wytwarzało rodzaj poduszki powietrznej. Obniżono opory i wibracje, a pył mógł wlatywać i wylatywać z łożyska, nie czyniąc w nim szkody. W ten sposób rotor podczas pracy nie dotykał w żadnym miejscu do reszty maszyny.

Trzeci, pomocniczy rotor był znacznie mniejszy i znajdował się w otworze statecznika pionowego. Używano go do wspomagania manewrów z małą prędkością bądź przy silnym wietrze bocznym. Podczas standardowych przelotów z większą prędkością kopter zachowywał się jak samolot.

Patrząc na kopter z przodu, taka konstrukcja nadawała mu kształt przywodzący na myśl ciężarowca pochylającego się nad gryfem sztangi. A z boku wyglądał jak pływak wyrzucający ramiona ponad wodę w stylu zwanym motylkowym.

Koptery były produkowane na Ziemi, tutaj jedynie następował montaż końcowy. Z powodu większej grawitacji na Ziemi taka maszyna, nawet bez ładunku, była bardzo ociążała. Mimo gęstszej atmosfery, z trudem i dopiero na pełnym ciągu dawało się ją zmusić do wzniesienia się. A z powodu rzadkiej atmosfery na Marsie ziemski helikopter nie miałby tu szans na oderwanie się od płyty lotniska. Allen znał dokładnie konstrukcję tych maszyn. Przepracował dwa lata w montowni Bella w Seattle jako pomocnik do wszystkiego. Praca nie była przyjemna, ale teraz uśmiechał się, oglądając znajome kształty.

Na Ziemi każdy egzemplarz koptera wykonywał piętnastominutowy niezgrabny lot tuż nad wielkim betonowym Placem, po czym rozkładano go na kilka większych fragmentów i umieszczano w kontenerach. Tam, w Seattle, maszyny połyskiwały matowo metaliczną powierzchnią nowiutkich kadłubów. Po kilku miesiącach pracy na Marsie, jak wszystko inne tutaj, przybierały szarorudy brudny odcień. Nie opłacało się ich czyścić. Ograniczano się tylko do przecierania szyb i ogniw słonecznych zajmujących górną powierzchnię kadłuba i skrzydeł.

–Potrzebujemy kogoś znającego się na klimatyzacji.

–Nie wiem, czy jestem w tym dość dobry.

–Nie chodzi o naprawienie, tylko o diagnozę stanu technicznego bardzo dużego urządzenia. Z pewnych względów nie możemy skorzystać z usług firmy serwisowej.

–Spytam szefa. Może mieć coś przeciwko.

–Nie będzie miał. Omówiłam z nim już wszystko. Razem z tobą pożyczamy na cały dzień jeden kopter. Jak samopoczucie?

–Dziękuję, nieźle. Już nie śpię całymi dniami. Suchość w gardle też powoli mija. Kupiłem rower i troszkę trenuję.

–Bardzo dobrze! Większość imigrantów poddaje się bez walki i przez miesiące udaje ciężko chorych. Do zobaczenia.

Zdjęła z ucha słuchawkę i położyła ją na kamiennym blacie stolika. Postać Allena w nowym kombinezonie roboczym znikła z ekranu jej palmtopa. Rozsiadła się wygodniej na wielkiej kanapie ze skrzypiącej skóry. Od kwadransa rozkoszowała się komfortem przytulnego kącika w gabinecie Griffina. Czekwała, wyglądając na bujną roślinność na tarasie. Gdzieś w głębi duszy czuła delikatne dotknięcia czegoś zupełnie nowego, zaczątki poczucia misji. Tak to chyba można było nazwać. Chciała, żeby cały Mars tak wyglądał. Tak jak Ziemia. Wspomnienia z dzieciństwa, nawet jeśli szczątkowe, są przecież najsilniejsze i najczęściej powracają w snach.

Poderwała się na dźwięk otwieranych drzwi wejściowych. Odruchowo poprawiła ubranie. Drzwi do hallu były uchylone, więc chcąc nie chcąc, słyszała wymianę zdań.

–Rozwiązałeś problem zapłaty? – zapytał senator.

–Oczywiście. Za dwa dni złoto będzie u mnie w sejfie.

–W ten sposób... Mój ojciec mawiał, że zło zawsze wraca do swojego twórcy. Wolę nie myśleć, skąd pochodzi to złoto.

–To już nie nasz problem.

–Mam inne zdanie.

–Ale nie masz innego pomysłu.

Doris usiadła i wsunęła do ucha słuchawkę. Drzwi otworzyły się na oścież. Za senatorem wszedł szczupły facet koło trzydziestki. Objął wzrokiem sylwetkę dziewczyny.

–Skontaktujemy się później – rzuciła do słuchawki i poderwała się.

–Poznaj mojego asystenta – dokonał prezentacji Griffin. – To Hope Haines. Przekaze ci wszystkie niezbędne informacje.

Doris podała mu rękę. Facet uśmiechnął się. Wyglądał na sympatycznego, choć wyczuła delikatny dystans.

–Już czas na nas. – Senator ruchem ręki wskazał jej drzwi. – Leciałaś kiedyś kopterem?

*** * ***

Limuzyny widywała dotychczas przemykające środkiem głównych ulic. Pojazd tak naprawdę miał niewiele wspólnego z limuzyną w ziemskim znaczeniu. Zdolnościami terenowymi dorównywał łazikom, choć bardziej zwarty, zachowywał elegancką linię. Srebrna karoseria, przypominająca kształtem spłaszczone pudełko, unosiła się metr nad ziemią na czterech balonowych oponach. W przeciwieństwie do łazików, ten pojazd był napędzany silnikiem spalinowym.

Z niewielką pomocą Heinesa wdrapała się po wysuwanych stopniach do wnętrza limuzyny i wpadła w głęboki fotel tworzący wraz z dwoma pozostałymi tylną kanapę. Vis-a-vis, za czarnym stolikiem, dla bezpieczeństwa obitym na brzegach czymś miękkim, znajdowały się identyczne trzy fotele. Wnętrze – to już była właściwie klasyczna limuzyna z barkiem, lodówką, dwoma terminalami i wszystkim, co tylko może być potrzebne.

–Niezbędne dane są już w twoim palmtopie – powiedział Haines. Usłyszała piknięcia potwierdzające odebranie wiadomości. – Najważniejsze informacje pozostaną na naszym serwerze. Masz tylko linki do nich. Na wszelki wypadek zakoduj wszystko już teraz. Na razie!

Uniósł dłoń w pożegnalnym geście i odszedł. Senator zamienił z nim kilka słów i zajął miejsce obok dziewczyny. Limuzyna ruszyła, niezwykle łagodnie pokonała nierówności i wypłynęła na ulicę. Szyby automatycznie się przyciemniły, zamieniając we wnętrzu południe w wieczór.

–W różnych miejscach planety działa kilku zaufanych ludzi – zaczął senator, kładąc rękę na kolanie dziewczyny. Drgnęła. – Projekt Waterfall jest może przełomowy, ale na pewno nie bogaty. Sztuka polega na tym, żeby dysponując skromnym budżetem, osiągnąć nieskromne cele.

–Ale...

–Projekt jest tajny. Założenia znają wszyscy, ale ty jesteś jedną z niewielu osób, które wiedzą, jak dalece jest zaawansowany. Oficjalnie dopiero szukamy odpowiednich obiektów. Dzięki genialnemu w swej prostocie rozwiązaniu udało się radykalnie uprościć proces przechwytywania „kostek lodu” i zmiany ich orbity. Budżet badawczy starczył na Przeskoczenie kilku etapów.

–Dlaczego więc robicie z tego taką tajemnicę? – zapytała Doris, nerwowo zerkając na dłoń senatora.

–Bo brak nam przyzwolenia społecznego.

–Jest pan dobrym... dobrym człowiekiem. Nie zależy panu wyłącznie na władzy, ale...

Senator zaśmiał się.

–Drogie dziecko, dobrych ludzi jest wielu. Działać mogą tylko ci, którzy potrafią utrzymać władzę, nie zaprzędając duszy, a przynajmniej zachowując jej pakiet kontrolny. Cóż to jest dobroć? Mógłbym zrzec się tych luksusów, wybudować i utrzymywać dom dziecka dla setki sierot. Nie rozdrabniam się. Wierzę w moc pozytywnej wizji i skuteczność wynikającą z konsekwencji. Nie mam zamiaru rezygnować z przyjemności życia. To daje mi siłę do działania.

–Dziękuję, że mnie pan wybrał do tej pracy, senatorze, ale...

–Prawdę mówiąc, byłaś jedyną kandydatką. Jak już mówiłem, niezwykle dokładnie sprawdziłem twoje *dossier*. Zapoznałem się też z historią twojego ojca i wiem, że cię dobrze wychował. Jestem pewien, że się nadajesz. Podstawy technologii i ogólne założenia projektu poznasz z opracowania, które również przed chwilą dostałaś. Na resztę pytań odpowie Haines.

–Wszystko jest OK, ale czy mógłby pan zdjąć rękę z mojego kolana?

–Mówiłem, że dobrze cię wychował! – Senator znów się zaśmiał. Cofnął rękę i wycelował palec wskazujący w dziewczynę. – Znasz swoją wartość.

Uśmiechnęła się lekko, zażenowana sytuacją.

–A propos twojego ojca. Zainteresowała mnie sprawa, którą zajmował się tuż przed śmiercią...

–Nie rozmawiał ze mną o pracy. Pilnował, żebym miała normalny dom.

Za oknem przesuwały się jasne witryny sklepów, ludzie, autobusy.

–Wiesz, co mnie niezmiernie dziwi? – zapytał senator, zmieniając temat. – Rozmiary ludzkiej głupoty. Wszyscy chcą przeniesienia tutaj kolorowych obrazków z Ziemi, ale bez zmiany własnych przyzwyczajeń. Ktoś inny miałby im to przynieść i podać pod nos. Tymczasem nikt tego nie może zrobić, choć wielu obiecuje. Głównym zadaniem jakie sobie stawialiśmy przez wiele lat, było podnoszenie zawartości tlenu, aż osiągnie on ciśnienie podobne do ziemskiego. Wcale nie chcemy wzrostu ciśnienia tlenu ponad wartość ziemską. To niosłoby ze sobą wiele niebezpieczeństw. Na przykład: część z materiałów, które nas otaczają, uległaby samozapłonowi. Może przy czterdziestu procentach zapaliłyby się moje książki, może nitki w twoim ubraniu. Jak dotąd bardzo daleko nam do osiągnięcia ziemskiego standardu, ale kilka lat temu nagle wybuchła panika. Wszyscy bali się samozapłonów. Zaczęto nawet sprowadzać z Ziemi gaśnice, choć historia tego miasta nie zna chyba ani jednego przypadku pożaru domu mieszkalnego czy biura. Źródła owej paniki ujawniły się wkrótce. Wielkie firmy chciały dobrać się do ogromnych zapasów wodoru magazynowanych pod ziemią od czasu powstania pierwszych wież elektrolitycznych. W naszych warunkach wodór to bardzo wydajne paliwo. Niestety, spalając się, zabiera tlen. Ludzie przyzwyczaili się do niskiej zawartości tlenu i wolą tak żyć, byle mieć tańszą energię i więcej wygód.

–Jedziemy właśnie pojazdem napędzanym wodorem – zauważyła dziewczyna.

–Owszem. Nie robią takich elektrycznych. Myślisz, że dowodzi to mojej niekonsekwencji? Pomyśl, czy ludzie braliby mnie serio, gdybym przyjeżdżał do nich rowerem?

–Pewnie nie. Czy tlen jest aż tak ważny? Oddychamy, żyjemy normalnie.

–Mamy obniżoną kondycję, jesteśmy powolniejsi, śpimy dłużej. To można przeżyć, ale powodów, dla których potrzebujemy więcej tlenu, jest wiele. Choćby grubsza warstwa ozonowa zatrzymująca promienie UV, a właśnie one wyjaławiają glebę. Powodów jest wiele, naprawdę wiele.

Griffin spoważniał, zamilkł i zapatrzył się w szybę, wybiegając myślami gdzie indziej.

Doris patrzyła na świat za oknem zupełnie inaczej niż kilka dni temu. Jakby coś wyciągnęło ją z niego i postawiło obok, za lustrem weneckim. Znała przyszłość tych ludzi. Wiedziała, co ich czeka za miesiąc, i czuła się winna.

*** * ***

Limuzyna wjechała na ogrodzony plac z hangarem i niewielkim budynkiem biurowym. Allen, już przebrany, stał w rozsuniętych wrotach hangaru. Kupił sobie ubranie odpowiedniejsze do warunków tu panujących, choć fason... Nie powinien

sam robić zakupów.

Cieszyła się, że go znów widzi. Pomógł jej wysiąść i nawet pocałował w policzek. Założyła okulary przeciwsłoneczne.

Senator ociężale zszedł na ziemię i przywitał się uprzejmie z chłopakiem. Za to kierowca, którego dziewczyna dopiero teraz zobaczyła, nie uznał za stosowne przywitać się ani z nim, ani z nią. Założył własny hełm i poszedł prosto do hangaru, by dopełnić formalności.

Parę minut później szarorude kostki domów uciekały w tył pod skrzydłami koptera. Dopiero stąd było widać, że niektóre z nich są przekryte litymi kopułami skrywanymi przez kanciaste gzymsy.

Allen tylko raz, krótko, leciał kopterem, ale na Ziemi maszyna była ociężała jak stary żółw w błocie. Teraz mógł się przekonać, że w marsjańskiej rzeczywistości jest lekka i zwrotna. Przy przelocie niewymagającym wyciągania z silników pełnej mocy w kabinie było dość cicho.

Pilot zwolnił i zawisł w powietrzu kilometr przed dzielnicą wieżowców i Central Parkiem.

–Nie dadzą nam pozwolenia – mruknął, po czym rzucił do słuchawki – Papa Charlie jeden pięć prosi o zgodę na lot nad Central Parkiem.

Kopter wisiał przed niewidzialną granicą, lekko kołysząc się na wietrze. Z boku wieżowców widać było kopułę największego rozrywkowiska w mieście. Na uliczkach odchodzących od kwartału było coraz więcej klubów oferujących mniej lub bardziej wyszukane rozrywki. Całą okolicę zwano coraz częściej Soho. Allen miał zamiar wybrać się tam w wolnej chwili i zobaczyć, czym się różni od ziemskich dzielnic rozrywki.

–Kontrola do Papa Charlie jeden pięć. Nie masz pozwolenia.

–Wyłącz chłodzenie silników – polecił senator.

Pilot przestawił dwa przełączniki w pozycję „Off”. Po chwili zapaliły się czerwone kontrolki i rozległ się alarm.

–Papa Charlie jeden pięć. Mam awarię chłodzenia – zameldował pilot. – Muszę awaryjnie lądować.

–Papa Charlie jeden pięć. Zrozumiałem. - Chwila przerwy. – Nie masz pozwolenia na wejście do strefy. Najbliższe lądowisko jest na placu przy szkole publicznej, na rogu ulic...

–Nie wiem, gdzie to jest! Zaraz zacznę tracić moc.

Ponownie włączył chłodzenie.

–Już opróżniają plac. Na godzinie piątej masz wysoki żółty budynek...

–Tam jest kilka wysokich budynków! Tracimy czas.

Allen nie do końca łapał sens rozmowy. Zauważył, że od kilku chwil dzieje się coś, czego nie rozumie. Zerknął na Doris, ale dziewczyna miała taką samą jak on, dezorientowaną minę. Tyle że ona przynajmniej wiedziała, dokąd lecać.

–Po północnej stronie kopuły masz wolny od drzew fragment parku. Ląduj tam.

–Zrozumiałem – odpowiedział pilot. – Usuńcie ludzi.

Pokręcił z rezygnacją głową, ale pchnął wolant. Maszyna pochyliła się do przodu i zaczęła nabierać prędkości.

–Do której lecimy?

–Do dowolnej – odparł senator. – Wybierz tę, do której najłatwiej się zbliżyć.

–Mogę to zrozumieć, ostatecznie taką mam pracę, ale... po co pan ryzykuje osobiście?

–Chcę się sam przekonać, jak to wygląda. Pamiętajcie wszyscy, żeby na wszelki wypadek nie palić tam papierosów.

Przelecieli między biurkami tworzącymi koronę wokół Centralnego Kręgu. Park wyglądał nierealnie – oaza zieleni wśród szaro-pomarańczowego otoczenia.

–Dlaczego nie lądujesz w parku?

–Za dużo drzew. Tracę sterowność.

Kopter unosił się, kierując się na widoczne już lądowisko.

–Siadaj ostrożnie. Konstrukcja może być skorodowana.

Pilot jedną ręką trzymał wolant, drugą regulator mocy.

Przed oknami kabiny przesuwały się w dół kolejne piętra maszyny. Częściowo osłonięte obudową wielkie obłe zbiorniki, rury, karbowane skrzynie, schody i bliżej nieznanne urządzenia. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało na bardzo zniszczone.

Na najwyższej kondygnacji znajdowała się ażurowa platforma wystarczającej wielkości, by na niej wylądować. Pilot wypuścił głośno powietrze i ustawił nad nią kopter.

Ludzie na dole muszą uważać to za niezłą sensację, pomyślał Allen, zaciskając coraz mocniej palce na krawędzi fotela, ale prawdziwa sensacja to będzie, dopiero jak spadniemy.

Maszyna jest solidna, wiedział o tym doskonale, tylko że nie będzie to miało znaczenia, jeśli platforma załamie się, a skrzydła uderzą w żelastwo poniżej.

Pilot, bez obniżania obrotów, łagodnie zmniejszył ciąg. Koła dotknęły platformy. Kilka małych wstrząsów i odgłosów przypominających uderzenie młotkiem w stalową balustradę. Gdy po chwili wszystko się uspokoiło, powoli zmniejszył obroty, by w końcu wyłączyć silnik. Rotory pozbawione łożyska powietrznego wyhamowały z charakterystycznym wizgiem.

Na ten dźwięk Doris drgnęła. Allen uspokoił ją dotknięciem ręki.

–To normalne – powiedział i szybko cofnął dłoń.

Odpięli pasy i przeszli na tył. Pilot otworzył drzwi – dolna ich połowa utworzyła schodki, po których wszyscy zeszli na platformę. Zareagowali tak samo, jednocześnie łapiąc się kadłuba. Przez ażurową konstrukcję pod nogami widzieli maszynę wieży i trzysta metrów niżej, ziemię. Nie było żadnych barierek.

–Cholera... – wymknęło się senatorowi.

Wiatr szarpał ich ubraniami, gdy opierając się o burtę maszyny, szli w stronę schodów prowadzących w dół. Te na szczęście miały barierkę. Jedynie na pilocie wysokość nie robiła wrażenia. Wdrapał się na grzbiet maszyny i otworzył sporą klapę. Zapewne, aby uwiarygodnić awarię.

Wnętrze za drzwiami ginęło w półmroku. Gdzieś z dołu słyhać było syk. Przeciwległą ścianę pokrywała płatanina kilkudziesięciu różnej grubości rur, które zniknęły w suficie. Poniżej zaczynały się niezliczone odgałęzienia, jakieś czujniki, izolacje, wsporniki, kratownice, wąskie galerie i schody.

–Koszmaryny sen hydraulika – mruknął senator. – Chłopcze... Allen. To doniosła chwila. To miejsce nie widziało człowieka od przeszło stu lat. Chciałbym, żebyś się tu trochę rozejrzył i powiedział mi, w jakim to wszystko jest stanie. Nie chodzi o dokładną ekspertyzę, ale o ogólne wrażenie. – Przypiął mu do kieszeni kombinezonu małe czarne pudełko ze świecącą na zielono diodą. – Określa stężenie wodoru w powietrzu. Nawet jeśli nie zacznie pisać, spróbujcie nie iskrzyć.

–Nie iskrzyć? – zdziwiła się Doris.

–Wystarczy upuścić metalowy przedmiot na podłogę – wyjaśnił Allen, schodząc kolejnymi schodami.

Było wyraźnie chłodniej, a oddychało się znacznie przyjemniej niż na zewnątrz. Wilgotność była tak wysoka, że miejscami ściany pokrywała rosa. W miarę jak schodzili, docierały do nich coraz wyraźniejsze dźwięki pracujących maszyn. Podłoga delikatnie wibrowała.

Dopiero trzecie z kolei drzwi udało się otworzyć. Ostatnia działająca lampa oświetlała osiem dużych silników elektrycznych. Allen dotykał je po kolei. Pięć nie pracowało, miały osmalone lub zwęglone przewody. Dwa sprawiały wrażenie w pełni sprawnych, ale ostatni był bardzo gorący i silnie wibrował.

–To jakieś archaiczne pompy. Pracują tylko trzy, a jedna z nich też niedługo stanie.

Następne pomieszczenie miało w ścianie małe okienko. Wpadało przez nie jednak niewiele światła, a sztuczne oświetlenie nie działało wcale. Znajdowało się tu kilkadziesiąt mierników w postaci nieznanych od dawna tarcz ze wskazówkami. Allen odczytywał wskazania i referował sytuację:

–Jakiś manometr, pokazuje mniej niż pięć procent skali. Amperomierz – jedna trzecia skali. To... nie wiem, ale jest prawie na zerze.

Niemal wszystkie nadal działające wskaźniki nie osiągały połowy skali. Części z nich Allen nie potrafił rozpoznać.

Za następnymi drzwiami oznaczonych błyskawicą dochodziło głośne buczenie. Nikt nawet nie próbował dotknąć klamki. Podobnie jak wyglądających na pancerne zaokrąglonych drzwi z napisem „Uwaga, różnica ciśnień”. Za tymi drzwiami zaczynał się następny sektor. Pomost doprowadził ich do wyjścia na zewnętrzną galerię prowadzącą do dużych cylindrycznych zbiorników, które wisiały pod gołym niebem. Mogli oglądać z góry całe miasto – niemal wszystkie wieżowce. Allen szedł przodem, za nim Doris. Serca podchodziły im do gardeł na widok przepaści. Griffin z bardzo ponurą miną szedł kilka kroków z tyłu, w ogóle się nie rozglądając.

Powierzchnia pierwszego zbiornika w dolnej części była właściwie całkowicie skorodowana. Wchodzące do niego rury na kilku złączach przepuszczały wodę. Po kropelce lub wręcz ciurkając wąziutkimi strumykami. Jedno ze źródeł deszczu. Przeciekały również wielkie chłodnice.

Zeszli niżej, mijając kolejne urządzenia, których przeznaczenia Allen nawet się nie domyślał. Dotarli tak na sam dół, kilka razy wchodząc i wychodząc z wnętrza.

–Przepraszam, ale ja dalej nie pójdę – powiedziała dziewczyna, ściskając barierkę zbieleńcami palcami.

Widok z platformy dla koptera był niczym w porównaniu z tym. Pomost z ażurową podłogą wisiał wprost nad widocznymi trzysta metrów niżej drzewami. Prowadził do oddalonego o dziesięć metrów cylindrycznego zbiornika. Pod pomostem nie było już nic, tylko dalej z boku zaokrąglona, pokryta zaciekami pionowa ściana betonowego trzonu wieży.

–To koszmar – szepnęła Doris, cofając się. Allen objął ją delikatnie za ramiona i zamknął drzwi. W ciemniejszym wnętrzu nieco się rozluźniła.

–Myślę, że wystarczy – powiedział Griffin.

Drogę powrotną przebyli w milczeniu. Dziewczyna uspokoiła się, dopiero gdy znalazła się w fotelu, a kopter wystartował. Cały czas trzymała Allena za rękę.

Pilot wymieniał uwagi z kontrolą lotów, zapewniając ich, że wymienił zepsuty czujnik. Głos kontrolera był nerwowy. Słysząc było, że facet wie, o co chodzi, ale nie może na to nic poradzić.

–Co powiesz? – zapytał senator, odwracając się do Allena.

–To tylko przypuszczenia – odparł chłopak – ale moim zdaniem, ten złom prawie już nie pracuje. Niedługo zaczną się poważne awarie. Coś może nawet odpaść i zlecieć na ziemię...

Senator odruchowo sięgnął do kieszeni marynarki, ale przypomniał sobie, że cygara przezornie zostawił na ziemi.

–Czy można tę agonię opóźnić?

–Można połatać dziury, uszczelnić połączenia, ale reszta... Może ktoś inny będzie się lepiej znał. Ja jestem tylko mechanikiem...

–Skąd więc bierze się tlen w powietrzu? – zapytała Doris. – Wieże ciągną ostatkiem sił. Gdzieś muszą być rośliny! Lasy, chociaż łąki! Sawanna...

–Coś ci pokażę – powiedział senator i podał pilotowi nowe współrzędne.

Kopter złożył się w zwrocie na skrzydło. Lecieli teraz na północ. W dole przesuwały się domy handlowe i osiedla kilkupiętrowych domów ze szklarniami na dachach. Potem zabudowa stała się jeszcze niższa, bardziej jednorodna, by w końcu urwać się przed barierą zewnętrzną. Został tylko piasek.

Przez prawie kwadrans pomarańczowe wydmy monotennie uciekały w tył. Potem na horyzoncie zamajaczyły jakieś regularne kształty. Pilot zwolnił i obniżył pułap.

Z pustyni wyrastały okrągłe zbiorniki. Jakby ktoś w równych szeregach poustawiał kopie pogańskich grodów z wysokimi na sto metrów betonowymi totemami w środku każdego. Ciągnęły się na kilka kilometrów w szeregach i wzdłuż. Od zachodniej strony wydmy pochłonęły część wysokich na kilka metrów murów.

Senator wskazał tylko częściowo zasypany krąg. Pilot przytaknął i rozpoczął podchodzenie do lądowania. Wyhamował, podrywając do góry dziób maszyny i łagodnie osiadł na zboczu wydmy. Koła zapadły się w piasek prawie po ośki. Wszyscy, z wyjątkiem pilota, wysiedli.

W osi kręgu stała betonowa wieża – pomniejszona kopia wieży elektrolitycznej z miasta. Od połowy w górę była obudowana gęstą, ciemną porowatą strukturą.

–Skraplacz – powiedział Griffin. Nie musiał dodawać, że niedziałający.

Po zboczu wydmy zeszli na dno zbiornika. Tu, gdzie nie dotarł piasek, widać było pozostałości innego rodzaju gleby. Spomiędzy pęknięć wyschniętej na kamień ciemnorudej ziemi wystawały gdzieniegdzie sztywne kikuty grubości palca, kruszące się przy dotknięciu.

–Co to jest? – zapytał Allen.

–Ziemniaki. Znajdujemy się na terenach farmy Globfoods Inc. Od paru lat wygląda to tak jak teraz. Zbiorniki były zbyt duże, by opłacało się je przykryć szkłem. Zgubiła ich zachłanność. Chcieli przeskoczyć ewolucję. Oto, jak nam idzie terraformowanie Marsa.

–Globfoods nadal produkuje jedzenie – wtrąciła nieśmiało Doris.

–W niewielkich szklarniach na obrzeżach miasta i w fabrykach. Skupują też warzywa z przydomowych szklarni. Globfoods jest właścicielem kilku plantacji wewnątrz kraterów, gdzie idzie im nieco lepiej niż tu. Podobnych farm należących do innych firm istniało na Marsie kilkadziesiąt. Żadna już nie działa. Przykład gigantomanii zweryfikowanej w przykry sposób przez planetę. Na Ziemi życie wyszło z wody. Tu próbujemy je wyhodować na piachu.

–Wciąż przylatują nowi ludzie, a pożywienia nie przybywa – powiedział Allen.

–Nie przybywa biomasy – dodała Doris.

–Ludzie, którzy tu przylatują, to też biomasa – rzucił senator i zaczął wspinać się po zboczu wydmy.

Chłopak i dziewczyna rozejrzeli się. Na tle błękitno-różowego nieba niesione wiatrem smugi piasku wpadały do wnętrza zbiornika. Szeleściły cicho o krawędź muru, a potem lądując niżej, kończyły cierpliwie dzieło zniszczenia.

Doris, unosząc głowę, odprowadziła wzrokiem korpulentną postać do koptera.

–Co on miał na myśli? – zapytał Allen.

Dziewczyna uśmiechnęła się smutno i powiedziała:

–Na Marsie nie ma cmentarzy.

–Senator Richard Griffin, przewodniczący komisji do spraw terraformowania.

W półokrągłej sali dyskusji tematycznych siedziało zaledwie kilkanaście osób. Panował tu kameralny półmrok rozświetlany kinkietami i lampkami z zielonymi kloszami.

Senator Griffin wszedł na mównicę. Na płaskim blacie terminala wyświetlił zawartość swojego referatu wraz z odnośnikami, by móc od razu odpowiadać na niespodziewane pytania.

–Zapoznałem się z ostatecznymi wynikami badań, które zleciłem kilku instytutom dwa miesiące temu. Tlenu ubywa. W ciągu ostatnich pięciu lat jego zawartość w atmosferze spadła o pół procent. Badania przeprowadzone przez niezależne ośrodki wykazują, że tendencja spadkowa się utrzymuje. Spada również średnia roczna temperatura.

–To chyba dobrze. Mamy spory problem z upałami – rzucił ktoś z pierwszego rzędu. Siedzący obok uśmiechnęli się. Griffin zamknął na chwilę oczy.

–Większość z państwa myśli, że walka o nasz byt na Czerwonej Planecie jest już zakończona. Nic bardziej mylnego. Dopóki niebo nie będzie błękitne, dopóki nie będą po nim płynęły obłoki, dopóki nie będzie dużych zbiorników wodnych i lasów, dopóty nasz los pozostanie niepewny. Sztucznie wzmocniliśmy efekt cieplarniany, by podnieść temperaturę powierzchni powyżej zera i móc rozpocząć jakiegokolwiek przemiany. Wysoka temperatura będzie potrzebna jeszcze długo, choćby po to, by odzyskiwać wilgoć z gruntu. Proces topnienia czapy polarnej nie zakończył się. Jeśli temperatura spadnie o kilka stopni, rozpocznie się proces powtórnego lodowacenia planety, a terapii szokowej, jaką przeprowadziliśmy dwieście lat temu, nie da się powtórzyć. Dziś są tutaj ludzie. Zbyt późno na zwiększanie zawartości dwutlenku węgla, bo się wszyscy potrujemy. Za szybko przeszliśmy do następnego etapu.

Na sali rozległy się tłumione śmiechy. Griffin wychwycił szept z drugiego rzędu: „Facet chyba nie wychodzi z klimatyzowanego gabinetu...”. Ktoś zapytał:

–Chce pan powiedzieć ludziom, żeby się przemęczyli ze trzy, cztery pokolenia, aż kryzys minie? To polityczne samobójstwo.

W sali dyskusji tematycznych można było pozwolić sobie na swobodniejszą rozmowę. Nie wpuszczano tu dziennikarzy. Już kilkadziesiąt lat wcześniej uznano, że skoro politycy i tak spotykają się za zamkniętymi drzwiami, to nic nie stoi na przeszkodzie, by odbywało się to oficjalnie, w parlamencie.

–Niczego takiego nie zamierzam mówić – ciągnął Griffin. – W dotychczasowych dziejach demokracji na Ziemi, a nawet w pewnym stopniu i tu, na Marsie, mieliśmy do czynienia z planowaniem ekonomicznym nie wykraczającym poza jedną, dwie kadencje parlamentu. Formowanie planet to w najlepszym razie setki lat. Dawno temu względy polityczne przeważyły i proces postanowiono skrócić. Wiedzano, że negatywne skutki wyjdą na jaw za kilka pokoleń, w dalekiej przyszłości. Teraz właśnie jest ta daleka przyszłość. Płacimy za krótkowzroczność i małość polityków, których imion nikt już dziś nie pamięta. Nigdy wcześniej nie formowaliśmy planet, więc mamy tylko wiedzę teoretyczną, ale wiemy, czego na pewno robić nie wolno. Proszę sobie wyobrazić ciężarną matkę, która nie może się doczekać dziecka i próbuje wybrać na lekarza prowadzącego ciążę tego, który zgodzi się przyspieszyć poród o kilka miesięcy. Tak właśnie zachowywali się politycy sto pięćdziesiąt lat temu i tak dziś zachowują się nasi wyborcy. Chcą żyć normalnie już teraz, nie dopuszczając do siebie możliwości dłuższej perspektywy. Większość w wyborach lokalnych zdobyli politycy popierający Ustawę Paliwową. Przecież zakłada ona proces dokładnie odwrotny od tego, o jaki nam chodzi.

–Ludzie chcą nowych źródeł energii. Elektryczność słoneczna nie wystarcza, elektrownie kominowe zapychają się, termiczne też nie rozwiązują problemu. Jeszcze kilkanaście lat temu na półkuli północnej działało na pustyni prawie sto elektrowni słonecznych. Wyliczono, że dalsza ich obrona przed piaskiem będzie pochłaniać niemal połowę energii, jaką te elektrownie mogą produkować.

–To nic nie zmienia. Czy naprawdę nie rozumiecie, o co chodzi? Dlaczego ludzkość nie może przeskoczyć tego etapu rozwoju, skoro niesie on ze sobą widmo zagłady?

Zapadła cisza. Przerwał ją ktoś z końca sali:

–Sugeruje pan możliwość wprowadzenia dyktatury?

Griffin znał ten głos. Zmrużył oczy i wyłowił właściwą osobę z półmroku ostatniego rzędu. Senator Jonathan Goodall – nieformalny przedstawiciel lobby przemysłowego, twórca i główny orędownik Ustawy Paliwowej, między innymi znoszącej ograniczenia wykorzystywania zmagazynowanego wodoru.

–Nie – odparł Griffin. – Próbuję przemówić ludziom do rozsądku. Oddychając, zużywamy tlen. Tego nie możemy przestać robić. Możemy natomiast przestać używać maszyn spalających wodór i skupić się na pozyskiwaniu energii słonecznej, która pod wieloma postaciami jest powszechnie i łatwo dostępna.

–Projekt pańskiej ustawy w tej sprawie został odrzucony ogromną większością głosów. – Goodall wstał i wyszedł na środek sali. – Nie może pan negocjować mechanizmów demokratycznych. Ludzie nie chcą już jeździć rowerami. Nie chcą też maszyn, które muszą cztery godziny stać na słońcu, by potem przez godzinę działać.

Jeśli słońce przesłonią obłoki, ładowanie trwać będzie dwa razy dłużej. – Śmiechy na sali. – Doładowywanie akumulatorów zewnętrzną energią wymaga dodatkowych jej źródeł, dodatkowych kosztów. Musimy rozwinąć przemysł, żeby znaleźć środki na dalsze formowanie naszej planety. Wzrost gospodarczy jest podstawą i motorem pozytywnych przemian i stabilizacji. Tak jest od zawsze. Czy pan zaprzeczy?

–Nie zaprzeczę. Taki system okazał się najwydajniejszy na Ziemi, ale my nie jesteśmy na Ziemi. Tam klimat sam się reguluje. Wzrost gospodarczy nie utrzyma nas przy życiu, gdy zabraknie tlenu. Zapewne pan, senatorze Goodall posiada już pakiet kontrolny akcji firmy budującej habitaty. Ich cena na pewno wkrótce skoczy w górę. Za tydzień, podczas obrad zamierzam przedstawić wyczerpujący raport w sprawie stanu naszego klimatu wraz z prognozami na następne kilka dziesięcioleci.

–Próbuje pan zawrócić postęp. Potrzebujemy przemysłu, nowoczesnych technologii, medycyny, rolnictwa. W porównaniu z Ziemią jesteśmy skansenem. To trzeba zmienić. Co pan ma do zaproponowania ludziom, poza dalszą wegetacją? Wie pan, jaka jest umieralność niemowląt?

–Zapewniam pana, że jeśli pójdziemy tą drogą, umieralność niemowląt wkrótce dojdzie do stu procent.

Griffin, z trudem opanowując wściekłość, zszedł z mównicy. Pięć minut później był już w limuzynie pędzącej na lotnisko. Limuzyna oczywiście miała silnik spalinowy. Zapewne powinien być konsekwentny i zamówić znacznie wolniejszy pojazd elektryczny, ale wtedy spóźniłby się na samolot. Za indywidualny lot na dystansie trzech tysięcy kilometrów nie miał zamiaru płacić. Ze złością stwierdził, że w ten właśnie sposób przyznaje rację swoim przeciwnikom. Idąc dalej, powinien zrezygnować z odrzutowca i odbyć piętnastogodzinny lot elektrycznym kopterem z dwoma międzylądowaniami na podładowanie baterii... Ciekawe, kiedy wpadną na to, by mu to wytknąć.

Oficjalna stolica, Phoenix, nie była dużym miastem. Park przed parlamentem i główną aleją obsadzono drzewami kosztownymi w utrzymaniu. Prawdopodobnie podstawowym celem ich istnienia było tworzenie tła dla oficjalnych powitań ważnych gości z Ziemi. Każdy materiał dotyczący wizyty na wysokim szczeblu rozpoczynał się od sceny powitania wśród drzew. Siła obrazu. Można ludziom chcącym przenieść się na Marsa opowiadać o trudnych warunkach, ale bardziej do ich wyobraźni i nadziei przemawia były prezydent Stanów Zjednoczonych na tle stuletnich dębów pod gołym marsjańskim niebem.

Limuzyna minęła ostatnie drzewa i skręciła w stronę bocznej bramy portu lotniczego. Słońce właśnie zaszło, barwiąc niebo na purpurowo. Po pobieżnej kontroli senator przesiadł się na wózek elektryczny, którym zawieszono go pod niewielki odrzutowiec. Wbiegł po schodkach i zajął miejsce wskazane przez

uśmiechniętą stewardesę. Start opóźnił się nie więcej niż trzy minuty, ale i tak z twarzy pasażerów Griffin wyczytał pretensję. Zapewne niektórzy go rozpoznali. Jeśli tak – tylko pogarszało to ich nastawienie.

Zapiął pas i słuchając rozpędzających się silników, wyjął z neseseru książnik. Chciał wprowadzić ostatnie poprawki do artykułu, który za trzy dni miał się ukazać w „New London Post”. Nade wszystko nie lubił marnować czasu. Artykuł traktował o ustawie pozwalającej na wprowadzenie w atmosferę komety, która przecież *de facto* już była w drodze. Sondaże opinii publicznej, które zlecił jakiś czas temu, nie pozostawiały wątpliwości, że taki pomysł niemal nikomu się nie podoba. Jeszcze gorzej, że trwa właśnie kampania na rzecz tej przeklętej Ustawy Paliwowej. Jedyna nadzieja, że raport o stanie atmosfery i prognozy na przyszłość zmuszą ludzi do myślenia. Kilka faktów pochodzących z raportu również zawarł w artykule, jednak na koniec zachęcał wszystkich do wysłuchania przemówienia przed Senatem. Przyzwoitość nakazywała, by raport najpierw przekazać senatorom.

Po półgodzinie lotu jednostajny szum silników zakłóciło ciche metaliczne kliknięcie z lewej strony. Senator oderwał się od pracy i zerknął za okno. W ciemności nic nie było widać. Gdy ponownie próbował skupić się nad artykułem, lewy silnik maszyny zaczął głośniej pracować. Griffin przysunął twarz do szyby i zasłonił ręką odbłaski z wnętrza. Dojrzał silnik, ale nie zauważył nic niepokojącego. Poczł jednak, że fotel delikatnie wibruje. Lekko zaniepokojony puknął w ekran książnika, przesyłając częściowo poprawioną wersję artykułu na serwer „New London Post”. Wtedy silnik błysnął krótkim, pomarańczowym płomieniem, zgasł i eksplodował, rozrywając skrzydło w połowie długości i wybijając kilka szyb. Zgasło światło i samolot zaczął tracić wysokość. Huk pędzącego powietrza i wycie płomieni za oknem zagłuszyły krzyki ludzi. Senator zrzucił na ziemię książnik i odruchowo schylił się, zasłaniając głowę rękoma. Bał się jak nigdy wcześniej w życiu, ale zachował zimną krew. Próbował obliczyć, jaką odległość pokonali i jak szybko może nadejść pomoc.

Po chwili maszyna uderzyła w zbocze wydmy. Kadłub przełamał się na pół, wyrzucając w powietrze powyrywane fotele. Tylony fragment samolotu przeleciał ponad szczytem i w kawałkach zsunął się po przeciwnym zboczu. Błysk eksplodującego paliwa rozświetlił ciemność, a nad pustynią przetoczył się grzmot. Potem słycać już było tylko głuche odgłosy uderzeń fragmentów maszyny o piasek.

Doris dowiedziała się o wypadku, przeglądając serwis informacyjny. Była zszokowana. Siedziała właśnie na kanapie w gabinecie Griffina i czekała na niego. Lokaj wpuszczając ją, nie wspomniał ani słowem o śmierci swojego pracodawcy.

Katastrofa lotnicza... Dziś żyjesz, jutro jesteś już tylko sensacyjną informacją, którą twój lokaj taktownie przemilcza.

Drzwi otworzyły się i wszedł Hope Haines.

–Z wyrazu twarzy wnoszę, że już wiesz – powiedział.

–Od jakichś trzydziestu sekund.

–Nie dałem znać wcześniej, bo chciałem ci to powiedzieć osobiście. – Usiadł naprzeciw niej. – Richard Griffin nie żyje, ale jego projekt musi być doprowadzony do końca. To sprawa najwyższej wagi.

–Pokazał mi wieże elektrolityczne i puste farmy. Wiem, jaka jest nasza sytuacja... ale wcale nie jestem pewna, czy to, co robimy, jest najlepszym rozwiązaniem. Nie znam się na tym.

–Więc zaufaj specjalistom. Z tobą czy bez ciebie, projekt będzie kontynuowany. Masz tylko zniechęcić ludzi do przebywania tego dnia na biegunie.

–Kogo trzeba stamtąd usunąć, skoro nie ma tam miast, farm ani nawet osiedli?

–Biegun północny ma jeszcze resztki czapy polarnej złożonej głównie z dwutlenku węgla. Wycieczki tam to niezła – atrakcja turystyczna. Wielu woli to niż oklepane wspinaczki na Olympus Mons połączone z *drysnowboardingiem* czy kiczowate hotele w Vitallis Marineris. Konieczne są maski tlenowe. W temperaturze minus pięćdziesiąt stopni trudno oddychać, a dwutlenek węgla z podłoża intensywnie sublimuje, snując się grubą warstwą po ziemi. Niemal nie ma tam tlenu cząsteczkowego. Turystyka ekstremalna. Rocznie biegun odwiedza kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Jeśli nie chcemy tragicznego końca projektu Waterfall, musimy spowodować, by biegun i jego okolice aż do osiemdziesiątego równoleżnika były puste. Im mniej ofiar, tym większe szanse na kontynuację projektu.

–Ofiar może nie być w ogóle...

–Założenia projektu przewidują śmierć około tysiąca osób.

Doris zbladła.

–Dlaczego? To masowe morderstwo! Nie zgodziłabym się, gdybym wiedziała!

–Griffin uważał się za wizjonera. Częściowo słusznie – zabija tysiąc, ratuje trzy i pół miliarda. Od ciebie zależy, czy zginie trzy tysiące, czy nikt.

–Nie wyglądał na człowieka, który tak myśli. Ogłośmy po prostu prawdę. Wszyscy będą trzymać się od bieguna z daleka.

–Natychmiast nas aresztują i zastosują procedury obrony przed zderzeniem z obcym obiektem kosmicznym. Jest na to za późno, więc co najwyżej mogą próbować wytrącić kostkę lodu z precyzyjnie wyznaczonej przez nas orbity. Jeśli uda się dokładnie obliczyć, to kostka nas ominie, jeśli nie – uderzy gdziekolwiek.

–W co ja się wkopałam! – Dziewczyna zakryła twarz rękoma.

Haines położył jej dłoń na ramieniu i powiedział:

–W połowie dwudziestego wieku trwała druga wojna światowa. Sir Winston Churchill, ówczesny premier Wielkiej Brytanii, wszedł w posiadanie maszyny dekodującej niemieckie tajne komunikaty. Warto zaznaczyć, że Niemcy prowadzili wtedy wojnę z Wielką Brytanią. Nie jestem pewien, czy wiesz...

Spiorunowała go spojrzeniem. Na wszelki wypadek, bo nie była zbyt dobra z historii i nie miała pojęcia, czemu jeden region Europy miałby walczyć z innym.

–Tak więc miał tę maszynę – kontynuował – ale udawał, że jej nie ma. Czekał na odpowiedni moment, by wykorzystać przechwycane informacje. Pozwalał przeciwnikowi atakować z zaskoczenia własne pozycje, nie wzmacniając ich, by nie zdradzić tajemnicy. Wykorzystał informacje w najlepszym możliwym momencie. Poświęcił życie kilku tysięcy ludzi, własnych żołnierzy, by wygrać wojnę i ocalić miliony.

–Rachunek wyszedł na plus – powiedziała z sarkazmem – ale ludzie to nie ziarenka piasku, które można przesypywać z ręki do ręki.

Haines rozłożył ręce w geście „Nic na to nie poradzę”.

–Żeby nie szukać daleko: w katastrofach lotniczych ginie rocznie kilka tysięcy ludzi. Nikt nie oskarża pilotów o masowe mordy.

–To są wypadki – zaprotestowała dziewczyna. – Wszystkim zależy na zmniejszeniu liczby ofiar...

–Widzisz! Nam też zależy na zmniejszeniu liczby ofiar, ale cel uświęca środki. To są wypadki, ale jest pewne, że w przyszłym roku w wypadkach lotniczych zginie na

pewno nie mniej niż półtora tysiąca osób. Linie lotnicze muszą wkalkulować to w swoją działalność.

–Nie można inaczej podróżować między miastami. Musimy korzystać z samolotów.

–Nie musimy podróżować. To nie jest konieczne do życia. To co zawiera Ice Cube, tak nazwaliśmy tę kometę, jest konieczne. Zmniejszenie liczby ofiar, czyli uniknięcie wypadku, to właśnie twoja rola. Teraz od ciebie zależy życie tych ludzi. Szef z jakiegoś względu uznał, że się nadajesz. Gdyby nie zależało mu na zminimalizowaniu ofiar, nie zatrudniłby cię.

–Super... Powiedz mi jeszcze, dlaczego jakiś system bezpieczeństwa nie wykrył orbity kolizyjnej?

–Wyliczyli te orbity wiele lat temu, a my ją zaczęliśmy zmieniać przed dwoma miesiącami.

–Kiedy to zauważą?

–Na kilkanaście godzin przed uderzeniem.

–Jak rozumiem, działamy zupełnie poza prawem. Stąd ta tajemnica... Kto teraz jest szefem?

–Nie ma szefa. Plan tego nie przewidywał. Każdy robi swoje, bo każdy w to wierzy. Ty też rób swoje. O pensję się nie martw – za kwadrans będziesz mieć na koncie zapłatę z góry. Wydatki związane z projektem pokrywaj z kont, których numery dostałaś ode mnie razem z materiałami. Masz pełnomocnictwa do wszelkich operacji. To pomysł szefa.

–Dzięki za zaufanie. Senator nie zdążył mi wytłumaczyć, co mam robić.

–Proszę – Haines rozłożył ramiona, symbolicznie ogarniając gabinet – to wszystko jest do twojej dyspozycji przez najbliższy miesiąc. Szkoda, żeby stało puste. Wpisałem cię na listę mieszkańców. Możesz tu mieszkać i pracować. Masz pełny dostęp do zabezpieczeń budynku. Cel pracy znasz. Jak go osiągnąć – to już twoja działka. Jeśli coś mądrego wymyślę, dam znać, jeśli będziesz miała pytania – ty się odezwij. Raporty przesyłaj do mnie. Na razie.

Uniósł rękę na pożegnanie i wyszedł.

–Zaraz, mam tu mieszkać? – zapytała cicho. Zrobiła dwa kroki w stronę drzwi, ale zatrzymała się. – Nie wiem, co robić...

Chciało jej się płakać, ale zamiast tego usiadła w miękkim skórzanym fotelu za

wielkim biurkiem.

–Należę do zorganizowanej grupy przestępczej – powiedziała do siebie. – Należę do zorganizowanej grupy przestępczej...

Czuła ciężką na niej odpowiedzialność, a raczej ten przykry rodzaj odpowiedzialności połączonej z bezsilnością. Zerknęła na cygara w przeszklonym humidorze, na stare, ziemskie bibeloty nieznanego zastosowania poustawiane w różnych miejscach. Zdążyła polubić senatora, mimo wszystkich jego wad. Właściwie, to było ich całkiem sporo... Zebrała myśli i zastanowiła się, czy ktoś jej pilnuje. Może mogłaby po prostu zgłosić się na policję i wszystko opowiedzieć?

Podając swój login, włączyła terminal. Wywołała stronę serwisu informacyjnego i obejrzała nagranie z porannego przeszukiwania wraku samolotu. Z pięćdziesięciu osób na pokładzie przeżyły cztery, w tym jedna stewardesa. Nadal nie zidentyfikowano połowy ciał ani nie znaleziono czarnych skrzynek. Wiejący nad ranem wiatr zatarał większość śladów.

Doris, przygnębiona, nie czytała dalej. Przez następne kilka godzin sprawdzała oferty biur podróży specjalizujących się w turystyce ekstremalnej. Ponad dwa tysiące biur na całej planecie i kilkanaście tysięcy wolnych miejsc na wycieczki na biegun. Część z ofert pewnie się nakłada za sprawą pośredników, ale przecież nie wszystkie. A te sprzedane były już na pewno zdjęte ze stron. Przekopła się więc przez archiwa netu i przez wszystkie znane jej wyszukiwarki. Zrobiła podręczną bazę danych ofert sprzedanych i nadal wolnych i podliczyła, że w dniu zero na biegunie, lub w jego okolicach, będzie prawie dwa tysiące osób. Do tego nieodnalezione przez nią wycieczki, no i te, których termin określono „do ustalenia”.

Sprawdziła stany kont i wyliczyła, że starczy jej środków na wykupienie jednej trzeciej wolnych miejsc. Zresztą zaraz pojawią się nowe oferty wypełniające lukę na rynku. Nie tędy droga.

Zerknęła za okno. Ściemniało się. Przesiedziała przed terminalem prawie cały dzień! Poczwała głód. Jakoś głupio było jej prosić lokaja Griffina o jedzenie. Iść do sklepu też głupio. Otworzyła barek, ale były tam tylko drogie trunki. Nalała sobie małą porcję koniaku i wypila do dna. Zatkaną ją, zaczęła kaszleć. Otworzyły się drzwi i stanął w nich lokaj.

–Czy wszystko w porządku?

Pokiwała głową, że tak. Po kilku głębszych oddechach mogła już mówić:

–Zaczekaj. Jak się nazywasz?

–Robert.

–Ja jestem Doris. No, tak. Wiesz przecież. Podobno mam tu mieszkać...

–Poinformowano mnie o tym. Jestem do pani dyspozycji przez całą dobę. O jakich godzinach życzy pani sobie posiłki?

–Jeszcze nie wiem, ale teraz zjadłabym lunchoobiadokolację.

Odetchnęła kilka razy i wróciła do pracy. Alkohol zakręcił jej w głowie. Boże, jaki ten fotel wygodny...

Budżet, jakim dysponowała, wydawał się duży. Pracując całe życie w biurze pośrednictwa, zarobiłaby pewnie mniej niż jedną dziesiątą tej sumy. Zdawała sobie jednak sprawę, że projekty publiczne mają budżety potężniejsze o dwa rzędy wielkości od Waterfall. Tyle że chyba nazwanie Waterfall projektem publicznym było nieadekwatne do rzeczywistego stanu rzeczy.

Ogarnęła wzrokiem wnętrze gabinetu. Akwarium, mahoniowe regały pełne książek, barek z mosiężnymi klameczkami, dywan, kanapy i całą resztę. To wszystko musiało być sporo warte...

Jej wzrok znów powędrował do barku. Kiedy ostatnio piła alkohol? Na przyjęciu urodzinowym koleżanki z biura – jeden mocno rozcieńczony drink. Marihuana i inne podobnie działające środki były popularniejsze ze względu na łatwość wyhodowania we własnej szklarni.

Po krótkim wahaniu naląła sobie kolejny kieliszek koniaku. Tym razem piła małutkimi łyżkami, starając się nie wachać oparów alkoholu. Smakowało paskudnie, ale efekt wart był chwilowej przykrości. Ludzie częściej pijący alkohol ponoć odczuwali przyjemność już w chwili smakowania napoju.

Tym razem wyraźnie poczuła uderzenie do głowy. Stwierdziła nagle, że nie może dalej pracować. Wyłączyła terminal.

–Po co w ogóle pchać się na biegun? – zapytała sama siebie.

Wstała, ale zachwiała się. Przytrzymała się brzegu biurka, by nie usiąść z powrotem na fotel. Przed oczami mignęły jej rybki z akwarium i regał z książkami. Miała wrażenie, jakby cały pokój kręcił się razem z nią.

Podeszła do drzwi i otworzyła je.

–Jadę do domu – oświadczyła lokajowi, który pojawił się w drzwiach kuchni.

–Ale pan Haines...

–Nie mam żadnych ubrań na zmianę – zaprotestowała.

–Pani torba stoi w sypialni.

–Jaka moja torba? Gdzie jest ta sypialnia?

Lokaj poprowadził ją przez salon, mniejszy od gabinetu, i otworzył drzwi do sypialni z wielkim łóżem. Weszli do środka. Rzeczywiście, skórzana torba stała na podłodze.

–To nie moja torba.

–Ależ oczywiście, że pani. Tam jest łazienka – wskazał drzwi między dwiema szafami. – Pościel i ręczniki zmieniłem rano. Nie obowiązują tu limity zużycia wody.

–Zaraz! – Doris nadal próbowała protestować, przytrzymując się rzeźbionej ramy łóżka. – To wszystko nie może być dla mnie!

–Jednak jest dla pani.

–Mam wynajęte mieszkanie...

–Dziś rano powiadomiła pani właściciela, że przez miesiąc będzie poza miastem.

–Taaak?...

–Lunchoobiadokolację podać do łóżka?

–Jakie są alternatywy?

–Może pani zjeść w salonie, w gabinecie, w jadalni lub w kuchni. Pan Griffin zazwyczaj wybierał jadalnię.

–Wobec tego też zjem w jadalni.

–Za trzy minuty wszystko będzie gotowe. Może się pani w tym czasie rozpakuje? – zapytał, wychodząc.

Mógłby równie dobrze być robotem, pomyślała, wypakowując torbę. Ciekawe, jak dostali się do mojego mieszkania? No tak! Nie zabrali koszuli nocnej. Chyba chcą, żebym spała nago... A, co tam!

Poukładała swoje ubrania na jednej półce wielkiej szafy i znów poczuła głód. Ogarnęła wzrokiem sypialnię urządzonej w stylu kolonialnym i udała się do jadalni. Łatwo było ją znaleźć; apartament nie był duży. Chyba połowę jego powierzchni zajmował reprezentacyjny gabinet.

Jadalnia była niewielką klitą bez okien, ze stołem i czterema krzesłami, ale lunchoobiadokolacja... nigdy w życiu, a przynajmniej odkąd sięgała pamięcią, nie jadła nic lepszego. Prawdziwa bostońska zupa rybna z grzankami i białym winem, potem pierożki z kozim serem i boczkiem, a na deser słodkie tiramisu i prawdziwe espresso. Doris przyjęła nową definicję określenia „niebo w gębie”. Niech się schowa wyschnięta i przeceniona sałatka z tuńczyka!

Najedzona i szczęśliwa wróciła do sypialni. Rozebrała się i przeszła do łazienki wyłożonej prawdziwymi ceramicznymi kafelkami przywiezionymi z Ziemi. Nie było tu małej kabiny prysznicowej, tylko wanna – rzecz, którą знаła jedynie z reklamówek ekskluzywnych sklepów. Napelniła ją wodą i zanurzyła się w niej po szyję. To również robiła pierwszy raz, odkąd sięgała pamięcią. Przysypiając, odurzona alkoholem i upojona luksusem, przeleżała w stygnącej wodzie prawie godzinę. Potem z wielkim żalem wyszła z wanny i wytarła się w mięsisty ręcznik frotte. Problemy z równowagą nie były już tak duże jak na początku.

Nago przeszła do sypialni i wskoczyła do miękkiego i pachnącego łóżka. Brakowało tylko przystojnego faceta, który byłby idealnym dopełnieniem wieczoru.

Zasypiając, doznała alkoholowego olśnienia: nie trzeba ludziom uniemożliwiać podróży na biegun. Trzeba sprawić, żeby sami nie chcieli tam jechać, rozpuszczając plotkę o na przykład skażeniu radioaktywnym. Zawinęła się w jedwabistą pościel i smacznie zasnęła.

Blade światło zachodzącego słońca ukazywało kratkę wentylacyjną w suficie łazika. Znał ten model. Nieprodukowany od dziesięciu lat, ale wciąż popularny dzięki dobrej konstrukcji. Niewielki kanciasty kadłub, cztery koła zamocowane na solidnych wahaczach i przeszklona kabina kierowcy wystająca poza krawędź przednich kół. Krata na tylnej ścianie i dachu tworzyła bagażnik zewnętrzny, który często był obładowany zawiniętymi w brezent pakunkami. Nadawało to pojazdowi wygląd ciężarówki żywcem przeniesionej z indyjskiej drogi z początku XXI wieku. Pomyślał o tym wszystkim, nim przypomniał sobie, kim jest i co się wydarzyło. Zdziwiło go, że nadal żyje. Zamknął na chwilę oczy, by odpocząć. Gdy je otworzył ponownie, była już noc. Spróbował się poruszyć. Prawa noga bolała jak diabli. Jęknął cicho.

Ujrzał pochylającą się nad nim twarz kobiety. Opalona, z siateczką zmarszczek wokół ust i małych oczu. Ciemnowłosa. Wilgotną szmatką przetarła mu twarz.

–Jak się czujesz? – zapytała.

–Muszę skontaktować się z moim biurem w Nowym Londynie...

–To nie jest najlepszy pomysł – powiedziała kobieta, zerkając na mężczyznę kierującego łazikiem.

Łazik kiwał się, skrzypiąc zużytymi amortyzatorami. Powoli wspinał się pod kolejne wzniesienie, wyciągając resztki prądu z akumulatorów.

–Jestem senatorem...

–Wiemy, kim jesteś, senatorze Griffin.

–Będą mnie szukać.

–Nie porwaliśmy cię. Peter wyciągnął cię z wraku. Inaczej byś się spalił.

–Kim jesteście?

–Podróżnikami. Ja nazywam się Bea. Przypadkowo byliśmy świadkami katastrofy.

Griffin zbierał siły i myśli.

–Wyślijcie przynajmniej wiadomość, że żyję.

–Nie mamy nadajnika o takim zasięgu.

–Więc wróćcie do wraku. Tam będą szukać tych, którzy przeżyli...

–W tym właśnie tkwi problem. Parę minut po katastrofie obok wraku wylądował kopter. Miał wyłączone światła. Kilku mężczyzn zaczęło grzebać w pogorzeliisku.

–Ekipa ratunkowa... – jęknął Griffin, czując, że zaraz znów straci przytomność.

–Nie ratowali ludzi. Cokolwiek tam robili, nie ratowali ludzi. Wyciągnęliśmy tylko ciebie i musieliśmy odjechać.

–Zaraz przyleci... ekipa ratunkowa...

–Na pewno już tam była. Spałeś cały dzień.

Griffin chciał coś powiedzieć, ale znów zapadł w sen.

Ocknął się w południe. Było gorąco; klimatyzację najwyraźniej wyłączono, aby oszczędzać energię. Z trudem usiadł, zaciskając z bólu zęby. Prawa nogawka spodni była rozcięta. Nogę usztywniały trzy rurki i bandaż. W powietrzu rozszedł się zapach środka dezynfekującego.

–Powinieneś coś zjeść. – Kobieta zajrzała przez otwarte drzwi. Znikła i pojawiła się chwilę później, wyciągając w jego stronę metalową miskę z białą papką.

Senator popatrzył na galaretowatą, ciepłą zawartość.

–Co to jest?

–Proteiny, witaminy, kalorie...

Kobieta uśmiechnęła się zachęcająco i zostawiła go samego z jedzeniem. Podłubał łyżką i wziął do ust mały kęs. To coś smakowało jeszcze gorzej, niż wyglądało. Był jednak tak głodny, że zjadł wszystko. Popił jakimś napojem bez smaku. Zrobiło mu się niedobrze, więc znów się położył. W świetle dnia przyjrzał się wnętrzu pojazdu. Do jednej ściany przymocowane były piętrowa koja, na której leżał, i szafa. W jej otwartych drzwiach wisiały jasne płaszcze przeciwsłoneczne. Z miejsca, gdzie leżał, nie mógł dostrzec nic więcej. Przeciwną stronę i rufę łazika zasłaniały półki wypełnione jakimiś pakunkami, szafki, kuchenka i lodówka. Nieco poniżej sufitu znajdowało się kilka płaskich szerokich okienek. Kabina kierowcy, do której wchodziło się po dwóch stopniach, miała wszystkie szyby z lewej strony zasłonięte żaluzjami. Prócz standardowych przyrządów znajdowało się tam kilka dodatkowych urządzeń, których przeznaczenia senator nie miał siły dochodzić.

–Dokąd zmierzacie? – zapytał w powietrze.

–Do Sargass – odpowiedziała Bea.

–Nowy Londyn jest bliżej.

–W Nowym Londynie są jeszcze zapasy kawy i Inu.

–Wieciecie kawę i len? – zdziwił się senator. – Po co? Przecież to się kupuje w sklepie.

–Nasz towar trafi do sklepu.

–Zawsze myślałem, że takie sprawy załatwiają firmy transportowe.

–My jesteśmy firmą transportową.

–Miałem na myśli...

–Korporacje – dokończył za niego Peter. – Wynajmują nas. Wiedzą, że za miesiąc zabraknie kawy w Sargass, więc nas wysyłają. Kawa ani len się nie psują. Mogą jechać i miesiąc. To tańsze, niż transportować je samolotem.

–Miesiąc? Dobrze słyszałem? Będziemy jechać miesiąc?

–Zostały jeszcze jakieś trzy tygodnie.

–Ludzie! – krzyknął senator. – Nie wiem, ile wam płacą za ten transport, ale dam wam pięć razy więcej, jeśli zawieziecie mnie do Nowego Londynu.

Peter pokręcił głową.

–Jak się spóźnimy, nie dostaniemy następnego zlecenia – powiedział. – Chodzi o reputację.

–Reputację... Przygotowuję materiał do głosowania nad ważną ustawą. Za tydzień ma się odbyć głosowanie. Jeśli mnie przy tym nie będzie, ustawa najpewniej przejdzie. To byłoby bardzo źle. Dla całej planety, dla wszystkich ludzi.

–Ustawa Paliwowa?

–Zgadza się, Ustawa Paliwowa...

–Na pustyni każdy martwi się o siebie. Tu nie ma miejsca dla filozofów. Ani dla polityków.

–Niszczenie atmosfery, którą oddychacie, was nie interesuje?

–Powietrze jest wspólne. Nawet jeśli my go nie będziemy niszczyć, zrobią to inni.

Senator zastanowił się, po czym odpowiedział:

–Ustawa Paliwowa sprawi, że transport lotniczy potanieje. Straciecie pracę.

–Nie jesteśmy bohaterami, nie zamierzamy się poświęcać. Jeżeli nawalimy, to niezależnie od wyniku głosowania wypadniemy z rynku. A na Ustawę Paliwową czekamy od lat. Z silnikiem spalinowym pokonalibyśmy tę trasę w tydzień.

–Zużylibyście tyle tlenu, ile starczyłoby wam na rok życia.

–Nie lubimy ludzi, którzy zabraniają, nie proponując jednocześnie rozwiązań.

–Nikt was nie wynajmie, jeśli za ćwierć ceny będzie mógł dostarczyć towar w kilka godzin! Posłuchajcie... Dam wam dziesięć razy więcej, niż dostaniecie za kurs. Opłacę samolot, którym dostarczycie towar przed terminem.

Tamci milczeli, więc senator krzyknął:

–Ja muszę się dostać do Nowego Londynu! Czego jeszcze chcecie? Jaka jest wasza cena?! A może wy nie chcecie, żebym tam dotarł?...

Podróżnik patrzył na niego błyszczącymi oczyma i powoli, nie podnosząc głosu, powiedział:

–Senatorze, nie chciałbym żałować, że cię wyciągnąłem z wraku.

Griffin opadł na kolę.

–Nie martwcie się – powiedział cicho. – Zapłacę za swoje utrzymanie.

Obudził ją koszmary ból głowy. Wstała i ledwo zdążyła dotrzeć do łazienki, by zwrócić większą część wczorajszej lunchobiadokolacji. Czuła się fatalnie. Trzęsły się jej nogi, miała zawroty głowy i dojmujące poczucie konieczności wymiany całego organizmu na nowy.

Ubrała się i poszła do kuchni.

–Nie obraż się, ale chyba się zatrulałam – oznajmiła Robertowi, który kończył właśnie nakrywać do śniadania.

–To się nazywa *the day after* - przedawkowanie alkoholu. Popularnie mówiąc – kac. Przygotuję pani adekwatny zestaw regeneracyjny.

–Przedawkowanie? Parę łyków koniaku i kieliszek wina.

–Zapewne mało pani wcześniej trenowała.

Zerknęła na stół i z trudem utrzymała w ryzach żołądek.

–Chyba zrezygnuję ze śniadania.

–Sugeruję, żeby się pani przemogła, zjadła chociaż bułkę z masłem i wypła napój izotoniczny z cukrem. Nie zaszkodzi też pastylka multiwitaminy i środek przeciwbólowy.

–Nie dam rady nic przełknąć... – jęknęła, opadając na krzesło. – Chcę umrzeć i urodzić się ponownie.

–Wspomniany przeze mnie zestaw złagodzi objawy już po kilkunastu minutach. Dzięki niemu wkrótce poczuje się pani lepiej.

–A bez niego?

–Bez niego dopiero wieczorem. Myślę, że warto przemóc się i skrócić te cierpienia.

–Pamiętam, że miałam jakiś przyjemny sen... ale nie pamiętam jaki.

Wmusiła w siebie również kawałek bułki. Potem, z kubkiem słodkiej kawy, powlokła się do gabinetu. Wyłączyła klimatyzację i otworzyła na oścież drzwi na taras. Gorące, ale i pachnące drzewami powietrze owiało jej twarz.

Spojrzała na wieże – nieodmienny element krajobrazu Marsa od chwili założenia pierwszego miasta. No tak... teraz wiedziała o nich więcej. Również i to, że nie są

wieczne.

Przypomniała sobie olśnienie sprzed zaśnięcia. Większość półsennych genialnych pomysłów następnego dnia okazywała się zwykłymi głupotkami stworzonymi przez zwalniający obroty mózg. Ten pomysł był dobry. Wpadł jej do głowy przypadkiem. Czyżby istniało wiele nadal nieodkrytych świetnych rozwiązań?

Może powinnam codziennie się tak nawalać przed snem?, pomyślała, uśmiechając się leciutko.

Pomysł ze skażeniem był dobry, ale jak go zrealizować? Skąd wziąć materiał rozszczepialny? Nie! Po co?! Trzeba tylko rozpuścić plotkę. Nikt nie ucierpi. Ludzie przełożą sobie tylko wakacje.

Pociągnęła łyk kawy i z trudem przełknęła. Zalogowała się i wysłała wiadomość do Hainesa:

„Jak rozpuścić pogłoskę, że biegun jest skażony radioaktywnie?”

Terminal pisnął, oznajmiając połączenie video. Zdziwiona, kliknęła zgodę na rozmowę. Rzadko korzystała z połączeń video. Na terminalu otworzyło się okno ukazujące uśmiechniętą twarz Hainesa Hopa.

–Cześć, Doris. Pierwsze pomysły, jak widzę.

–Tak...

–Widzę też, po twojej zmęczonej twarzy, że odkryłaś wczoraj barek szefa. Nie krępuj się. Wszystko jest dla ludzi.

Doris zaczerwieniła się.

–Pomówmy lepiej o moim pomysle – powiedziała.

–Może nie będziemy nadweręzać budżetu projektu i zajdziesz do mnie. Mieszkam piętro niżej.

–Piętro... niżej... Zaraz będę.

Przerwała połączenie. Piętro niżej... Zerwała się i pobiegła do łazienki, by poprawić fryzurę i makijaż. Potem zeszła na dwudzieste drugie piętro. Chwilę stała z palcem przy dzwonku. Drzwi otworzyły się same. Stał za nimi Hope i patrzył na dziewczynę nieco rozbawionym wzrokiem.

–Robert przygotował ci zestaw regeneracyjny?

Przytaknęła.

–Znacznie lepszy jest klin. – Uśmiechnął się. – Ale dobrze świadczy o Robercie, że ci go nie zaproponował.

–Klin?

–Nieważne. Wejź, poznasz kilka osób.

Gestem zaprosił ją do środka. Znalazła się w hallu bardzo podobnym do tego w jej... w domu Griffina.

–Niestety, nie mam lokaja – powiedział Hope. – Mam dochodzącą, ale jeszcze nie doszła. – Zaśmiał się ze swojego dowcipu. – Napijesz się czegoś?

–Dziękuję, nie. Chociaż może... wody.

–Wejź dalej.

Weszła do gabinetu. Był nawet większy od jej... od gabinetu Griffina. Za to zamiast tarasu miał zaledwie niewielką loggię. Podobnie umeblowany, choć znacznie skromniejszy. W powietrzu wyczuła tytoniowy dym. Dopiero po chwili zauważyła trzech mężczyzn siedzących na kanapie, która stała w tym samym miejscu, co piętro wyżej.

–Doris, pozwól sobie przedstawić: senator Curtis Grant, senator William Caen, senator Jean Auteuil. Panowie, oto Doris Westwood. Koordynator projektu Waterfall w rejonie bieguna północnego. Wybranka, że się tak wyrażę, Richarda Griffina.

Doris zaczerwieniła się. Nie widziała nigdy wcześniej tylu senatorów w jednym miejscu. Prawdę mówiąc, jeszcze kilka dni temu nie znała ani jednego senatora. Skromnie skinęła głową, usiadła ze złączonymi nogami na fotelu wskazanym przez Hopa i wygładziła krótką spódniczkę. Czuła się trochę nieswojo.

–Doris w ciągu jednego dnia – zaczął Hope – przeprowadziła szczegółową analizę prawdopodobnej migracji ludności w rejonie bieguna i opracowała plan zniechęcenia obywateli do odwiedzania tego rejonu w dniu zero.

Zabrzmiało to bardzo fachowo. Doris zauważyła, że senatorowie patrzą na nią w oczekiwaniu dalszych wyjaśnień. Wstała i podeszła do biurka Hopa.

–To twoja szansa – szepnął jej do ucha Haines. – Nie spieprz tego.

Odwróciła ekran terminala i zalogowała się. Wywołała swoją pospiesznie wykonaną bazę danych i na oczekaniu wyprodukowała jakiś przypadkowy wykres. Przez

następny kwadrans tłumaczyła swoje przemyślenia i pomysły, nawet dla niej samej nie do końca jasne. Na koniec rozejrzała się po swojej szacownej widowni i zapytała:

–Czy mają panowie jakieś pytania?

–Jak masz zamiar sprawić, by ludzie uwierzyli w skażenie? – zapytał senator Grant.

No właśnie... Jaki jest mądrze brzmiący synonim do „Nie mam pojęcia”?

–Ta część planu jest jeszcze w trakcie opracowywania – odparła.

Senatorowie wstali. Nie zadawali więcej pytań, co Doris przyjęła z ulgą. Właściwie kompletnie stracili zainteresowanie jej osobą. Wyszli na taras i zajęli się rozmową.

Hope pstryknięciem palców włączył muzykę. Klasyka, dwudziestowieczny Jean Michel Jarre.

–Widzisz? – Wziął ją pod ramię. – Tego im trzeba – świadomości, że są ludzie, którzy nad wszystkim panują.

–Ja nad niczym nie panuję – zaprotestowała nieśmiało.

–Masz pomysły. Masz otwarty umysł, czego o nich nie można powiedzieć. Są politykami i jeden z nich ma nadzieję zostać następcą Griffina, choć nie jest nawet w połowie tak skuteczny jak on.

–Są sympatyczni, chociaż... – zawahała się. Hope położył jej rękę na ramieniu, zachęcając aby kontynuowała. – Chociaż... pozostawiłam parę luk i popełniłam kilka błędów w prezentacji. Nie byłam w ogóle przygotowana. Żaden z nich nie zwrócił na to uwagi, choć powinni się na tym znać.

–Może zbyt surowo ich osądzasz. – Przesunął rękę na jej ramię. – Senatorowie nie muszą się na niczym znać. To wybrańcy społeczeństwa. Ich zadaniem jest podejmowanie decyzji na podstawie raportów specjalistów. Można ich porównać bardziej do... sędziów. Specjalistą jesteś ty.

–Ja?! Przewertowałam tylko ogólnodostępne bazy danych.

–Uczysz się. Wielu ludzi nie zrobi nawet tyle przez całe swoje życie. Zresztą, gdybyśmy zatrudnili sztab psychologów i socjologów, zakładając, że stać nas na to, to zaawansowanie projektu przestałoby być tajne.

Jeden z senatorów palił cygaro za otwartymi drzwiami na loggię. Dwaj pozostali trzymali w rękach szklanki z drinkami. Nagle w oczach Doris wszyscy trzej wydali się zupełnie nierealni.

–Jeden ma zastąpić Griffina? – zapytała. – Niech zgadnę. Ten co pali cygaro? Grant?

–Zgadłaś, ale Grant nie jest byle kim. Współtworzył projekt od samego początku. Za trzy dni odbędzie się głosowanie nad wyborem nowego szefa komisji, a dzień później symboliczny pogrzeb Richarda Griffina. Osobiście uważam, że nasza kandydatura nie przejdzie. Lobby przemysłowe jest zbyt silne. Przepchną własnego kandydata.

–Czy to ma sens? Przemysłowiec szefem komisji zajmującej się ekologią?

–Polityka. Nie chodzi o sens, tylko o postawienie na swoim. Zajęcie bazy przeciwnika to najlepsze posunięcie.

Wyciągnął palmtop i pukając w ekran, coś wyszukał.

–Masz tutaj zamiar na człowieka, który ci pomoże – powiedział, a Doris usłyszała potrójne piknięcie ze swojej kieszeni. – Współpracowaliśmy już wcześniej. Można mu zaufać w niezbędnym zakresie. Mimo to nie mów mu nic, czego nie musi wiedzieć.

Wróciła na górę. Przeczytała wizytówkę, którą przesłał jej Hope: „MJG Public Affairs, Thomas Gaunilo”. Wysłała wiadomość z prośbą o spotkanie.

Z ulgą zauważyła, że *the day after* prawie ustąpił.

Przeczytała w serwisie „New London Post” artykuł Griffina wysłany do redakcji, jak twierdziła sama redakcja, na kilka sekund przed katastrofą. Lektura upewniła ją w przekonaniu, że dokonała słusznego wyboru. Jakiegokolwiek miały być tego konsekwencje.

Część plików senatora nie była zahasłowana. Po krótkim wahaniu otworzyła terminarz. Na dzisiaj miał zaplanowane parę spotkań. Cóż, nie dojdą do skutku. W sprawach do załatwienia znalazła jedną notatkę: Projekt „Minority” – sprawdzić szczegóły. Kontakt – Cosma.

* * *

Facet, który stał za drzwiami, nie pasował do wizerunku specja od informacji. Czterdzieści pięć lat, przydługie, przetłuszczone włosy, zgarbiona sylwetka i wymięta marynarka. Pasował do ławki na skwerze z dala od centrum. Mógłby tam siedzieć i zajadać kanapkę. Z drugiej strony... Doris nie pasowała do wizerunku koordynatora projektu.

Przywitali się.

–Najpierw musi mi pan obiecać, że wszystko, co powiem, zachowa pan dla siebie –

zaczęła, posadziwszy gościa na kanapie.

–Dla mnie i moich współpracowników. Na razie tyle mogę obiecać. Słucham dalej.

–To może zabrzmieć dość dziwnie – zaczęła Doris. – Projekt, którym się zajmujemy, wymaga, aby ze sporego obszaru planety usunąć ludzi.

Thomas Gaunilo nie był zdziwiony. Siedział nieruchomo i patrzył na nią, nie zamierzając na razie zadawać żadnych pytań. Dziewczyna kontynuowała:

–Chodzi o biegun północny i okolicę, aż do osiemdziesiątego równoleżnika. Wydaje nam się, że rozpuszczenie plotki o skażeniu radioaktywnym będzie najlepszym rozwiązaniem. Jest pan zdaje się specjalistą od takich spraw.

–Zgadza się. Rozwiązujemy problemy. Czasem je tworzymy. Zdarza się nam też robić obie te rzeczy jednocześnie. Posługujemy się informacją i dezinformacją.

–Co pan sądzi o tym pomysle i możliwości jego realizacji?

–Bardzo dobry pomysł. To jedyny rodzaj skażenia, który może wypłoszyć stamtąd ludzi. Na bakterie za zimno, skażenie chemiczne też nie będzie tak groźne, tym bardziej że turyści oddychają mieszanką z butli. Realizacja nie powinna nastręczać trudności. Sądzę, że optymalna pod względem kosztów skuteczność powinna wynieść pięćdziesiąt procent.

–Co to znaczy?

–Że w wyniku naszych działań pięćdziesiąt procent ludzi, którzy mieli tam być, nie znajdzie się tam.

–A pozostałe dziesięć procent?

–Pozostałe dziesięć procent mimo naszych starań pozostanie na biegunie. Jeśli nasza oferta pani odpowiada, mogę przygotować bardziej szczegółowe wyliczenia. To wymaga dokładnej analizy rynku i użycia macierzy aproksymujących dla ustalenia statystycznego rysu psychologicznego przeciętnego turysty ekstremalnego. Jak może pani wie, wszystkie macierze znajdują się na Ziemi.

–Nie znam się na stronie technicznej. Kiedy mogę oczekiwać oferty cenowej?

–Nasza standardowa stawka to dwieście pięćdziesiąt dolarów za godzinę pracy.

–Wolałabym wycenę kompleksową za wykonanie usługi. Bez rozbijania tego na godziny pracy.

–Jak pani sobie życzy. Wyliczyć to dla pięćdziesięciu procent?

–Może poproszę kilka opcji.

–Przygotuję wykres skuteczności i kosztów. Będzie go pani miała jutro do południa. Chciałbym jeszcze poznać w przybliżeniu okres, o którym mówimy.

–Jeden dzień. W przybliżeniu za trzy i pół tygodnia.

Gaunilo pożegnał się niezwykle uprzejmie i wyszedł z gabinetu. Robert odprowadził go do drzwi wyjściowych. Doris odetchnęła z ulgą i położyła się na kanapie. Facet nie zapytał o powód całego zamieszania. Wszechwiedzący czy profesjonalista? Miała nadzieję, że sama nie wyszła na kompletną amatorkę. Przydało się jej doświadczenie zdobyte w poprzedniej pracy. Kilka razy w ciągu ostatnich dwóch lat negocjowała umowy na kompletowanie personelu dla nowo powstających filii firm.

Robert wszedł do gabinetu. Nie miał zwyczaju pukać. Zapewne było to przyjętym zachowaniem wśród lokajów. Ciekawe, czy to samo dotyczyło sypialni?

–Czuję się w obowiązku poinformować panią, że pan Gaunilo zszedł piętro niżej, do apartamentu pana Hainesa.

–Dziękuję, Robercie. Zaczekaj... Przypomniałam sobie, co mi się śniło w nocy. Śnił mi się deszcz.

–Dlaczego więcej miast jest na półkuli północnej? – zapytała Bea.

Wykorzystywali kilka godzin po zmierzchu na odpoczynek. Powietrze robiło się chłodne, ale piasek nadal był ciepły. Nie rozpalali ogniska – nie było z czego. Podświadomie wierni tradycji przodków wbijali w piasek lampkę chemiczną i w jej czerwonym świetle spożywali kolację.

–Wszystkie globusy mają północ na górze – powiedział śmiertelnie poważny Griffin. – Politycy decydujący, gdzie będą miasta, byli zazwyczaj grubi i niewygodnie im się było schylać. Sam mam taki globus w gabinecie. Trzymam w nim najlepsze alkohole.

Bea i Peter spojrzeli na siebie.

–Odzyskujesz humor, senatorze – odezwał się Peter po chwili.

–Trzeba było wyciągnąć z wraku mój neseser – powiedział senator, któremu noga po tygodniu unieruchomienia mniej dokuczała. – Miałem tam małą piersiówkę z koniakiem...

–Wolisz mieć, niż być?

–Byłem... jestem szefem komisji do spraw terraformowania. To zdecydowanie bardziej oznacza „być”.

–Twoje zachowanie zdaje się temu przeczyć. Opowiadaj dalej o północy i południu.

–Najistotniejsze było, że na północy nie ma tak intensywnych burz piaskowych, które po zagęszczeniu atmosfery stały się poważnym problemem. Ale nie tylko to. Północ jest bardziej prestiżowa. Na Ziemi twórcy współczesnych map żyli na półkuli północnej. Przyjęli standard, że północ jest na górze, żeby... być na górze. Tutaj było zapewne podobnie. Z najkorzystniejszych, wskazanych przez ekspertów lokalizacji wybierano do woli. Nowy Londyn leży na podobnej szerokości, co Londyn w Anglii. Symbole i przyzwyczajenia. Kiedy tworzy się świat od podstaw, trzeba mieć jakieś wzorce.

–Równik pozostawiono pustyni.

–Przy równiku było zbyt gorąco, by zakładać tam miasta, więc ludzie osiedlali się w strefach umiarkowanych. Północ i Południe od zawsze ze sobą konkurowały. Niewielu zdaje sobie z tego sprawę, ale wciąż grozi nam podział na dwa państwa.

–Po co?

–Ludzie potrzebują wroga, a przynajmniej konkurenta, na którym mogliby ogniskować negatywne uczucia. Do tej pory wrogiem była planeta, ale to już nie wystarcza. Władcy potrzebują władzy. Dwa państwa to dwa rządy, więcej stanowisk dla polityków.

–Nie ufamy politykom.

–Ja też im nie ufam. Naturalny podział planety na północną i południową półkulę został celowo złamany poprzez powiązanie zależnościami handlowymi miast Północy i Południa. Za kilkaset lat klimat ochłodzi się i miasta przy równiku będą już miały rację bytu.

–Wtedy tutaj będzie wieczna zima. Obecne miasta opustoszeją.

–Nie. Gęsta atmosfera i lasy wyrównają klimat na całej planecie. Częściowo złagodzi to też skutki tak wydłużonej orbity Marsa. Tu będzie klimat odpowiadający ziemskiemu umiarkowanemu z północy Europy.

–Lasy? Jakie lasy? Wierzysz, że kiedykolwiek będą tu lasy?

–Już są. Na razie nieliczne, w kraterach, sztucznie nawadniane. Ale to jest możliwe.

Coraz częściej sam przestawał w to wierzyć. Według wszelkich teorii powinny być jeszcze oceany...

–Ziemia za mało nam pomaga.

–Chcą mieć zależną kolonię, a nie równoprawnego partnera. Chcą też zmniejszać populację na Ziemi, nawet kosztem przeludnienia Marsa.

–Jednocześnie z roku na rok przeznaczają na nas coraz mniej pieniędzy. Nie wierzymy, że zmieni się cokolwiek na lepsze. Nie myślimy o tym. Wykonujemy swoją pracę i robimy to dobrze. Na nic więcej nie mamy wpływu.

–Nie interesuje was, co będzie z nami dalej?

–Planujemy następny kurs, remont łazika, ale nie możemy przewidywać na kilka lat naprzód. Żyjemy z dnia na dzień.

–Nie macie dzieci?

–Po co sprowadzać je na taki świat? Zwiedziliśmy prawie połowę miast Północy i widzimy powolne zmiany. Na gorsze.

–Nie macie obrazu całości – zaprotestował Griffin. – We wszystkich epokach ludzie narzekali, że jest coraz gorzej.

–Ale teraz JEST coraz gorzej. Mijamy czasem wymarłe farmy. Tak wielkie, że jedziemy obok przez kilka godzin. Kiedyś, gdzieś między skałami, rosły rośliny. Dziś nic tam nie ma. Ani odrobiny zieleni. Dalej na południe nie ma po co jechać. Nigdy nie przecinaliśmy równika, ale znamy takich, którzy to robili, choć to całkowicie nieopłacalne i ryzykowne. Tam jest piekło. Nawet jeśli gdzieś tutaj zasadzicie las, to z południa przyjdzie pustynia i go pochłonie.

–Przygotowuję program, który nada terraformowaniu nowy wymiar.

–Wielu przed tobą to zapowiadało. Plantacje alg, mchy i porosty, stepy, łąki, lasy, latające dywany z chlorofilem... Pasące się krowiszcza.

–Krowy – poprawił go Griffin. Z przykrością przyznał mu rację. Jego poprzednicy wiele razy zapowiadali przełom. Czy naprawdę wierzyli w to, co mówili? A czy on sam jeszcze wierzy?

–Słuchając polityków, ma się ochotę już dziś kupić motorówkę – dokończył myśl Peter.

Bea zachichotała i położyła głowę na ramieniu mężczyzny.

Coś w tym było. W środowisku biznesowym istniało nawet powiedzenie odnoszące się do przeprowadzenia wysoce niekorzystnej transakcji. O pechowym inwestorze mówiło się, że „kupił okręt podwodny”. Chyba wszyscy pogodzili się już z tym, że ich planeta pozostanie wrogą pustynią.

Tamci, śmiejąc się do siebie, wstali i objęci odeszli za wydmę. Senator został sam ze swoimi myślami. A nie było to miłe towarzystwo. Poprawił drętwiejącą nogę. Dzięki fachowej opiece Bei przynajmniej nie groziło mu zakażenie. Kości złamane w trzech miejscach będą się zrastać jeszcze kilka tygodni.

Bea, w przeciwieństwie do Petera, była urodzoną Marsjanką. Jak to mówił Hope Haines? Marsjanki wyglądają jak szkielety, które niechlujnie oblepiono mięsem i obciążnięto powyciąganą skórą. Są za wysokie, niezgrabne. Niezgrabnie się poruszają. Griffin odpowiedział mu wtedy: „Martwisz się, że twoje wnuki będą wyglądały inaczej niż ty? Gusta ewoluują wraz z wyglądem. Gdyby twoi przodkowie byli tak zachowawczy, to byłbyś owłosiony jak małpa”.

Jednak faktem było, że elita społeczeństwa urodziła się na Ziemi. Rodowici Marsjanie są z natury słabi i leniwi. Brak silnego ciężenia powoduje nadnaturalny wzrost w pierwszych latach życia, co w połączeniu z niską zawartością tlenu nadweręża serce. Po co właściwie budować społeczeństwo, które czeka nieuchronna degeneracja? Ba! Rozwój społeczeństwa nie jest procesem cechującym się specjalną celowością. To wypadkowa niezliczonej ilości trendów, wpływu zmiennych warunków otoczenia i dążeń jednostek.

Nie zapominaj, stary dziadu, myślał ze złością Griffin, że Waterfall w klimacie Marsa niewiele zmieni. To tylko prekursor.

Jeśli przyrównać proces terraformowania do budowy domu, to ludzie na Marsie na razie postawili fundamenty i mają mgliste pojęcie o ścianach parteru. Griffin lubił takie porównania, choć z doświadczenia wiedział, że nie są one skuteczne w przekonywaniu oponentów. Teraz jednak nikt go nie słuchał. Społeczeństwo chce mieć dom już teraz. Chce konkretnego celu, do którego mogłoby dążyć i który mogłoby osiągnąć w krótkim czasie. Wbrew rozsądkowi ludzie zaczynają budować kolejne piętra domu. Nie ma materiałów, więc rozbierają fundamenty. Jeśli nikt im nie przeszkodzi, dom zawali się. Ktoś, kto próbuje im dostarczyć nowe cegły, musi je wrzucać do środka przez okno, bo zapomniano o zrobieniu drzwi. Prawo zabrania wrzucania cegieł przez okna, nawet jeśli alternatywą jest zawalenie się domu i śmierć wszystkich mieszkańców-budowniczych.

Griffin uśmiechnął się do siebie. Model niezły. Może go wykorzystać w jakimś artykule? Nie... Nikt tego nie zrozumie. Dla pełnego obrazu trzeba by jeszcze dorzucić trupa w piwnicy, choć to już zupełnie inna historia, której wyjaśnienie jest być może jeszcze trudniejsze od sprowadzenia tu Ice Cube.

Spojrzał na stojący kilka metrów dalej łazik. Cylindryczny skraplacz na dachu zapewniał wodę całej trójce. Miejsce mocowania przesunięto względem oryginalnego do przodu, aż nad kabinę kierowcy. Owinięte brezentem z ogniwami słonecznymi pakunki zajmowały cały dach i jeszcze otulały rufę aż do podłogi. Kolejne baterie słoneczne otwierały się jak roleta na teleskopowym maszcie nad ładunkiem. Powierzchnia była na oko pięciokrotnie większa od standardowej dla takich pojazdów. Umożliwiało to jazdę niemal przez dwadzieścia godzin na dobę. Ludzie potrafili się przystosowywać do trudnych warunków. Na razie. Co zrobią, jeśli zawartość tlenu spadnie w ciągu kilkunastu lat o połowę? Śmierć jako ostateczne przystosowanie. Zaśmiał się ponuro.

Na wierzchołku wydmy, za którą zniknęli podróżnicy, stała teraz dwójka dzieci. Griffin zamrugał. Skąd dzieci na środku pustyni? Może za wydumą urządziła sobie postój liczniejsza rodzina handlarzy? To chyba jedyne prawdopodobne wyjaśnienie. Wcześniej, w dość dużej odległości mijali już inne łaziki zmierzające w przeciwnym kierunku. Z chorą nogą nie dałby rady wspiąć się na szczyt, by to sprawdzić. Nie chciał ryzykować otwarcia rany i zakażenia, nawet gdyby tamci mogli mieć mocniejszy nadajnik. Gdzieś w głębi jego umysłu zaczynało się rodzić podejrzenie, że wcale nie chce wracać i po raz setny próbować przekonywać wszystkich do swoich racji.

Dzieci wyglądały niesamowicie, aż dreszcz go przeszedł. W ogóle zrobiło się chłodno, więc wrócił do łazika i położył się spać. Kilka dni temu przestał marzyć o kąpeli. Człowiek do wszystkiego potrafi się przyzwyczaić.

Waterfall... Dobrze zrobił, zachowując ścisłą tajemnicę. Teraz wszelkie próby legalizacji tego etapu projektu wydawały mu się naiwne. Ludzie mieli prawo się bać i chętnie z tego prawa korzystali. Sam podświadomie czuł, że w dniu impaktu wolałby być w swoim domu o wzmocnionej antysejsmicznej konstrukcji.

Trzysta metrów niżej wolno przesuwały się pomarszczone słabym wiatrem zbocza wydmy. Maszyna płynęła w powietrzu, z gracją orła wykonując łagodne skręty. Wewnątrz słychać było głównie szumiące silniki elektryczne i sprężarki. Z zewnątrz dźwięki wydawane przez kopter można by określić jako mieszankę gwizdu i syku.

To był trzeci lot Allena. Siedzący obok instruktor, dobronudzny pan Sandler, widząc szybkie postępy, tym razem nie przejął od niego sterów, gdy zbliżali się do miasta. Gdyby coś poszło niezgodnie z planem, i tak mógł to uczynić w każdej chwili.

Allen zerknął w lewo, gdzie pół setki maszyn i ludzi toczyło monotonną walkę z wydumą atakującą West End. Poznawał to miejsce. Od czasu, gdy przestał tu pracować, wydma na odcinku dwustu metrów zmaląła o połowę. Wiedział, że wystarczy tydzień silnych wiatrów lub solidna burza, by przywrócić stan poprzedni. Kilometr dalej następna grupa robiła dokładnie to samo.

Chłopak stwierdził, że kocha tę planetę. W ciągu tak krótkiego pobytu jego marzenia nie nadały za rzeczywistością. Chciał konserwować koptery, a właśnie robi kurs pilotażu. Szefowie Aeromaxa zauważyli, że jego umiejętności znacznie przewyższają umiejętności mechaników pracujących tu od kilku lat i postanowili związać go z firmą na dłużej. Opłacili kurs w zamian za roczny kontrakt. Steven Sandler przyjeżdżając na rozklekotanym rowerze dwa razy w tygodniu, miał nauczyć chłopaka latać. Wiadomości teoretyczne Allen postanowił przyswoić sam. Jeszcze przed pierwszym lotem zapisał się na egzamin.

Poprosił o pozwolenie wejścia nad miasto i dostał je od razu. Orientując się po wyższych budynkach lepiej niż po wskazaniach GPS-a, zmniejszając pułap, zbliżał się do lądowiska.

Pierwsze w życiu lądowanie wyszło mu niemal idealnie. Opadał nad kołem wyznaczającym środek płyty. Dwa metry nad ziemią minimalnie zwiększył kąt natarcia łopat wirnika. Dotknięcie kół do betonu odczuł jako trzy delikatne wstrząsy. Niemalże zmanierowanym ruchem wyłączył wszystko, co było do wyłączenia, i zdjął hełm.

–Będzie z ciebie niezły pilot. – Sandler uśmiechnął się, pstrykając wyłącznik świateł, o czym Allen zapomniał. – Będzie, jeśli nie dasz się ponosić brawurze. To najczęstsza wada młodych pilotów.

Zeskoczył na płytę, pomachał do siedzących w cieniu hangaru dwóch dyżurnych pilotów i wsiał na rower. Przejeżdżając obok swojego ucznia, rzucił jeszcze:

–Mówię poważnie.

Kilka dni wcześniej wynajął pokój z kuchnią i łazienką dwa kilometry od bazy lotniczej. Pokój był niewielki, ale zupełnie wystarczający na jego potrzeby. Z okna widział wieże elektrolityczne w centrum.

Zjadł paskudny jak zwykle obiad i wziął się za pogłębianie wiedzy o polityce na Czerwonej Planecie. Wiedział już, że choć stolica, Phoenix, znajdowała się trzy tysiące kilometrów stąd, to właśnie w Nowym Londynie mieszkała i pracowała połowa polityków tego świata. To było najsilniejsze ekonomicznie miasto i stolica gospodarcza. Jednak nie największe. Delaney, najliczniejsza metropolia, liczyła sobie ponad dwa razy więcej mieszkańców.

Zrobił herbatę (zapas jeszcze z Ziemi), wyjął palmtop i rozpoczął codzienny przegląd serwisów informacyjnych.

„Lobby przemysłowe, dysponujące większością głosów w parlamencie, niespodziewanie powstrzymało się przed wysunięciem swojego kandydata na stanowisko szefa komisji terraformowania, popierając kandydaturę Curtisa Granta. Uzasadniono to troską o zachowanie równowagi politycznej”.

Nie znał się może na polityce, ale zasady obowiązywały takie jak w życiu: nie pomaga się konkurentowi, chyba że dostaje się coś w zamian. Następna informacja zdawała się to potwierdzać:

„Masowe demonstracje zwolenników Ustawy Paliwowej są wyraźnym sygnałem dla Granta i całego parlamentu, że społeczeństwo traci cierpliwość i chce zauważalnego wzrostu gospodarczego. Nowy szef komisji terraformowania na dzisiejszej konferencji nie sprzeciwiał się ustawie tak silnie jak jego poprzednik”.

O tym samym „New London Post” napisał: „Demonstracje zwolenników Ustawy Paliwowej dowodzą jasno, że populizm senatora Goodalla silniej oddziałuje na umysły ludzi niż przykre, ale poparte wynikami badań argumenty ekologów”.

Przejrzał też zdjęcia z pogrzebu Richarda Griffina. Trochę mu było szkoda faceta – wyglądał na porządnego człowieka.

Na Marsie naprawdę nie było cmentarzy w ziemskim rozumieniu tego słowa. Nikogo nie grzebano w trumnie, a na kremację zasługiwali tylko wybitni obywatele.

W pierwszym rzędzie, przed urną z prochami (oczywiście symbolicznymi, skoro nie odnaleziono ciała) stał minister klimatu i nowy szef komisji terraformowania – Curtis Grant wraz z żoną i córką. Allen prawie się zachłysnął herbatą. Powiększył zdjęcie i teraz miał już pewność. Znał córkę Granta. To była Jessica! Bez wątpliwości. Matce nie przyglądał się wcześniej dokładnie, ale wydawała się podobna. A obok stał mały

Jared. Jared archeolog... na planecie bez historii.

Odłożył palmtop i zmarszczył czoło. Rodzina senatora na frachtowcu? Facet przecież musi być dość bogaty, by zapewnić im przynajmniej klasę turystyczną na statku pasażerskim.

Wysłał Doris krótką wiadomość: „Chciałbym się z Tobą spotkać”. Z radością przyjął fakt, że zgodziła się, nie pytając o powody. Co więcej, zaproponowała, że postawi mu kolację w Carltonie. Z uwagi na skromne nadal zasoby finansowe zgodził się, zastrzegając, że za jakiś czas się zrewanżuje.

Doris rozpoczęła kolejny dzień od wyszukania w serwisach słów kluczowych związanych z pojęciami „radioaktywny”, „nuklearny”, „biegun” i „skażenie”. Wynik wyszukiwania to dwa podobne artykuły o planowanym rządowym programie budowy elektrowni atomowych na dalekich pustyniach. Rzecznik rządu zdążył już zdementować te pogłoski, przypominając, że wymuszone przez Ziemię prawo uniemożliwia korzystanie z paliw rozszczepialnych na Marsie. Słowo „skażenie” wystąpiło przy okazji jakiejś afery z nieświeżą żywnością w Sargass.

Chyba za wcześnie na jakieś efekty, pomyślała. Minęły dopiero dwa tygodnie.

Niezależnie od tego kilka dni wcześniej aktywowała dynamiczną wyszukiwarkę cały czas sprawdzając serwisy i wyrzucając wyniki wprost na ekran. Potem zrozumiała, że nic nie dzieje się tak szybko, ale wyszukiwarki nie wyłączyła.

Przeczytała ponownie wczorajszy raport od pana Gaunilo, i ponownie stwierdziła, że jest równe ogólnikowy i niejasny jak poprzednie. W co ten facet gra?

Kolacja z Allenem była miłą perspektywą. Chłopak był trochę skryty, życie naprawdę nieźle dało mu w kość, ale przynajmniej nie udawał kogoś innego. W ciągu ostatnich dni Doris poznała kilka nowych osób, niemal samych pozerów. Nie potrafiliby już żyć bez masek.

Wyrwę się na trochę z tej złotej klatki, pomyślała.

W rzeczywistości, nikt jej tu jednak nie trzymał. Może poza poczuciem obowiązku.

Waterfall był jednym z wielu niedoinwestowanych projektów, które utrzymywano przy życiu chyba tylko dla uciszenia sumienia. Podobnych projektów, które będą zasilane, aż ktoś podważy ich celowość, mogły być tysiące.

Sumienie znów zaczynało ją męczyć. Pan Gaunilo przysłał jej w umówionym terminie wykres kosztów, który raptownie rósł przy dziewięćdziesięciu dwóch procentach skuteczności. Doris długo myślała i z trudem zdecydowała się przeznaczyć na wynagrodzenie MJG Public Affair tyle, by osiągnąć te dziewięćdziesiąt dwa procent. Podpisała umowę, którą bez zadawania szczegółowych pytań przygotował Hope Haines.

Teraz biła się z myślami, ponieważ zdawała sobie bowiem sprawę, że zużycie wszystkich środków podniosłoby wartość o jeden procent, co przecież mieściło się w błędzie statystycznym.

Dlaczego to ja muszę podejmować takie decyzje?, zastanawiała się codziennie.

Uznała, że niezależnie od pana Gaunilo będzie próbowała coś robić. Zaczęła od anonimowego zabukowania kilkunastu miejsc w przypadkowo wybranych biurach. Niestety, połowa z nich skasowała rezerwację, gdy w umówionym dniu nie wpłynęła zaliczka. Doris nie wpłacała zaliczek, bo i tak zazwyczaj dwa tygodnie przed wyjazdem trzeba było przelać całą sumę.

Przeglądała na bieżąco newsy zawierające wybrane przez nią słowa. Niektóre z wydarzeń mogły sprawiać wrażenie starannie przygotowanych, jak choćby to z przedpołudnia:

„W wypadku drogowym zginęło dwóch organizatorów wypraw ekstremalnych na Olympus Mons i na biegun północny. W ich dwuosobowy rower uderzył łazik, którego kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Dotychczas nie udało się go zidentyfikować. Śledztwo trwa”.

To chyba przekracza zakres działań MJG Public Affair, pomyślała. Gaunilo wyraźnie powiedział, że jego orężem jest informacja i dezinformacja. To z pewnością zbieg okoliczności. Wypadków drogowych jest wiele. O tym przeczytałam, bo informacja zawiera słowo „biegun”.

Dla uspokojenia sumienia wyszukała informacje o wypadkach drogowych w Nowym Londynie z ostatnich dwu tygodni. Lista była długa.

*** * ***

Przyjechała do restauracji rowerem, choć Robert namawiał ją na skorzystanie z limuzyny Griffina. Umieszczona na ostatnim piętrze hotelu sala restauracji przykryta była szklanym dachem, teraz czarnym, świecącym gwiazdami. Jasno błyszcząca nieregularna bryła Nefretete i znacznie mniejszy, wschodzący szybko Fobos. Wyglądały jak kamienie, które spadną, gdy tylko zniknie unosząca je magiczna siła.

Znajdowała się tu instalacja do kontroli klimatu. Wnętrze podzielono na wiele intymnych zakątków, ze stolikami umieszczonymi pomiędzy donicami z roślinnością tropikalną. Panowała tu wysoka wilgotność. Doris odbierała to jako źle działającą klimatyzację, za to Allen poczuł się niemal jak w lesie, na Ziemi.

Usiedli w miękkich fotelach, przy stoliku wskazanym przez kelnera. Miejsce na uboczu, z trzech stron otoczone ażurową zielonością.

–Drogo tu musi być – powiedział, wyciągając palmtop z kieszeni. Wywołał lokalny serwer i pobieżnie przejrzał menu. – Chyba poprzestanę na przystawce.

–Spokojnie. Firma płaci – skłamała Doris. Nie miała najmniejszego zamiaru używać środków projektu do finansowania randki... o ile to w ogóle była randka. Pieniądze, jakie dostała za udział w projekcie, przeniosły ją na wyższy stopień drabiny

społecznej. Przynajmniej na razie.

–Większość z tych potraw na Ziemi można kupić w sklepie na rogu i podgrzać w mikrofalówce. Tutaj mają cenę mojej dniówki. Nie piłem piwa od przylotu. Piwo kosztuje niemal tyle, co whisky.

–Tu się płaci za objętość i ciężar ziemskich towarów.

–Wiem. Transport butelki whisky jest dwa razy droższy niż w rzeczywistości jest warta.

W dziwny, irracjonalny sposób Doris czuła się winna takiemu stanowi rzeczy. Była tu dłużej.

–Niedawno przyleciałeś z Ziemi – stwierdziła. – Czy tu jest inaczej?

–Tu jest praca.

–Ale pytam o świat. Tak w ogóle.

–Ziemia pachnie. Niektórzy mówią czasem, że to, co czuć w biednych dzielnicach, to smród, ale to nieprawda. Ziemia pachnie.

–Żartujesz sobie ze mnie...

–Wcale nie. Inaczej w każdym miejscu, inaczej w deszczu, inaczej w słońcu. Inaczej na wiosnę, inaczej w zimie. Warto zwiedzać dla samych zapachów. Jest jeszcze coś. Tutaj jest... pusto. Nie mówię nawet o pustyni. Nie ma holoboardów nad miastami, nadziemnego metra, neonów, migających wszystkimi kolorami wielopoziomowych dyskotek. Ludzie idą gdzieś w konkretnym celu. Nie spacerują po mieście dla samego spacerowania. Na Ziemi jest wszystkiego więcej, żyje się szybciej. Ziemia jest technologicznie o całą epokę do przodu. Ludzie wszczepiają sobie do głowy chipy, które zastępują palmtopy, i dodają drugie tyle funkcji. Prawie cała Ziemia pokryta jest siecią netu. Nie musisz kupować dostępu do lokalnego transmitera. Gdziekolwiek jesteś – sieć jest z tobą, a dostęp praktycznie darmowy. Dziewczyna była zafascynowana.

–Nie wiem czemu, ale mamy tutaj mało informacji z Ziemi... Miałeś wszczepionego takiego chipa?

–Nie... to też forma niewolnictwa. Zresztą raz wszczepiony nie daje się tak po prostu usunąć.

–Tęsknisz za Ziemią?

–Kilka dni temu wyciągnąłem z dna plecaka mój papierowy szkicownik. Próbowałem kiedyś trochę rysować. Otworzyłem pióro wieczne i cały atrament wylał się na stół, niskie ciśnienie. Każdego dnia tęsknię, ale każdego dnia coraz mniej. Nie muszę rysować. Muszę zarabiać na życie.

Doris zaśmiała się. Widząc zaskoczone spojrzenie chłopaka, wyjaśniła:

–Nie wiem, co to jest pióro wieczne ani atrament. Pióra mają ptaki, ale na tej planecie ich nie ma. Jesteś zdolny. Dlaczego nie radziłeś sobie na Ziemi?

–Może dlatego, że broniłem się przed... postępem, może dlatego, że chciałem mieszkać w mieście. W zwykłym mieście, ze zwykłymi budynkami.

–Jakie inne może być miasto?

–Pomysłów na skompresowanie przestrzeni życiowej nie brakuje. Ludzi jest coraz więcej. Mógłbym się utrzymać, wynajmując za parę centów mieszkanie na osiemdziesiątym piętrze jakiegoś mieszkaniowca choćby w okolicy Los Angeles, albo żyć i pracować w którymś z pływających miast-wież przy Zachodnim Wybrzeżu. Wyglądają jak wielkie szałwaki... – Zdał sobie sprawę, że Doris zapewne nie wie, co to jest szałwik.

–Nie chciałeś? – zapytała.

–Nie jestem termitem.

Zaśmiała się na głos i zakryła usta dłonią.

–Śmieszne określenie – powiedziała. – Teraz jesteś Marsjaninem.

–To brzmi lepiej niż termit.

–Nie masz rodziców. – Zmieniła nagle temat. – Wiem, co to znaczy. Nie pamiętam swojej matki, a ojciec zginął w głupim wypadku cztery lata temu. Musiałam się usamodzielnąć. Nie... przepraszam! Nie chciałam o tym mówić.

–Nic nie szkodzi. Nawet ich nie pamiętam.

Chwilę milczeli, po czym dziewczyna powiedziała:

–A co sądzisz o tutejszym jedzeniu? Jest droższe...

–... i gorzej smakuje. Przepraszam – zreflektował się.

Doris nie przejęła się tym.

–Dla mnie to jedzenie jest przepyszne. Sądzę, że jedząc na Ziemi, dostałabym...

–Orgazmu? Przepraszam. Znów coś walnąłem.

–Nie, nie. Dokładnie to miałam na myśli. No, prawie.

Chwilę patrzyli na siebie.

–Chciałem się spotkać z tobą od dawna – powiedział Allen. – Czekałem tylko na wyjście z dołka finansowego...

–Wyszedłeś?

–Nie, ale jak tylko wyjdę, to się zrewanżuję. Za kilka dni.

–Czekam z niecierpliwością...

–Obiecuję.

–Ale jest przecież jakiś konkretny powód, dla którego chciałeś się dzisiaj spotkać. Widzę to.

–Tak. Zauważyłem pewien drobiazg. Przez przypadek. Sądziłem, że to może być ważne. Na Marsa przyleciałem frachtowcem, żeby było taniej. Warunki były więcej niż złe. Chorowałem trochę... Wczoraj oglądałem zdjęcia z pogrzebu Griffina i zobaczyłem tam rodzinę Granta – żonę, córkę i syna. Lecieli ze mną tym frachtowcem.

–Niemożliwe! – Doris oparła się o fotel i pokręciła głową. – Facet wygląda jak dziewiętnastowieczny arystokrata. Ma pieniądze. Nie pozwoliłby rodzinie podróżować w takich warunkach.

–Jestem pewien – Allen przysunął się bliżej. – To byłby zbyt duży zbieg okoliczności. Sprawdziłem to. Jessica, jego córka, mówiła, że leci do ojca, który jest na Marsie od trzech lat. Grant przyleciał tu trzy lata temu. Jest dość podobny do Griffina. Nawet pali cygara, co w tutejszych warunkach jest sporym wyczynem. Wygląda tak podobnie, że za pół roku ludzie zapomną, że przed Grantem był ktoś inny.

–To byłoby najsprytniejsze podstawienie sobowtóra, o jakim słyszałam. To raczej zbieg okoliczności. Facet jest numerem dwa w pro... wśród ekologów.

Ugryzła się w język, ale chłopak chyba nic nie zauważył.

–Zastanawiałem się już na pokładzie, czemu tak dobrze sytuowane osoby, bo to było widać od razu, lecą w takich warunkach. Teraz sobie dopiero skojarzyłem, że to

był ostatni statek z Ziemi. Następny przyleci za kilkanaście miesięcy.

–I co z tego? Wtedy żona nie wiedziała o nominacji męża, bo Griffin żył.

Allen patrzył na nią, milcząc. Dziewczyna zmarszczyła brwi.

–Zaraz, myślisz, że... Nie... – Machnęła ręką. – Niemożliwe. To był przecież wypadek. Tragiczna śmierć, zrządzenie losu.

–Nie ma pewności. Poczytałem o tym trochę, zanim zawróciłem ci głowę. Nie znaleźli czarnych skrzynek.

–Dlaczego uważasz, że mogę ci to jakoś wyjaśnić?

–Znam tylko ciebie. A ty znasz kilku polityków.

Patrzyli sobie przez chwilę w oczy i jednocześnie spuścili wzrok.

–Czuję się tam bardzo samotna – powiedziała po chwili, wciąż patrząc na stół. – Zerwałam kontakty ze znajomymi. Siedzę przed terminalem, próbuję coś zrobić, potem kładę się spać. Czasem udaje mi się zasnąć, czasem nie. Rano wstaję, siadam przed terminalem i znów próbuję coś zrobić.

Miała ogromną ochotę opowiedzieć mu o swojej pracy, ale wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić.

–Jeśli uważasz, że to może być ryzykowne – powiedział Allen – to zapomnij o tej rozmowie. To pewnie nie pierwszy, i nie ostatni spisek w historii tej planety.

–Spisek? Uważam, że to przypadek. Zwykły zbieg okoliczności. Ani ja, ani ty nic nie wiemy o tym, co się dzieje na górze.

Zauważyli, że stoi nad nimi kelner. Allen był nieco zaskoczony, przyzwyczaił się do miejsc, gdzie zamówienie składało się zdalnie.

–Czy państwo już wybrali? – zapytał kelner.

–Aaa... – zaczęła Doris, wyjmując z rąk Allena palmtop i przerzucając pozycje. – Z przystawek zrezygnujemy, ze względu na porę. Najpierw poproszę gaspacho, potem... niech będzie zapiekanka z halibuta. Do tego białe wytrawne wino, panu zostawiam wybór, i herbatę na koniec.

–Dla mnie... – odebrał palmtop z wyświetlonym menu. – Dla mnie... niech będzie hamburger z frytkami i duże piwo.

–A na drugie danie? – zapytał kelner.

–Drugie piwo.

Kelner zmarszczył brwi, ale nie zadał kolejnego pytania. Podziękował i odszedł.

–Nie piłem piwa od chwili startu – wyjaśnił Allen. – Kosztuje tu więcej niż polska wódka na Ziemi.

–Bierzesz tylko jedno danie?

–Tutaj każdy ruch to o połowę mniej kalorii. Nie chcę się zamienić w piłkę na cienkich nóżkach.

Doris uśmiechnęła się, patrząc na jego muskularne ramiona i płaski brzuch.

–Nie grozi ci to – powiedziała.

–Jak na standardy ziemskie nie jestem szczególnie dobrze umięśniony – powiedział, zauważając jej spojrzenie. – Codziennie robię ze dwieście pompek, by i tego nie stracić. Przy tej grawitacji to bardzo łatwe. I... nigdy przedtem nie udało mi się zrobić pompki na jednej ręce.

Kelner przyniósł im starter i szklanki z wodą. Gdy odszedł, Allen nachylił się nad stołem i zniżając głos, powiedział:

–Wydaje mi się, że Grant wiedział o tym, że zostanie szefem komisji. Wiedział od jakiegoś czasu. Wahał się. Sprowadził rodzinę ostatnim możliwym transportem.

–Po co?

–Polityk z rodziną jest bardziej wiarygodny. Żona i dzieci to stabilizacja. Wyborcy podświadomie to wyczuwają.

–Griffin nie miał rodziny.

–Griffin był... uczciwy i niezależny. Takie odniosłem wrażenie. Grant dopasowuje się do modelu idealnego polityka.

–Chyba przesadzasz.

–Chcesz powiedzieć: „Co taki prosty robotnik może wiedzieć o polityce”?

–Nic podobnego! – zaprotestowała, niespodziewanie biorąc jego rękę w dłonie. – Nic podobnego. Ja tylko sądzę, że to jest prostsze, niż myślisz. Nic nie wiemy o osobistym życiu Granta. Nie wiemy, czemu ściągał tu rodzinę. To mogło być zaplanowane od dawna. Córka mogła kończyć szkołę. Ostatnie zaliczenia...

–To, że do tej pory nie ściągał tu rodziny, można tłumaczyć na wiele sposobów. Na przykład możliwością, że pozostanie mało wpływowym senatorem i po zakończeniu kadencji wróci na Ziemię. Skoro przylecieli w takich warunkach i w takim pośpiechu, to musiał wiedzieć, że ma zapewnione stanowisko. I niezłe zarobki.

–Był bliskim współpracownikiem Griffina.

–To nic nie znaczy. Grant poszedł na jakiś układ, sprzedał się.

–Nie mam pojęcia, w jaki sposób mogę ci pomóc.

–Nie chcę, żebyś mi pomagała. Chcę, żebyś uważała na ludzi, z którymi pracujesz.

Kelner przyniósł pierwsze porcje i napoje. Piwo podawano tutaj w małych szklankach. Hamburger był cienki jak plaster szynki. Allen westchnął, ale nic nie powiedział.

–Co sądzisz o Ustawie Paliwowej? – zapytała Doris, wciągając nosem aromat jedzenia.

–Wiem tyle, że na statku kosmicznym, gdzie jest ograniczona ilość tlenu, nie wolno palić papierosów.

–Dobry przykład.

–Na Ziemi jest coraz gorzej, ale tam planeta może się bronić przed człowiekiem.

–Ta też się broni.

–Ale tutaj, nie robiąc nic, umrzemy.

–Czytałeś artykuł Griffina? Ten, który „New London Post” opublikował po jego śmierci?

–Tak. Atmosfera Ziemi kiedyś przypominała marsjańską, ale życie ją zmieniło. Napisał, że ludzie są zbyt niecierpliwi. Moim zdaniem głosowanie nad ustawą jest przesądzone. Ładownie statku, który mnie tu przywiózł, były pełne silników spalinowych.

Włożył do ust pierwszy kęs. Mięso smakowało samymi przyprawami. Doris po pierwszej łyżce zupy wyglądała, jakby znalazła się w kulinarnym niebie.

–Dasz spróbować? – zapytała, wskazując na talerz chłopaka.

Odkroił kawałek mięsa, nabił dwie frytki, umoczył w sosie i podał jej. Zamiast wziąć od niego widelec, otworzyła usta, pozwalając się nakarmić. Żując mięso, zamknęła

oczy i zamruczała.

–To nawet lepsze od tego, co gotuje Robert. Tobie smakuje? Pytam poważnie. Nie obrażę się – nie ja przyrządzałam.

–Szczерze? Na Ziemi w barze gdzieś na pustkowiu podają lepsze.

Zrobił przeproszącą minę, ale Doris się uśmiechnęła.

–Domyślałam się. Chcesz tam wrócić?

–To nierealne.

–Ja też chcę. Kiedyś... Jak myślisz, jaka będzie nasza przyszłość tutaj? Nas – ludzi.

–Nie wiem. Przyleciałem tu, by nie wylądować pod mostem. Tu przynajmniej nie ma mostów... Za mało się na tym wszystkim znamy, żeby prognozować.

–Przeczytałam dokładnie artykuł Griffina. Tu jest za mało wody, tlenu, węgla. Za mało tych wszystkich cząstek, które muszą nas otaczać, byśmy mogli normalnie żyć.

–On kiedyś chciał sprowadzić tutaj kometę i eksplorować ją na orbicie.

–Tak. – Skupiła uwagę na zupie. – Też słyszałam.

–Nikt się nie chciał na to zgodzić. Czytałem jakąś jego wypowiedź sprzed kilku lat. Wprowadzenie komety na orbitę jest kosztowne i czasochłonne. Prościej ją rozbić o planetę.

–To tym bardziej nie do przyjęcia przez przeciętnego człowieka. Nie mówmy już o tym.

Doris unikała wzroku Allena, wpatrując się na przemian to w talerz, to na rośliny dookoła.

–Przynajmniej mieliśmy pretekst, żeby się spotkać – powiedział. Uśmiechnęła się, ale nastrój wieczoru ulotnił się. Do końca niewiele rozmawiali. Potem zeszli na dół, pożegnali się i odjechali na rowerach w przeciwne strony.

Griffin spojrzął na datownik zegarka. Dzień głosowania, a on jest na środku pustyni w połowie drogi do Sargass. Najpewniej już po wszystkim. Artykuł może i opublikowali, ale raport z pełnymi danymi dotyczącymi stanu atmosfery, wygłoszony w Senacie, na pewno miałby większą siłę perswazji.

Rany na nodze prawie się zagoiły. Mógł na dwie, trzy godziny zmieniać Petera za sterami łazika, by tamten się wyspał. No i w ten sposób nie miał też poczucia całkowitego marnowania czasu i życia na cudzy koszt. Zdążył zniechęcić pustynię. Nie za jej gorąco i nie za wszędzie wciskające się kurz i piasek. Zniechęcił ją za monotonię.

Po kilku ostrzejszych podjazdach akumulatory wyraźnie osłabły. Wokół samotnej czerwonej skały wiatry wywiały piasek aż do skalistego podłoża. Rozpędem zjechał na pierwszy od dawna twardy grunt i zatrzymał się.

–Niecierpliwy jesteś – mruknął Peter obudzony bezruchem. – Szybciej zużywasz prąd, niż słońce nam go daje. Dlaczego nie chcesz używać programu optymalizującego prędkość?

–Czy to zmniejsza dzienny przebieg?

–Trochę.

–Lubię mieć kontrolę.

–No jasne. – Uśmiechnęła się Bea. – Jesteś politykiem. Podeszła i uważnie obejrzała jego nogę, wciąż unieruchomioną, ale już bez bandaży.

–Groźba zakażenia definitywnie zażegnana – oświadczyła. – Ale kość się jeszcze nie zrosła. Musisz ją nadal oszczędzać. Boli?

–Czasami. Przeważnie swędzi. Staram się nie drapać, choć to coraz trudniejsze.

–Dobrze, że swędzi.

–W Central Parku, w gęściej zarośniętych zakątkach zdarzają się komary. Swędzi tak, jakby setka tych wampirów pogryzła mi nogę.

Kobieta usiadła na fotelu obok i uśmiechnęła się szeroko, wywołując na twarzy nowy układ zmarszczek.

–To mnie zawsze ciekawiło. Przecież próbowano nie dopuścić do przeniesienia szkodliwych zwierząt na Marsa.

–Początkowo tak, choć przecież nigdy do końca nie wiadomo, które z nich mogą się okazać niezbędne. Każdy przedmiot transportowany na Marsa dezynfekowano, ale już po kilku miesiącach były tu nie tylko komary, bakterie, wirusy, pleśń, ale nawet i szczury. Jeśli wierzyć ludziom, to przedostały się tu również wampiry, wilkołaki i chupacabra.

–Czy z tego samego powodu nie ma tu świątyń?

–Mars miał być wolny od nienawiści religijnej. Wszelkie praktyki religijne są zakazane, ale każdy może wierzyć, w co chce.

–Czemu właściwie są zakazane?

–Religia, mowa, zachowania społeczne, patriotyzm, a nawet slogany reklamowe to zbiorowiska samodzielnych niematerialnych istnień, które potrafią nami kierować i ewoluują niezależnie, lub prawie niezależnie, od naszej woli. Fanatycy religijni czy radykalni nacjonaści to w gruncie rzeczy ludzie zakażeni memetycznymi organizmami powodującymi najczęściej nieuleczalną nienawiść.

–Bóg miał być uosobieniem dobroci.

–Bóg, jak i wszystko inne co stworzyli ludzie, nie wyszedł nam tak doskonale, jakbyśmy chcieli. Tak naprawdę to potrzebowaliśmy go, by umieć odpowiedzieć na pytania, na które nie ma odpowiedzi. Kiedyś ruch planet tłumaczono boskim przykazaniem, także deszcze, susze, choroby. Bóg był wszędzie wokół, w zasięgu ręki. W miarę jak zdobywaliśmy odpowiedzi na kolejne pytania, Bóg oddalał się od ludzi, przestawał być potrzebny. Marsjański pomysł polegał na tym, by zlikwidować największe źródło nienawiści, jakie kiedykolwiek istniało. Religie to przecież nic więcej niż memetyczne konglomeraty walczące z innymi religiami o przestrzeń życiową – umysły ludzi. Uważano, że to niegodne człowieka, by był nośnikiem, narzędziem w rękach wyższej formy zorganizowania. Zasadniczo udało się. Marsjanie nie będą zabijać w imię wiary. Będą ponad to.

–Religia jest więc złem?

–Jeśli jest prywatną sprawą ludzi, to nie. Problemy zaczynają się, gdy miesza się z polityką i próbuje ingerować w życie publiczne. A już dwie różne religie z reguły oznaczają nienawiść. W jednym społeczeństwie może istnieć tylko jedna religia. Jeśli jest inaczej, zaczyna narastać konflikt. Tak było na Ziemi, gdy zaczęły znikać granice. Nie ma religii – nie ma wojen ideologicznych. Wojny gospodarcze może będą, ale one są zawsze mniej okrutne.

–Skąd pewność, że nie ma jakichś potajemnych zgromadzeń?

–Pewnie są. Nie można wyczyścić ludzkich umysłów z wartości wpajanych od

dziecka.

–Podobnie jak nie powinno się dopuścić do przemycenia na Marsa szczurów.

–Być może ktoś uznał, że terraformowanie musi być kompletne, i przemycił tu małą arkę Noego... Właściwie nie wiadomo, w jaki sposób szczury się tu dostały. Determinacja tych zwierząt, by być blisko człowieka, pozwoliła im nawet na podróż kosmiczną i przetrwanie w tym nieprzyjaznym środowisku. Uważam ten fakt za niemal tak niezwykły, jak to, że my tu jesteśmy. Jeśli nic nas nie powstrzyma, to zainfekujemy połowę planet tego układu, a potem polecimy dalej.

–Sami się powstrzymamy – powiedział Peter. – Rano przelatował nad nami samolot. Dzięki jego nadajnikowi otrzymaliśmy zaległe serwisy informacyjne. Ustawa Paliwowa przeszła kilka godzin temu.

Nie był tym ani trochę zmartwiony. Griffin wstał i wyszedł na zewnątrz. Zatrzymał się w cieniu skały.

–Spodziewałem się tego - powiedział cicho, gdy tamci wyszli za nim. – I tak nic bym nie zmienił. Zresztą... nikt nie wie, co jest dobre, kto ma rację, kto błędzi. Każdy ciągnie w swoją stronę. Wypadkowa tworząca naszą przyszłość nie zależy od nas, bo cele jednostkowe nigdy nie są realizowane w skali globalnej.

–Niektórzy realizują swoje cele.

–To nie są ich własne cele, choć tak im się wydaje. Są tylko narzędziami w rękach...

–Boga?

–Nie! W rękach... trendu, ogółu, niewidzialnej siły. Jakkolwiek to zwać. Ich cel to wynik sytuacji zastanej, doświadczeń, wychowania, idei. Wielcy wizjonerzy są... zaprogramowani.

Podróżnicy wyglądali, jakby właśnie odkryli, że ich rozmówca jest niespełna rozumu. Spojrzeli na siebie zakłopotani.

–Jeżeli będzie to możliwe, to po przybyciu do Sargass od razu założymy silnik spalinowy – wyznał Peter, a Bea przytaknęła skinieniem głowy. – Koszt pewnie będzie podobny do nowych akumulatorów. Regenerować dziesiąty raz się nie dadzą.

–Prawdę mówiąc, rozumiem was.

–Nie. Nie rozumiesz. Nie jesteśmy głupcami. Wiemy, że to zabija atmosferę, ale wiemy też, że nasz sprzeciw jest bez znaczenia.

Patrzyli na niego, oczekując kolejnej próby dyskusji, ale senator tylko się uśmiechnął.

–Zapomniałem o najważniejszym – powiedział. – Coś, co można nazwać rodzajem dumy, nie pozwoliło mi wcześniej podziękować wam za życie. Niewiele jest ta duma warta. Na pewno mniej niż życie. Dziękuję i obiecuję, że wam to wynagrodzę.

Bea objęła go wzruszona. Peter ograniczył się do poklepania go po plecach.

–Już wynagradzasz – powiedział. – Nie potrzebujemy pieniędzy.

–Więc pozwólcie, że... kupię wam ten silnik.

Ustawa Paliwowa przeszła zdecydowaną większością głosów, w tym nawet części senatorów uważanych wcześniej za zwolenników ekologów. Kilka godzin po głosowaniu, jeszcze przed terminem wejścia w życie ustawy, w internecie zaroilo się od reklam firm przerabiających pojazdy elektryczne na spalinowe. Dwa największe konsorcja energetyczne ujawniły planowane lokalizacje stacji paliwowych na terenie Nowego Londynu i kilkunastu innych większych miast.

Allen miał rację, pomyślała Doris. To było przesądzone od dawna. Głosowanie było formalnością.

Kliknęła na reklamę i przeszła na stronę firmy sprowadzającej silniki do niewielkich pojazdów. To były specjalne silniki przystosowane do zasilania wodorem. Skonstruowano je na potrzeby Marsa. Co więcej, firma gwarantowała, że ma duże zapasy i może realizować zamówienia na bieżąco. Zapewne zostały wyprodukowane i przywiezione tutaj z dużym wyprzedzeniem.

Może i lepiej, że Griffin tego nie dożył...

Zerknęła w stronę barku. Wspomnienie *the day after* osłabło w takim stopniu, że znów miała ochotę się napić.

Na ekranie terminala wyskoczyło okno z informacją z dynamicznej wyszukiwarki:

„Zaginiony dwa dni temu samolot lecący do miasteczka Benneth rozbił się prawdopodobnie w rejonie bieguna północnego. Satelity wykryły zwiększony poziom radiacji w tej okolicy. Nieznany jest właściciel samolotu, jak również ładunek, cel podróży ani liczba ofiar”.

Czyżby Pan Gaunilo zaczął działać? Ciekawe, co zrobi, jak ukaże się rządowe dementi?

Wyszła na taras i zatrzymała się tuż przed granicą cienia rzucanego przez markizę. Zmrużyła oczy i spojrzała na niebo. Samotna, przezroczyta chmurka dryfowała, niesiona przez wiatr. Jesień coraz bliżej. Jesień i burze piaskowe. Nie tak silne, jak na Południu, ale i tak zniechędzone.

Niczego nie umiem robić, pomyślała. Jedyne, co mi wyszło, to ta rozmowa z panem Gaunilo. Siedzę tu i nie ma ze mnie pożytku. Bez wskazówek Griffina nic nie potrafię; co najwyżej sprawdzać, czy MJG Public Affair wywiązuje się ze swoich obietnic.

Chmurka dotknęła wierzchołka jednej z wież. W tej samej chwili w połowie jej wysokości oderwał się bezgłośnie od maszyneryi cylindryczny zbiornik i zaczął

spadać wzdłuż betonowej ściany. Dwieście metrów niżej otarł się o rozszerzający się trzon, sypiąc iskrami i pozostawiając za sobą chmurę pyłu. Łoskot dotarł do uszu dziewczyny, gdy zbiornik zniknął w koronach drzew. Chwilę później rozległ się dźwięk przypominający uderzenie w wielki dzwon. Echo od domów Centralnego Kręgu powtórzyło go kilkakrotnie.

Doris cofnęła się. Zaciśnęła zęby, oczekując krzyków ludzi, ale nic takiego nie nastąpiło. Park był niemal pusty – wszyscy spacerowali po pasażach handlowych poza Kręgiem, świętując przegłosowanie ustawy.

Wróciła do środka i od razu otworzyła barek. Nalała do kieliszka małą porcję brandy. Nie wypila jej jednak duszkiem jak poprzednio, tylko smakowała małymi łydkami. Alkohol palił język i gardło, ale było to przyjemne.

Po kilku minutach przez otwarte drzwi na taras usłyszała syrenę policyjną. Z ulgą stwierdziła, że nie towarzyszy jej sygnał ambulansu.

Terminal wyświetlił nową informację z wyszukiwarki: „Oficjalne źródła potwierdziły obserwację zwiększonego poziomu radioaktywności na niewielkim obszarze czapy bieguna północnego. Naturalne zjawiska geologiczne tego rejonu powodują stałe powiększanie się obszaru skażonego”.

–To już coś – przyznała na głos. Wydane pieniądze zaczynały przynosić efekt. Poczwała dumę. W końcu sama to wymyśliła. Tylko czy wiadomość o przegłosowaniu ustawy nie zmniejszy efektu? Główne serwisy informacyjne udostępniały transmisje na żywo z ulic miasta, gdzie ludzie wylegli na ulice, ciesząc się z przeforsowania ustawy. Zapowiadała się całonocna impreza. Widząc to, Doris na nowo poczuła wątpliwości, kto ma właściwie rację.

Zjadła na tarasie przygotowany przez Roberta lunch. Trudno będzie się znów przestawić na skromne życie, pomyślała.

Dlaczego właściwie tu siedzę, skoro nic nie robię? Z lenistwa? Może ze strachu, że nie będę wiedziała, co się dzieje?

Zerkała mimowolnie na trzy wieże, ale trwały bez dalszych uszczerbków.

–Za dwa miesiące, jak przyjdą jesienne burze, odpadnie więcej – powiedziała do siebie.

„Do szpitala w North Cruise przyjęto sześć osób z objawami choroby popromiennej. Dwie z nich są w stanie ciężkim. Wszyscy byli turystami biorącymi udział w jednej z modnych ostatnio wycieczek na biegun północny. Dwa dni temu byli świadkami katastrofy samolotu przewożącego radioaktywny ładunek. Ustaliliśmy, że to od nich pochodzi informacja o katastrofie”.

Doris zmarszczyła brwi. Może i lepiej, że informacje ukazują się w cieniu radości z przepchnięcia ustawy. Mniej ludzi będzie to weryfikować, a zainteresowani i tak się dowiedzą. Informacje z bieguna miały priorytet trzy, więc było tym mniej prawdopodobne, by ktoś przypadkowy do nich dotarł.

Tknięta przecuciem, wysłała do szpitala w North Cruise zapytanie o dokładniejszy stan pacjentów. Sygnatura biura senatorskiego powinna sprawić, że nie splawią jej byle czym.

Odpowiedź przyszła po kwadransie, rozszerzona o standardową, zapewne dodawaną automatycznie przez serwer, notkę kondolencyjną z powodu śmierci Griffina.

Doris przewinęła szablonowe grzeczności i dotarła do sześciu skróconych, w stopniu, w jakim nakazywała to tajemnica lekarska, odpisów z kart pacjentów. Dwie karty miały linki do aktów zgonu wypisanych godzinę wcześniej.

Fikcja czy prawda? Próbowała odszyfrować wypełnione łaciną formularze. Jeśli tak, to pora zacząć bać się własnego sumienia.

Wysłała krótką wiadomość do pana Gaunilo: „Czy ten samolot i turyści to pana dzieło?”.

Odpowiedź przyszła po kilku sekundach: „Oczywiście”.

„Czy ktoś zginął?”

„Zginęli fikcyjni ludzie w wyniku fikcyjnego skażenia”.

„W Pana wczorajszym raporcie nie ma wzmianki o szpitalu”.

„Nie zdradzamy naszych metod nawet klientom”.

I cóż ma znaczyć taka odpowiedź? Może facet zmyśla? Może nic nie robi, tylko podpisuje się pod dziełem przypadku?

Zawołała Roberta i zapytała:

–Czy senator Griffin dobrze znał pana Gaunilo?

–Nie ufał mu. Pana Gaunilo wynalazł Haines. Senator był przeciwny współpracy z nim, ale nie znał nikogo lepszego.

Dopiero teraz pomyślała, że być może Robert chciał być na pogrzebie. Nie zaproponowała mu wolnego dnia. Za późno.

–Czy senator miał jakiś sprzęt turystyczny?

–Podróżował niechętnie. Pakował się w jedną walizkę i neseser.

–Wiesz, gdzie można kupić skafander na wycieczkę na białym?

–Może pani wykupić miejsce. Biura podróży oferują tam wycieczki.

–Wolę turystykę indywidualną.

–Skafander można bez problemu kupić w miastach wysuniętych dalej na północ. Tutaj trzeba by sprowadzać. Muszę panią ostrzec, że taka wycieczka, nawet z doświadczonym przewodnikiem, jest dość niebezpieczna.

–Wiem. Chciałabym też, żeby Haines nie dowiedział się o tym od razu.

–Ja mu nic nie powiem, dopóki sam nie zapyta.

–Hm... A może wiesz też, gdzie kupić miernik promieniowania?

–Niestety nie.

Ale jesteś mądra, skarciła się w myślach, gdy Robert odszedł. Nic nie zyskałaś, wypłatałaś mu wszystko, a on to przecież powtórzy.

Wysłała wiadomość do Allena, prosząc go o spotkanie.

*** * ***

Dwie godziny później siedzieli w kawiarni. Patrzyła na niego, nie wiedząc, jak zacząć.

–Suche powietrze i dużo promieniowania UV – wyręczył ją Allen. – Mimo ochronnych ubrań i okularów skóra się niszczy.

–Ludzie szybciej się starzeją.

–Szczególnie widać to po kobietach; mają delikatniejszą skórę. - Postawił przed nią na stoliku małe pudełko. – To dla ciebie.

Zaskoczona, otworzyła je. Okrągły słoiczek z białym kremem.

–Krem na zmarszczki?

–Krem przeciw zmarszczkom. Profilaktyka.

Wychyliła się przez stolik i pocałowała go w policzek.

–Dziękuję.

–Wydaje mi się, że tym razem ty coś ode mnie chcesz.

–Chciałabym jeszcze raz „wypożyczyć” ciebie i kopter. Tym razem z pilotem. Na kilka dni.

–Gdzie chcesz polecieć?

–Na biegun północny.

Allen patrzył na nią dłuższą chwilę.

–Po co chcesz tam lecieć?

–Nie dla przyjemności. Chcę coś sprawdzić, ale to dłuższa historia. Kawiarnia nie jest dobrym miejscem do jej opowiadania.

–Kiedy chcesz wyruszyć?

–Jak najszybciej.

Allen oparł się i pociągnął większy łyk smakującego błotem espresso. Uśmiechnął się szeroko i oznajmił:

–Robię kurs pilotażu. Potrafię już samodzielnie latać. Pogadam z panem Sandlerem, to mój instruktor. Umówię się na codzienne lekcje. Za tydzień zdam egzamin. Wszystko będzie legalne i bezpieczne.

–Tydzień to długo, ale nie znam nikogo, komu mogłabym zaufać. – Uśmiechnęła się.

– Muszę więc zaczekać. Już szukaj maszynę.

–Kopter ma za mały zasięg. Polecimy samolotem do North Cruise. Stamtąd dostaniemy się na biegun w dwa dni.

–Skąd przyszła ci do głowy ta nazwa?

–To najdalej na północ wysunięte miasto na Marsie. Stamtąd startuje większość wycieczek na biegun. Tam można pożyczyć odpowiedni sprzęt.

–Skąd wiesz?

–Dużo czytam. Kiedy dowiem się, po co tam lecimy?

–Przejdźmy się.

Zapłacili i wyszli na zatłoczony, buchający upałem chodnik. Dziewczyna wzięła Allena pod rękę i ruszyli wolno, jak para zakochanych.

–To, co ci powiem, musisz zachować dla siebie – zaczęła, szepcząc mu niemal do ucha. – Za dwa tygodnie wydarzy się coś istotnego. Nie wiem, od czego zacząć... Griffin stworzył projekt sprowadzenia na Marsa komety.

–Projekt Waterfall. Czytałem o nim.

–Projekt jest bardziej zaawansowany, niż jest to oficjalnie podawane.

–Znaleźli już odpowiedni obiekt?

–On już tu leci i nie będą go wprowadzać na orbitę. Za dwa tygodnie uderzy w biegun.

Allen poczuł ciarki na plecach, ale nawet nie drgnął.

–Dlatego tak się zmieszałaś w restauracji? – zapytał.

Przytaknęła.

–Nikomui nie powiem – zapewnił. – Nawet nie wiem, komu mógłbym.

–Mam nadzieję.

–Dlaczego mi o tym mówisz?

–Ponieważ uważam, że moi pracodawcy posunęli się zbyt daleko. Moim zadaniem było sprawić, by podczas impaktu w okolicy bieguna było jak najmniej ludzi. Griffin nie zdążył przekazać mi istotnych informacji, a jego asystent, Hope Haines, mnie zbywa. Poleciał mi tylko pana Gaunilo, człowieka, który mógłby mi pomóc. Wynajęłam go. Nie miałam i nadal nie mam pomysłów, jak zniechęcić ludzi do wycieczek na biegun. To znaczy... miałam jeden, a pan Gaunilo go realizuje. Nie żyje już dwóch ludzi, a czterech pozostałych zapewne umrze w ciągu kilku dni. Są dwie możliwości: pan Gaunilo albo nic nie robi i podpisuje się pod przypadkową katastrofą, albo wywiązuje się z zadania zbyt dobrze. Sprawdziłam szpital, w którym umarli, ale to może być część zasłony dymnej, za którą sama płacę. Po tym, co mi powiedziałaś w restauracji, w ogóle nie wiem, co o tym myśleć.

–Chcesz więc przekonać się na własne oczy?

–Wynajęcie na kilka dni koptera nie uszczupli w widoczny sposób budżetu projektu.

–Co zrobisz, jak już się dowiesz?

–Nie mam pojęcia. Nie mogę narażać projektu. Widziałeś, w jakim stanie są wieże. Dziś rano od jednej odpadł zbiornik.

Dalej szli w milczeniu, ale dziewczyna wciąż nie puszczała jego ramienia.

Słońce opadało ku dachom budynków. Tłum na chodniku nie gęstniał, ale robił się bardziej nerwowy. Kilku młodych mężczyzn przebiegło na drugą stronę ulicy, roztrącając przechodniów.

–To się przerodzi w demolkę – powiedział Allen. – Widziałem nieraz takie imprezy uliczne. Zawsze kończyło się burdami.

–Ludzie się cieszą. Tu nie ma alkoholu.

–Wystarczy, że są ludzie.

Srebrna limuzyna podjechała przed szerokie schody prowadzące do świecących matową żółcią przeszklonych drzwi rezydencji. Hope Haines otworzył drzwi i zeskoczył na ziemię, nie czekając na wysunięcie się hydraulicznych schodków. Była już noc. Z oddali, zza bram ogrodzonego osiedla, dochodziły dźwięki rozkręcającej się dopiero ulicznej zabawy. Już słychać było brzęk tłuczonego szkła i zbliżającą się syrenę policyjną.

Hope poprawił marynarkę i muchę, po czym zaczął wspinać się po schodach. Nim dotarł na szczyt, drzwi otworzyły się. Lokaj gestem zaprosił go do środka.

Przestronny hall ze starymi palmami w drewnianych donicach, na podłodze mozaika w szachownicę i... właściciel w szlafroku.

–Czyżbym przyjechał za późno? – zapytał zaskoczony Hope.

–Nic podobnego. – Senator Jonathan Goodall wyciągnął do niego dłoń. – Dopiero zaczynamy.

–Co... zaczynamy?

Tamten już szedł w stronę bocznego korytarza, gestem nakazując Hainesowi podążać za sobą.

–Dziękuję za raport, który mi pan przesłał – powiedział, odwracając na chwilę głowę.
– To nam oszczędzi niepotrzebnych kosztów.

–Richard chciał go opublikować.

–Domyślam się, ale nie spełnimy jego ostatniej woli.

Doszli do ciężkich, łukowatych drzwi. Senator otworzył je, wypuszczając na korytarz kłąb gorącej pary, i zniknął wewnątrz pomieszczenia. Hope biorąc głęboki oddech, poszedł w jego ślady. Po zamknięciu drzwi różnica temperatur znikła i para stała się bardziej przejrzysta. Było tu jednak tak ciepło i wilgotno, że od razu się spocił na całym ciele. Zszedł za senatorem po kilkunastu stopniach.

Senator Goodalf był niski i gruby, a do tego łysiał. Obiektywnie oceniając, brzydal. Choć był całkowitym przeciwieństwem rodowitego Marsjanina, przeciętni ludzie go uwielbiali. Jego mistrzostwo przejawiało się w mowie. Potrafił zaczarować słuchacza słowami.

Zatrzymali się w niewielkim przedsionku przed basenem o regularnym kształcie,

wystylizowanym na fragment rzymskiej łaźni. Sklepienie ginęło w mlecznej mgle, a zza ścian sączyła się monotonna muzyka.

–Nie wziąłem odpowiedniego stroju – powiedział kompletnie zaskoczony Haines.

–Jakiego stroju? – Senator zdjął szlafrok i powiesił go na wieszaku. Nie miał nic pod spodem. Zatarł ręce i ruszył do basenu. Hope stał, nie wiedząc, co robić.

–Mam się rozebrać?

–Inaczej zmoczy pan sobie ubranie.

Chcąc nie chcąc, rozebrał się szybko i wzorem senatora wszedł do wody. Usiadł na podwodnym stopniu. Woda miała idealną temperaturę.

–Nigdy nie byłem w basenie. Nie umiem pływać...

–Więc proszę nie pływać. Widzi pan tamte nimfy? – Senator wskazał oddalony o piętnaście metrów przeciwny brzeg. Za woalami pary, zanurzone po pas w wodzie siedziały dwie nagie kobiety. Uśmiechnęły się do mężczyzn i wróciły do przerwanej rozmowy, zerkając jednak co chwilę w tę stronę. - One umieją pływać. Przyplyną do nas, gdy skończymy. Ale to wcale nie znaczy, że musimy się spieszyć. Wyczekany deser lepiej smakuje, a następni goście zjawią się najwcześniej za godzinę.

Ubrana w półprzezroczysty szlafroczek dziewczyna postawiła obok mężczyzn drinki.

–Chciał się pan ze mną spotkać – powiedział Hope, nie pozwalając, aby niecodzienna sceneria go rozproszyła.

Senator ochlapał sobie wodą twarz, zamrugał i zaczął mówić:

–Nasza działalność jest opisywana przez oponentów, do których i pan się przecież zalicza, jako bezmyślna zachłanność. Tymczasem pragniemy tego samego, co i wy: przetrwania. Różni nas to, że my jesteśmy realistami. Wie pan, jakie są prognozy skutków wzrostu stężenia tlenu o zaledwie cztery procent? Takie ambitne założenia stawiał Richard przed projektem Waterfall, zanim nie obciążliśmy mu budżetu.

Hope nie wiedział.

–Najważniejsza sprawa: bez kosztownych przeróbek przestaną działać silniki odrzutowe, a nawet silniki w buldożerach chroniących miasta przed piaskiem. Przestaną działać to mało powiedziane. One eksplodują. Terraformowanie to nie zabawa. Pierwszy deszcz oznacza co najmniej kilka tysięcy ofiar śmiertelnych w samym Nowym Londynie. Pierwszy deszcz to porażenia prądem z nieizolowanych

urządzeń, zawalenia podmytych budynków, zalanie tuneli metra, paraliż sieci energetycznej i teleinformatycznej, początek korozji stalowych konstrukcji. Nie będę wymieniał dalej, bo dalej jest tylko gorzej.

–To chyba zbytne czarnowidztwo.

–Richard chciał terraformowania bez oglądania się na skutki. Miał rację, mówiąc, że się zanadto pośpieszyliśmy, ale tego już nie da się cofnąć. Powiadam więc, że on też się za bardzo pośpieszył. Jesteśmy tu, a środowisko jest takie, a nie inne. Ekonomia zmusiła ludzi do budowania cywilizacji technicznej dostosowanej do istniejącej sytuacji. Sama izolacja wodna i odprowadzenie wody zwiększa koszt budynku o jedną trzecią. Kto, sto lat temu, ładowałby tyle środków, broniąc się przed deszczem, który może nigdy nie spaść? Tu nie ma nawet szczątkowej kanalizacji miejskiej. Odparowane ścieki są zbyt cenne, by się ich pozbywać.

–Przyzna pan jednak, że panujące tu warunki nie są dla nas korzystne.

–Jak widać, ludzie potrafią w nich żyć. Więcej tlenu, więcej wody... Gdy na niebie pojawią się gęściejsze chmury deszczowe, pojazdy zasilane energią słoneczną staną się bardzo mało efektywne. Podobnie z elektrowniami słonecznymi. I tak skromne plony ze szklarni przydomowych zmniejszą się. Pierwsze morza... Wie pan, ile ludności żyje na terenach, które Griffin zaplanował pod pierwsze morza?

–Niestety...

–Trzydzieści procent. Hellas i Argyre robią dostateczne wrażenie, żeby długo nie szukać. Wie pan, z czego tutaj buduje się domy?

–Domy mieszkalne? Z piasku i kamieni sklejonych żywicą.

–Przy braku deszczów taki materiał jest doskonały dla niewielkich budynków. Piasek mamy za darmo z pustyni, żywicę sprowadza się z Ziemi lub otrzymuje z przetworzonych liści jakichś tam buraków – tak się zastępuje ropę naftową. Można użyć mniej lub więcej żywicy. Jeśli w powietrzu nie ma wilgoci, wystarczy dodać jej o połowę mniej – i cena znacząco spada. Tak czyniono niemal we wszystkich domach mieszkalnych na Marsie. Te domy rozsypią się po pierwszym deszczowym sezonie. Hope miał ponurą minę.

–Czego więc pan chce? – zapytał. – Może pan uznać formatowanie wstępne mojej osoby za zakończone i przejść do rzeczy.

–W jednym się zgodzę ze świętej pamięci Richardem Griffinem. Nie można was nazwać ekologami. Bardziej my pasujemy do tego miana. Pragniemy zachować tę planetę taką, jaka jest. No, prawie. Kilka drobnych korekt, powolny, nawet bardzo powolny, dryf w stronę ziemskiego klimatu. Trzysta lat... Skala niewyobrażalna dla

jednostki, ale nie można się spieszyć. Ekonomiczne skutki szybszej zmiany klimatu przerosły próg tolerancji społecznej.

–Na razie ciągnie pan w przeciwną stronę.

–Ustawa Paliwowa? – zaśmiał się Goodall. – Oznacza rozwój rolnictwa. Rzeczywista produkcja tlenu przez fotosyntezę. Same korzyści. Spadek stężenia tlenu będzie chwilowy i niewielki. Wie pan, że za dwa, trzy lata zaczną raptownie rosnać bezrobocie? Problem dotychczas niemal pomijalny. Wie pan, czym to grozi. Zasilanie z Ziemi kończy się i będziemy musieli zająć się sami sobą. Dotychczasowy powolny wzrost zawdzięczaliśmy przecież pępowinie, która zostanie przecięta. Ziemia nie chce na nas dalej łożyć, ale chce nami rządzić.

Hope spojrzął na swoje palce u nóg, myśląc nad czymś intensywnie. Zwykle szybko podejmował decyzje, więc i tym razem nie trwało to długo.

–Musi pan wiedzieć coś jeszcze o projekcie Waterfall – powiedział.

Goodall spojrzął na niego lekko rozbawiony. Jego pucułowatą twarz pokrywały drobniutkie kropelki wody.

–Doceniam to, że mi pan o tym mówi, chociaż wiem o tym od dawna.

Hope zbladł i zaskoczony zapytał:

–I nic pan nie zrobił?

Senator pokręcił głową.

–Niezależnie od tego, co uważamy za słuszne, musimy robić to, czego oczekują od nas ludzie. A ściślej mówiąc, tak to powinno wyglądać z zewnątrz. Oficjalnie nic nie wiem o postępach projektu. Może pan to nazywać populizmem. Ja nazywam to sztuką utrzymania władzy. Oczywiście, że dalsze terraformowanie jest konieczne, choć wolniejsze i w znacznie skromniejszym zakresie, niż tego chciał Richard. Przekonamy się, jaki będzie efekt zderzenia... Szczerze mówiąc, spodziewałem się, że wstrzyma projekt przy tak wyraźnym sprzeciwie Senatu i społeczeństwa. Może i lepiej, że nie żyje. Jeśli nie docenił skutków impaktu, to wkrótce stanie się najbardziej nienawidzonym człowiekiem na Marsie.

–Ja też nie będę zbyt popularny – mruknął ponuro Haines.

Senator pociągnął łyk drinka z wysokiej szklanki i powiedział:

–Podoba mi się pana lojalność wobec Richarda. Mam nadzieję, że w odpowiednich okolicznościach będzie ją pan potrafił, że tak powiem, zresetować. Richard

wykorzystał was, poświęcił dla sprawy. Nikomu ze współpracowników nie powiedział, jak wygląda prawda.

–Richard Griffin nie żyje. Moja lojalność kończy się za dwa tygodnie.

–Przegrał i tak.

–Był dobrym politykiem. Poglądy, jakie wyznawał, stały się niepopularne.

–Dobry polityk nigdy nie wyznaje niepopularnych poglądów. Zmienia je zawczasu. Przydałby mi się ktoś taki jak pan.

–Byłbym niewygodnym współpracownikiem...

–Wprost przeciwnie. Zostanie pan bohaterem i w następnych wyborach będzie pan miał zapewnione miejsce w Senacie. Proszę to zostawić mnie.

Odrzucił głowę do tyłu, śmiejąc się na cały głos. Drgające zwały tłuszczu wprawiały powierzchnię wody w delikatne falowanie.

Nimfy przerwały rozmowę, odepchnęły się od brzegu i powoli zaczęły płynąć w ich stronę.

Allen zszedł po stopniach na płytę lotniska. Z luku bagażowego odebrał swój plecak i wielką walizkę Doris. To była jedyna walizka wśród bagaży. Do tego widać było, że jest droga, a złote inicjały „RG” zwracały uwagę wszystkich. Chłopak uniósł lekko brwi i postawił walizkę na ziemi. Chwycił za boczną rączkę i pociągnął w stronę budynku dworca. Z głośnym terkotem potoczyła się na kółkach, wzbudzając nieukrywane zainteresowanie obsługi naziemnej lotniska. Doris szła obok, nie zwracając na to uwagi.

Było tu chłodniej niż w Nowym Londynie, tym bardziej że zbliżał się wieczór. Na tej szerokości geograficznej zmierzch zapadał bardzo powoli. Niebo miało inny odcień czerwieni, sunęło po nim kilka postrzępionych chmur. Ponoć zimą bywały dni, kiedy całe zasnuwało się różowawą mgiełką, zza której słońce wyglądało jak kula świecącej pary.

–Nigdy nie byłam w innym mieście na Marsie – wyznała Doris, rozglądając się. Dłużej zawiesiła wzrok na chmurach.

–Ja też nie – mruknął chłopak.

–Zły jesteś o tę walizkę?

Skierowali się wprost do budynku administracji. Obok, w równym rzędzie, stało pod gołym niebem piętnaście kopert. Na samym końcu płyty parkowały dwie nieoznakowane maszyny. Kręciło się wokół nich kilka osób.

Weszli do budynku i stanęli przy ladzie, za którą siedział otyły, wąsaty urzędnik zapatrzony w terminal wyświetlający film. Nie zwrócił na nich uwagi.

–Chcielibyśmy pożyczyć kopert na trzy dni.

–Po co na trzy dni? – zapytała zaskoczona Doris.

–To daleko. Konieczne jest międzylądowanie na podładowanie akumulatorów.

Urzędnik zatrzymał film i ze znudzonym wyrazem twarzy zapytał:

–Mogę zobaczyć pana licencję?

Allen wyciągnął z kieszeni palmtop i puknął w ekran, wysyłając numer licencji na serwer administracji lotniska. Urzędnik porównał identyfikację i zmarszczył brwi, widząc wczorajszą datę wydania.

–Normalnie współpracujemy wyłącznie z agencjami – powiedział. – Ale od kilku dni...

jesteśmy bardziej elastyczni.

–Widział pan tych ludzi? – zapytała niespodziewanie Doris.

–Nie, ale wiem, jak wyglądali... To małe miasto. Pan płaci?

Allen pokręcił głową i wskazał kciukiem na dziewczynę, która wstukala w swój palmtop kody i przesłała żadaną sumę.

–Kiedy chcą państwo lecieć?

–Za trzy godziny. Gdzie możemy zostawić bagaże?

–Załadujcie je do maszyny. Skafandry i butle wyda wam obsługa. Jaki numer chcecie? Wolne są wszystkie...

–Weźmiemy trzynastkę.

Urzędnik wyraźnie się zdziwił, ale nie skomentował.

–Nie jestem przesadna, ale czemu wybrałeś ten numer? – zapytała Doris, gdy załadowali bagaże i wyszli na główną ulicę miasta.

–Ma najmniejszy przebieg.

North Cruise było tak niewielkim miastem, że nie istniała tu nawet komunikacja publiczna. Wszędzie można było dojść piechotą lub za grosze dojechać taksówką. Zabudowa, jak wszędzie na tej planecie, była zwarta, a większość gmachów publicznych ulokowała się blisko centrum. Szpital był tylko jeden i od razu go znaleźli.

Nie byli jedynymi, którzy chcieli zobaczyć rannych. Przed schodami szpitala koczowało kilkunastu reporterów, a wstępu do środka broniło czterech policjantów. Doris pewnym krokiem podeszła do najwyższego stopniem.

–Chciałabym porozmawiać z rannymi. Jestem z biura senatora Griffina.

Pokazała ekran palmtopa z wyświetlonym identyfikatorem.

–Ale nie jest pani senatorem – powiedział policjant, nawet nie prosząc o potwierdzenie identyfikacji. – Senator nie żyje.

–Biuro senatora nadal działa – nie ustępowała Doris. – Skażenie promieniotwórcze może mieć znaczenie dla prowadzonych przez nas projektów. Nie może mi pan odmówić dostępu do rannych.

–Owszem, mogę. Musiałaby pani mieć upoważnienie. Może je wydać senator Grant. To zdaje się następca Griffina.

Doris odeszła na bok i wysłała wiadomość do Hainesa:

„Potrzebuję adres Granta”.

Odpowiedział po trzydziestu sekundach:

„Nie było cię dzisiaj w pracy”.

„Ja właśnie jestem w pracy! Daj mi ten adres”.

„Gdzie jesteś?”

„Na Marsie! Potrzebuję tylko adresu”.

„Powiedz, gdzie jesteś”.

„North Cruise”.

Chwila przerwy.

„Co tam robisz?”

„Sprawdzam pana Gaunilo”.

Odpowiedzią był adres Grania. Doris od razu go wykorzystwała:

„Panie Senatorze. Nazywam się Doris Westwood. Poznaliśmy się w apartamencie Hopa Hainesa. Przyjął mnie do pracy na kontrakt miesięczny Pana poprzednik, senator Griffin. Zajmuję się naziemną koordynacją projektu Waterfall. Potrzebuję Pana upoważnienia na spotkanie z pacjentami szpitala w North Cruise. Ma to ścisły związek z projektem”.

Usiadła na murku obok schodów i zauważyła, że kamień jest zimny. Nie nagrzał się w ciągu dnia, co zwiastowało wyjątkowo chłodną kolejną noc. Allen usiadł obok. Miała ochotę przytulić się do niego, ale odpędziła tę myśl.

Palmtop potrójnym piskiem oznajmił przyjście wiadomości:

„Pamiętam cię. North Cruise nie ma żadnego związku z projektem. Proszę wracać do Nowego Londynu i dalej wykonywać swoje obowiązki”.

Nie śmiała nalegać.

–Muszę wymyślić coś, żeby tam wejść – mruknęła pod nosem.

–Pomogę ci.

–Nie. Zrobię to sama. Spotkajmy się za dwie godziny na lotnisku.

–Jak chcesz. Będę czekał w maszynie. Muszę i tak skompletować ekwipunek.

–Nie chcę lądować – zaprotestowała. – Przelecimy tylko nad miejscem katastrofy, jeśli to była katastrofa, i wrócimy. Muszę tylko zobaczyć, czy to prawda.

–A jeśli nawali silnik?

–Dlaczego ma nawalić? Ma mały przebieg.

–Jesteś kobietą, nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

Wstał, pocałował ją w policzek i odszedł. Odprowadziła go wzrokiem i zaczęła się zastanawiać, jak przejść niezauważoną obok policjantów.

Może udać omdlenie? Zabiorą mnie chyba do szpitala, pomyślała. Nie, nie tak łatwo oszukać lekarzy...

Obeszła budynek. Z tyłu było podwórko otoczone murem. Zbyt wysokim, by się na niego wspiąć. Szkoda, że Allen poszedł... Furtka! Nacisnęła klamkę. Zamknięta. Stała obok, zastanawiając się, co dalej.

–Chwileczkę, dziecko. Już otwieram.

Tego się nie spodziewała. Staruszek na wózku inwalidzkim bez napędu, z wyraźnym wysiłkiem chudych rąk, podjechał do furtki i nacisnął klamkę po wewnętrznej stronie. Nie rozległ się żaden alarm, furтка po prostu się otworzyła. Doris weszła do środka, zamykając ją za sobą. Podwórko, jak i większość podwórek na tej planecie, było pomarańczowym klepiskiem. Jedynie przy drzwiach do budynku w donicy z przezroczystą przykrywką rosło rachityczne drzewko.

–Zapominają o mnie – powiedział staruszek. – Albo mają nadzieję, że kiedyś tu zamarznię na śmierć i będą mieć mnie z głowy.

–Zostawili tu pana?

–Zwykle sam wracam, ale dziś wieje wiatr z północy. Jeśli wieje północny wiatr, leci złe powietrze i trudno oddychać. Lepiej wtedy spokojnie przeczekać i nie przemęczać się. Ludzie tutaj i tak żyją krócej.

Rzeczywiście robiło się chłodno. Doris chwyciła rączki z tyłu wózka i pchnęła go w

kierunku wejścia.

–Na prawo od drzwi jest magazynek z garderobą – powiedział staruszek.

–Skąd pan wie, po co przyszłam?

–Nie jesteś złodziejką, znam się na ludziach. Chcesz zobaczyć tych turystów, prawda? Jesteś reporterką?

–Nie. Chcę ich zobaczyć... żeby się upewnić.

–Nie mów, jeśli nie chcesz. Zostaw mnie w korytarzu, odwrócę uwagę recepcjonistki.

Chwilę później w stroju pielęgniarki szła niepewnym krokiem w stronę recepcji. Innej drogi nie było. Staruszek już tam dojechał i zagadywał recepcjonistkę. Robił to tak skutecznie, że ta nie zwróciła najmniejszej uwagi na Doris, która weszła na schody na piętro. Gdy odwróciła się, staruszek puścił do niej oko. Uśmiechnęła się i odpowiedziała tym samym.

Szpital był za duży na potrzeby tak małego miasta. Połowę pacjentów, jeśli nie więcej, stanowili turyści. W ostatnich dniach personelu było więc mniej niż zazwyczaj, a sale świeciły pustkami. Korytarze pogrążały się w półmroku oszczędnego oświetlenia. Słońce nie dawało już prawie światła.

Gdzie oni mogli być? Gdzie umieszczono by napromieniowane osoby? Skoro na planecie nie było źródeł sztucznego promieniowania, w szpitalu na peryferiach nie potrzebowano odpowiedniego oddziału. Może najbardziej pasują poparzenia? Poparzenia i odmrożenia leczy się podobnie, a odmrożeń muszą tu mieć całkiem sporo.

Starając się nie zwracać niczyjej uwagi, obeszła mroczne korytarze i wspięła się na drugie piętro. Zajrzała do kilku sal. Po plecach przeszły jej ciarki. Puste zasłane łóżka czekały na ofiary wypadków, które jeszcze nie miały miejsca.

Przed jedną z sal stało dwóch mężczyzn w identycznych garniturach. Tak, to by było za proste... Skręciła w pierwszy z brzegu korytarz i zaczęła się zastanawiać, co dalej.

Trzy piknięcia sprawiły, że niemal podskoczyła do góry. Palmtop! Zapomniała go wyciszyć. To była wiadomość z wyszukiwarki:

„Materiał radioaktywny w samolocie, który uległ katastrofie na biegunie północnym, był odpadem najprawdopodobniej z ziemskiej elektrowni nuklearnej. Nie mógł być użyty jako paliwo ani broń. Z niepotwierdzonych źródeł wiadomo, że na pokładzie

samolotu zginął agent rządowy”.

Wiadomości o katastrofie miały już priorytet jeden, co znaczyło, że wiedzieli o nich niemal wszyscy obywatele Marsa.

Misja została wykonana, pomyślała Doris. Nikt tu nie przyleci przez dłuższy czas. Czemu więc nie wracam do Nowego Londynu dalej udawać, że pracuję?

Za załomem korytarza rozległy się kroki. Zbliżały się. Dziewczyna nie znalazła w zasięgu wzroku miejsca, by się schować. Zajęła się więc studiowaniem zawartości palmtopa. Obok przeszło dwóch sanitariuszy, jeden pchał wózek, na którym leżało ciało przykryte prześcieradłem. Tamci w garniturach szli kilka kroków dalej. Młodszy odwrócił się i zlustrował ją od stóp do głów. Uśmiechnęła się i wróciła do przeglądania palmtopa.

Gdy mężczyźni zniknęli za kolejnym załomem korytarza, dziewczyna schowała palmtop do kieszeni i wyjrzała zza rogu. Przed salą nie było teraz nikogo. Rozejrzała się i najbardziej naturalnym krokiem, na jaki ją było stać, podeszła do drzwi. Stało tam sześć pustych łóżek.

Co teraz robić? Sprawdzać kostnicę? Dała temu spokój. Zdjęła fartuch i czepek i cisnęła je do kosza na brudne tekstylia. Zeszła po schodach do głównego hallu i mijając zdziwioną recepcjonistkę, wyszła głównym wejściem. Policjanci jej nie zatrzymali. Widocznie polecono im jedynie nikogo nie wpuszczać. Reporterzy z nadzieją unieśli głowy, ale uznali, że nie warto jej nagabywać. Prawdopodobnie znali twarze lekarzy zajmujących się rannymi.

Marznąc po drodze, w kilka minut doszła do lotniska. Zupełnie nowe uczucie. Mechanik kończył opowiadać Allenowi o specyficznych warunkach nad biegunem:

–Kolczaste płozy zamiast kół umożliwiają wylądowanie na pochyłym zboczu, ale ostrożnie – to zdradziecki teren. Podczas lądowania radzę trzymać wysokie obroty. Nasze maszyny mają wydajniejsze akumulatory. Traktuj to jako rezerwę. Gdy poziom energii spadnie poniżej trzydziestu procent, wracaj do bazy. Tam możesz nie mieć słońca przez miesiąc.

Allen podziękował i pożegnał się z mechanikiem. Pomógł dziewczynie założyć kombinezon termiczny i hełm. Chwilę siedzieli jeszcze przypięci pasami, po czym chłopak zrobił trzy głębokie oddechy i rozpoczął sekwencję startową.

–Co on miał na myśli, mówiąc „nie mieć słońca”? – zapytała Doris, gdy silnik nabierał obrotów.

–Może chodziło mu o parę wodną. Para może przesłonić niebo jak londyńska mgła. Efektywność lądowania spada nawet dziesięciokrotnie. Może też mówił o zimie i

kilkumiesięcznej nocy...

–Trudno mi to sobie wyobrazić.

Z głośnym sykiem wystartowały rotory. Allen przeleciał wzrokiem po kontrolkach. Wszystko wydawało się w porządku. Poprosił o pozwolenie na start i dostał je natychmiast.

Maszyna leniwie oderwała się od ziemi i uniosła na kilkanaście metrów. Allen bardzo nie chciał wyglądać na początkującego, ale też wolał wyczuć maszynę przed ostrzejszymi manewrami. Pchnął stery i lotnisko, a wraz z nim całe miasto, zaczęły się oddalać.

Już po chwili znaleźli się nad pustynią. W świetle zachodzącego słońca ujrzeli kilkanaście smukłych wież podobnych do nieczynnych skraplaczy z opustoszałej farmy.

–Co to jest? – zapytała Doris.

–To elektrownie piezoelektryczne. Czerpią energię z różnic temperatur między dniem a nocą. Są wydajniejsze i trwalsze niż elektrownie kominowe. I nie mają wlotów, ani części mechanicznych, które się zatykają.

–Wyglądają jak wieże elektrolityczne.

–Są wieżami, żeby nie zasypywał ich piasek. Na pustyni to bardzo dobry kształt.

Godzinę później zamiast piasku przesuwaly się już w dole zwaliska kamieni i większe, popękane skały. Potem zrobiło się ciemno.

Na tej szerokości geograficznej i o tej porze roku noc była krótka. Ledwo słońce wyłoniło się zza horyzontu, wylądowali, by się przespać i podładować baterie. Koło południa wyruszyli w dalszą podróż.

Kilka godzin później na horyzoncie zamajaczyła linia o innym kolorze. Była szarawa, postrzępiona i jakby nieostra. Przypominała front burzy piaskowej.

–Para wodna – wyjaśnił Allen. – Większość czapy to dwutlenek węgla, ale jest tam i woda. Dwutlenku nie widać, bo przechodzi ze stanu stałego od razu w gazowy. Woda tworzy chmury.

Minęli parujący rejon. Były to języki lodowca, a za nimi rozciągała się wielka biała równina. Początkowo monotonna, by potem przybierać coraz ciekawsze, bardziej urozmaicone formy. Biegnące obok siebie, poskręcane wąwozy miały może metr szerokości każdy, ale za to ich dna nie dawało się dostrzec. Oddzielały je od siebie

niewiele grubsze ściany. Dalej wąwozy ustąpiły miejsca dolinom z kolumnami zbudowanymi ze struktur przypominających wyglądem pumeks. Ich szczyty pamiętały stok lodowca sprzed kilku lat.

–Jest ogromny – powiedziała dziewczyna. – Wydawało mi się, że lodowiec powinien się kurczyć, skoro klimat się ocieplił.

–Wzrosła wilgotność, więc i opady śniegu.

Zostawili za sobą górę dziurawą jak szwajcarski ser. Każdy otwór był wystarczająco duży, by przeleciał przez niego kopter. Minęli wielką białą płaszczyznę kończącą się przepaścią, której dno skrywała mgła, pasmo górskie z lodowymi mostami pomiędzy zboczami i znaleźli się nad obszarem pełnym lodowych pagórków. Jakby ktoś nawcisnął w śnieg setki gigantycznych śnieżek.

Doris siedziała w fotelu drugiego pilota, kontemplując zmieniające się otoczenie. Nie odzywała się.

–Załóż maskę, lecimy już niemal w samym dwutlenku węgla – powiedział Allen i sam też przyłożył do twarzy przezroczysty kształt, który sam przyssał się do skóry.

Fantastycznie zmienne krajobrazy uciekały w tył. Radar nie pokazywał nic, poza nieostrymi konturami wzniesień. Zmieniający się skład atmosfery i skokowe różnice temperatur powodowały drobne turbulencje. Konstrukcja maszyny trzeszczała przy mocniejszych wstrząsach.

–GPS wskazuje, że cel jest trzy kilometry przed nami – poinformował Allen. – Promieniowanie minimalnie ponad normę.

Kierunkowy miernik promieniowania był przyklejony taśmą izolacyjną do wierzchu konsoli. Rura czujnika umiejscowiona przed dziobem pojazdu skierowana była lekko w dół. Odczyt powoli, acz systematycznie wzrastał. Za kolejnym wzniesieniem ich oczom ukazał się wrak samolotu. Czujnik promieniowania zaczął piszczeć alarmem. Wskazania raptownie wzrastały. Cyfry przeskakiwały tak szybko, że trudno je było odczytać.

–Czy to dużo? – zapytała Doris. Maską zniekształcała jej głos.

–Nie mam pojęcia, ale skoro włączył się alarm, to widocznie tak.

–Zrób tylko kółko nad wrakiem i zabierajmy się stąd.

Wyżłobiona przez samolot wyrwa miała trzysta metrów długości. Na jej końcu leżał przód kadłuba. Pogięty i porozrywany, ale bez śladów pożaru. W takiej atmosferze nic się nie zapalało, nawet czysty wodór. Wcześniej leżały szczątki skrzydeł i jakieś

niezidentyfikowane kształty, częściowo zatopione w lodzie. Okrążyli wrak dużym łukiem.

–Patrz! – krzyknęła przez maskę dziewczyna, wskazując coś w dole. Jeden ze szczątków poruszał się. – Co to jest? Ktoś przeżył?

Przyciemniane osłony hełmów sprawiały, że wszystko, co nie było lodem, wydawało się mieć czarny kolor.

–Nie sędzę... To robot.

–Przetrwiał upadek?

–Nie. Bada wrak. Gdzieś w okolicy, w bezpiecznej odległości, muszą być ludzie. W sumie mogliśmy na to wpaść wcześniej.

Z prawej strony, zza oddalonego o pół kilometra wzniesienia, wyłonił się kopter. Radar namierzył go w tej samej chwili, w której oni dostrzegli. Maszyna, w maksymalnym przyspieszeniu, ostro pochyliła się do przodu. Doris krzyknęła, gdy Allen zrobił to samo, skręcając jednocześnie w lewo.

–Może nie musimy uciekać? – zapytała, kurczowo trzymając się fotela.

–Oficjalna wyprawa ratunkowa dopiero się przygotowuje. Ci tutaj nie potrzebują świadków.

Silnik wszedł na najwyższe obroty i kabinę wypełnił ostry wizg zagłuszający nawet przenikliwy alarm czujnika promieniowania. Kropka na radarze wciąż się przybliżała. Trzysta metrów.

–Ma lepszy silnik? – zapytała Doris.

–Ma lepszego pilota.

Łód w zawrotnym tempie uciekał w tył. Chłopak zniżył lot, mając nadzieję zgubić myśliwego w dziwacznych formacjach lodowych. Przelecieli pod łukiem triumfalnym, potem wyskoczyli ponad abstrakcyjną rzeźbę i znów zanurkowali w dół. Allen z wyczuciem naciskał stery, przechylając maszynę i omijając lodowe słupy.

–Zaraz puszcę pawia... – oznajmiła dziewczyna.

Z głębokiej szczeliny przed nimi wydobywała się para. Obie maszyny przecięły jej wstęgi w kilkusekundowych odstępach. Za nią lodowe słupy były coraz grubsze, u góry rozszerzając się.

Dwieście pięćdziesiąt metrów.

Ciekawe, co zrobią, jak nas dogonią?, pomyślał Allen, lawirując między słupami. Zwolnił nieznacznie i uniósł przesłone przeciwsłoneczną w hełmie. Kilkaset metrów dalej szczyty słupów łączyły się, tworząc niezwykle rozległą grootę. Lecieli teraz pod powierzchnią lodu. Robiło się coraz ciemniej. Oba koptery zapaliły reflektory rzucające ruchome niebieskawe odblaski na filary podpierające sklepienie. Miejscami było naprawdę wąsko.

–Przecież widzą ich satelity – powiedziała dziewczyna. – Co im szkodzi, że zobaczyliśmy ich i my?

–Może zobaczyliśmy coś więcej.

–Ja nic tam nie widziałam.

–Im to powiedz.

Pisnął alarm kolizyjny. Radar pokazał mały punkt biegnący od drugiej maszyny w ich kierunku.

–Rakieta! – krzyknął Allen. Nim zdążył zareagować, rakieta przemknęła im pod skrzydłem i odleciała w ciemność, ciągnąc za sobą smugę szarego dymu. Chwilę później eksplodowała po zderzeniu z jakimś odległym filarem.

–Niekierowana – mruknął pod nosem. To było dziwne, ale nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Kolejna rakieta rozłupała filar sto metrów przed nimi. Allen skręcił, wybierając inną trasę. Okruchy lodu zagrzechotały o kadłub.

–Doganiają nas! – krzyknęła dziewczyna przy kolejnym zwrocie, widząc w bocznym oknie myśliwego.

–Leci za nami i nie musi szukać drogi. Niech się trochę natrudzi.

Skręcił raptownie w lewo, kładąc maszynę na skrzydło. Przeleciał przez wąską szczelinę i od razu skręcił w prawo. Po kilku zwrotach wyrównał lot. Pilot ścigającej ich maszyny zgubił go. Dystans wzrósł do czterystu metrów i myśliwy musiał kierować się ich światłem bądź namiarem radarowym, który w tych warunkach był mało przydatny. I jednocześnie omijać przeszkody.

Robiło się coraz ciaśniej. Prawdopodobnie zbliżali się do końca groty.

–Nie chce nas trafić – powiedział Allen, zawracając po dużym łuku. – Nie chce, żeby znaleziono kopter zniszczony rakieta. Rozbicie się o lód może już uchodzić za wypadek.

Pomiędzy lodowymi załomami dojrzeli światło. Część sklepienia runęła wraz ze zniszczonym filarem, ale silniki koptera widocznie zagłuszyły towarzyszący temu dźwięk. Lodowy pył ograniczał widoczność. Allen, podchodząc do otworu, niemal zatrzymał maszynę. Oceniał jego szerokość i zaczął się wolno wznosić. Pył przesłaniał widok, ale rotory częściowo go rozwiewały.

–Zmieścisz się? – zapytała, nerwowo zerkając w migotliwy mrok dookoła.

–Tak. Gorzej, jeśli jakiś większy kawałek lodu dostanie się w wirnik.

Prawe skrzydło zaskrzypiało, trąc o lód. Doris zacisnęła powieki.

Kilka chwil później kopter uniósł się nad lodowy płaskowyż. Tylko dwie wyrwy znaczyły miejsca trafień rakiet. Allen uniósł dłonie i stwierdził, że drżą. Sprawdził stan baterii: siedemdziesiąt procent. Pchnął stery, rozpędził kopter i z maksymalną prędkością pognął nisko nad lodem. Na wszelki wypadek kilkanaście kilometrów leciał w innym kierunku niż ten oczywisty, North Cruise. Dopiero potem, nie zwalniając, zakręcił i zaczął odliczać godziny do międzylądowania w jakimś osłoniętym miejscu.

Czekali na samolot powrotny, który miał wystartować za godzinę. Siedzieli w poczekalni, oparci o siebie, na krawędzi niespokojnego snu. Oboje mieli odciśnięte na twarzach różowe odgniecenia, znaczące miejsca styku z maską. Spali w nich całą poprzednią noc, bo silny wiatr nagał języki dwutlenku węgla aż do miejsca, gdzie wylądował ich kopter.

–Piloci odrzutowców wiedzą, że nie można latać nad biegunem – odezwał się Allen, przerywając długie milczenie. – To jest jak loteria. Jeśli wleci się w niewidzialną smugę dwutlenku węgla, to silniki zgasną. Samolot obniża pułap i szybując, wlatuje w coraz gęstsze opary. W końcu musi się rozbić.

Dziewczyna mruknęła potakująco i przysnęła. Po kilku minutach powiedziała:

–Gdyby rakietę trafiła, nikt by nas nie znalazł pod tym lodem.

–Te struktury są ulotne. To jeden z powodów, dla których żaden pojazd naziemny ani piechur nie dotrą na biegun. Czapa lodowa roztapia się obecnie z szybkością kilkunastu metrów rocznie. Kopter pogrzebany w tej grocie znalazłby się na powierzchni za dwa, trzy miesiące. Za dwadzieścia lat czapa polarna ma zniknąć całkowicie.

–Za kilka dni będzie tam wielka dziura.

–Może oni o tym nie wiedzą.

–A tak w ogóle, to skąd ty tyle wiesz?

–Dużo czytam.

–Znów tak odpowiadasz... – Wygodniej ułożyła głowę na jego ramieniu.

–Bo taka jest prawda. Przed naszą wyprawą poczytałem w necie o biegunie. Wszystkie te fantastyczne struktury powstają dzięki przemieszaniu lodu z wody i z dwutlenku węgla. Dwutlenek węgla sublimuje przy minus siedemdziesięciu stopniach. Woda roztapia się przy wyższej temperaturze, z postaci stałej sublimuje minimalnie. Średnia temperatura powietrza na biegunie to minus trzydzieści, więc woda dłużej się trzyma.

–Jesteś bardzo mądry – mruknęła prawie przez sen. Trzykrotne piknięcie palmtopa rozbudziło ją nieco. Otworzyła wiadomość:

„Pamiętasz rękę na kolanie? Wtedy w limuzynie?”

Otworzyła szerzej oczy i natychmiast odpisała:

„Nikommu o tym nie mówiłam”.

„Jestem w Sargass. Wierzysz mi, czy mam cię dalej przekonywać?”

„Wierzę. Dotrę do Sargass najszybciej, jak to możliwe”.

–Zmiana planów – powiedziała całkiem rozbudzona. – Lecimy do Sargass.

–Czemu nie... – mruknął przez sen chłopak. – Ale po co?

–Griffin żyje! – omal nie krzyknęła. – Wymienię bilety. Samoloty latają prawie puste, więc powinno się udać!

Pobiegła do stanowiska biletowego. Allen pokręcił głową i zmienił pozycję na twardym krześle, nie otwierając nawet oczu.

Pięć minut później siedzieli już w samolocie kołującym na pas. Ponad połowa miejsc była wolna.

–Ale fart – powiedziała podniecona Doris. – Jedyne samolot do Sargass i akurat na niego się załapaliśmy.

–Mmm... – Allen znów zapadał w sen.

–Nie cieszysz się?

–Cieszę. Ten fotel jest wygodniejszy.

–Ty mi po prostu nie wierzysz!

–Nie wierzę temu, kto do ciebie napisał.

–Po co ktoś miałby się podszywać pod senatora?

–Przyszło mi do głowy ciekawsze pytanie: dlaczego dziewczynie, którą widział pierwszy raz w życiu, opowiedział o szczegółach tajnego projektu?

–Ponieważ wiedział, że tylko dzięki temu się zgodzę.

–Właśnie. Postawił cię przed faktem dokonanym.

–Możliwe... i co?

–Wiedział, jak z tobą rozmawiać, żebyś się zgodziła. Zmanipulował cię. Pamiętaj, że

to jest polityk, a polityk to inny gatunek człowieka. To czarodziej słowa.

–Czyli jednak wierzysz, że on żyje.

–Nie wiem. Spędziłem ostatnie trzy dni na pilotowaniu dziesięciu ton stali. Częściowo pod ostrzałem. Teraz chciałbym się przespać.

Dziewczyna fuknęła z dezaprobatą i wbiła wzrok w przesuwające się za oknem budynku lotniska. Samolot po krótkim rozbiegu ostro wzbił się w górę. Nawet nie zauważyła, kiedy oczy zaczęły jej się same zamykać. Spała.

* * *

Kiedy się ocknęła, był już ranek, samolot stał na lotnisku w Sargass, a ostatni pasażerowie szli w kierunku wyjścia. Obudziła Allena i razem wyciągnęli na płytę ciężką walizkę z inicjałami „RG”

Wyszli przed budynek lotniska. Senator stał na wprost schodów, wspierając się na lasce. Szczuplejszy i opalony na brąz. Nikt z podróżnych go nie rozpoznawał. Mijali go z obu stron, jak ziarna piasku niesione wiatrem.

Dziewczyna dobiegła do niego i zarzuciła mu rękę na ramiona. Pocałowała, jakby był jej ojcem. Zaskoczyło to nie tylko Allena, ale i samego Griffina. Doris cofnęła się o krok, zdając sobie sprawę z niekontrolowanego wybuchu uczuć. Znała go przecież zaledwie od kilku dni.

–Jak się pan czuje? – zapytała, patrząc na usztywnioną nogę.

–Wkrótce to zdejmę. Niegroźne złamanie.

–Jak to w ogóle możliwe? Prawie nikt nie przeżył. Wszystko się spaliło.

–Uratowali mnie nomadowie. Ceną były trzy tygodnie podróży ich łazikiem, ale nie żałuję.

–Nomadowie?

–Też się dziwiłem, ale jak jest pustynia, to są i nomadowie. Przewożą towary między miastami. Usiądźmy gdzieś w cieniu.

Senator przywitał się z Allenem i przysiedli na ławce.

–Zastanawiałem się nad powrotem na Ziemię. Spokojna emerytura gdzieś w Szkocji albo Norwegii. Tam jest wystarczająco drogo, by nie było tłumów. Mam aż nadto pieniędzy. Pomyślałem jednak, że życie to coś więcej niż bezkolizyjna droga od urodzin do późnej starości. Tak na marginesie – to żadna przyjemność spędzić

ostatnie lata na wózku z pozycji pólężącej... Nie mam rodziny. Nie mam dzieci. Nie będę miał wnuków. Oficjalnie umarłem i to, co zrobię, to moja osobista decyzja i będzie dotyczyć tylko mnie.

Doris z Allenem patrzyli na niego niepewnie.

–A co pan zamierza zrobić? – zapytała dziewczyna.

–Nie zwariowałem, tylko się zmieniłem. Jedyne, czego mi naprawdę brakuje, to cygara, ale znajdę tu gdzieś trafikę... Myślicie, że słońce mi za mocno przygrzało? Ludzie bali się wprowadzenia na orbitę Ice Cube. Bali się, że ktoś coś źle wyliczy i kostka lodu spadnie nam na głowę. Mówili o klimacie „Jakoś to będzie” i odkładali projekt na później. Operacja wprowadzenia Ice Cube na orbitę byłaby kosztowna i czasochłonna, trudno ją przeprowadzić z zaskoczenia. Paradoksalnie więc to właśnie przesadna ostrożność ludzi sprawiła, że jedynym sposobem na dostarczenie tego ładunku jest rozbicie go o planetę.

–Nie wiem dlaczego, ale trochę mnie to niepokoi – powiedział Allen.

–Symulacje dają nadzieję, że kometa rozpadnie się w atmosferze. Do powierzchni dotrze fala uderzeniowa i kilka większych kawałków. Istnieje zagrożenie, że zostanie wzbita niewielka ilość pyłu.

Senator zrobił krótką pauzę, po czym zwrócił się do Doris:

–Przy okazji... gratuluję, drogie dziecko.

–Czego? – zapytała szczerze zdziwiona.

–Usunięcia z bieguna ludzi. Nie bądź taka skromna. Taka była twoja rola i odwaliłaś kawał dobrej roboty.

–Hope poleciał mi pana Gaunilo. Wiem już, że on naprawdę doprowadził do skażenia.

–To podobne do Gaunila. To inna szkoła myślenia: matematyka. Szóstka za dwa tysiące. Doskonale przebicie.

–Ice Cube rozpyli wszystko po całej planecie.

–Gaunilo nie jest potworem, tylko człowiekiem o małej duszy. Ma coś w rodzaju sumienia. Promieniowanie na takim obszarze stanie się nieszkodliwe. Biegun jest pusty. O to chodziło.

–Zabierzemy pana do domu. Wszystko wyjaśnimy...

–Nie – powiedział to tak stanowczo, że Doris aż podskoczyła. – Przez te trzy

tygodnie na pustyni przemyślałem wiele spraw. Cały wczorajszy dzień spędziłem na nadrabianiu zaległości w lekturze nowin politycznych. I wybrałem inną drogę.

–Projekt bez pana...

–Projekt jest bezpieczny. Goodall już o wszystkim wie i dopilnuje, by Ice Cube uderzył w cel.

Doris zmrużyła oczy, próbując zrozumieć ostatnie zdanie.

–Wydawało mi się, że to pana wróg.

–Polityczny. Polityka to inny świat. Społeczna niechęć do ekologów osiągnęła taki poziom, że Jonathan może nas wysadzić z siodła na dłużej. Jego mocodawcy przeboleją straty, byle mieć potem swobodę działania. Wszystkie nieszczęścia kolejnych lat będzie zwał na następstwa upadku. To wygodne, bardzo wygodne.

–Nie można zatrzymać Ice Cube?

–Nie o to chodzi. Można go zbić z kursu, choć to ryzykowne, ale jesteśmy tacy słabi, że drugi raz nie będziemy zdolni znaleźć i przetransportować odpowiedniej komety. Za trzydzieści, pięćdziesiąt lat ktoś obiektywnie oceni projekt i być może zechce go reaktywować. Będzie miał modelowy przykład. Gotowy rachunek zysków i strat.

–Teraz ludzie się na to nie godzą – odezwał się Allen. – Dlaczego mieliby się zgodzić za trzydzieści lat? Wie pan o dwudniowej feście na ulicach miast po przegłosowaniu Ustawy Paliwowej?

–Tu nie chodzi o mniejszy lub większy komfort życia. Tu chodzi o przetrwanie trzech miliardów ludzi na tej planecie! Nie chcą, ale będą musieli się zgodzić. Widzę już przyszłość Marsa kilkadziesiąt lat po przegłosowaniu tej ustawy i następnych, które wkrótce się pojawią. Widzę niebo zasnute dymami i bezdomnych umierających na ulicach od trujących oparów.

–Po co więc Goodallowi tak ułatwiać przepychanie tych ustaw?

–Waterfall przyspieszy o kilka lat to, co i tak jest przesądzone, ale dzięki temu przyszłe pokolenia będą wiedziały, jak ratować planetę.

–Jest jeszcze coś – powiedziała Doris. – Obejrzeliśmy miejsce katastrofy samolotu na biegunie. Widzieliśmy robota badającego wrak samolotu, choć oficjalnie wyprawa ratunkowa jeszcze nie wyruszyła. Kiedy robiliśmy kółko wokół miejsca katastrofy, zaczął nas gonić obcy kopter. Strzelał do nas.

Senator pokiwał głową.

–To był pewnie właściciel ładunku, który nie boi się promieniowania tak jak policja.

–Ice Cube też się nie boi?

–Najpewniej nic o nim nie wie. Parę rzeczy się pogmatwało. Na pokładzie samolotu był ktoś, kogo znałem i kogo sam w to wpakowałem. Moja śmierć... to dziwnie brzmi, ale niech tak zostanie. Moja śmierć to też nie był wypadek. Coś uderzyło w silnik. Na Marsie nie ma ptaków. Kilka minut po katastrofie jacyś ludzie zabrali czarne skrzynki. To mi nie pasuje do modelu politycznego Marsa. Jeśli ktoś dysponuje takimi możliwościami, to nie jest głupi. Eliminacja mojej osoby nic Goodallowi nie dawała. Rozważałem taki scenariusz. Znacznie bezpieczniej i prościej było pozbawić mnie stanowiska.

–Dowiemy się, kto próbował pana zabić – powiedziała Doris z przekonaniem w głosie. – Dowiemy się też, kto był właścicielem radioaktywnego ładunku.

Griffin uśmiechnął się smutno.

–Nie róbcie tego. Śledztwem zajmie się agencja rządowa. Jest wiele spraw, które muszą same dojrzeć do rozwiązania. Zostawcie to, zostawcie cały projekt. To już się samo dzieje. Znajdźcie sobie spokojną pracę i nic nikomu nie mówcie. Usunąłem skąd mogłem twoje dane, Doris. A teraz zbierajcie się. Za pół godziny macie samolot. I... jeszcze to. – Wyciągnął z kieszeni mały przedmiot i włożył dziewczynie w dłoń. Pocałował ją w czoło i szeptał chwilę do ucha. Wyprostował się, uścisnął rękę Allenowi i kulejąc, odszedł.

Zakurzony kopter zatoczył szeroki krąg wokół opuszczonej farmy. Nie było tu nikogo i nikt nie miałby tu niczego do szukania, może poza resztkami stali. Farma była niewielka. Część mieszkalna składała się z trzech lastrиковych kopuł, teraz do połowy zagrzebanych w piasku. Pozostałości kilkunastu kopuł szklarni, pogięte kompozytowe szkielety z potłuczonymi szybami, wystawały z piachu sto metrów dalej. Ostały się jedynie cztery wieże skraplaczy, z czego dwie przechylały się już ostro na bok.

Kopter zniżył lot i łagodnie wylądował. Silnik schodził z obrotów. Rotory kolejno zatrzymywały się z nieprzyjemnym wizgiem. Pył powoli opadał. Wszystko ucichło, tylko wiatr wciąż szumiał w ruinach.

Drzwi otworzyły się. Hope Haines zszedł na piasek i rozejrzał się. Jego elegancki garnitur załopotał na wietrze. Haines trzymał za uchwyt spory kontener. Jedynym śladem niedawnej bytności człowieka było odkopane wejście do największej kopuły mieszkalnej. Hope poprawił kołnierz marynarki i ruszył w stronę drzwi. Wiatr niemal od razu zacierał jego ślady.

Drzwi otworzyły się po wprowadzeniu kodu do zamka cyfrowego. Wnętrze również sprawiało wrażenie opuszczonego dawno temu. Jedyne, co się nie zgadzało, to brak kurzu. Hope, nie zostawiając śladów, przeszedł przez *living room* do łazienki. Zamknął za sobą drzwi na zameczek i odkręcił krany. Ten z zimną wodą o dwa obroty w lewo, ten z ciepłą o cztery i pół w prawo. Woda nie poleciała, za to drgnęła podłoga, i wraz z całym pomieszczeniem zaczęła zjeżdżać. Szklanka z wyliniałą szczoteczką do zębów rozdzwoniła się o ceramiczną podstawkę.

Po chwili łazienka znieruchomiła. Hope otworzył drzwi. Teraz za nimi był dość duży, okrągły hall bez okien, za to z trojgiem drzwi. Mężczyzna podszedł do tych na wprost i znów wystukał kod. Drzwi z cichym sykiem wsunęły się w ścianę, ukazując mroczną salkę z tuzinem świecących blado monitorów. Grubas ze szpiczastą bródką, nie wstając z fotela, przywitał go niedbałym ruchem ręki. Chudy i wysoki z bandanką na głowie ledwie poruszył głową. Wyglądał, jakby fotel wyssał z niego wszystkie soki.

Na podłodze leżały śmieci.

–Gdzie Gipsy? – zapytał Hope, stawiając kontener na ziemi.

–Śpi. Nie musisz się wcale do nas fatygować w tygodniu – powiedział grubas. – Z braku ciekawszych zajęć wkładamy wiele serca w raporty dzienne.

Chudy zachichotał.

–Nie możemy się już doczekać soboty – powiedział.

–Spokojna głowa. – Hope uśmiechnął się pod nosem. – Panienki będą, jak zwykle. Jedzenie przywiozłem już dziś. – Wskazał na kontener.

–Przyznaj się, stary świntuchu. Przylatują cztery dupy, ale ta czwarta zostaje z tobą w kopercie?

–Przylatuje pięć, dwie zostają – odparował Hope. – Co nowego?

–Za pięć minut bierzemy się do tworzenia literatury. Przeczytasz sobie.

–Uspokajam się, jak słyszę ludzki głos.

Na monitorach niewiele było widać. Wyświetlały niemal wyłącznie liczby, skróty i zupełnie niezrozumiałe dla Hainesa wykresy. Mimo to poświęcił kilka minut na ich obejrzenie.

–Wszystko w normie – zniecierpliwiał się gruby. – Dwie godziny temu trzeci laser za mocno przygrzał i powstał nieco za duży obłoczek... W granicach tolerancji.

–Jak ze stratą masy?

–Łącznie nie przekroczy trzydziestu procent, ale za priorytet uznajemy przecież precyzję.

–Tak, tak. To jasne. Musimy jednak nieco przystopować. Pary ma być mniej.

–Facet! To ogromna odpowiedzialność! Weź pistolet i spróbuj strzelić ze stu metrów do gościa, przestawiając mu tylko przedziałek na drugą stronę. To arcyprecyzyjna robota!

–Jak jakiś amator z teleskopem zauważy jasną smugę, to będzie po całej arcyprecyzyjnej robocie. Można filtrować oficjalne raporty obserwatoriów, ale nie wszystkie e-maile od astronomów amatorów.

–Trzeba było z projektem zaczekać na widowiskowy przelot komety w innej części nieba. Gapiłoby się tam.

–Terminy ustala polityka.

–Wschody i zachody słońca radzą sobie bez tego.

Hope westchnął.

–Dostajecie dziesięć razy więcej kasy niż w kontroli zbliżania. Zróbmy to do końca,

a potem się rozejdziemy w swoje strony, zapominając, że się kiedykolwiek znaliśmy.

–Nie pójdziemy razem do kina? – zapytał grubas, gdy Haines odwracał się i otwierał drzwi. – Tak po prostu nas rzucisz?

Miał szczerze dość odzywek tych gówniarzy, ale byli niezastąpieni. Zacisnął zęby.

–Nawet buzi nie dostanę? Bez języczka... – usłyszał jeszcze, nim zamknęły się za nim drzwi.

Przekręcił krany w drugą stronę. W jadącej do góry łazience zaczął się śmiać.

Gdy wsiadł do maszyny, mrukliwy pilot nic nie powiedział. Uruchomił silniki. Znał następny przystanek.

* * *

–Ice Cube zostanie wykryty wcześniej, niż zakładał Richard – powiedział Goodall, ściskając rękę Hainesa i gestem zaprosił go do swojego oficjalnego gabinetu. – Użyję swoich wpływów, by nie ingerowano w jego lot. Pan wystąpi w necie z dramatycznym apelem o ewakuację niebezpiecznych obszarów. Powie pan, że dopiero teraz dowiedział się o stopniu zaawansowania projektu i że już nie można tego zatrzymać.

–Świadkowie...

–Nie będzie żadnych świadków. Zostanie pan nowym szefem komisji terraformowania. Na jedną kadencję, może krócej. Większość czasu spędzi pan na użalaniu się nad nieodpowiedzialnością poprzedników. Potem odbije się pan w górę.

–A Grant?

–Grant to frajer. Wybrał zły moment i złe miejsce na awans.

–Sam go pan poparł.

–Popieram go od dawna. Gdyby Griffinowi nie przytrafił się ten wypadek, Grant i tak miał dostać to stanowisko. W zamian za ustępstwa ekologów, oczywiście. Poprałem go teraz, ponieważ nie wiedziałem, i nadal nie wiem, o zmianach w projekcie Waterfall. – Senator teatralnie wzruszył ramionami. – Dowiem się od pana i będę wielce oburzony lekkomyślnością Granta. I Griffina.

–Richard...

–Nie rozkopujmy grobów. Jego projekt będzie doprowadzony do końca. Potem zażądamy w imieniu całego narodu, żeby taka tragedia nigdy więcej się nie powtórzyła.

-Tragedia?

-Richard nie doceniał jądra komety, a jest ono wielką zagadką, która rozwiąże się sama w chwili impaktu.

-Wiem, ale sądzę, że liczba ofiar przekroczy nasze wyliczenia.

-Jeśli jądro rozpadnie się w atmosferze, tak jak uczyni to z pewnością lodowa powłoka zewnętrzna, to tylko wzrośnie stężenie dwutlenku węgla w powietrzu. A więc i średnia temperatura roczna. Jeśli jądro dotrze w jednym kawałku do powierzchni, to prawdopodobnie wzbije takie ilości pyłu, że po kilkutygodniowych upałach temperatura globalnie może spaść o kilka stopni. Mała epoka lodowcowa.

Griffin odprowadził wzrokiem samolot startujący do Nowego Londynu. Wyciągnął z kieszeni zniszczonej marynarki cygaro i włożył je do ust. Przypalił złotym ronsonem. Smakowało paskudnie, ale czego można się spodziewać po lotniskowym sklepiku.

Do odlotu zostały trzy godziny. Spacerując w pobliżu lotniska, zastanawiał się, czy aby nie zwariował. Wahał się, ale przekonanie o słuszności dokonanego wyboru zagłuszyło kontrargumenty.

Wieczorem tego samego dnia był już w zupełnie innym mieście, choć również na lotnisku. Zdecydowanym krokiem, tak jak pozwalała chora noga, wszedł do budynku administracji. Oparł się o ladę recepcji i powiedział:

–Potrzebuję kopter z wyposażeniem.

–Normalnie współpracujemy wyłącznie z agencjami – powiedział otyły, wąsaty urzędnik, przerywając oglądanie filmu. – Ale od kilku dni jesteśmy bardziej elastyczni. Mogę zobaczyć pana licencję?

–Nie mam licencji.

Urzędnik uniósł brwi.

–W takim razie mogę panu co najwyżej polecić dobrego pilota.

–Wolałbym lecieć sam.

–Nikt nie wypożyczy panu koptera, jeśli nie ma pan licencji.

–Ja go nie pożyczam. Ja go kradnę.

Powycierany rewolwer uderzył o blat. Urzędnik przełknął ślinę.

–Po przemyśleniu zrobię dla pana wyjątek. Jaki numer pan sobie życzy?

–Trzynasty. Proszę mnie osobiście zaprowadzić.

Senator szedł kilka kroków za urzędnikiem.

–Proszę stanąć tam, dalej od budynku – polecił – i nie odchodzić, dopóki nie wystartuję.

–A umie pan tym w ogóle latać? Bo jeśli nie, to wolałbym stanąć...

–Proszę stanąć tam, gdzie mówiłem.

Griffin odszedł w kierunku maszyny, zerkając co chwilę przez ramię. Wsiadł do środka, zamknął drzwi i usiadł na fotelu pilota. Założył hełm. Urzędnik stał nieruchomo na wprost dziobu.

Senator rozejrzał się po przyrządach. Nigdy nie pilotował, ale dawno temu przeszedł kurs na sucho.

Do kokpitu taśmą klejącą przymocowano jakieś urządzenie. Wyglądało na miernik promieniowania. Przełączniki i ekrany kontrolne wyglądały znajomo.

–Nie ma pan pozwolenia na start, senatorze – usłyszał w słuchawkach.

–Nie prosiłem o pozwolenie.

Za budynku portu wyłoniły się dwa policyjne łąziki. Griffin powtórzył w myślach kolejność czynności, które należało wykonać przed startem. Potem zrobił to, co wydawało mu się, że należy zrobić. Silnik ruszył, a chwilę potem z rosnącym szumem zaczęły się rozpędzać rotory. Urzędnik garbił się coraz bardziej w światłach reflektorów.

Zielona kontrolka potwierdziła wystarczającą prędkość obrotową. Senator ostrożnie wzniósł maszynę. Zwiększył obroty i odleciał na północ, pozostawiając w dole klęczącą postać i migające stroboskopami pojazdy policyjne.

Gdy światła miasta znikły w oddali, przypalił kolejne cygaro. Tam, gdzie leci, następne może się już nie chcieć zapalić. Doskonały przykład na wyższość pojazdów elektrycznych nad spalinowymi.

W głowie rysowała mu się koncepcja artykułu, ale odrzucił te myśli. Napisał w życiu kilkadziesiąt dużych artykułów i drugie tyle przemówień. Wszystkie razem nie na wiele się zdały.

Ustawił autopilota na lot ciągły na wysokości kilometra, aż do wyczerpania baterii w dziewięćdziesięciu procentach. Dopóki leciał, było dobrze. Gorzej z lądowaniem, ale ten problem pojawi się dopiero za kilka godzin.

Doris odczytała kolejną wiadomość z dynamicznej wyszukiwarki. Odkąd rozszerzyła zakres wyszukiwania, otrzymywała ich teraz kilkadziesiąt dziennie, ale ta była inna. Ta zmieniała wszystko.

–A to gnida... – szepnęła, czytając z niedowierzaniem: „Hope Haines, były asystent senatora Griffina, przed kilkoma minutami wydał sensacyjne oświadczenie. Według niego grozi nam, wszystkim ludziom na Marsie, realne niebezpieczeństwo: *Podczas porządkowania dokumentów senatora Richarda Griffina odkryłem niepokojące materiały dotyczące prowadzonego przez niego projektu Waterfall. Zgodnie z jego założeniami zamierzano sprowadzić na orbitę okołomarsjańską kometę i powoli eksplorować zawarte w niej wodę i dwutlenek węgla. Pomysł został odrzucony jako zbyt ryzykowny. Waterfall oficjalnie ograniczono do poszukiwania odpowiednich komet. Ku mojemu przerażeniu stwierdziłem, że w rzeczywistości projekt nie został ograniczony do badań. Znaleziono odpowiedni obiekt, a co więcej, leci on już w naszym kierunku. Niestety, w celu obniżenia kosztów i ukrycia tego faktu przed opinią publiczną, użyto innej metody - kometę znana pod kryptonimem Ice Cube ma się rozbić o biegun północny. Jednak najgorszą wiadomością jest, że stanie się to jutro wieczorem czasu nowolondyńskiego. Mam nadzieję, że niezależnie od skutków tego wydarzenia, winni zostaną odszukani i ukarani”.*

–Gnida, fakt – przyznał Allen, zerkając dziewczynie przez ramię. – Ale dzięki temu nikt nie polecą na biegun.

–I tak nikt by nie poleciał.

–My poleciliśmy. Można przeżyć promieniowanie, to jeszcze bardziej ekstremalna turystyka, ale upadku meteorytu nie przeżyje nikt.

–Ciekawa jestem, kim mają być ci „winni”?

Kolejne wiadomości przychodziły w krótkich odstępach czasu:

„Senator Grant, który po śmierci Griffina objął stanowisko przewodniczącego Komisji do spraw Terraformowania, twierdzi, że o niczym nie wiedział. Parlament, na zwołanym przed kilkoma minutami nadzwyczajnym teleposiedzeniu, właśnie pozbawił go immunitetu. W ciągu następnych kilku minut spodziewamy się aresztowania”.

„Niemożliwa jest już zmiana kursu komety. Można ją jedynie ostrzelać i rozbić na mniejsze fragmenty”.

„Rozbicie komety na mniejsze fragmenty niesie za sobą poważne ryzyko dla gęsto zaludnionych rejonów planety. W tej chwili jedynym wyjściem jest natychmiastowa

ewakuacja zagrożonych obszarów”.

Wyszli z samolotu. Allen dźwigał cały bagaż, a Doris wciąż odczytywała wiadomości. „New London Post” oświadczył, że na ich serwer wpłynęła właśnie wiadomość nadana z publicznego terminala na lotnisku w North Cruise:

„Nadawca wiadomości podaje się za senatora Richarda Griffina. Nie wiemy, jak to możliwe, ale władze North Cruise potwierdzają, że mężczyzna ten uprowadził turystyczny kopter i odleciał w kierunku bieguna. Tożsamość mężczyzny udało się potwierdzić. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent jest to senator Richard Griffin. Podajemy treść wiadomości:

Ta wiadomość została wysłana do redakcji wszystkich portali informacyjnych, o jakich przypomniałem sobie w tak krótkim czasie. Pozostałe proszę o wybaczenie. Opóźnienie dostarczenia o cztery godziny było konieczne, bym mógł uczynić to, co postanowiłem.

Nie zginąłem w katastrofie lotniczej, choć próbowano mnie zabić. Samolot, którym leciałem, został zestrzelony. Nie wiem, kto to zrobił. Cudem ocalałem i pod opieką dobrych ludzi powoli doszedłem do zdrowia.

Rozumiem, co o mnie myślicie. Macie do tego prawo. Chcecie lub za kilkanaście godzin będziecie mnie chcieli ukarać, ale ja wtedy będę już martwy. Stanę się pierwszą ofiarą Ice Cube. Oczekuję jedynie, że Wasze dzieci bądź wnuki obiektywnie ocenią osiągnięcia projektu Waterfall. Owszem, rozbijanie komet o powierzchnię rodzimej planety nie jest dobrym rozwiązaniem. Pierwotny plan zakładał wprowadzenie komety na orbitę. Jednak przy tak silnym sprzeciwie społecznym wobec projektu stanąłem przed wyborem: albo zrezygnować i patrzeć jak Mars powoli ginie, albo w tajemnicy doprowadzić do zderzenia, by go ratować, nawet kosztem ofiar. Pozostałem wierny przyszłym pokoleniom mieszkańców Marsa. Nie pozwólcie, by śmierć niewinnych, przypadkowych Ofiar przestroniła Wam cel nadrzędny, jakim jest nasze przeżycie na tej planecie. Wówczas ich śmierć pozostałaby zwykłym przypadkiem – śmiercią niesłużącą niczemu więcej.

Sprowadzanie niewielkich ciał kosmicznych na orbitę nie jest zadaniem przekraczającym nasze możliwości. Przykład powodzenia takiej operacji świeci nocą na naszym niebie od przeszło stu lat, to Nefretete.

Do tej wiadomości dołączyłem komplet materiałów dotyczących szczegółów praktycznej realizacji projektu Waterfall. Wierzę, że z perspektywy kilkudziesięciu lat będzie to wyglądało inaczej. Współczesnych szczerze przepraszam. Richard Griffin”.

–Pisanie o ofiarach w czasie przyszłym brzmi bardzo niekorzystnie – stwierdził

Allen.

Doris wycierała wilgotne oczy.

–Nie mam pojęcia, co o tym myśleć. Nie wiem, kto tu ma rację. Po prostu nie wiem. Może nic się nie stanie?

–Zostały mi jeszcze dwa dni urlopu.

–Kolejna wycieczka?

–Krótka. Czuję, że bezpieczniej będzie poza miastem. Bezpieczniej ze względu na ludzi.

Łądowanie poszło mu znacznie sprawniej, niż myślał. Posadził miękko maszynę na skraju dużego lodowego płaskowyżu. Oszczędzając chorą nogę, wyciągnął na zewnątrz namiot pneumatyczny, kontener z żywnością i dodatkowe butle z tlenem. Zawłókł to wszystko do niewielkiego zagłębienia terenu u podnóża łagodnego wzniesienia.

Zasapany, usiadł na pakunkach i rozejrzał się. Wszędzie biało i jasno – bez niemal czarnych gogli w ogóle nie dałoby się tu otworzyć oczu. Płaskowyż kilka kilometrów dalej przechodził w pagórkowaty obszar ciągnący się po kres widoczności. Kilkusetmetrowa warstwa dwutlenku węgla znaczyła innym odcieniem niebo nad horyzontem. Z nielicznych szczelin unosiły się smugi mgły.

Niespokojny spokój, pomyślał Griffin. O ile pamiętał, nie wyjaśniono, jak przy minus trzydziestu woda może tak intensywnie parować. Nikt nie próbował opuszczać się do wąskich szczelin, by odkryć gdzieś w dole przyczynę. A przynajmniej nikt stamtąd nie powrócił.

Punkt zero-zero znajdował się kilometr dalej. W zasięgu wzroku, choć nie można było stąd stwierdzić, gdzie dokładnie.

Zdjął maskę i zrobił płytki wdech. Zimne powietrze, żadnego zapachu. Łatwa śmierć w głębokim śnie... Zrastająca się kość ćmiła go lekko. Może za sprawą temperatury, a może ją zwyczajnie nadwerężył. Mimo grubego skafandra podgrzewanego izotopami, odczuwał już zimno. Założył ponownie maskę i wstał, by przynieść z koptera resztę sprzętu.

Z nagłym chrupnięciem, po lodzie obok przebiegła rysa. Znieruchomiał. Głuche odgłosy z głębi lodowca powtórzyły się kilka razy i ucichły. Chwilę później wielki kawał lodowego wafła, wraz ze stojącym na nim kopterem, zapadł się z hukiem, wzbijając chmurę wirujących płatków śniegu. Kolejna seria uderzeń zakończona łoskotem i jękiem blach oznajmiła echem twarde lądowanie. Kilka wężyków pęknięć przemknęło obok grubych butów senatora.

Jeszcze nie teraz, pomyślał, cofając się kilka kroków. Jeszcze kilka godzin!

Wciągnął ocalały ekwipunek nieco wyżej i rozstawił samonadmuchujący się namiot, mocując go hakami do lodu. Rozlokował się w środku i ułożył wszystko tak, by stworzyć coś w rodzaju leżaka. Opadł na to naprędce zaaranżowane posłanie i wbił wzrok w płaskowyż widoczny przez odwinięte poły wejścia. Prawa noga ćmiła go nadal, lewa bolała z wysiłku. Otworzył kontener z jedzeniem i włożył do ust dwie tabletki pobudzające. Popił kawą z samonagrzewającej się butelki. Potem odetchnął głęboko mieszanką z butli i czekał.

Słońce zaszło. Nisko nad horyzontem jedna z gwiazd na nocnym niebie świeciła wyjątkowo jasno. Właśnie teraz ci bardziej spostrzegawczy zaczynają się niepokoić. Wszystkie teleskopy po tej stronie planety i nad nią celują w ten jasny punkt. Centrum telegramów kosmicznych odkrywa błąd w wyliczeniach. Za kilka minut zauważą, że to nie błąd, ale celowe zafałszowanie danych. Zauważą również, że na ich serwer dotarło kilkanaście informacji od astronomów amatorów, ale ktoś je usunął, a nawet odpowiedział na nie uspokajająco.

Co dalej?, myślał. Życie po życiu... Gdzie? W Niebie? Tutejszym czy ziemskim? Ile czasu będzie istnieć nieśmiertelna dusza? Czy przetrwa kolaps wszechświata? A może wieczność jest osiągnana poprzez zatrzymanie subiektywnego upływu czasu bądź skierowanie go w inną stronę? Czy ja nie wdycham za dużo tlenu?

Polityk – rzeźbiarz umysłów... Skuteczność niemal zerowa. Może lepiej nie myśleć tyle o własnych dokonaniach. W końcu wrócić i poprawić już się nie da. Polityka wymaga od człowieka ześwinienia się. Jedni zeświniają się mniej, inni bardziej. Ja zeświniłem się zbyt mało, by przetrwać. Albo może w złą stronę, w nie ten, nie dość modny teraz sposób.

Czemu w ogóle służy system społeczno-polityczny, w którym żyjemy? Obracamy się wokół schematów postępowania, które równie dobrze mogłyby zostać zastąpione innymi. Nasze życie polega na wykonywaniu skomplikowanych zestawów czynności w celu zaspokajania pojawiających się potrzeb. Potrzeby pojawiają się w trakcie i w wyniku wykonywania tych czynności. To samonapędzający się mechanizm, który tworzymy i któremu podlegamy. To jest właśnie nasz sens życia – dążenie do poprawnego wykonywania czynności i zaspokajania wymyślonych potrzeb. To jest też nieświadoma niewola. Wychowywanie dziecka to przecież długi i złożony proces uczenia go potrzeb i czynności, którego produktem jest dorosły niewolnik. Jego kratami są normy moralne, tradycja, pozycja społeczna, niedostatek dóbr, prawo i inni ludzie. Społeczeństwo jest samoodnawialnym więzieniem zbudowanym wyłącznie z niewolników i ich własnych krat.

Ale jeśli ktoś nie zdaje sobie sprawy z istnienia krat – pozostaje wolnym człowiekiem. Nie jest przecież istotny stan rzeczywisty, tylko nasze o nim wyobrażenie. Rzeczywistość nie istnieje – jest tylko obraz, jaki niedoskonałe zmysły i filtry w postaci bagażu doświadczeń dopuszczają do ludzkiej świadomości. Z człowieka, który nie będzie świadom swojej niewoli, nie da się nigdy zrobić niewolnika.

Ale cóż to jest ta świadomość? Pojawiła się na pewnym etapie ewolucji, by zwiększyć efektywność przetwarzania informacji. Przy założeniu, że wszystko ma na celu przetrwanie organizmu, a ściślej mówiąc, zawartej w nim informacji genetycznej, ludzka samoświadomość jest jedynie kolejnym narzędziem służącym temu celowi. Myśli, uczucia, wspomnienia, czyli to, co tak naprawdę powinno się nazywać „ja” to

tylko interaktywna projekcja umożliwiającą systemowi nerwowemu sprawniejsze sterowanie organizmem. Świadomość jest więc w pewnym sensie *interface'em* mózgu zapewniającym mu wysoki stopień interaktywności z otoczeniem, takim samym przystosowaniem, jak ostre zęby czy silne skrzydła.

I po co to wszystko? Czemu służy istnienie człowieka? Żołądek trawi pożywienie i dostarcza pozostałym organom, poprzez krew, substancje odżywcze. Płuca dostarczają tlen. Serce pompuje krew, by te substancje wraz z tlenem dotarły do mięśni i systemu nerwowego. System nerwowy za pomocą mięśni i zmysłów kieruje ciałem, by zdobyć pożywienie i tlen. Każdy element pełni bardzo istotną funkcję i bez niego organizm by nie przeżył. Natomiast człowiek jako całość nie służy niczemu.

Możemy istnieniu człowieka nadać sens przez na przykład posadzenie go za sterami samolotu. Sensem jego istnienia będzie transportowanie innych ludzi. Sensem życia innych ludzi będzie robienie innych, bardzo ważnych rzeczy, ale znów obraz kraju, kontynentu czy cywilizacji jako całości sensu ani celu posiadać nie będzie. Niektórzy za ostateczny cel i powód uznają Boga, ale na Marsie znaczy to mniej więcej tyle, że cel nie istnieje.

Interesująca sprawa, uświadomić sobie bezsens własnego istnienia na kilka chwil przed śmiercią.

Ice Cube wyglądał już jak reflektor zawieszony wysoko nad lodem. Widać było wszystkie szczyty bielejące jaskrawo pod czarnym niebem. Senatorem ogarnęły nowe wątpliwości, czy nie przekreślił właśnie szans na przemianę Marsa w drugą Ziemię. Może przerosła go własna ambicja? Może za kilka minut ostatecznie zniechęci ludzi do projektów prowadzących do formowania planety?

Kometa ściemniała, wchodząc na chwilę w cień planety. I zaraz rozżarzyła się do białości, rzucając na wszystko wokół jaskrawe światło. Griffin założył gogle – zrobiło się jaśniej niż w dzień, a niebo przybrało błękitną barwę. Chwilę później usłyszał głośny świst, chociaż wiedział, że rzeczywisty dźwięk tarcia nie mógł do niego jeszcze dotrzeć.

Kula ognia rozpadła się na kilka mniejszych.

–Rozpada się! – krzyknął, ściągając maskę tlenową. – Wiedziałem!!!

Zaczął się śmiać, choć z oczu leciały mu łzy. Nie czuł strachu, czuł euforię. I gorąco na twarzy. Lód wokół zaczął drgać i trzeszczeć pod wpływem rosnącej temperatury.

–Dokonałem tego!!! – wykrzyczał z radością. – Dokonałem!!! Dalej Marsie musisz sobie radzić sam!

Gorący podmuch przewrócił go na plecy. Namiot, łopocząc, wyrwał kotwy i odleciał

w górę zbocza wraz z całym ekwipunkiem. Przestrzeń wokół wypełniła się jednostajnym, ogłuszającym hukiem i śnieżną zamiecią. Lodowe igiełki cięły skórę senatora, chwilę potem parzyły go krople gorącej wody, a lodowiec drżał jak podczas trzęsienia ziemi. Ogniste Kule wypełniały sobą całe niebo zmatowione strzelającymi w górę gejzerami pary.

Chwilę później lodowiec przestał istnieć.

Doris i Allen obserwowali lot świecącej komety. Była jaśniejsza niż Nefretete. Zakrzywienie planety spowodowało, że nie widzieli samego momentu uderzenia.

Kopter stał przymocowany dodatkowymi linami po południowej stronie samotnej skały wystającej wprost z piasku.

–Według mnie to właśnie teraz – powiedziała Doris, sprawdzając czas. – Za ile dotrze do nas fala uderzeniowa?

–Porusza się z prędkością dźwięku. Na Marsie prędkość dźwięku jest mniejsza. Mamy jakieś dwie, trzy godziny, zanim do nas dotrze.

–Czy to będzie niebezpieczne?

–Jesteśmy daleko. Silny podmuch, hałas, nic więcej. System meteorologiczny odbierze to jako burzę piaskową i ostrzeże nas wcześniej. Odczujemy jeszcze wstrząs sejsmiczny.

Dobre pół godziny leżeli na piasku, patrząc w niebo.

–Myślisz, że Gaunilo doprowadził do katastrofy na biegunie? – zapytała Doris. – Że zabił tych ludzi?

–Wiem tylko, że jeśli tak, to nikt nic mu nie udowodni.

–Czemu?

–Widziałaś rannych? Widziałaś ich ciała?

–Nie...

–Więc nic nie widziałaś. Oni mogli w ogóle nie istnieć. Rozbił się samolot ze śladową ilością materiału rozszczepialnego. Wiatr wszystko rozwieje po planecie i żadne urządzenia nie zanotują podwyższonego poziomu promieniowania. Dowody znikną.

Z powodu chłodu przenieśli się do wnętrza koptera. Położyli się na zwiniętych pokrowcach i mimo niepokoju szybko zasnęli.

* * *

Głuchy pomruk przetoczył się po pustyni. Obudzili się, czując go całym ciałem. Ze stromych diun osypywał się piasek. Dziewczyna ścisnęła ramię chłopaka.

–Czy to już? – zapytała.

–To fala sejsmiczna. Nic nam nie robi.

Zeskoczyli na piasek. Ziemia trzęsa się jeszcze kilka razy. Wzięli się za ręce i weszli na szczyt jednej z wyższych wydmy.

Na północy, wysoko na nocnym niebie, zza horyzontu wznosił się świecący grzyb. Jego kapelusz powoli, ledwo zauważalnie rozwijał się.

–Musi mieć z pięćset kilometrów – powiedział Allen. – Jest wysoko ponad atmosferą.

–Boże! Griffin się przeliczył...

Oświetlany słońcem znajdującym się po drugiej stronie planety pióropusz rozplaszczał się, bardzo powoli przekształcając się w płaski dysk. Wraz z transformacją ciemniał i chował się we własnym cieniu.

Z otwartej kabiny koptera rozległo się alarmujące pikanie.

–Jest komunikat o burzy – powiedział Allen, odwracając się.

–Ile mamy czasu?

–Kilkanaście minut.

Usiedli, patrząc na bezgłośnie widowisko na nocnym niebie.

–Co to jest? – zapytała Doris, wskazując na niebo. Wysoko kilka jasno świecących obiektów leciało wolno w kierunku południowym.

–Odłamki, bomby meteorytowe. Poruszają się torem balistycznym. Spadną gdzieś... gdzieś daleko stąd.

Objął ją ramieniem. W milczeniu patrzyli przed siebie, aż zza krzywizny planety nad pustynią wyłoniło się coś, co w pierwszej chwili można było wziąć za chmurę lub cień. Po dalszych kilku minutach w świetle gwiazd i bomb meteorytowych widać już było, że to nie chmura. Z północy zbliżało się coś, co wyglądało jak front gigantycznej burzy piaskowej. Kotłujący się wał ciągnął się od horyzontu po horyzont i z każdą chwilą rósł coraz wyraźniej.

Ma ponad kilometr wysokości, pomyślał z niepokojem Allen.

Pociągnął dziewczynę w dół wydmy, potem do wnętrza maszyny i zatrzasnął drzwi. Wepchnął ją w kąt w przedniej części ładowni, odczytał informacje z pokładowego

komputera i zamarł. Potem wcisnął się obok niej.

–MC-12 został tak zaprojektowany, by przetrzymać największe burze piaskowe – powiedział nieco za głośno. – Wolę być w środku niż na zewnątrz.

Spojrzała na niego niepewnie. W bladej poświacie kontrolki kokpitu nic nie mogła wyczytać z jego twarzy. Właściwie to nigdy nie mogła z niej nic wyczytać.

–Silny podmuch, hałas, nic więcej? – zapytała.

–Komunikat meteorologiczny mówi o dwunastu stopniach.

–Nie wiem, co to znaczy.

–Tym lepiej...

Najpierw brzmiało to jak odległy szum wiatru, potem stopniowo stawało się coraz głośniejsze. O kadłub zaszurały pierwsze ziarenka. Doris poczuła, jak Allen napina mięśnie i dopiero wtedy zaczęła się bać. Przyłgnęła do niego mocniej. Nakryli się pokrowcami.

–Podali prędkość wiatru? Co te stopnie mają wspólnego z prędkością?

–To umowna skala.

–Gdzie jest najbliższa stacja meteo?

–Pięćdziesiąt kilometrów na północ.

–Podali prędkość wiatru czy nie?

–Nie zdążyli.

Głośny szum przeszedł nagle w huk. Maszyną szarpnęło, gdy nawałnica, osłabiona w tym miejscu skalnym schronieniem, uderzyła o blachy poszycia tysiącami rozpędzonych ziarenek piasku. Zasłonili uszy, ale i tak dźwięk był przeraźliwy. Kopter szarpał się na uwięzi. Huragan próbował zabrać go jak dziecięcą zabawkę i uczyniłby to z pewnością, gdyby nie ochrona skały. Strumienie piasku leciały poziomo, omijając skalną przeszkodę i wirując wokół maszyny. Za oknami błyskały, stłumione tumanami piachu, wyładowania elektryczne. Ich dźwięk nie mógł przebić się przez nawałnicę. Allen trzymał mocno Doris, by się nie potłukła. Dziewczyna była zbyt wystraszona, by krzyczeć. Po kilku minutach kopter, zasypywany piaskiem, przestał się ruszać, a wiatr wyraźnie osłabł.

Siedzieli spleceni razem, wciśnięci między porozrzucane sprzęty. Zapanowała cisza. Bo w porównaniu z tym, co przeżyli przed chwilą, szelest piasku spadającego na

kadłub był ciszą. Dzwonienie w uszach też powoli cichło.

Allen pierwszy się podniósł, odrzucając pokrowiec. Otworzył drzwi. Nadal wiał wiatr, ale był to już raczej zefirek.

–Nie wróci? – zapytała Doris, niemal krzycząc. Włosy miała rozczochrane.

–Fala narośnie nieznacznie w okolicy bieguna południowego – odkrzyknął, pomagając jej wstać i wyjść na zewnątrz. – Potem stanie się niegroźna. To jest gorsze. – Wskazał palcem niebo, po którym leciało jeszcze kilka jasnych punktów słabo widocznych przez unoszące się w powietrzu pył i ziarenka piasku.

Odwrócili się. Kopter był w połowie zasypany. Duże zasy zalegały na kadłubie i skrzydłach. Blachy z prawej strony zostały wyszlifowane na idealny mat. Za to wszystkie szyby z tej strony były porysowane.

–Rotory nie ruszą – mruknął. Słuch powracał mu do normy.

Wygrzebał ze środka saperkę i wdrapał się na dach. Zaczął zrzucać piasek. Z nieba wciąż spadały pojedyncze ziarenka, włączając za kołnierz i we włosy.

Doris bała się oddalić. Siedziała na progu koperta.

Allen zrzucał z kadłuba kilogramy piasku. Po kwadransie zdyszany zszedł na ziemię.

–Och!... Co to? – Przerażona dotknęła policzka. Spojrzała na dłoń i oczy robiły jej się coraz większe. Podbiegła do chłopaka i przysunęła mu przed oczy palce. Były mokre. – To kropla... kropla deszczu!

–To możliwe – Allen uniósł głowę. Gęste chmury napływały od północy.

–Deszcz! Śnił mi się, od kiedy przystąpiłam do projektu – powiedziała uradowana. – To się dzieje naprawdę! Udało się! Będą drzewa, łąki! Będzie jak na Ziemi!

Pocałowała go w usta. Rozległ się grzmot, piorun trafił skałę. Na blachach koperta zatańczyły drobne iskierki. Z nieba lunął deszcz i rozpoczęło się regularne oberwanie chmury. Doris zamknęła oczy, pozwalając, by ciepłe krople rozbryzgiwały się jej na twarzy. W jednej chwili jej włosy i ubranie ociekały wodą. Uniosła ręce i zaczęła się śmiać.

Pustynia znów wypełniła się hukami, hukami wody.

–To może być kwaśny deszcz...

–Nie jest kwaśny. Chodź. Jestem taka szczęśliwa!

–Pioruny...

Pociągnęła go w stronę zagłębienia terenu, gdzie tworzyło się już jezioro zasilane strumieniami spływającymi z okolicznych wydm. Zatrzymał się kilkanaście metrów od brzegu. Dziewczyna pobiegła dalej.

–Umiesz pływać? – krzyknęła.

–Umiem, ale ty nie umiesz.

Zrzuciła buty, zdjęła przemoczony płaszcz i spodnie. Potem, ku zaskoczeniu Allena, również i bieliznę. Z tej odległości, w bladym świetle kosmicznych pocisków i piorunów, niewiele widział przez smugi deszczu, ale i tak poczuł przyspieszone bicie serca. Wbiegła do wody po pas i odwróciła się.

–Chodź! Ja nie umiem pływać.

Uśmiechnął się. Zbiegł, po drodze zrzucając koszulę. Kiedy ściągał spodnie, przewrócił się. Wstał i skończył się rozbierać. Cały oblepiony był mokrym piaskiem. Wskoczył do wody. Dziewczyna próbowała cofnąć się, ale straciła grunt pod nogami. Po kilku ruchach ramion był już przy niej i wyciągnął ją na powierzchnię. Cofnął się kawałek do miejsca, gdzie mogli stanąć na dnie. Wypluła wodę i spojrzała mu w oczy. Oboje właśnie zauważyli, że obejmują się ramionami. Doris uśmiechnęła się, zamykając oczy. Wyczuła swoim ciałem jego ciało. Przyłgnęła do niego mocniej i pocałowała go. Opuścił rękę na jej biodro. Objęła go nogą i przycisnęła do siebie. Drugą ręką miękko dotknął jej karku i zanurzył palce we włosy. Odrzuciła głowę do tyłu i położyła mu dłonie na ramionach, a jej piersi wynurzyły się z wody. Uniosła się, obejmując go nogami i odchyliła w tył, kładąc na tafli. Przejechał dłonią po jej piersiach, badając ich kształt, pocałował je delikatnie, drugą ręką przyciskając biodra dziewczyny do swojego brzucha. Czuł jej gorącą miękkość. Zsunęła się niżej, zamykając oczy i rozchylając usta. Nie chcieli dłużej czekać. Byli gotowi. Cofnął się, unosząc ją lekko za ramiona w górę i wszedł w nią. Jęknęła głośno. Przywarła do niego ramionami i nogami. Obrócił się i pchnął ją w kierunku brzegu. Opadła plecami na dno. Ponad wodę wystawała jej twarz i piersi. Położył się na niej delikatnie i wbił w nią mocniej. Zamruczała mu do ucha, objęła. Pchnął ponownie. Odpowiedziała mocniejszym uściskiem.

–Niepotrzebnie tyle czekaliśmy... – wyszeptała.

Czuła go, jak uderza mocno, coraz szybciej. Boleśnie i obezwładniająco przyjemnie zarazem. Jego mięśnie pracujące regularnie. Jej mięśnie wychodzące mu naprzeciw. Gdy zwalniał i znieruchomiał wbity w nią do samego końca, napięty do granic, poczuła w sobie gorąco, kolejne fale gorąca. Pofrunęła do nieba na spotkanie deszczu. Krzyknęła na cały głos. Nikt nie mógł usłyszeć.

Błyskawice uderzały raz po raz, choć chmura przesuwała się na południe, a deszcz przestał padać. Jeziorko, w którym się kąpali, wsiąkało w piasek. Siedzieli na brzegu, obserwując widowisko na niebie.

–Co się teraz musi dziać w North Cruise... – szepnęła.

Allen zmarszczył brwi i przytulił ją.

–Z North Cruise nic nie zostało. Widziałaś falę uderzeniową, która przebyła półtora tysiąca kilometrów.

–Może zdążyli ich ewakuować? Myślę o pewnym staruszku na wózku – powiedziała.
– Ale teraz to już nieważne. Przyłożyłam do tego rękę.

Skuliła się.

–Dzięki tobie uniknęło śmierci wiele osób – powiedział. – Nie masz się o co obwiniać, choć... na twoim miejscu bym się nie przyznawał, że miałem z tym cokolwiek wspólnego.

Woda wsiąkała w piasek, jakby dno jeziorka było durszlakiem.

–Patrz! – krzyknęła Doris, wskazując w dół. – Kąpaliśmy się...

Na dnie leżały obok siebie trzy ludzkie szkielety. Z piasku, na samym dole utworzonego przez wodę leja, wystawały słabo widoczne w mroku żebra i czaszki.

–Jacyś nieszczęśnicy, którzy zgubili się tu może i sto lat temu – powiedział Allen. Wstał i starał się odwrócić uwagę dziewczyny od kości. – Wymyło sporo piasku.

Odeszli kilka kroków. Objął ją ramieniem, a ona wtuliła twarz w jego pierś.

–Uważasz, że Griffin wiedział? – zapytała. – Wiedział, że uderzenie będzie tak silne?

–Wiem tylko, że powinni się zgodzić na jego pomysł z eksploracją na orbicie.

Przez chwilę zdawało mu się, że w oddali widzi dwójkę dzieci stojących na wydmie, ale w migotliwej ciemności nic nie było pewne. Wstrząsnął nim dreszcz. To zapewne z przemęczenia.

Z wieżowców w centrum spadały jeszcze pojedyncze szyby i fragmenty elewacji. Ludzie gromadzili się na większych placach i ulicach, było wielu rannych. Służby medyczne i policja próbowały opanować sytuację. Miasto wypełniło się jękiem syren.

Senator Goodall siedział w podziemnym bunkrze pod swoją rezydencją. Drobne wstrząsy powtórzyły się jeszcze kilka razy w krótkich odstępach czasu, ale nie towarzyszył im już tak głośny dudniący dźwięk. Z irytacją zauważył, że po wstrząsach na jednej ze ścian pojawiły się rysy. Nawet tutaj inżynierowie nie powstrzymali się od oszczędności.

Z rosnącym rozdrażnieniem wpatrywał się w ekran terminala. Już wcześniej zdawał sobie sprawę, że prognozy Griffina są zbyt optymistyczne, ale teraz rzeczywista skala zniszczeń zaskoczyła go – niektórzy na pewno będą o to mieć do niego pretensje. Monitorował komunikaty służb miejskich i przechwytywał obraz z kamer policyjnych umieszczonych w kilkuset punktach miasta. Było kilka doniesień o zawalonych budynkach, a wiele zostało w mniejszym lub większym stopniu uszkodzonych. Sieć informatyczna kulała, zasilanie w wielu miejscach działało na awaryjnych generatorach, oczywiście jeśli ktoś je miał.

Naziemne stacje meteorologiczne na północ od Nowego Londynu zostały zniszczone, ale satelity wciąż przekazywały dane. Do miasta zbliżało się coś, czego człowiek nigdy na Czerwonej Planecie nie widział. Częściowo zniszczony system meteo rozpoznał potężną burzę piaskową, ale Goodall wiedział, że to jest coś innego. Coś, czego system nie mógł rozpoznać prawidłowo, bo nikt mu tego nie zaprogramował. Chmury deszczowe.

Przejrzał zdjęcia satelitarne z rejonów znajdujących się daleko za frontem burzowym. Skrzywił się, widząc zmiecione do fundamentów budynki North Cruise. Przeglądał kolejne ujęcia pustyni. W zagłębieniach terenu wyraźnie widać było ciemniejsze obszary. Woda w stanie ciekłym.

Przerzucił obraz na miasto. Biurowce w centrum zachowały się poprawnie. Trzeba szepnąć słówko o profesjonalizmie architektów – to dobrze buduje patriotyzm lokalny. Wieżowce zaprojektowano z myślą o silniejszych trzęsieniach ziemi, ale nie o tak silnym huraganie, jaki je czekał już za chwilę. Te kilka rozbitych dotychczas szyb to drobiazg. W gorszym stanie były wszelkiego rodzaju instalacje biegnące w podziemnych kanałach. Ich naprawa zajmie tygodnie albo i miesiące. A teraz dobije je deszcz...

Kto mógł się spodziewać, że Ice Cube rąbnie tak mocno? Gdyby wiedział wcześniej... Właśnie, czy Richard wiedział o energii, jaką wyzwoli uderzenie? To

pytanie rodziło następne: Czy wiedział Haines? Gdzież się podziewa ten dupek? Na trzy wiadomości już nie odpowiedział. Może infosiec jest w gorszym stanie, niż się wydaje.

Goodall był senatorem miasta Nowy Londyn. W tej sytuacji powinien się pokazać publicznie, coś zrobić. Cokolwiek. Burmistrz... Zadzwoić nie zaszkodzi. Zawsze to będzie lepiej wyglądać.

–Murphy, słucham? – ton głosu burmistrza wyraźnie zniechęcał rozmówcę.

–Witaj, tu Jonathan, jak mogę ci pomóc?

–Dziękuję, jakoś sobie radzimy – powiedział tamten, łagodniejąc. – Chcemy zebrać rannych przed burzą piaskową. Wygląda na to, że kontrolujemy sytuację.

–Jeśli będę mógł w czymś pomóc, to łap mnie niezależnie od pory...

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale... nie! To wymaga odpowiedniej oprawy. Rozłączył się i wysłał krótką wiadomość do „New London Timesa”, który od wielu lat wspierał jego politykę:

„Proszę o nagranie na żywo. Mam ważną informację mogącą uratować wiele istnień ludzkich”.

Kto ma teraz głowę do czytania wiadomości? Ilu jest w zasięgu działających nadajników? Nieważne. Teraz tylko trzeba pomyśleć, jak wytłumaczyć, skąd wiem? Może tym razem powiedzieć prawdę? Podstępnie... Nie całą, oczywiście!

Pięć minut, pomyślał. Strata czasu, ale nie taka duża!

Wszedł trzy kondygnacje wyżej i stanął na tarasie. Na jego życzenie wyniesiono tam teleskop. Przyrząd w starym stylu, zrobiony z mosiężnych tulejek i kwarcowych soczewek. Nakierował go na północ i przyłożył oko do wizjera. Wyregulował ostrość. Zobaczył chmury burzowe ciągnące nad miasto. Pięćdziesiąt kilometrów, nie mniej. W bladym świetle Nefretete wyraźnie widział kłębiący się wał, rozświetlany wyładowaniami elektrycznymi. Chmury zwolniły. Podmuch impaktu przestał je gnać przed sobą.

Na podjazd przed bramą podjechał łazik z wielką dyndającą anteną na dachu. Dźwięki wskazywały wyraźnie na silnik spalinowy.

Senator wyciągnął z kieszeni palmtop i wywołał program sterujący rezydencją. Otworzył furtkę i drzwi, zanim jeszcze dzwonek przywołał lokaja.

Wezwał kamerę... Mógł nadać komunikat tekstowy, ale wtedy ludzie nie zobaczyliby

jego twarzy. Mógł użyć własnej kamery, ale była znacznie gorsza, a jakość obrazu była ważnym elementem image'u. Takich okazji się nie przepuszcza!

Ilu ludzi zabiłem tą zwłoką?, wzdrygnął się. Sumienie... Czy to już starość?

Reporter biegł po schodach na górę, a Goodall pospiesznie poprawiał ubranie i układał w głowie treść oświadczenia. Jako jeden z niewielu od miesiący znał symulację skutków uderzenia Ice Cube. Teraz zastanawiał się tylko, jak to ubrać w słowa.

Reporter znany Goodallowi (choć nie z imienia) wbiegł do pokoju i rozstawił pospiesznie rachityczny trójnóg z wysięgnikiem i niewielką kamerą na szczycie. Obraz z kamery był przekazywany do łazika na dole i stamtąd bezpośrednio do redakcji, gdzie siedział operator.

Senator upewnił się, że tłem dla jego wypowiedzi będą wieżowce centrum i ulica z błyskającymi światłami ambulansów. Odchrząknął, zebrał się w sobie i gdy tylko zapaliła się czerwona dioda, zaczął wytrenowanym tonem:

–Przeanalizowaliśmy dane dotyczące Ice Cube i skutków jej uderzenia w naszą planetę. System meteo nie potrafi wykryć najgorszego. Do miasta zbliża się burza typu ziemskiego. Będzie to początkowo wyglądało jak zwykła burza, ale zaraz po niej przyjdzie deszcz, woda lejąca się z nieba. To zagrożenie większe od wstrząsów sejsmicznych i huraganu. Ukryjcie się w domach, jak podczas burzy piaskowej, ale wyjdźcie z nich, gdy tylko wiatr osłabnie. Deszcz nie jest groźny sam w sobie, ale woda może powodować zwarcia w instalacji elektrycznej i podmycia budynków. Nie zbliżajcie się do jakichkolwiek urządzeń elektrycznych! Nie wchodźcie do piwnic i tuneli metra. To zagrożenie nieznane wcześniej Czerwonej Planecie. Przed tym ja i moi współpracownicy chcieliśmy was uchronić: przed szaleństwem nagłego terraformowania.

Gestem pokazał koniec nagrania. Reporter podziękował, zebrał sprzęt i pospiesznym krokiem skierował się do wyjścia. Pewnie miał pilne zadania przeprowadzenia transmisji z ulic. Obróbka potrwa dwie minuty i pójdzie w świat. Murphy będzie wściekły. Co tam! Bez Goodalla nie utrzyma się na stanowisku nawet kilku dni. Może właśnie jest dobra okazja do zmiany burmistrza? Zależy, jak się spisze...

Z ponurą miną senator przywitał front burzowy spadający na przedmieścia. Złożył teleskop i wszedł z nim do środka. Opuścił rolety osłaniające okna i wrócił do piwnicy. Teraz cieszył się z własnej zapobiegliwości, kiedy to kilka lat temu zainstalował tu bardzo drogi system odwadniania.

Kilka chwil po pierwszym uderzeniu wiatru siatki tworzące barierę od północnej strony miasta zostały wyrwane i odleciały, lądując w kawałkach na dachach budynków i na ulicach nawet kilometr dalej. Pustynia przypuściła zmasowany atak na miasto. Wiatr z ogłuszającym hukiem porwał anteny, szyldy sklepów, szklarnie, fragmenty budynków, lżejsze pojazdy i ludzi, którzy sądzili, że trzęsienie ziemi to koniec ich kłopotów. North End został pokryty wielometrową warstwą piasku, a domy na przedmieściach znikły pod ruchomą wydumą. Po kilku minutach brunatna powódź pyłu zatopila ruchomą warstwą całe miasto, z wyjątkiem szczytów najwyższych budynków. Wiatr ustał tak samo szybko, jak nadszedł. Pył, piach i wszelkiego rodzaju lekkie przedmioty, które wzbiły się w powietrze, teraz opadały, z monotonnym szelestem pokrywając grubą warstwą ulice. Wiele dachów nie wytrzymało ciężaru, zapadając się z łoskotem do wnętrza budynków.

Spadały pierwsze krople deszczu.

Mimo deszczu płonęła jedna z wież. Pożar... Rzecz rzadko spotykana w takiej atmosferze, ale tam, na górze, były tlen i wodór. Palilo się kilka pięter maszynierii. Wątpliwe, by ktoś potrafił to ugasić. Raczej samo się wypali. Wszystkie trzy wieże ucierpiały w wyniku wstrząsów, choć betonowe trzony, posadzone głęboko pod pustynią na skalnym podłożu, wyglądały na nienaruszone. Na dole w Central Parku leżało zapewne kilkanaście ton pogiętego żelastwa.

Apartamentowiec też bardzo dobrze zniósł kataklizm. Przez opuszczone rolety do środka nie dostało się nawet ziarenko piasku. Z powodu przerwy w zasilaniu Hope musiał podnieść rolety ręcznie. Zasapał się, kręcąc korbką, a dokładnie w chwili gdy skończył, przywrócono zasilanie.

Wyszedł na taras. Środek nocy, więc zniszczenia, nawet te poważne, nie były widoczne. Zresztą stąd widział tylko budynki Centralnego Kręgu i wieżowce centrum. Na pierwszy rzut oka wszystkie stały na swoich miejscach. Nad miastem unosiła się luna, ale nie od pożarów, tylko od oświetlanych od dołu miliardów ziarenek piasku spadających z nieba jak śnieg. Dopiero teraz Hope usłyszał szum przebijający się przez syreny policyjne. Głosy dziesiątek tysięcy ludzi. Słowa, krzyki, odgłosy kroków nałożone na siebie, razem kompletnie niezrozumiałe.

Cały ranek spędził na usuwaniu śladów korespondencji z naziemnym centrum kontroli Waterfall, i w ogóle wszystkich materiałów łączących go z projektem. Pozostawała do zrobienia ostatnia rzecz i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będzie mógł zapomnieć o całej sprawie. Podeszedł do barku, chwycił brzegi ciężkiego mebla i sapiąc, odciągnął go od ściany. Zmarszczył dywan, wewnątrz barku zadzwoniło szkło. W ścianę wmurowany był niewielki sejf. Hope chuchnął w palce, jakby zamierzał się włamywać, i wprowadził kod. Zamek wyświetlił na czerwono komunikat: „Brak karty ID”. Hope zmarszczył brwi. No tak, palmtop z kartą ID wewnątrz odłożył na stolik, szarpiąc się z korbą od rolety.

Poszedł po niego i zauważył, że przyszło kilka wiadomości. Nie miał czasu ich teraz czytać. Podeszedł do sejfu i ponownie wstukał kod. Zamek sprawdził obecność w pobliżu karty ID i drzwiczki stanęły otworem. Na półeczce na miękkim materiale leżały trzy niewielkie sztabki złota. Uśmiechnął się przelotnie i uważając, by ich nie dotknąć gołymi rękoma, przełożył je do małego czarnego neseseru.

–Nie mam pojęcia, skąd ten sukinsyn to wziął, ale zapłaciłem za to... jak za złoto – powiedział do siebie i zaśmiał się z własnego dowcipu. Kupił złoto, płacąc dwukrotnie drożej, niż wynosiła jego cena rynkowa, ale środki na zakup nie pochodziły z budżetu projektu. W imieniu Ministerstwa Klimatu podpisał fakturę za remont instalacji meteorologicznych w rejonie bieguna. Remont się nie odbył, ale nikt tego nie

sprawdzi, bo cały sprzęt kilka godzin temu wyparował.

Powiadomił kierowcę i zjechał windą do garażu. Szofer mruknął coś na powitanie, otwierając mu drzwi limuzyny. Gbur, ale obowiązkowy.

Wyjechali z garażu. Czterometrowe blokady broniące dostępu do Centralnego Kręgu były zamknięte. Rozmieszczone były pomiędzy budynkami stojącymi na granicy kręgu i reszty miasta. Zazwyczaj tak robiono, spodziewając się niepokojów społecznych bądź burzy piaskowej. Strażnik sprawdził ID kierowcy i Hainesa. Fragment blokady, migający pomarańczowymi lampkami, wsunął się w chodnik. I wtedy znów zgasły światła w całej okolicy. Gdzieś z boku wybuchł transformator, sypiąc wokół deszczem iskier.

Na zewnątrz wyraźnie widać było zniszczenia. Pęknięcia na murach, potłuczone szyby. Ludzie wylegli na ulice, ale sprawiali wrażenie bardziej dezorientowanych niż agresywnych. Patrzyli ponuro na limuzynę sunącą na grubych oponach przez błoto. Z tych spojrzeń Hope wyczytał nadchodzące trudne tygodnie. Niektóre kwartały ulic były pozbawione prądu, ale nie wszędzie zdążono go wyłączyć. Na szczęście zabezpieczenia przed piaskiem chroniły w pewnym stopniu sieć energetyczną także przed wodą. W kilku miejscach wybijała z pękniętego wodociągu, powiększając strumienie spływające ulicami. Nie mogli szybko jechać, błoto i tłumy traktujące ulice jak deptaki, utrudniały ruch. Co chwilę mijały ich pojazdy na sygnale. Im dalej od centrum, tym sytuacja wyglądała gorzej. Wśród niskiej zabudowy Hope naliczył trzy zawalone domy. Kilka razy musieli ominąć skrzyżowania zalane wodą, zbyt głęboką nawet dla wysoko zawieszanej limuzyny. Na szczęście pojazdy ratownicze nieźle sobie radziły w trudnych warunkach. Najbardziej zaszkodził im deszcz powodujący zwarcia w niezabezpieczonych układach elektrycznych.

Limuzyna wjechała na teren bazy lotniczej. Na dachach apartamentowców nie przewidziano lądowisk. Podmuch powietrza dewastowałby ogrody. Tak więc za każdym razem, gdy się chciało gdzieś polecieć, trzeba było osobiście fatygować się aż tutaj.

Jeden z kopterów wypchnięto właśnie na pokryty warstwą wody i błota plac. Żółtym światłem wydobywającym się z otwartych drzwi zapraszał do wnętrza. Hope skorzystał z zaproszenia. W drugim rzędzie foteli, po prawej stronie siedziała jakaś postać w przykrótkim płaszczu. Hope od razu rozpoznał – po włosach. Thomas Gaunilo.

–Zdawało mi się, że to ja wynająłem ten kopter – powiedział, siadając na fotelu po lewej.

–Lecimy w to samo miejsce i o tej samej porze. Wolisz, żebym wziął oddzielną maszynę?

Hopa drażniła obecność tamtego, ale ostatecznie stali po tej samej stronie.

–Czym zasłużyłem sobie na twoje towarzystwo? – zapytał.

–Kończę pracę zleconą przez Griffina.

–Zawsze sądziłem, że cię nie lubi.

–Nie myliłeś się.

Pilot załatwił formalności, wsiadł i zajął miejsce za sterami. Wystartowali półtorej minuty później bez pozwolenia – kontrola lotów nie dawała znaku życia.

–Skąd wiesz, dokąd lecę?

Gaunilo wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

–Nie pamiętasz, czym się zajmuję? Informacja to ja.

–Tworzysz informacje, a nie zdobywasz – mruknął Hope i zaklął w myślach. Prosty trik. Gaunilo naprawdę umiał tworzyć informacje. Wcale nie znał lokalizacji celu.

Jasny błysk za oknem przerwał rozmowę. Kula ognia unosiła się nad centrum. Eksplozja w płonącej wieży wyrzuciła w powietrze fragmenty konstrukcji i instalacji. Wydawało się, że betonowy trzon wytrzymał. Po chwili nie było już płomieni. Pożar przygasł.

Hope przypomniał sobie o nieodczytanych wiadomościach. Wyjął palmtop i posegregował wszystko według priorytetów. Trzydzieści pięć wiadomości! Połowę od razu skasował. Resztę przejrzał – prośby o wypowiedzi dla prasy. To ważne, ale nie najważniejsze. Zajmie się tym potem. Pozostałe przerzucił pobieżnie. Grant prosił go o kontakt... Akurat z nim teraz lepiej mieć jak najmniej wspólnego. Co dalej? Goodall starał się go złapać od pół godziny. Ostrzegał go też przed deszczem. Deszcz na Marsie! Kto by pomyślał jeszcze wczoraj... Prosił też o przysługę, choć wyglądało to raczej na rozkaz. Miał zająć się przygotowaniem materiałów obciążających senatora Granta. Wiadomość uległa skasowaniu po kilkunastu sekundach. Westchnął, ale wiedział, że to zrobi.

„Przez najbliższą godzinę będę poza miastem – odpisał. – Kończę sprawę o najwyższym priorytecie. Potem oddaję się do pana dyspozycji”.

Kolejno, poczynając od północy, gasły dzielnice. Dopiero teraz wyłączano prąd. Dla wielu za późno. To musiało wzmóc panikę. W kilku miejscach światła rozbłysły ponownie, zapewne włączone przez elektryków amatorów albo przez automatyczne systemy niezależne od sieci miejskiej.

Ludzie są jednak strasznie głupi, pomyślał Hope.

*** * ***

Kopter wykonał kontrolne kółko nad farmą i Hope zauważył, że układ wydm różni się znacznie od tego, który znał. Na szczęście wejście do głównej kopuły mieszkalnej nie zostało zasypane ani zalane.

Wylądowali. Haines tym razem nie czekał, aż wirniki się zatrzymają. Nie zależało mu na zachowaniu fasonu ubrania. Zeskoczył na piasek. W świetle reflektorów podbiegł do drzwi i wprowadził kod. Gaunilo szybkim krokiem dogonił go i razem weszli do środka. Nie było sensu dalej ukrywać wejście. Hope wprowadził Gaunila do łazienki i przekręcił krany. Zjechali kilkanaście metrów, a gość nie okazał zdziwienia.

Centrum kontroli świeciło pustymi ekranami. Na podłodze wałało się kilkanaście zgniecionych kubków z prasowanej masy kukurydzianej i opakowań po batonach energetycznych. Nie było nikogo. Hope westchnął i przeszedł do pomieszczenia spełniającego rolę sypialni i pokoju dziennego jednocześnie.

–Pobudka! – rzucił. – Wyplata przyjechała. Wychodźcie z tej nory. Od dzisiaj sami będziecie wybierać panienki. Koniec narzekania, że za gruba, że ma włosy na plecach...

Odpowiedziało mu echo i brzęk butelki wypuszczonej z czyjejś ręki. Nawaleni do nieprzytomności, nie mogli nawet wstać. Dwóch spało, trzeci siedział pod ścianą z błogim uśmiechem na twarzy. Machnął tylko ręką do przybyłych, przekręcił głowę i beknął.

Hope westchnął i położył neseser na stole. Wyplata. Na Marsie nie było materialnych pieniędzy. Jak zapłacić, żeby to nie przeszło przez serwery bankowe raportujące każdą transakcję urzędowi podatkowemu i policji? Nie warto bawić się w żadne fałszywe transfery i fikcyjne osobowości, choć dobrzy hackerzy potrafili to zrobić. Po co angażować w to kolejnych ludzi? Należało to załatwić najstarszą cywilizowaną walutą – złotem. Otworzył neseser i spojrzał na trzy niewielkie, połyskujące sztabki spoczywające z dostojną elegancją w pluszowych zagłębieniach.

–Co byś powiedział na obniżenie wynagrodzenia o dziesięć procent? – Gaunilo zwrócił się bezpośrednio do jedyne przytomnego kontrolera. – Za pijaństwo.

Hope chciał coś powiedzieć, ale pijany był o dziwo szybszy:

–Ssss pierdalaj... Idę do pierwszej redakcji i wszystko opowiadam.

–Sprawdzałem tylko – powiedział Gaunilo. Uniósł wyprostowane ramię i strzelił.

Na dźwięk wystrzału Hope podskoczył. Patrzył to na rękę Gaunila trzymającą pistolet, to na czerwony otwór w czole mężczyzny pod ścianą, umazaną teraz sporym ciemnoczerwonym kleksem. Trup zrobił koszmarne zęba, a Hope zgiął się w pół, wymiotując w kąt. Usłyszał dwa kolejne strzały.

–Zostawiłeś podpis – zauważył Gaunilo, opuszczając rękę. – Własne DNA.

Hope wytarł rękawem brodę i spojrzał na niego. Ten facet z pistoletem w ręku wyglądał absurdalnie. Prędzej mógłby trzymać smycz, na której końcu merdałby ogonem jamnik. Prędzej mógłby sprzedawać watę cukrową w zoo. Prędzej...

–Czemu tak się gapisz?

Hope trwał w półzgiętej pozycji, obserwując Gaunila.

–Zabijesz teraz mnie? – zapytał po chwili. – Zabierzesz złoto?

–Nie jestem złodziejem. Weź się w garść i zbierajmy się, nim woda przesiąkająca przez grunt zamieni ten bunkier w akwarium. Złoto przekaż na jakiś sierociniec.

Zatrzasnął neseser, podał Hainesowi. Pociągnął go w kierunku windy.

–I tak byś ich zabił...

–Tego już się nie dowiemy.

–Ale... dlaczego?

–Personalalia kilku osób powinny pozostać nieznanne.

Jechali w górę przy muzyce dzwoniącego kubka.

–Ja też wiem dużo.

–Dowiedziałeś się wczoraj, nie pamiętasz?

–Mam wrażenie, że to brzmi jak propozycja.

–Nie opuszczam branży. Nadal będę potrzebował zleceniodawców.

Hope wyszedł z windy i zatrzymał się na środku opuszczonego *living roomu*. Na dole ścian zaczynała się już pojawiać wilgoć.

–Zażądają krwi – zauważył. – Ktoś przecież musiał koordynować projekt z Marsa. Temu się nie da zaprzeczyć.

–Jest taka osoba, doskonale nadająca się do przeznaczonej jej roli. Znasz ją.

Allen prowadził maszynę na pamięć. Nie działały ani żadne urządzenia nawigacyjne, ani łączność. Niemal wszystko, z wyjątkiem układów napędowych, zamokło w czasie deszczu. Woda była nawet w reflektorach i lampce oświetlającej wnętrze kabiny. Musiał przyznać, że tego nie przewidział. Na Ziemi byle palmtop był wodoodporny. To zresztą wyjaśniało, dlaczego palmtop Doris też nie działał.

Wstawał nowy dzień, ale nawet pustynia wyglądała teraz inaczej: zbocza wydmy oznaczone były zaschniętymi korytami chwilowych strumieni.

Na horyzoncie zamajaczyła linia zabudowań Nowego Londynu. Allen skorygował kurs i przyspieszył. Wydma, nad którą kiedyś pracował, przerwała barierę i wtargnęła na dwie przecznice w głąb West Endu, niweczając tym samym wiele tygodni pracy kilkuset osób.

Z tej wysokości widać było zniszczone częściowo budynki. Nie przetrwała prawie żadna dachowa szklarnia. I ten niesamowity widok podtopionych terenów – powódź na planecie cierpiącej na notoryczną suszę. Cała ta woda musiała sama wyparować lub wsiąknąć, w mieście bowiem nie było ani jednej pompy. Buldożery przedtem pracujące na obrzeżach miasta teraz odkopywały ulice w centrum, ładując wszystko, jak leci, na ciężarówki. Lepiej było nawet nie zastanawiać się nad stanem tuneli metra.

Jedna z wież elektrolitycznych była uszkodzona. Rzadki, czarny dym wydobywał się z resztek pogiętych rur wystających wprost z betonowego trzonu. Cała zewnętrzna konstrukcja, kryjąca w sobie wcześniej maszynę produkującą tlen, przestała istnieć.

Doris obudziła się dopiero teraz. Wzięła palmtop Allena i spróbowała się zalogować do sieci miejskiej, ale ta nie odpowiadała.

–Szkoda czasu – powiedział Allen, podchodząc do lądowania. – Wszystko w okolicy jest pod wodą, nic nie działa. Zresztą nie wykupiłem żadnego pakietu i mogę się łączyć tylko lokalnie.

Posadził kopter na środku zalanego placu i wyłączył silniki. Ustawił wszystkie przełączniki w pozycje spoczynkowe, choć i tak prawie żaden nie działał. Rotory ze zgrzytem wyhamowały w łożyskach.

Wysiedli na płytę pokrytą kilkucentymetrową warstwą wody. W całej bazie nie było nikogo. Niebo miało inną barwę, było jakby zamglone i szare. Słońce świeciło znacznie słabiej niż zwykle, a po niebie płynęły pojedyncze chmury.

–Znad bieguna nadciąga pył – powiedział Allen, podchwytyjąc niepewne spojrzenie Doris. – Jutro będzie jeszcze gorzej.

–Czy on może nam zaszkodzić?

–Jeśli długo utrzyma się w powietrzu, ochłodzi klimat. A to ułatwi odnawianie się czapy polarnej.

–Ile czasu to potrwa? – zapytała, biorąc go pod ramię. – Za ile opadną?

–Tydzień, miesiąc. Nie wiem.

Wyszli poza teren bazy i brnąc po kolana w wodzie, skierowali się na południe, do wyżej położonych dzielnic. Omijali pływające ciała. Nie było ich wiele, ale ten widok wprawiał w przygnębienie.

–Co im się stało? – Doris zasłoniła usta dłonią. – Woda jest płytka.

–Pewnie poraził ich prąd, potem utonęli...

–Griffin naprawdę się przeliczył.

Kilkaset metrów dalej ulica była już sucha. Słońce stało coraz wyżej nad horyzontem, ale wcale nie robiło się jaśniej.

W małej kawiarence na rogu świeciło się światło. Weszli do środka. Nikogo tam nie było, a półki ogołoco. Allen, korzystając z lokalnego nadajnika, zalogował się do sieci. Ściągnął najnowsze informacje i wyszli na ulicę. Dostrzegli zaledwie parę osób, dwa porzucone ambulanse i kilka pojazdów policyjnych, zapewne również zamkniętych.

Idąc dalej, przeglądał serwisy. Nagle zatrzymał się.

–Twój palmtop nie działa – rzucił nerwowo. – Nie mogli cię jeszcze namierzyć. Wyjmij kartę!

Posłusznie wykonała polecenie i dopiero wtedy spojrzała pytająco na chłopaka. Pokazał jej ekran swojego palmtopa. Był na nim list gończy za Doris Westwood. Wraz ze zdjęciem.

Dziewczyna oparła się plecami o mur.

–Dlaczego? – zapytała. – To skurwysyny! Zastaniają się mną...

–Musisz ściąć włosy – powiedział Allen. – Zaczekaj, zaraz coś wymyślę. Daj swoją kartę!

Cofnął się do ulicy zalanej wodą. Zasłonił twarz połą koszuli, choć w powietrzu nie było żadnego przykrego zapachu, i zaczął oglądać pływające zwłoki. Wszedł do jakiegoś domu, potem do następnego, w kuchni znalazł nożyczki. W piątym z kolei pływało ciało dziewczyny z długimi blond włosami. Wypchnął je na ulicę, z obrzydzeniem przejrzał kieszenie. Znalazł palmtop, z którego wyjął kartę, dla pewności uderzył nim kilka razy o mur, a szczątki wrzucił do wody. Pchnął ciało w dół ulicy, odruchowo oplukał ręce. Doris stała na suchej ulicy z twarzą ukrytą w dłoniach. Płakała. Objął ją ramieniem i podał kartę.

–Nie wiem, kim ona była, ale to może być twoja nowa tożsamość.

–Nie, Griffin o tym również pomyślał. – Wygrzebała z kieszeni pudełko, które senator dał jej w Sargass. W środku była karta ID. – To jest moja nowa tożsamość. Jej poprzednia właścicielka już jej nie potrzebuje...

–Nie żyje?

–Miała chore serce i nie wytrzymała pierwszej w życiu podróży samolotem. Tak powiedział Griffin.

–OK. Będzie lepiej, jak oficjalnie Doris Westwood też umrze. Policja zamknie sprawę.

–Nie mogę w to uwierzyć. – Płakała, wtulając się w jego ramię. – Haines mnie wrobił. Kryje własny tyłek.

–Tak czy inaczej, to jedyne wyjście. Zobaczmy, jak wyglądasz – powiedział. – Daj mi swój palmtop.

–Przecież nie działa.

Otarła łzy. Allen usiadł na murku i położył palmtop na kolanie. Paznokciem podważył aluminiową obudowę. Odskokczyła. Wyjął wnętrze, potrząsnął nim mocno, wychlapując kilka kropel wody. Przedmuchał wszystkie szczelinki i wystawił ekran do słońca. Ukryte pod wyświetlaczem ogniwa słoneczne złapały trochę światła i ekran ożył. Chłopak wsunął w szczelinę od góry nową kartę ID. Ekran wyświetlił twarz bardzo podobną do twarzy Doris. Dziewczyna nazywała się Nina Brooks.

–Nina – powiedział Allen. – Też ładnie.

–I co ja z tym zrobię? Wszystkie kody...

–Założę się, że Griffin o tym pomyślał, ale i tak musimy ściąć ci włosy. Zobacz, ona ma krótsze.

Wprowadził ją w wąski zaułek i przymierzył się do jej włosów z nożyczkami. Zgrzytał nimi w powietrzu, nie wiedząc, jak zacząć.

–Tnij tak ze dwa centymetry nad ramionami – powiedziała Doris.

Zajął mu to parę minut. Musiał kilka razy poprawiać, żeby wyrównać.

Dziewczyna spojrzała na obcięte długie jasne pasma.

–Dwa lata będą odrastać.

–Tak też ładnie wyglądasz – zapewnił ją, zbierając włosy. Wcisnął je w szczelinę w ścianie.

Wrócili na ulicę.

–Gdzie właściwie wszyscy się podziiali? – zapytała Doris.

–Uciekli do wyżej położonych dzielnic. Chodźmy do mnie. To kilka przecznic stąd.

Odwrócili głowy zaskoczeni łoskotem, który dobiegł ich gdzieś z tyłu. Jeden z domów stojących przy zalanej ulicy właśnie się zawalił. Fale rozeszły się wzdłuż linii zabudowy, poruszając pływającymi śmieciami i trupami.

Szli dalej, kilka razy pokonując głębokie na metr lub więcej wąwozy wypłukane w nocy przez spływającą wodę. Podejrzenie wyglądający ludzie wynosili ze sklepów wypchane plecaki i worki. Nie zwracali uwagi na nikogo.

–Szabrownicy – szepnęła dziewczyna. – Tu, w Nowym Londynie... Gdzie jest policja?

–Lepiej, że ich tu nie ma. My też będziemy musieli zdobyć żywność i wodę. Nie wiadomo, kiedy dotrze pomoc. Serwisy donoszą o zniszczeniu części magazynów żywności i fabryk. Ludzie, zgodnie z instrukcjami władz, schronili się w gmachach publicznych bliżej centrum. Nie lubię tłumów. Wolę sam się o siebie zatroszczyć.

–Teraz musisz się troszczyć i o mnie.

–Będziemy się troszczyć o siebie nawzajem.

Po kilku minutach stanęli przed dwupiętrowym domem, który sprawiał wrażenie nietkniętego.

–Może było warto. – Doris wskazała kielkującą już z chodnika malutką roślinkę.

Allen wprowadził dziewczynę na pierwsze piętro. Trzy mieszkania i ani śladu

człowieka.

Doris usiadła przy stole kuchennym i położyła przed sobą palmtop. Wraz z włożeniem nowej karty wszystkie ustawienia i informacje przepadły. Przeglądając nową zawartość, natknęła się na pamiętnik Niny. Prawdziwy czy zmyślony, był sprytnym sposobem, w jaki Griffin przekazał informacje o jej nowej osobowości. Według ostatniego zapisu przeprowadziła się właśnie do Nowego Londynu, bo miała tutaj dostać lepszą pracę. Dobry start dla nowego życia – żadnych znajomych, żadnej rodziny. Zauważyła też, że ma na swoim koncie bankowym więcej, niż miała jako Doris.

Allen sprawdził stan swoich zapasów. W lodówce były tylko puste opakowania i trzy sześciennie puszki piwa – kształt pomagał zaoszczędzić miejsce na statkach kosmicznych. Wyjął dwa piwa, zamknął lodówkę i stanął przy oknie, by obserwować ulicę. Co jakiś czas przemykał nią samotny przechodzień.

–To wszystko – wskazał głową za okno – oznacza niezły chaos przez pewien czas. Potem zaczną nas szukać.

–Wiem. Cały czas mam wyrzuty sumienia. Mogłam temu zapobiec.

–Myślę, że postąpiłaś słusznie.

Podeszła do niego i położyła mu głowę na ramieniu.

–Będziesz kradł żywność?

–Wprost przeciwnie. Wezmę, zanim ktoś inny ukradnie. – Uśmiechnął się, podając jej puszkę. – Pojadę do centrum. Tam na pewno rozdzielają żywność.

Pocałował ją, wstawił swoją puszkę z powrotem do lodówki i poszedł na dół. Rozłożył rower, wypchnął go na ulicę. Omijając przeszkody, ruszył w stronę centrum. Zaledwie kilometr dalej ludzi było więcej. Oceniali szkody, próbowali reperować pojazdy lub siedzieli przed domami, czekając, aż odpowiednie służby naprawią sieci miejskie. Kilka razy musiał przenosić rower nad wyschniętymi wąwozami. Jedna z ulic na sporym odcinku zapadła się, ukazując zalany do połowy tunel metra.

Kilka kilometrów od centrum naprawiono już sieć energetyczną, kursowały nawet niektóre autobusy. Ludzie ustawiali się w długich kolejkach przed ciężarówkami, z których policja i gwardia narodowa rozdzielają żywność. Z niezadowolonych twarzy i gniewnych narzekań Allen wywnioskował, że jedzenia jest mniej, niż potrzeba. Nawet nie próbował ustawiać się w kolejce, choć zaczynało mu już burczeć w brzuchu.

Nie chciał się włamywać do opuszczonych domów. Jeszcze nie teraz. Sklepy, które mijał po drodze, już były ogołocone. W połowie drogi do domu przypomniał sobie o

nieczynnej teraz fabryce. Trzymali tam zapewne zapasy tych białych kluch, którymi i jego karmiono, gdy pracował na wydmach. Ta gleja była niesmaczna, ale pożywna i co najważniejsze, nie psuła się szybko. Z tych właśnie powodów karmiono nią robotników fizycznych.

Allen pojechał jeszcze kawałek w stronę centrum, gdzie życie pozornie wracało do normy. Nie licząc patroli policyjnych na każdym kroku. Zawrócił, kierując się do opuszczonej fabryki.

* * *

Niebo ciemniało. Wysoko ponad nielicznymi chmurami przesuwała się nieregularna warstwa pyłów.

Fabryka sprawiała wrażenie opuszczonej. Wjechał na teren przez otwartą na oścież bramę i zaparkował przy najbliższej hali za budynkiem administracyjnym. Pod zadaszeniem, wprost na ziemi, leżało w uporządkowanych stosikach kilka tysięcy cegiełek. W dotyku sprawiały wrażenie sprasowanego, wilgotnego torfu. Czarne, brązowe, czerwone. Nieciekawie pachniały. Wszedł do długiego korytarza biegnącego do następnej hali. Ta była większa i w znacznie gorszym stanie. Szklany dach zapadł się po deszczu. Nie zaprojektowano rynien, więc woda gromadziła się tam, aż przeszła nie wytrzymała. Allen oparł się o balustradę galeryjki obiegającej halę z czterech stron.

Niżej znajdowało się kilkanaście linii produkcyjnych w postaci rzędów ustawionych szeregowo urządzeń. Przyjrzał się pierwszej z nich. Pozioma rura wychodziła ze ściany pod korytarzem, którym tu przyszedł, przechodziła do dużego żebrowanego cylindra, potem biegła do czegoś, co wyglądało jak wykonana z setek cienkich rurek obudowa turbiny, a następnie do chromowanego sześciokątnego kontenera wielkości autobusu. Na długości kilkunastu metrów rura zmieniała średnicę i przechodziła przez kolejne urządzenia, by zniknąć w przeciwległej ścianie. Podobnie, choć nie identycznie, wyglądały i inne instalacje.

Wszystkie wyświetlacze i kontrolki były martwe. Nic tu nie działało, ale wypolerowany metal lśnił. Hala sprawiała wrażenie opuszczonej przed chwilą.

Między rurami coś się poruszyło. Wyglądało na to, że nie tylko on wpadł na pomysł zdobycia tu pożywienia. Po chwili Allen ze zdziwieniem stwierdził, że jest tu kilka osób.

–Chodź pan, tu jest najlepsze – zawołał do niego łysy mężczyzna stojący za najbliższą rurą.

Allen zszedł po schodach. Stąpając butami po potłuczonym szkle, przeszedł pod rurą i zbliżył się do tamtego.

–Śmiało, bierz pan. Czego nie weźmiemy, to się zepsuje. I lepiej się spieszyć. Jak zorientują się, że bogatych dzielnic nikt nie ma zamiaru demolować, to przyjadą tu i nas wykurzą.

–Kto?

–Policja.

–A co tu ma się zepsuć?

–Warzywa – powiedział mężczyzna, poklepując rurę. Wskazał gruby kran, z którego do podstawionego kanistra powoli wylewało się coś o konsystencji gęstego błota. Pachniało... pomidorami.

–Jedzenie? – zapytał Allen szczerze zdziwiony.

–A pan myślał, że co my jemy? Hamburgery! Widział pan tu gdzie krowę? Tu się robi pomidory – wskazał rurę – od razu wychodzi przecier. Dalej ogórek, soja, ziemniaki. Z Ziemi przylatują tu tylko dodatki smakowe.

–Mieli się je w tych rurach?

–One w nich rosną!

–Skąd pan to wie?

–Pracowałem tu. Może nawet jeszcze będę pracował. Teraz nie jestem tu zatrudniony, to tajemnica mnie nie obowiązuje. Bierz pan kanisterek i ładuj pan. To nie kradzież, to przeciwdziałanie marnotrawstwu. Zatrzymaną linię i tak trzeba wyczyścić i zaczynać proces od zera.

Allen wziął ze sterty pod ścianą trzy dziesięciolitrowe kanistry i wzorem łysego napełnił pierwszy „przecierem pomidorowym”. Spróbował. Smakowało jak pomidory.

–Jak to działa? – zapytał, przechodząc pod kolejną rurę.

–Ja tylko pilnuję, czy parametry nie wchodzą na czerwone wartości – wyjaśnił łysy, tankując dalej marchewkę. – Hodują tu w środku komórki, karmią je, naświetlają, podgrzewają. Za tą ścianą są korzenie, przynajmniej tak je nazywają. Tam właśnie przywożą zagęszczone odpady z całej dzielnicy. Potem nie wiem co. Sam diabeł wie, jak to się dzieje, że na końcu wychodzi to, co wychodzi. Ale gdyby nie te cuda, toby nas już na tej planecie nie było.

–Widziałem ruiny farm...

–Właśnie. O! Tam, na końcu, jest coś, co przypomina w smaku kurczaka. To też

jakieś komórki roślinne, ale oficjalnie masz pan dewolaja! Dobra. Będzie tego, bo nie doniosę! Widzisz pan, mój syn ma ambicje być rzeźbiarzem, jak jego dziadek. Artyści! W życiu się z tego nie utrzymają. Nawet jedzenie ja muszę sam do domu przynosić.

–A takie białe kluchy, jakie dają robotnikom? – zapytał Allen.

–Aaa... wiem. Nie robimy tu tego. One są na mleku.

–Też sztuczne?

–Mówiłem już – widział pan tu krowy? Właśnie... Do widzenia. Radzę się pospieszyć.

Odszedł, uginając się pod ciężarem czterdziestu kilo, choć na Marsie ważyły ledwie połowę ziemskiego ciężaru.

Allen zdecydował, że wystarczą trzy kanistry. Potem i tak się zepsuje. Kurczak? Warzywo smakujące jak mięso? Lepiej nie. Soja ma dużo białka, smak ziemniaków tak szybko nie obrzydnie. Nappełnił więc pozostałe kanistry soją i ziemniakami. Na szczęście w domu miał jakieś przyprawy.

Z hali wyszedł nieniepokoiony przez nikogo. Podeszedł do zaparkowanego pod murem roweru, rozglądając się dookoła. Zapewne policja nadal miała ważniejsze zadania. Włożył kanistry do siatek bagażowych i wyjechał na główną ulicę.

Kątem oka dostrzegł, że parkujący kilkanaście metrów dalej mały zakurzony łazik ruszył i stukając uszkodzonym łożyskiem, podążał za nim w tym samym tempie. Allen zaniepokoił się, ale nie tak bardzo, by próbować go zgubić. Po chwili łazik przyspieszył i wyprzedził Allena, znikając zaraz za zakrętem. Metaliczne tykanie ucichło w oddali.

Chłopak obejrzał się i zauważył dwie cysterny znikające w bramie fabryki. Była więc szansa, że nie dojdzie do gigantycznego marnotrawstwa.

Ludzie wciąż szli w kierunku centrum, licząc na pomoc. Chyba nikt nie miał pojęcia, ile żywności znajduje się tuż obok.

Przy krawężniku stała dwójka dzieci. Kilkunastoletnia dziewczynka i znacznie młodszy chłopczyk. Byli dziwnie ubrani, jakby w jasne płaszczyki czy szlafroki. Coś w ich wyglądzie kazało Allenowi zatrzymać się. Dziewczynka przytulała do siebie lewą ręką chłopczyka. Prawą, z dziwną determinacją, wskazywała Allenowi mur. Odwrócił się w tamtą stronę, nie zauważył nic szczególnego. Chciał zapytać, o co chodzi, ale dzieci już nie było. Rozejrzał się wokoło, ale nigdzie ich nie widział. Znów popatrzył na mur. Może chodziło o uliczkę, która odchodziła kilka metrów dalej? Kończyła się po kilkunastu metrach wysokim murem. Zostawił rower i wszedł w nią. Mimo że nic

ciekawego tu nie było, doszedł jednak do końca.

Gdy się odwrócił, zza załomu muru wybiegło na niego coś ciemnego i wrzeszczącego. Odruchowo uchylił się przed uderzeniem pręta i złapał czyjąś rękę. Bez trudu przewrócił go na ziemię i przycisnął własnym ciałem. Uniósł dłoń zwiniętą w pięść. Brudna twarz wydała mu się znajoma. Ręka zawisała nad buzią czarnowłosej dziewczynki. Ona też go chyba rozpoznała.

–Jessica...

Allen puścił ją i wstał. Dziewczyna objęła go, szlochając. Pogładził ją po głowie.

–Prawie cię uderzyłem – powiedział. – Co tu robisz?

Dziewczyna, nie mogąc wymówić słowa, wskazała ręką w kąt, z którego wyskoczyła. Leżał tam zwinięty w kłębek chłopczyk. Allen zostawił dziewczynkę i podszedł do niego. Dotknął policzka. Był rozpalony. Znał to dziecko. Jak on się nazywał? Jared. Archeolog.

–Chodzimy od kilku godzin... – łkała. – Nie mamy co jeść...

–Odwodnił się – powiedział Allen, biorąc chłopca na rękę. – Jesteście kawał drogi od centrum.

–Nie znam miasta... Uciekaliśmy.

–Zabiorę go do szpitala.

–Nie! Nie... Później ci to wyjaśnię. Nie możemy się ujawniać.

–Dobrze, przyjmijcie więc moje zaproszenie. Potem mi wszystko opowiesz.

Zaniósł Jareda do roweru i położył na krzeselku. Przytknął manierkę do ust chłopca, który, nie otwierając oczu, wypił kilka łyków i zakaszał. Pozostałe pół kilometra przeszli piechotą. Allen pchał przed sobą rower z kanistrami. Woda szybko wsiąkała w wyschniętą na pieprz ziemię. Tam, gdzie godzinę temu były jeziora, teraz pozostały jedynie błotne kałuże.

Wchodząc do domu, zauważył, że trawka, która dopiero co wyrosła z chodnika, została przez kogoś zdeptana. Gdy przekroczyli próg domu, Doris rzuciła mu się na szyję.

–Nie ma łączności – powiedziała. – Nie wiedziałam, co się z tobą dzieje.

–A tu coś się działo?

–Nie. Bałam się tylko... Tyle czasu nie wracałeś.

–W centrum już chyba naprawili część transformatorów – powiedział, wyzwalając się z jej objęć. – Za kilka dni całe miasto wróci do normalnego życia. Tylko metro dłużej poczeka.

Doris dopiero teraz zwróciła uwagę na to, że Allen trzyma na rękach chłopca.

–Nie zgadniesz, kto to jest – powiedział Allen, wchodząc do sypialni i kładąc dziecko na łóżku. Jessica weszła do mieszkania i postawiła kanistry na podłodze.

–Jessica Grant – przedstawiła się, dygając i wyciągając rękę do Doris. – A to Jared Grant, archeolog. Tylko nie mów mu, że Marsjanie nie istnieli.

–Ja jestem –

–To jest Nina – przerwał jej Allen. – Nina Brooks.

–Miło mi – powiedziała Doris. – Poznałam twojego ojca. Co mu jest? – Wskazała głową sypialnię.

–Odwodnił się i ma gorączkę. Jessica spróbuje w niego wmusić trochę wody, a ty przygotuj coś do jedzenia.

–Co przyniosłeś?

–Przecier pomidorowy, puree ziemniaczane... surowe, i mieloną soję. Przyprawy są w szufladzie. Drugiej od góry. Może wymyślisz coś, co da się zjeść. Umieram z głodu.

–Chyba nigdy nie gotowałam – westchnęła Doris. – Coś wykombinuję. Są już woda i prąd. Kiedy cię nie było, elektrycy grzebali gdzieś na końcu ulicy.

*** * ***

To, co wyszło po zmieszaniu, ugotowaniu i przyprawieniu trzech składników, nie było wykwinną potrawą. Mimo to nikt nie narzekał. Jared wypił sporo i przespał się pół godziny. Markotny, ale o własnych siłach przyszedł do stołu i zjadł solidną porcję.

–Skąd się wzięliście na ulicy, z dala od centrum? – zapytał Allen, gdy skończyli jeść.

–Wyrzucili nas z apartamentu – powiedziała Jessica. – Tatę i mamę zabrała policja, zaczęli wszystko wywalać do góry nogami. Początkowo nie zwracali na nas uwagi, a potem kazali się wynosić. Chcieliśmy przeczekać trochę...

–Ciekawe, czy niemowlę też by zostawili własnemu losowi? – wtrąciła Doris.

–Zabrali nam nawet palmtopy.

–Nie wolno im tego robić!

–Byli wściekli.

Jared wyciągnął z kieszeni dwie karty ID i kryształ pamięci. Położył wszystko na stole.

–Mogłeś mi powiedzieć! – powiedziała z wyrzutem siostra. – Co to za kryształ?

–Mam na nim gry.

–Tata da im popalić, jak tylko skończą go przesłuchiwać. Wiem, że przygotowywał się do ujawnienia dużej afery. Chodzi o jakieś morderstwa.

Ani Doris, ani Allen nie mieli sumienia tłumaczyć im, że ich ojciec w najlepszym razie trafi do więzienia.

–Biedny Robert – powiedziała Doris, zbierając talerze. – Pewnie też go męczą.

Allen pomógł jej sprzątnąć. Gdy znaleźli się sami w kuchni, dziewczyna spojrzała na niego.

–Co dalej? – zapytała.

–Nie zebrałem myśli – mruknął, wyciągając z lodówki piwo. Tym razem otworzył puszkę i odszedł z nią do okna. – Jeszcze trochę i byłoby po nim.

Przytaknęła.

–Co zrobimy? – zapytała cicho. – Z nimi i ze sobą?

–Dobre pytanie. Jedzenia starczy na kilka dni.

Mimo wczesnej pory ulica tonęła w półcieniach. Wolno przetoczył się ten sam łązik, którego Allen widział przy fabryce. Mężczyzna zmarszczył brwi.

–Ale co dalej? – szepnęła dziewczyna.

W ślad za łązikiem przejechał transporter wiozący nakryte folią ciała. Allen odprowadził go wzrokiem. Zbladł i przełknął ślinę, a obiad podszedł mu do gardła. Miał przeświadczenie, że wie, dokąd zmierza pojazd.

Goodall spędził ostatnich kilka godzin w sztabie kryzysowym w ratuszu. Na niewiele się tam przydał, ale to była pora największej oglądalności i kilka serwisów non stop transmitowało na żywo całe to nerwowe zamieszanie na przemian z obrazami z różnych rejonów miasta. Chodził więc od stanowiska do stanowiska i pokazywał coś operatorom wielkoekranowych terminali koordynujących działania różnych służb. Zadawał neutralne pytania, niewprawiające ludzi w rozdrażnienie, rozdawał na prawo i lewo oczywiste porady. Pytał: „Czy mamy wystarczająco dużo ludzi we wschodnich dzielnicach?”, radził: „Poślijcie kogoś do pilnowania uszkodzonych fabryk, zanim złodzieje je rozszabrują”, albo „Zorientujcie się, czy transportery z żywnością nie mogłyby stawać w korzystniejszych miejscach”. Nie sprawdzał, czy operatorzy stosują się do jego uwag. Nie miało to znaczenia.

Udzielił kilku ogólnikowych wywiadów. Powiedział parę słów o sytuacji w innych miastach (chwilę wcześniej przejrzał pobieżnie oficjalny raport) i na tyle długo ścisnął ręce komendantów policji przybyłych na odprawę, by ktoś to na pewno zarejestrował.

Potem zszedł do garażu i zapadł w miękką, skórzaną kanapę limuzyny. Rozluźnił się, nie musiał już trzymać się prosto, wciągać brzucha, sztucznie uśmiechać. Włączył terminal. Miał prawie sto nieodebranych wiadomości. Posegregował je według priorytetu ustalonego przez asystenta (przedtem zapewne wszystkie miały najwyższy) i zaczął przeglądać. Większość to prośby o szybkie decyzje w sprawach, którymi oficjalnie wcale się nie zajmował. Uporał się z tym, nim jeszcze limuzyna wyjechała poza obszar ochronny ratusza. Potem przebiegł wzrokiem wstępne raporty dotyczące następstw impaktu i prognoz dla różnych dziedzin życia.

Paradoksalnie większość dużych bomb meteorytowych spadła na półkuli południowej. Te, które miały mniejszą energię, nie dotarły tak daleko, wybijając tylko niewielkie kraterki na północnych pustyniach.

Bomby w znakomitej większości uderzały z dala od ludzkich siedzib. Na południu zdarzył się wyjątek. Kilka megaton. Dwa kilometry od miasta. Przykra sprawa.

Relacja z tego wydarzenia w serwisach informacyjnych miała zaledwie priorytet dwa. Mało kogo to tutaj interesowało. Mimo utrzymywanych sztucznie powiązań handlowych Północ i Południe oddalały się od siebie. Naturalną granicą była rozżarzona pustynia wzdłuż równika. Niewielu ludzi podróżowało na drugą półkulę w celu innym niż interesy. Liczba pasażerów i tak spadała z roku na rok. Łączny tranzyt nad równikiem był o połowę mniejszy niż ruch na linii Nowy Londyn-Sargass.

Południe było zamieszkane przez mniej niż jedną czwartą ogółu ludności. Półkula

była słaba ekonomicznie i politycznie. Teraz to drugie się zmieni. Można powiedzieć, że niespodziewanie duża siła impaktu Ice Cube była przedostatnim gwoździem do trumny wspólnego państwa. Ostatniego gwoźdźca na szczęście brakowało, ale radykałowie, głosiciele idei niezależnego państwa, już pieli się w górę w sondażach.

Czy ci ludzie uważają, że gdyby mieli granicę, to bomby meteorytowe zatrzymałyby się przed równikiem? Powietrze jest wspólne, choć Goodall kiedyś już spotkał się z pomysłem budowy kilkunastokilometrowej wysokości muru wzdłuż równika. Szaleńcy...

Czy to grozi wojną za kilka lat?, zastanawiał się. Nikt, nawet sami zwolennicy separacji jeszcze o tym nie debatują, ale to możliwe. Brak armii wcale nie jest przeszkodą. Jest wiele niewinnie wyglądających formacji zdolnych do przekształcenia w wojsko. Popyt stworzy rynek. Tu nie ma broni poza policyjnymi pistoletami i systemami obrony przed kosmicznym śmieciem, ale to nie jest przeszkodą. My w tajemnicy sprowadziliśmy tu pół miliona silników spalinowych, ktoś inny sprowadzi broń.

Południe miało rosnący kompleks biedniejszego brata. Goodall widział kiedyś mroczną grafikę jakiejś artystki z Południa. Mars na tle Drogi Mlecznej. Po chwili wpatrywania się w obraz widać było, że rzeczywistość jest tylko góra. Cała południowa półkula była przezroczystą mapą naciągniętą na niewidzialną sferę, przez którą przenikało światło gwiazd.

Południowi separatyści mieli nawet logo. Możliwe, że inspirowane tamtym obrazem. Przedstawiało oddzielone od siebie dwie połówki koła. Dolne pełne, górne ledwie obrysowane. Ba! Oni nawet robili globusy zabawki i publikowali w necie mapy, na których Południe było na górze.

Zmrok zapadł wcześniej, niż powinien. Jedna z wież była pozbawiona kanciastej narośli. Deszcze nad Central Parkiem przejdą do historii. To niedobrze. Drzewa są symbolami. Umierając, rodzą niepotrzebne refleksje.

Nad horyzontem widać było nadciągającą burzę piaskową. Limuzyna wjechała do garażu rezydencji i wrota bramy oddzieliły senatora od świata zewnętrznego. Wysiadł i szedł po schodach do swojego bunkra. Ledwo usiadł na fotelu, ekran stacjonarnego terminala rozbłysnął tą samą konfiguracją okien, jaka została w limuzynie. Senator chciał powrócić do lektury, gdy ekran zapulsował czerwienią. Połączenie, na które czekał od wczoraj i którego najbardziej się obawiał. Na szczęście tylko audio. Odebrał, powtarzając w myślach wałkowane po kilkanaście razy argumenty.

–Goodall...

–Witam, senatorze. Ufam, że ma pan chwilę dla starych znajomych.

–W tej chwili nic mnie nie ogranicza.

–Dobrze. – Głos mówił powoli, starannie, kładąc akcenty. – Skontaktowałem się z panem, by wyrazić pewne zaniepokojenie, moje i moich przyjaciół, takim rozwojem sytuacji.

–Energia uderzenia była czterokrotnie większa od przewidywanej. Griffin nie zbadał jądra komety, by nie dekonspirować projektu. To wymagałoby użycia publicznych satelitów, publicznych stacji kontroli i publicznych serwerów. Pretensje o błędną prognozę proszę kierować do niego.

–To bardzo wygodne, ale przeczuwam, że napotkamy pewne trudności w dotarciu do adresata.

–Straty, które panowie poniesiecie, można traktować jak inwestycję.

–Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem.

–Taka katastrofa jest dla nas wstępem do prosperity, o jakiej nawet nie marzyliśmy. Ludzie wpadną nam w ramiona i zrobimy z nimi, co będziemy chcieli. Na kilka tygodni zapanuje półmrok. Baterie słoneczne nie osiągną nawet jednej czwartej wydajności. Sprzedaż silników spalinowych skoczy o kilkaset procent. Zapotrzebowanie na wodór i maszyny budowlane z silnikami spalinowymi też wzrośnie, skracając czas zwrotu nakładów na rozbudowę sieci stacji paliwowych. Ponadto konieczne będą rządowe inwestycje i odbudowa uszkodzonych miast. Koniunktura wzrośnie na długo. Sześć, może więcej lat bez recesji. Kolejna korzyść to kontrola! Mamy pretekst do zaostrożenia nadzoru nad obywatelami. Trzeba tylko wykazać istnienie zorganizowanej grupy od dawna przygotowującej impakt. Grupy, której nie sposób było wykryć tradycyjnymi metodami. Jestem też pewien, że dostaniemy zielone światło na przygotowania do głosowania nad kilkoma ustawami, których projekty od wielu miesięcy leżą na naszych serwerach. Wynik głosowania jest niemal pewny.

Senator wyrzucił z siebie to wszystko z niesłychaną szybkością.

–Pan mówi o komplantach i lokalizatorach osobistych?

–Tak. Również. To na zawsze zmieni oblicze społeczeństwa i umożliwi nad nim kontrolę, o jakiej nikt przedtem nie mógł nawet śnić. Utrzymanie w tajemnicy projektu Minority będzie w tej sytuacji znacznie prostsze. Mówię również o kontynuacji projektu Waterfall w nieco zmienionej postaci.

–Eksploracja asteroidów... Nie wierzę, że w obecnej sytuacji zdoła pan przekonać do tego wyborców ani nawet własnych kolegów.

–Nie zamierzam ani nikogo przekonywać, ani przed nikim tego ukrywać.

–Ciekawe. Narody Zjednoczone od zawsze opierają się industrializacji Marsa. To zresztą nasz największy problem. Chcą widzieć tę planetę czystą ekologicznie, a eksploatacja asteroidów nawet w teorii jest bardzo... brudna.

–Jawnie sprowadzimy wielkie asteroidy i komety, umieszczając je na orbicie okołomarsjańskiej w zupełnie innym celu. Pretekst szczęśliwie pojawił się sam.

–Wobec tego muszę przyznać, że wie pan więcej od nas. Czy podzieli się pan z nami swoją wiedzą?

–Oczywiście. Magma przelewa się głęboko pod naszymi stopami inaczej niż sto lat temu. Precyzyjne pomiary wykazały, że od pewnego czasu oś rotacji Marsa przechyla się, jak to wielokrotnie miało miejsce w dziejach tej planety, i proces ten zachodzi coraz szybciej. Wie pan, do czego to prowadzi. By to powstrzymać, potrzebujemy stabilizatora znacznie cięższego niż Nefretete. Skala przedsięwzięcia zjednoczy Marsjan i pozwoli powstrzymać rosnące w siłę ruchy separatystyczne w południowej części naszej planety. Eksploatację rozpoczniemy później, niejako przy okazji.

Po drugiej stronie zapanowało dłuższe milczenie.

–Przyjąłem pana wyjaśnienia. W ciągu doby poinformujemy pana, czy warunki naszej współpracy pozostaną niezmiennione.

Goodall wyłączył terminal i głośno wypuścił powietrze. Odchylił się na fotelu możliwie jak najbardziej do tyłu. Wyprztykał się niemal ze wszystkich asów. Nawet tych fałszywych, bo oczywiście nie wierzył we wszystko, co przed chwilą powiedział. Kupił sobie za to kilka kolejnych lat własnej potęgi. Był tego pewien, choć odpowiedzi jeszcze nie usłyszał. I był pewien jeszcze jednego – jeśli mają zniknąć nieformalne embarga na nowe technologie, to rezygnacja z niezależności Marsa będzie przykrą koniecznością. Rozsądnie jest zachować to do dalszych negocjacji, niech cena rośnie. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to za kilkadziesiąt lat nikt nie pozna tego świata.

Teraz miał ochotę już tylko na kąpiel w miłym towarzystwie nimf wodnych i sen. Sen, sen, sen.

–Za półtora roku ziemskiego można myśleć o opuszczeniu Marsa – powiedziała Doris. – Nie wcześniej.

Leżeli w łóżku pod cienkim kocem. Ta noc była cieplejsza niż zwykle. Na zewnątrz szalała burza piaskowa. Efekt globalnych zmian wywołanych upadkiem Ice Cube.

–Do tego czasu nas znajdą – odparł Allen. – Ogarną panujący wszędzie chaos i nas znajdą. Nawet jak schowamy się na Południu. Trick z zamianą ID długo nie ochroni cię. Będą nas szukać wszyscy, bo ludzie zażądają głów.

–Odejdę. Nie chcę dalej cię narażać.

–To by nic nie dało. W zbyt wielu miejscach byliśmy razem. Sprawdzą *logfile* z restauracji, z kawiarni, z lotnisk. Mamy za małe możliwości, żeby to wszystko wymazać.

Leżeli wsłuchani w wycie wiatru i monotony szum ziarenek uderzających w ściany i szyby. Na przedmieściach, bliżej barier, musiał spaść już z metr piasku. Ulice, gdzie wieczorem stała jeszcze woda, zamieniły się w błotniste bagno, które do południa miało się zestalić w twardą skorupę.

Tej nocy kochali się dwa razy. Delikatnie, żeby nie zbudzić rodzeństwa. Jessica z bratem spali w kuchni na materacu pożyczonym z sąsiedniego mieszkania. Jared zawinął się w kilka koców i wyglądał jak porzucony przez kogoś tobołek.

–Griffin powiedział, że ktoś zestrzelił jego samolot – odezwała się Doris. – Może ci ludzie teraz są naszymi sprzymierzeńcami? Może mogliby nam pomóc?

–Nawet jeśli ktoś taki istnieje i przypadkiem znaleźliśmy się po tej samej stronie, to na nic nam się nie przyda. Nie pomoże nam. Możemy mu tylko zaszkodzić, ściągając na niego policję.

–A jeśli taki ktoś istnieje... to kim jest?

–Wrogiem politycznym.

–Sądziś, że to przemysłowcy?

–Podział na przemysłowców i ekologów to w tej chwili przeszłość. Ekologów nie będzie przez jakiś czas. Będą politycy pro – i antyziemscy, antypółnocni, antypołudniowi, separatyści, moralisci i wielu innych. Przemysłowców będzie po trochu we wszystkich frakcjach.

–Skąd to wszystko wiesz?

–Dużo czytam.

Doris uśmiechnęła się.

–Dlaczego nie można dolecieć teraz do Ziemi? Skąd to ograniczenie? Chodzi tylko o odległość?

–Tak. Ziemia jest za daleko. Okrąża Słońce mniej więcej dwa razy szybciej niż Mars, więc mniej więcej co dwa lata jest dość blisko, by do niej dolecieć.

–Może porwiemy statek i polecimy już teraz? Trochę dłużej to potrwa.

–Okres łączności jest dłuższy lub krótszy, ale łatwo jest wyliczyć z dokładnością do kilku godzin, kiedy jest za późno na start.

–Jesteś dobrym pilotem.

–Mogłabyś zabrać poecie edytor tekstów i napisać tomik wierszy?

–A poważnie? – zapytała.

–Pilotowanie statku kosmicznego jest sto razy trudniejsze niż pilotowanie koptera. To praca dla kilku wyszkolonych ludzi. Statki są tak projektowane, by odbywać lot na najkrótszym dystansie. Jeśli nie odbędzie się to w wyliczonym okresie, paliwo skończy się, a statek przetnie orbitę Ziemi i zacznie dryfować ku planetom zewnętrznym. Nikt nie przeżyje nawet tygodnia.

–Możemy przeczekać na jakiejś opuszczonej farmie. Przecież umiesz wszystko naprawić.

–Znajdą nas. Będziemy musieli zdobywać pożywienie.

–Po co w ogóle ludzie pchali się na tę planetę? Po co, skoro teraz nie chcą jej zamienić w drugą Ziemię?

–Do terraformowania Marsa pchnęła nas dostępna technologia – powiedział. – Oplącało się to zrobić, było to realne, a więc zrobiono. Żadna inna planeta w tym układzie nie nadaje się do formowania, a przeludniona Ziemia potrzebowała oddechu.

–Do załatwienia problemu przeludnienia wystarczyłaby pewnie kolejna wojna. Mamy w tym niezłe doświadczenie.

–Albo kolejna epidemia, ale to nie działa w ten sposób. By zjednoczyć ludzi, potrzeba było wielkiej wizji.

–I wyrzucić śmiecie? Też lubisz tę teorię.

–Tak... Zastanawiałem się, co, poza ambicją, leżało u podstaw kolonizacji Marsa. Kolonia jest chyba deficytowa i taka będzie już zawsze, jeśli nikt nie odkryje tu np. złóż metali szlachetnych. Mars jest tylko rozwiązaniem ziemskich problemów z przeludnieniem. Kolonizacja kosmosu zamiast antykoncepcji! Zauważ, że dach nad głową i pracę dostaje każdy człowiek, który przylatuje tu z Ziemi, ale nie ktoś z innego miasta, czy też wchodzący w dorosłe życie nastolatek. Nie chodzi o konkurencję między miastami, ale o przyciągnięcie jak największej liczby ludzi z Ziemi.

–Nie wierzę w to.

–Żyjemy tutaj, jakby to była Ziemia, nieco prowizoryczna, zacofana, ale Ziemia. To się wydaje takie naturalne, trudno uwierzyć, że to Mars. Tymczasem to nie nasz świat. Co byś powiedziała, gdyby się okazało, że cała nasza historia, wszystkie wynalazki i odkrycia były błędem; że dawno temu, jeszcze przed odkryciem ognia, mieliśmy wybór, weszliśmy w ślepią uliczkę, a teraz dotarliśmy do jej końca?

–I mimo to tutaj przyleciałeś?

–Mimo to wciąż wierzę, że mi się uda. Nie wiem jak, ale się uda.

–Wszyscy mamy nadzieję...

Przed domem zatrzymał się jakiś pojazd. Tykanie uszkodzonego łożyska wydało się Allenowi znajome. Zazgrzytały kamienie. Na schodach zadudniły kroki. Dziewczyna przytuliła się do chłopaka, a on uniósł głowę w sam raz w porę, by zobaczyć, jak drzwi z hukiem i w deszczu iskier rozlatują się na kawałki.

Dwie potężne ubrane na czarno postacie wpadły do środka, stukając ekwipunkiem. Dziewczyny zaczęły krzyczeć, a Allen rzucił się po latarkę. Celne kopnięcie odrzuciło go pod ścianę. Noktowizory błyskały światłem odbitym zza okna.

–Nina Brooks? – zapytała pierwsza postać.

Allen czuł krew w ustach i dłoń Doris zaciskającą się na jego dłoni. Ostatnie, co zobaczył, to majacząca w ciemności wyciągnięta ręka z podłużnym przedmiotem. Po nieskończonej długiej sekundzie nastąpił wstrząs i seria głuchych puknięć. Każde kolejne coraz cichsze.

A potem nie było już nic.

Gęste czarne chmury i jaskrawoczerwone prześwity nieba na zachodzie. Na tym tle, daleko na horyzoncie, czarna grafika kominów i splątane bestie macek instalacji przemysłowych. Przedzionek piekieł. Nie! Piekło w pełnym majestacie.

Międzyplanetarny frachtowiec przeraźliwie powoli wciąga dwudziestometrowy trap. Ponure zamczysko podnosi most zwodzony. Spomiędzy rys, zacieków i osmaleń na stumetrowym rudoczarnym kadłubie ledwo widać zatarty napis „Yellowstone”.

Startery zaiskrzyły, oznajmiając kolejny etap awaryjnie przyspieszonej procedury startowej. Trap schował się, trzasnęły kłapy i na kadłubie zapłonęły światła pozycyjne. Reflektory strzeliły ku zwartej powłoce chmur. Basowy pomruk rozszedł się po płycie kosmodromu i odbił od otaczającej go korony krateru. Z dysz buchnęła lodowata para, biała zasłona otoczyła cztery szeroko rozstawione podpory.

Bluznęło zimne paliwo, rozdmuchując kłęby mgły. Zapłon i oślepiający blask. Dysze zadrgały, kadłub zachwiał się, zrzucając pokrywę kurzu. Monstrum uniosło się w ciężkim locie, zostawiając za sobą piekielne płomienie. Małe słońce sunęło w górę, spychając wszystkie barwy w czerń. Huk trząśł skałami. Rakieta wybiła otwór w chmurach. Teraz huk osłabł i przeszedł w pomruk. Silniki ucichły, włączył się napęd grawitacyjny. Przez chwilę jasny blask ukazał strukturę chmur – wyglądały jak łańcuch gór spadający na planetę. Rana zasklepiła się. Pozostał dymiący beton, brudna szarość kosmodromu. Koniec widowiska.

Tłum dopiero teraz zbiegał po zboczach i atakował ogrodzenie portu. Ustąpiło pod naporem setek ciał. W bezsilnej złości dopadli budynków technicznych. Niszczyli wszystko – tłukli szyby, wyłamywali drzwi i rozbijali wyrzucone na zewnątrz meble i sprzęt. Jednak większość nie przyłączała się do szaleństwa. Dwa, trzy tysiące – stali na zboczach krateru. Teraz czekał ich kilkudniowy marsz z powrotem. Po co tu przyszli? Na co liczyli? Matki, ojcowie niosący na plecach małe dzieci? Naiwnie wierzyli, że znajdzie się dla nich miejsce w ostatnim transporcie.

Ostatni transport na Ziemię. Teraz mają dwa lata spokoju. Oczywiście, jeżeli brak nadziei można nazwać spokojem.

Od strony odległego miasta zbliżały się posiłki. Poniewczasie. Dopiero teraz ochrona portu ujawniła się. Strażnicy strzelali z blasterów, ukryci za oknami bunkrów centrum kontroli lotów. Próbowali odgonić ludzi od drugiego statku, „November Rain”, który miał tu pozostać przez niemal dwa lata. Ładunki smoliły tylko plazmą czarne krechy na betonie, daleko przed tłumem. Słabe ładunki czy cienie sumień?

Jared czuł na twarzy gorąco, które piekliło się w dole. Skórzany płaszcz automatycznie próbował włączyć chłodzenie, ale mężczyzna powstrzymał go komendomyślą. Zaraz i tak zrobi się zimno. Szkoda energii. Grav, czterema zgiętymi nogami wczepiony w zbocze, wyglądał jak zardzewiały świerszcz. Jared pieszczotliwie nazywał go „Skoczkiem”. Stromymi schodkami dotarł do kabiny pilota. Skrzela w tylnej części kadłuba rozpoczęły proces osmozy tlenu. Piętnaście procent, standard. Nie chciał tu pożaru. Przed sobą miał tylko jeden przyrząd – wolant. Reszta pojawiała się w polu widzenia po odpaleniu odpowiedniego programu i wprowadzeniu kodu.

Mrugnięciem oka włączył konsolę. Zegary zapłonęły zielenią i pomarańczem. Wszystko OK. Zlustrował horyzont, na ile pozwalały przeszklenia kabiny, a fantomatyczne zegary przemieściły się razem z ruchem głowy. Komendomyślą włączył radar i teraz kątem oka widział na wskroś przez stalowy kadłub, kilometr z tyłu, osiem gravów policyjnych.

Komplant wszczepiono mu, gdy miał dziesięć lat. Zbyt późno, by myśleć o kącie widzenia do trzystu sześćdziesięciu stopni.

Nie miał ochoty czekać na policję. Mrugnął, a grav zamruczał generatorem pola i uniósł się kilka metrów nad skały. Nogi automatycznie złożyły się wzdłuż wgłębień kadłuba.

Skoczek przechylił się w ostrym skręcie i odleciał na zachód, w kierunku miasta, mającego *skyline’em* na ciemniejącym szybko horyzoncie. Jared włączył autopilot i zajrzał do poczty, którą odebrał, przelatując koło nadajników *spaceportu*. Zawęził program kokpitu do ekranu alarmowego, resztę pola widzenia wypełniając kurierem poczty. Infostrada na Ziemię nadal się korkowała, listy dochodziły z opóźnieniem. Już tydzień czekał na aktualizację serwisu archeologicznego. O przeglądaniu on-line nawet nie marzył.

Jared uważał się za archeologa, choć nie skończył żadnej z odpowiednich szkół. Na marsjańskich uniwersytetach nie było, z oczywistych względów, tego kierunku, a studiowanie korespondencyjne na Ziemi było niemożliwe, ze względu na zapychające się łącza publiczne. Prywatny kanał przekraczał jego możliwości finansowe, choć Jared z pewnością nie był ubogi. Wiedzę czerpał więc z publikacji wyszukiwanych w ziemskim necie.

Stery przejęła kontrola naziemna. Jared nie oponował – komputer nie wczytał jeszcze aktualnej mapy miasta. Skoczek włączył się do rzadkiego strumienia pojazdów. Zostawiał za sobą kilometry fabryk – płataninę rur, rzędy betonowych hangarów i rzadsze skupiska kominów. Niżej, błyskając pomarańczowymi lampkami, przelatywały małe śmigacze służb technicznych, airbusy wymieniały robotników, a niewielkie pojazdy z konserwatorami sprawdzały stan techniczny urządzeń. Całość

działała nad wyraz sprawnie, choć z tej wysokości nikt nie potrafiłby dociec, gdzie się kończyła jedna fabryka, a zaczynała następna. Przecież nie istniały nawet szczegółowe plany budowlane. Było tylko ogólne założenie, a połączone w sieć superkomputery projektanckie, komplanty budowniczych i komputery pokładowe robotów budowlanych na bieżąco tworzyły plany budowy, wyprzedzając zaledwie o kilka godzin postęp prac. Działo to jak mechaniczno-elektryczny twór wyposażony w niezależne organy, łącznie z rozproszonym ośrodkiem decyzyjnym, służbami bezpieczeństwa, konserwacyjnymi, logistycznymi i wieloma innymi. Napotkawszy na drodze rozwoju inny organizm, nie podejmował walki. Łączył się w symbiozie.

Za ochronnym pasem piasku, z szarego smogu wylaniał się Nowy Londyn.

Najpierw pięćdziesięciopiętrowe mieszkaniowce. Bliżej centrum grav musiał zwiększyć pułap, bo budynki dochodziły do stu czterdziestu pięter. Ciemne mury i prostokątne zakurzone okna od ziemi po dach. W tych silosach żyło ponad siedemdziesiąt milionów ludzi.

Mimo późnej pory robiło się coraz tłoczniej. Holoboardy reklamowe poruszały się równolegle do gravów, w minimalnej przepisowej odległości od korytarza powietrznego. Cyberreklamy odbijały się od przygotowanego na nie komplanta. W dolnym rogu pola widzenia pojawiło się coś, czego Jared nie znosił – ikona Suflera Prawnego, podpowiadacza przestrzegającego przed popełnieniem przestępstwa. Przepisy zmieniały się często i nie sposób było je spamiętać.

Gęsta, wysoka zabudowa wymuszała sprawny i pojemny system komunikacji. Wysokie budynki były bezpieczniejsze – zachowywały się stabilnie w czasie trzęsień ziemi, a centralny system oczyszczania powietrza i odzyskiwania tlenu dawał większy poziom niezawodności niż indywidualne, domowe agregaty poprzedniej generacji.

Ten widok zawsze wzbudzał w nim emocje – tyse trzony wież elektrolitycznych wciąż górowały nad miastem. U podnóża, z brudnego klepiska sterczały kikuty uschniętych drzew. Pod popękaną, szklaną kopułą nie było ani śladu po stawie, który pamiętał z dzieciństwa. Duchy przeszłości... Domy Centralnego Kręgu zamieszkiwała teraz biedota, w przeciwieństwie do bogaczy nieobawiająca się upadku wież. Nieco dalej, organiczna w kształcie, obła termitiera – pałac prezydencki. Pionowe bruzdy, w których kryły się szparkowe okna, przypominały średniowieczne otwory strzelnicze. Pałac wyrastał ponad biurowce i oddaloną o kilka kilometrów, świecąca żółtą luną dzielnicę rozrywkową.

Mars nie był już jednym państwem, nawet jeśli i przedtem były to tylko pozory. Bezsensowną i niemrawą wojnę Północy z Południem przerwały oddziały z Ziemi. Wojsko przejęło kontrolę nad Czerwoną Planetą i pozostawiło ją w nowych rękach. Parlament planetarny nadal istniał, ale nie miał już realnej władzy. Planetę podzielono na obszary podległe większym miastom. Oficjalnie Mars był teraz federacją.

Makroregiony, dyskretnie nadzorowane przez ziemskie mocarstwa i korporacje dzięki gruntownym zmianom legislacyjnym zapoczątkowanym trzydzieści pięć lat wcześniej przez Ustawę Paliwową, zamieniono w wielkie fabryki. Zniesienie ograniczeń w rozwoju przemysłu miało na celu szybki rozwój Czerwonej Planety i niezależnienie jej od Ziemi. Zgodnie z przewidywaniami pesymistów udało się zrealizować tylko jeden z tych celów.

Nowy ład miał zapewnić pokój i stabilny rozwój. I zapewnił. Teraz wojna, nawet wygrana, byłaby klęską ekonomiczną również dla agresora.

Ludzie, i to mimo pogarszającej się sytuacji ekologicznej (a może właśnie z tego powodu), nie przestawali się mnożyć. Od wielu lat emigracja z Ziemi była znikoma – raczej coraz częściej uciekano z Marsa. Ceny biletów powrotnych były bardzo wysokie i rosły nadal. Powodów było wiele, a główny z nich – najbardziej banalny z możliwych. Bezpieczna, czysta i bogata Ziemia nie chciała powrotów. Naturalną barierą, nawet skuteczniejszą niż cena, była większa grawitacja. Każdy wracający człowiek już na miejscu musiał ponieść ogromne koszty. Choćby wieloetapowa rehabilitacja wzmacniająca szkielet i mięśnie. Jeśli się miało więcej niż czterdzieści lat, nie było po co wracać. Chyba żeby resztę życia spędzić na wózku. Dla zdrowych, młodych ludzi powrót do silnego ciężenia nie był przyjemny, a ci urodzeni na Marsie z powodu swego nadnaturalnego wzrostu do końca życia na Ziemi mieli bolesne problemy z układem mięśniowo-szkieletowym. Poza tym trzeba im było zapewnić solidne podstawy do funkcjonowania w innym, bardziej skomplikowanym, pod względem technicznym i kulturowym, środowisku. Coraz częściej rakiety wracające na Ziemię zaczęły ulegać niewyjaśnionym katastrofom. Najczęściej było to przebicie, lub choćby gwałtowne rozszczelnienie, przedziałów pasażerskich.

Ludzie byli potrzebni na Marsie. Tańsi od automatów, reprodukowali się sami i można ich było przekwalifikować w ciągu kilku sekund. Czyściciel kanałów wentylacyjnych po załadowaniu do komplanta programu pilotażu latającego dźwigu siadał za sterami i po kilkuminutowej rozgrzewce rozpoczynał pracę. Fabryczna taśma przestała być nużąca, odkąd pracownik mógł w dowolnym momencie pozostawić ciało pod kontrolą komplanta, a sam oddać się elektrycznym snom. Obejrzeć film, zagrać w nim, przerobić scenariusz, zintensyfikować ścieżkę empatyczną, zmienić profil zapachów albo zwyczajnie przespać się. Komplant sterował ciałem precyzyjniej niż mózg.

Kwitł zatem przemysł rozrywkowy pozwalający zabić czas pracy i odpoczynku. Skoro komplant zastąpił inne towarzyszące człowiekowi gadżety, cała para poszła w oprogramowanie.

Muzykę przekazywano wprost do ośrodka słuchu, obraz do ośrodka wzroku. Dawno zniknęły materialne nośniki danych. Odłączenie się od ciała eliminowało nawet mimowolne ruchy gałek ocznych i skurcze mięśni twarzy. Istniało jednak wiele

zawodów, w których *multitasking* układu komplant-mózg nie pozwalał na jednoczesną pracę i zabawę. Świadomość trzeba było więc czasowo wyłączać.

Dla użytkowników zyski i tak przewyższały straty. Po pracy szara klita mogła się stać ekskluzywnym apartamentem. Każdego dnia innym. Brzydka żona dostarczała uciech jak rasowa dziwka. Skala wrażeń dotykowych, zapachowych i smakowych była dłuższa od jej niebiańskich nóg. Tym bardziej że małżeństwa były coraz rzadsze. Brak żony nie stanowił zresztą problemu. Komplanty nie tylko udoskonalały. Generowały, co trzeba.

Teoretyczna granica możliwości cyfrowego eskapizmu leżała daleko poza granicami wytrzymałości ludzkiego mózgu, toteż na *software* nakładano liczne ograniczenia. Praktyka pokazała, że i tu można złamać wszystkie zabezpieczenia.

Zamieniano narkotyk na fantomatyczny sen o nim, ale ciągle podkreślanie doznań często kończyło się przesterowaniem i katastrofą.

Od tego wszystkiego Jared uciekał na pustynię.

Skoczek został naprowadzony nad jedno z wystających wprost z termitiery okrągłych lądowisk. Było chronione selektywnymi generatorami pola, aby podczas deszczu i wiatru ludziom nic się nie stało. Wyszedł na płytę lądowiska. Noc robiła się zimna. Włoski wewnątrz płaszczka nastroszyły się, zamieniając go w kozuch.

Przed kładką prowadzącą do wnętrza budynku, w asyście dwóch strażników, stał urzędnik w oficjalnej, szarej todze. Uśmiechnął się i podał Jaredowi rękę. Ciekawe, jak bardzo znaczenie tego gestu zmieniło się w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Komplant Jareda potwierdził otrzymanie wizytówki: Gael, administrator zasobów wodnych. Ważne, ale niewdzięczne stanowisko.

–Grant... Grant... – Gospodarz zmrużył oczy w udawanej zadumie. – Coś mi mówi to nazwisko.

–Mój ojciec był senatorem, szefem komisji terraformowania. Wtedy, gdy uderzył Ice Cube.

–Tak. Aresztowali go. Odbył się proces pokazowy.

–Niestety, już po jego śmierci.

Gael wskazał kładkę prowadzącą do smukłego portalu. Był tej samej wielkości co okna: dwa metry szerokości i dziesięć wysokości. Pałac był więc jeszcze większy, niż się wydawało. Ponaddwunastometrowe kondygnacje... rozrzutność.

Kładka była szeroka na dwa metry. Jared miał wrażenie, że zaraz potknie się o

własne nogi i runie w przepaść. Mijając wejście, poczuł delikatne szarpnięcie za włosy. Pole selektywne. Tutaj też. Selektywne generatory pola dały człowiekowi przewagę w walce z pustynią. Zatrzymywały pył, bez przeszkód przepuszczając większe obiekty. Najczęściej ustawiano je tak, by opór zanikał przy kilogramie jednolitej masy.

–Wkrótce po jego śmierci ludzie przekonali się, że projekt, w którym uczestniczył, byłby zbawieniem dla Marsa, gdyby przeprowadzono go w inny sposób – kontynuował Gael, prowadząc przez monumentalny korytarz.

–Gdyby go nie przerwano.

–Pamiętam doskonale. To wtedy raptownie zaczął się kończyć tlen. Ale my przecież kontynuujemy ten projekt.

–Zasadniczo różni się od pierwowzoru.

–Płaszczka nie chce pan zdjąć? Mamy pilnie strzeżoną szatnię.

–Wolałbym nie.

Przeszli kilka kroków, a wysokość korytarza obniżyła się o połowę. Sześć metrów. Pomieszczenia techniczne były zapewne o połowę niższe.

–Pomyśleć, że zaledwie ćwierć wieku ziemskiego temu wszystko trzeba było tutaj przywozić – powiedział Gael. – Teraz osiemdziesiąt procent przemysłu całego Układu Słonecznego znajduje się na Marsie.

–Ale nasze produkty są łatwiej dostępne i znacznie tańsze na Ziemi. A tlenu jest tutaj jeszcze mniej, niż było.

–Fabryki nie muszą przerywać pracy nawet przy zerowym stężeniu.

–A ludzie?

–Ten pałac jest hermetyczny. Mieszkańcowie też, jeśli się o nie zatroszczyć. Aaa... pan mówi o TAMTYCH ludziach? Nie mamy na to wpływu. Historia...

Takie nastąpiły czasy. Populacja Marsa sięgała trzech i pół miliarda. Miejsc w hermetycznych budynkach, podobnie jak pracy, nie starczało już dla wszystkich.

Korytarz zakręcił i znaleźli się na jednej z wielu zatłoczonych galerii, okrążających ogromną, wysoką na kilka kondygnacji salę. Pośrodku, na sztucznej skale, eksplodował zielenią rajski ogród. Na szczycie biło źródło; woda kaskadami spływała do jeziora otaczającego skałę trzydzieści metrów niżej. Ptaki. Zamknięte w

niewidzialnej klatce grawitacyjnej, krążyły wokół drzew, wypełniając powietrze świergotem. Jeśli oddalały się za bardzo od skały, siła grawitacji przyciągała je z powrotem.

Weszli na pomost windy. Choć Jared wiedział, że z pomostu nie można spaść – pole było zbyt silne – stanął dokładnie pośrodku. Winda była małą, wystającą z galerii platformą. By poczuć się pewniej, wczytał z serwera budynku program obsługi komunikacji. Pomogło: winda w jego oczach wzbogaciła się o kabinę z zielonego szkła. Wyszli kilka pięter wyżej.

–Tu mamy wolny gabinet. – Gael otworzył drzwi do niewielkiej, całkowicie pustej sali. – Cenię sobie pewne... tradycyjne rytuały.

Gdy przekroczyli próg, wewnątrz zamieniło się w angielski gabinet z połowy XX wieku. Regały z książkami, kominek emitujący światło i złudzenie ciepła. Biurko, obite skórą meble, mosiężna lampka z zielonym kloszem. Pojawiło się nawet okno z widokiem na nocne, choć z pewnością nie marsjańskie miasto.

–Niech pan siada. – Gael, widząc minę Jareda, uśmiechnął się. – W tym fotelu naprawdę da się siedzieć. Wszystko tutaj działa.

Jared ostrożnie przysiadł na brzeżku. Czuł się, jakby siedział w sprężystym hamaku, a nie na solidnym skórzanym meblu. Precyzyjne generatory pola – wysoki poziom iluzji, kosztowna sprawa. Wyciągnął z półki książkę *Władca Pierścieni*. Nic nie ważyła, była niematerialna. Otworzył na przypadkowej stronie. Białe kartki po ułamku sekundy wypełniły się tekstem. Zamknął i odstawił na półkę. Sama wskoczyła jak wessana na swoje miejsce.

Gael usiadł w fotelu obok. Wręczył Jaredowi plik kartek, również niematerialnych. Jared spojrzał pytająco.

–To dane do pańskich poszukiwań, lokalizacja kwatery i wszelkie pozwolenia. Niech pan schowa pod płaszcz.

Włożone za pazuchę kartki zniknęły, a kurier poczty potwierdził odebranie plików.

–Nie lubi pan tak zaawansowanych wizualizacji. – Gael bacznie obserwował twarz Jareda.

–Używam ich tylko do poszukiwań. Staram się oglądać świat własnymi oczyma.

–Świat, który nas otacza, jest fikcją. Ta fikcja to wynik wielu miliardów lat rozwoju życia, wielu milionów lat rozwoju naszego gatunku i wielu tysięcy lat rozwoju cywilizacji. Nasze postrzeganie świata polega na dopasowywaniu bodźców zewnętrznych do schematów zakodowanych w mózgu. Nasze oczy i połączone z nimi

nerwy działają inaczej niż wzrok, dajmy na to, kota. To, co widzi kot, różni się znacznie od tego, co widzimy my. Nasza percepcja jest determinowana również przez wychowanie. Pan, przeglądając chińskie znaczki, nic nie zrozumie, tymczasem dla Chińczyka to naturalne źródło łatwo przyswajalnych informacji. Tego, co widzimy, naprawdę nie ma – to tylko nasz mózg tak przetwarza rzeczywistość, abyśmy mogli poprawnie funkcjonować. Nawet proste triki i złudzenia optyczne łatwo wprowadzają nasz wbudowany przez naturę, że tak go nazwę, filtr rzeczywistości w błąd, a to już wystarczający dowód na to, jak bardzo przetworzony jest obraz, który odbieramy. To wszystko, co dociera do nas za pośrednictwem maszyn, jest tylko kolejną warstwą oddzielającą nas od rzeczywistości, ale również dodającą naszemu poznaniu nowej jakości.

–Ładnie powiedziane, ale pozwolę sobie pozostać przy własnym zdaniu.

–Pan jest archeologiem – mruknął Gael, lustrując go wzrokiem. – Wybrał pan złą planetę. Marsjanie to postacie z bajek. Teraz my jesteśmy Marsjanami. Pierwszymi prawdziwymi, a złośliwi mówią, że i ostatnimi.

–Słyszę to codziennie od czterdziestu lat. – Jared patrzył na administratora z wytrenowaną cierpliwością. – Archeologia to moje hobby. Staram się, żeby nie kolidowała z pracą.

–Ma pan specjalne zdolności w odkrywaniu złóż wody.

–Czyż nie dlatego wezwał mnie pan, administratorze? Mogę odkryć cokolwiek, co znajduje się pod ziemią. Zaglądam do wnętrza planety, tak jak pan ogarnia wzrokiem wnętrze tej sali.

–Gabinetu. Zapoznałem się z referencjami. To dar czy tylko program?

–Program komplanta wspomaga pewne... naturalne zdolności.

–Ścisła współpraca żywego z nieożywionym. *Uninstal* niemożliwy, jak sądzę. Zawsze mnie to niepokoiło. Osobiście nie używam żadnego programu w jednej konfiguracji dłużej niż kilka miesięcy. Tak, wiem. System operacyjny mózgu, nawet bez komplanta, i tak prekonfiguruje nerwy dłoni, by skrócić czas reakcji. Nie ufam więc do końca w bezpieczne przekwalifikowywanie robotników. Kto jest producentem tego pana *software'u*?

–To nieistotne. Zmodyfikowałem wstępny kod, a jedyna kopia znajduje się tu. – Wskazał na swoją głowę. – *Upload* również jest niemożliwy.

Ubrana w półprzezroczysty strój młoda kobieta wniosła do gabinetu tacę z dwoma kubkami i kręcąc biodrami, wyszła. Kawa. Prawdziwa. Z Ziemi.

–Jak to się dzieje, że najczulsze aparaty nie znajdują wody tam, gdzie panu się to udaje? Używa pan chyba wciąż tych starych emiterów pirotechnicznych.

–Zdobycie danych a ich analiza to dwie różne sprawy. Jestem pewien, że próbował pan wielu metod, nim zavezwał mnie.

Gael uśmiechnął się krzywo.

–Oczywiście. Uchodzi pan za półszarlatana.

–Nigdy nie biorę pieniędzy z góry. Jeśli nic nie znajdę, odchodzę z niczym. Płaci mi pan za efekt.

–A jednak ma pan całkiem ładny pojazd. Nieco zaniedbany z wierzchu, ale założę się, że to celowy kamuflaż.

–Zakup dobrego sprzętu zwraca się po pierwszej awarii, która nie nastąpiła.

–Jakoś pan na niego musiał zarobić. Doceniam to, co pan zrobił... ze swoim umysłem. Spore wyrzeczenie.

–Proszę mnie nie żałować. To nowy wymiar percepcji.

Gael pociągnął spory łyk kawy i skrzywił się z niesmakiem.

–Ile czasu potrzebuje pan na znalezienie wymaganej ilości wody? – zapytał, wycierając usta.

–Dzień, tydzień, miesiąc. Tam może jej w ogóle nie być.

–Pewne ramy czasowe musimy określić. Inwestycje nieco zwolnią na czas przerwy w komunikacji z Ziemią, ale i tak do wyznaczonego obszaru poszukiwań zbliża się linia zabudowy. Dlatego zdecydowałem się na pana usługi. Ma pan maksymalnie tydzień i nie może przekroczyć granicy obszaru. A tak przy okazji: czy kiedykolwiek pan coś znalazł? Mówię o... pańskim hobby.

–Niestety. – Jared uśmiechnął się szeroko. – Tylko śmieci. Przecież Marsjanie to postaci z bajek.

Gospodarz wstał, dając do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca. Jared chciał odstawić kubek z niedopitą kawą na stolik, ale nie miał pewności, czy to możliwe. Postawił go więc na podłodze.

Gael przepuścił go w drzwiach i powiedział jeszcze, zniżając konspiracyjnie głos:

–Co wieczór urządzamy tu nieoficjalne przyjęcia dla kręgu wybranych gości. Może

zechce się pan rozerwać?

–Muszę się wyspać.

–Proszę pamiętać, że zaproszenie jest aktualne do końca pana pobytu.

–Dziękuję, ale ja codziennie muszę być wyspany.

–Stawianie emiterów pirotechnicznych zajmuje dużo czasu. Dlaczego nie zastosuje pan nowszej technologii?

–Ponieważ chcę coś znaleźć.

Cichły echa podziemnych eksplozji. Fale różnych częstotliwości biegly przez grunt, załamując się w jedyny, niepowtarzalny sposób. Ruchome kolorowe cienie przyprawiały Jareda o zawrót głowy. *Software* skanera tworzył mu pod czaszką wypadkowy obraz, rozwiązując układ równań z setkami niewiadomych.

Nie trzeba było nawet poprawiać ustawienia emiterów. Znajomy dreszcz przeszedł ciało poszukiwacza. Kilkadziesiąt rzutów przestrzeni zaginało się już, dążąc do jednolitej wizualizacji. Obrazy przyspieszyły i ułożyły się w jeden. Wirtualnym oczom Jareda ukazał się fantastyczny krajobraz sięgający na dwa kilometry w głąb gruntu. To było jak lęk wysokości, jakby stawał na skraju przepaści. Widział kolejne warstwy skał, ale też patrzył przez nie na wskroś.

Fale traciły zasięg na grzbiecie wielkiego brunatnego jeża, którego pogięte kolce sterczały w górę i na boki. Kiedyś był płynną magmą, pod ogromnym ciśnieniem szukającą drogi ucieczki skalnymi szczelinami. Kilka kolców było ułamanych i przesuniętych – dokument sejsmiki tego rejonu z czasów, gdy na Ziemi nie było jeszcze gadów. W niecce, czterysta metrów pod powierzchnią, bez trudu zauważył błękitną amebę H₂O. Bingo za pierwszym strzałem! Nad nią leżało gruzowisko ciężkich minerałów. Nic dziwnego, że zwykły sonar nic nie znalazł.

Jared przeszedł kilka kroków, notując w pamięci komplanata wielkość i dokładną pozycję złoża oraz kąt, pod jakim należało wykonać odwiert, by uniknąć twardych skał. Właśnie zarobił na pół roku dostatniego życia. Przyjemność zejścia w głąb ziemi zostawił sobie na wieczór.

Echo... echo zupełnie nieznanego typu z samego krańca obszaru. Słabe, ale... to coś nowego... Momentalnie stracił zainteresowanie wodą. Prawie przesterował kontrast, zamieniając świat pod stopami w popartową grafikę 3D. Żółty cień regularnego graniastosłupa wybił się jaskrawą plamą z brunatnego tła. Jared pobiegł w tamtą stronę. Wywołał mapy historyczne. Nigdy niczego tu nie budowano. Odruchowo wetknął do ust wężyk podajnika tlenu. By się nie potknąć, zmniejszył kontrast i transparentność piasku i biegł, jakby od tego zależało jego życie. Zdyszany opadł na czworaka. Z ust pociekła strużka śliny. Wytężył wzrok, próbując przeniknąć prawie już nieprzejrzysty w tym miejscu piasek. Dwadzieścia metrów w dole żółty cień, majaczący słabo po kilku odbiciach od podziemnych formacji. Kąt prosty, równe krawędzie. Narożnik budynku? Fundament?

Przebiegł prawie kilometr... Mroczki przed oczyma... Sięgnął po ustnik. Kilka oddechów przywróciło jasność myślenia, ale zmęczenie pozostało. Położył się na wznak, rozrzucił szeroko ramiona i wbił palce w piach. Zaczął się śmiać.

Komendomyślą wezwał Skoczka. Odczekał, aż obłąkany rytm serca zwolni i na miękkich nogach podszedł do otwierającego się wjazdu. Wyjął trzy emiterzy małej mocy. Ustalił trójkąt o boku pięćdziesięciu metrów i wbił urządzenia na jego trzech wierzchołkach. Odbezpieczył, odsunął się i komendomyślą odpalił. Trzy fontanny piasku wystrzeliły w niebo.

Poszukiwacz krzyknął z wrażenia. Miał przed sobą wirtualną nieckę, a w niej żółty cień niemal kompletnego obrysu budynku.

Ślady Marsjan? A może tylko farma nienaniesiona na mapy? Z pewnością dzieło człowieka: wszędzie kąty proste, sień, dwa pokoje, kolejne dwa i chyba... kuchnia. Fragment schodów, ale piętra brak.

Na Marsie, z dala od miast, wolno stojące budynki zazwyczaj przypominały igloo, a ten był kanciasty jak mieszcząca kamienica. Czy to możliwe, żeby Marsjanie budowali domy tak podobne do ziemskich? Entuzjazm poszukiwacza powoli gasł. Uznał, że najpewniej odkrył pochłonięty przez pustynię zwykły budynek. Obszedł go dookoła.

Warto by odkopać i w realu przyjrzeć się detalom.

* * *

Rzucił się na łóżko. W płaszczu. Zamknął oczy i przywołał dzisiejsze odkrycia. Najpierw bez użycia komputera, by się przekonać, jak są niedoskonałe. Potem wywołał plik z zapisem.

Płaszcz rozlazł się, zmiękł i wyglądał teraz jak mechaty szlafrok. Jared zanurzył się w fantomatycznej wizji. Zszedł po osypisku wirtualnej niecki i stanął na progu domu. Pod bosymi stopami czuł chropowatą fakturę kamienia, wiedział jednak, że jest tylko zwykłą imaginacją interpretera – skanowanie echolokacyjne nie mogło być aż tak dokładne. Minął wejście. Nadproże jakieś dwa dwadzieścia nad podłogą. Wymiar człowieka. Zajrzał do pomieszczenia na prawo. Dwa okna, równe ściany. Ciemność nienaturalnie wyznaczała miejsca, z których nie dotarły odpowiednio silne odbicia. Na podłodze cień. Przyjrzał się z bliska – niewyraźny zarys próchna. Może krzesło? Wrócił do hallu. Schody na piętro. Postawił nogę na pierwszym stopniu – był minimalnie dłuższy od jego stopy. Trzydzieści centymetrów. Wiedział, co to oznacza. Prawdopodobieństwo, że Marsjanie mieli takie same stopy jak współcześni ludzie, wynosiło zero. To dom pierwszych osadników zniszczony przez silną burzę piaskową. Zapomniany, nienaniesiony nigdy na mapy.

Wyłączył retrospekcję. Żółtawe światło, sączące się z kwadratowych lamp wpuszczonych w sufit, nadawało pokojowi klimat smutnej nory. Co z tego, że ponad trzysta metrów nad poziomem gruntu? Gęsta mgła za oknem wkurzyła go do reszty.

Dziesiątki szpic providerów wieczornej rozrywki dobijało się do jego komplanta, ale *firewall* miał jasno przykazane: nie przepuszczać absolutnie niczego. Takie zabezpieczenie było konieczne przy korzystaniu z rozrywek. Bez niego, co kilka sekund, nowa zachęta przerywałaby wybraną wizję. Brak skutecznego, więc drogiego, *firewalla* był problemem biedoty – co bardziej bezpośredni zanęcacze potrafili przerwać sen, by zaoferować nową szczoteczkę do zębów.

Przeciąg. Jared poczuł delikatny chłód uciekającego powietrza. Ikona Suflera Prawnego zamigotała pomarańczowo, aby przypomnieć o zakazie otwierania okien. Tak jakby mógł je otworzyć. Gael nie dał mu nazbyt luksusowego pokoju, inna rzecz, że czwarta część obywateli o takim pokoju mogła tylko marzyć. A dziura w okiennej ramie? Jeśli nie wiał zbyt silny wiatr, nieszczelne okna były nawet opłacalne. Naciśnięcie wewnątrz budynku uniemożliwiało przedostanie się zanieczyszczeń. Kto miał więcej dziur, ten miał świeższe powietrze. Wyrzał przez brudne okno. Pięćdziesiąt metrów dalej wyrastał z ziemi następny mieszkaniowiec. Zaraz obok kolejny, i tak dalej. Monotonia ciemnych budynków otoczonych chmurami. I nic innego. A wszystkie takie same – zbudowane na podstawie koła z centralną komunikacją pionową, z okrągłego korytarza obiegającego szyby komunikacyjne wchodziło się do mieszkań, które zależnie od standardu zajmowały półciątkę, ciątkę, połówkę koła, a czasem nawet dwa pełne piętra. Jared dostał najmniejszy model: łazienka, mała i ciemna sypialnia oraz *living* z przeszkloną ścianą. Dla niego aż nadto.

Z piętra wyżej dochodziły stłumione regularne odgłosy. Tradycyjny seks, dziś już rzadkość.

Jared nie docenił klasycznych gustów sąsiadów. Powoli dopadała go depresja. Łatwa do zneutralizowania skądinąd, przecież są odpowiednie programy. Oczywiście można ją zgasić, ale to byłby precedens. Cienka granica oddziela wychodzenie z dołka od wspinania się na wzgórze. Każdy neuronarkoman zaczynał niewinnie.

Włączył zachowawczy profil modulatora rzeczywistości Domator i wyczarował staroświecki ekran terminalowy, kinkiety na ścianach i tapetę w paski. Wyświetlił pierwszy lepszy serwis informacyjny. Nie lubił, gdy bez potrzeby obraz zajmował całe pole widzenia. Przydzielił mu wartownika. Niepilnowany program rozrywkowy szybko wy dostałby się z ekranu, opanował pokój, po czym z uprzejmym natręctwem przełączył na pełny podgląd.

Królik Bugs próbował wyjść z ekranu, żartobliwie naciskając na górną ramkę. Zrobił smutną minę i znikł. Jared wybrał muzykę. Ryknęły mechaniczne pisko-trzaski. Zmienił szybko profil na relaksacyjno-nastrojowy, żadnej klasyki. Zawodzenia wiatru przy akompaniamencie fortepianu. Trudno, niech będzie.

Zamigotała koperta – ikona *inboxa*. Coś przedostało się przez filtry. Czyli coś

ważnego. Wybrał wzrokiem ikonę, ale nic się nie wydarzyło. Westchnął. Wraz z Domatorem włączył konsekwentny, bardziej realistyczny *interface*. Koperta leżała na wykładzinie przed drzwiami. Otworzył, drąc wirtualny papier. Krótki, odręcznie napisany list. To oczywiście sprawka Domatora stylizującego wiadomość tekstową. Zresztą cały program pocztowy zamienił się w XIX-wieczny sekretarzyk, pełen schowków i szufladek.

Szanowny Pan Jared Grant,

Dotarło do naszej wiadomości Pana dzisiejsze odkrycie. Gratulujemy i jednocześnie prosimy o zaprzestanie dalszych badań. Ruiny, które pan widział, są poważnie zanieczyszczone odpadami nuklearnymi. Odkopanie ich doprowadzi do skażenia środowiska na znacznym obszarze.

Wiadomość ulegnie wymazaniu zaraz po przeczytaniu.

Zespół Sektora Piątego Administracji Kontroli Obszaru New London East 5

Papier zaczął się palić. Jared puścił go i odruchowo przydeptał. Rozdrażniony, wyłączył profil. Sekretarzyk, tapeta i kinkiety zniknęły, a obraz z terminala nienaturalnie zawisł w powietrzu.

Co to jest „Zespół Sektora... coś tam”?! To jakiś bełkot. No i nikt nie powinien jeszcze wiedzieć o odkryciu. Planował sporządzić raport i rano przesłać go Gaelowi.

Wywołał Gaela ze standardowym priorytetem. Tamten odebrał natychmiast, co dobrze świadczyło o notowaniach Jareda.

–Ktoś właśnie przysłał mi delikatną sugestię, żebym zaprzestał poszukiwań we wskazanym przez pana rejonie.

–Pańskie pozwolenie na badania prawdopodobnie nie rozeszło się jeszcze po serwerach wszystkich departamentów. To się zdarza. Ktoś potraktował pana jak intruza.

–Dobrze, że nie miał broni.

–Bez obaw. Najwyżej groziło panu aresztowanie.

Jared rozłączył się. Może powinien wspomnieć o ruinach?

Podszedł do okna. O szyby zabębnił deszcz. Krótka seria i znów cisza. Marzenie ekologów o deszczach na Marsie prawie się spełniło. Prawie, bo nie miały to być kwaśne deszcze. Strzeliła pojedyncza błyskawica. Mrugnęło światło, grzmot wstrząsnął oknem kilka sekund później.

Jared wrócił do łóżka, otworzył plik z dzisiejszych poszukiwań i rozpoczął analizę. Lubił tę część pracy, ale tym razem nie mógł się skupić. Większość wysiłku przejął komplant. Po kwadransie wyliczył wielkość złoża, najkorzystniejsze miejsca odwiertów, planowaną wydajność na godzinę, etc. Ciągnęło go do ruin. Chciał się upewnić, że to budowla wykonana dla ludzi i przez nich. Marsjanie, kurwa. Szare ludziki o wielkich oczach, trzydziestocentymetrowych stopach i wzroście metr osiemdziesiąt. Zapewne też mieli po pięć palców, a na lewym nadgarstku nosili zegarek. Niech zgadnę: Casio.

W mniejszym pomieszczeniu znalazł kolejne cienie oznaczone przez interpreter jasnoszarym kolorem. Podwyższona zawartość wapnia. Nierozpoznawalne, rozmyte jak obłoczek dymu w stojącym powietrzu. Poszukiwacz poczuł nagle, że musi się tam dostać. Odkopać ruiny! Zbyt kosztowne, czyli prawie niemożliwe. Może starczy precyzyjniejsza wiązka z pojedynczego emitera? Płaski obraz, ale wyraźny. Nie, trzeba by umieścić trzy emitery kilka metrów pod powierzchnią ziemi, by ściany nie powodowały interferencji fal. Jared nie był na to przygotowany, nie miał narzędzi do wykonania odwiertów w piasku.

Odrzucił to na razie. Poleciał komplantowi wyszukanie podobnych obiektów we wcześniejszych zapisach. Program od razu wypluł kilka plików, w których występowało podobne echo. Najwyraźniejszy zapis pochodził sprzed dwóch lat z okolic Delaney. Jared przeanalizował je wszystkie i zauważył, że ruiny występowały zawsze w okolicach podziemnych złóż wody.

Przerwały mu dźwięki kłótni zza ściany. Wrzaski skończyły się odgłosem przewracanego mebla. Potem jeszcze kilka gniewnych komentarzy i cisza.

Dość pracy na jeden dzień. Powlókł się do łazienki wziąć prysznic. Przyjrzał się sobie w lustrze. Chuda, zmęczona twarz, coraz mniej włosów na głowie. Czterdzieści lat, z czego połowa na pustyni.

Zwiotczały, skórzany płaszcz wisiał na haczyku. Miał go na sobie bez przerwy od miesiąca. Od miesiąca się nie mył.

Chciał już tylko uciec w sen. Wątpliwości rozwiąże jutro. Przejrzał zasoby zasypianek, ale zdecydował się na tani produkt z sieci. Trzeba korzystać z połączenia, póki jest. Oferta przy pierwszym zapytaniu objęła kilka tysięcy tytułów. Jared wybrał Dwanaście latających Murzynek. Bez czytania opisu. Jeśli będzie miał po tym koszmary – trudno. Koszmar to przynajmniej prawdziwy sen.

–Elektrycznych snów – pożyczył sobie i zamknął oczy.

Kliknął „Start”. Błękitne niebo, białe obłoki. Nijaka, powolna muzyka. Zaraz pewnie przylecą Murzynki.

Komplant. Powrót do źródeł. Kiedyś cała kreatywność człowieka mieściła się w jego głowie. Potem umysł przestał wystarczać. Niezbędne stały się narzędzia i nośniki zewnątrz: książki, pióra wieczne, wizytowniki, biurka, szafy z segregatorami, potem komputery osobiste i tak dalej. Teraz to wszystko na powrót zamknięto pod czaszką.

Nie pamiętał ani snu, ani zasypianki. Murzynki widocznie przyleciały za późno. Zjadł śniadanie w pokoju, choć Gael opłacił posiłki w jakimś barze dwadzieścia pięter niżej. Jared nie lubił tłumu.

Założył płaszcz i wyjrzał przez brudne od zewnątrz okno. Poranek nad Nowym Londynem wyglądał jeszcze bardziej przygnębiająco niż noc.

Przejrzał skany wraz z opracowaniem i już chciał przesłać wszystko na podany przez Gaela adres, ale wstrzymał się. Zamknął okienko pocztowe. Miał opłacony tydzień: mógł odpocząć i zwiedzić miasto. Zwiedzić miasto... Żarty. Tu nie było nic do zwiedzania. Chciał jak najszybciej uzupełnić zapasy, załadować *upgrade'y* kilku programów i wrócić na pustynię. Z dala od ludzi i natrętnej sieci. Znalazł już tyle wody, ile mu zlecono... ale na razie wiedział o tym tylko on sam. Ruiny. W końcu coś ciekawego. Nie przepuści takiej okazji z powodu głupiego liściku.

Przywołał Skoczka. Pojazd natychmiast wystartował z parkingu oddalonego o piętnaście kilometrów, z własnego budżetu opłacając automatycznie należność. Jared wjechał obskurną windą na dach. Ta przynajmniej miała prawdziwe ściany.

Widok ze sto dwudziestego piętra był podły. Powietrze śmierdziało. Na parkingu stało pięć małych miejskich gravów i airbus komunikacji miejskiej. Wsiadało właśnie do niego kilkanaście osób. Reszta czekała przy powycieranych napisach na betonie. Tam, gdzie miały za chwilę usiąść gravy, migały holograficzne czerwone markery ostrzegawcze.

Nad miastem, jak roje much nad gigantyczną padliną, latało tysiące pojazdów. Dopiero wyżej ich ruch porządkował się w korytarzach powietrznych. Tam rozwijały większe prędkości.

Skoczek wyróżniał się spośród innych pojazdów masywnym, pionowym kadłubem. Komputer pokładowy wybrał wolne lądowisko i wysunął cztery pałkowate nogi. Osiadł dynamicznie, znacznie szybciej, niż robiły to delikatne miejskie gravy. Nietypowy kształt skupił spojrzenia ciekawskich.

Jared wskoczył do środka, a Skoczek wystartował i szybko zwolnił miejsce parkingowe. W takim tłoku poszukiwacz nawet nie próbował dotykać sterów. Pilotował komputer, przeskakując do wyższego lub niższego korytarza, skręcając i wybierając najszybszą drogę poza miasto. Ruch był znacznie większy niż wczoraj.

Ponure wieże mieszkaniowców ciągnęły się aż po kres widoczności. W miarę oddalania się od centrum budynki stawały się niższe, aż w końcu zniknęły, łamaną linią odsłaniając martwy pomarańczowobrunatny grunt.

Przyszły mu do głowy słowa ojca, jedyne, które pamiętał: „Jak będziesz dorosły, zabierz swego starego ojca na spacer do lasu”. Lasu nie było. Ojca też. Tu nigdzie nie było nawet pojedynczego drzewka, trawki. Zdechło, wszystko zdechło.

Karłowaty las, walczący o życie wewnątrz oddalonego o sto kilometrów od centrum Nowego Londynu krateru, wycięto, by przenieść tam *spaceport*, bo stary został wchłonięty przez przemysł. Dalej na północ, pomiędzy skałami, rosły kilkucentymetrowe łamliwe chwasty – jedyne rośliny pod gołym niebem, jakie widział od lat. Ponoć w miastach, dzięki wilgoci uciekającej z wodociągów, można było czasem zobaczyć mchy.

Nakazał komputerowi zwiększyć prędkość do maksymalnej dozwolonej. Otaczające miasto instalacje przemysłowe uciekały w tył z zawrotną prędkością. Przemysł. Źródło zanieczyszczeń i złodziej tlenu. Mars eksportował niemal całą swoją produkcję, a zyski i tak łagodnie opadały na Ziemię. Widocznie opłacało się transportować to wszystko miliony kilometrów. Jared nie rozumiał tego i nie chciał rozumieć. Wiedział tylko, że taka jest cena zachowania czystej, zielonej Ziemi. Płacił ją umierający Mars.

Przez lukę w chmurach dostrzegł szybujące w wyższych warstwach atmosfery płaszczyki fotosyntezujących aerostatów. Ich widok zawsze przyprawiał go o mdłości. Harują ciężko, fotosyntezują na okrągło, a tlenu i tak ubywa. Będzie ubywać, aż wszyscy tu umrą. Bo umrą. Tego Jared był pewny.

Skoczek leciał nisko nad pustynią. Powoli redukował prędkość. Autopilot wysunął podwozie, miękko pacnął o piasek. Poszukiwacz wysiadł i od razu sprawdził poziom radiacji – był podwyższony, ale nie odbiegał od normy. Uruchomił program nawigacyjny i skaner. Cień ruin pojawił się dwadzieścia metrów dalej. Jared stanął nad mniejszym pomieszczeniem, w którym wykrył ślady wapnia. Tu nie ma skał wapiennych. Na dziewięćdziesiąt procent kości. Ludzkie albo zwierzęce.

Wyjął z kieszeni trzy małe emitery i zakopał w piasku. Oznaczył rogi trójkąta o boku trzech metrów, pionowo nad pomieszczeniem. Nigdy nie ustawiał ich tak blisko. Jak zareaguje *software* skanera? Cofnął się i odpalił. Piasek ledwie podskoczył.

Obraz był płaski i niezbyt ostry, ale pokazywał więcej niż poprzednio. Dokładny bliżej ściany, delikatna mgiełka dalej. Czaszka, kręgosłup, kończyny. Wszystko pasowało.

Maksymalna jakość cienia, jaką potrafił uzyskać. Nikt nie projektował systemu do odnajdywania tak małych obiektów.

Odkopać. Jak? Trzeba odślonić znaczny obszar. Piasek osypuje się przy nachyleniu stoku... powiedzmy czterdziestu pięciu stopni. Dół głęboki na

**dwadzieścia metrów musi mieć średnicę czterdziestu. To kilkanaście tysięcy metrów sześciennych piasku. A może inaczej? Precyzyjne generatory stałego pola?
Abstrakcja...**

Stylizowany na drugą połowę XX wieku dzwonek telefonu poderwał poszukiwacza z klęczek. W rogu pola widzenia migąła ikona telefonu z animowanym wizerunkiem Gaela. Jared mrugnięciem odebrał połączenie.

–Witam. Pan znów na pustyni. Jak nasza woda?

Woda? No tak, woda...

–Jestem blisko – odparł, nie poruszając ustami. – Wieczorem prześlę wstępny raport.

–Dobrze. Ten teren jest przeznaczony pod zabudowę. Za dwa dni rozpoczynają się prace. Jeśli coś tam jest, muszą to uwzględnić w projekcie. Woda ma priorytet.

Jak to zabudowa? Przecież ruiny... Miał być tydzień...

–Do wieczora skończę. Czy... jeśli znajdę coś poza wodą, to będę mógł to zbadać?

–Tam nic nie ma. Proszę szukać wody. Dziś do ósmej oczekuję raportu.

Poszukiwacz sięgnął do ustnika umieszczonego pod kołnierzem i zaczerpnął łyk mieszanki tlenowej. Klęknął, odgarnął na boki niewidzialny piasek. Dziesięć centymetrów. Trzeba kopać zaledwie dwieście razy głębiej.

Cichy dźwięk odwrócił jego uwagę. Płaski, kanciasty grav, najpewniej model Hormann, podchodził do lądowania obok Skoczka. Był matowoczarny i czysty, jakby ktoś przed chwilą wypucował. Usiadł na piasku jak przyczajony drapieżnik.

Rozsunęły się drzwi i stopnie. Na piasek zeskoczył dobrze zbudowany mężczyzna w czarnym garniturze. Podszedł wolnym krokiem. Jared miał wrażenie, że tamten zaraz wpadnie do dołu, ale dół istniał tylko w projekcji komplanta. Przybysz nie mógł go widzieć. Mimo to zatrzymał się dokładnie na skraju wirtualnej niecki.

–Czego pan tu szuka? – Przybysz spojrział w dół. – Grobu? Kolejnej ofiary w walce o przetrwanie? Jeden trup więcej, jeden mniej. Cóż to zmienia?

Poszukiwacz odezwał się dopiero po chwili:

–Czy to pan przysłał mi wczoraj wiadomość?

–Niech pan zrezygnuje. – Uniósł wzrok i powoli odwrócił się. – Groby należy szanować.

Kolejna groźba? Jared bez słowa patrzył, jak facet wsiada do grava i odlatuje. Odruchowo wciągnął tlen. Sytuacja była irracjonalna. List mówił o zanieczyszczeniach, nie o poszanowaniu dla grobów.

Połączył się z Gaelem i opowiedział o dziwnym gościu. Administrator chwilę sprawdzał zapis lotów nad tym rejonem.

–Nie było w tej okolicy żadnego pojazdu – oznajmił twardo. – Tam nic nie ma.

–Jest woda.

Chwila ciszy.

–Jak dużo?

–Więcej niż potrzeba.

–Nigdy nie ma więcej niż potrzeba. Czekam na raport. – Rozłączył się.

Jared sprawdził zapis systemu antykolizyjnego – ten wykazał wcześniejsze zbliżenie obcego obiektu, ale że pojazd nie podchodził kursem kolizyjnym, komputer nie zareagował. Komplanty standardowo rejestrowały *streama* ze zmysłów właściciela, ale nie u Jareda. Zbyt cenił sobie prostotę i w tle chodziły tylko konieczne programy.

Więc to nie złudzenie. Dlaczego chcieli go odwieść od poszukiwań? Żeby zatuszować jakieś morderstwo? Sprzed przeszło stu lat? Po co? Jared poczuł zmęczenie. Wiedział tylko, że teraz naprawdę musi dokopać się do murów i sprawdzić, co kryją. Za wszelką cenę. Potrzeba sześciu ludzi i jednego buldożera. Płatna ochrona policji, gdyby garniturowiec zechciał wrócić. No i pozwolenie. Jak to uzasadnić? To będzie oznaczało opóźnienie budowy. Nie zgodzą się...

Rozwiązanie samo przyszło mu do głowy. Proste i sprawdzone przez wieki – kłamstwo.

Przysadzisty buldożer z wysuwany na giętym ramieniu emiterem pola unosił się nad ziemią i z potężną siłą odrzucał kilkadziesiąt metrów dalej tony piasku. Jared stał w bezpiecznym miejscu i sprawdzał odległość od ruin. Wolał nie udostępniać operatorowi skanów.

Obok Skoczka czekał się ponury policyjny grav i niewielki przeszklony airtaxi. Za jego wynajęcie Jared musiał zapłacić sam. Podobnie jak za buldożer i robotników, których ograniczył do trzech. Jedynie ochrona policji okazała się bezpłatna.

Piasku trzeba było przewalić więcej, niż wynikało z obliczeń Jareda. Nie znał się na robotach ziemnych. Buldożer sięgał ramieniem na kilka metrów. Przez cały ranek wykopał nieckę o płaskim dnie, głęboką na pięć metrów, szeroką prawie na osiemdziesiąt. Następnie wykonał łagodny zjazd i rozpoczął kopanie kolejnej, wokół pozostawiając płaski teren manewrowy. O trzeciej po południu skończone było trzecie wgłębienie, głębokie na piętnaście metrów. Wykop wydawał się stabilny. Przynajmniej do czasu pierwszej burzy.

Raport nie był prawdziwy, ale też nie całkiem fałszywy. Jared nie miał wyrzutów sumienia. Oznaczył złoża, które odkrył. Z nadmiarem zaspokajało oczekiwania zleceniodawcy. Ale Jared, pamiętając słowa administratora „Nigdy nie ma więcej, niż potrzeba”, spreparował kilka niewyraźnych ech na peryferiach obszaru poszukiwań. Zawarł układ: jeden dzień wykopalisk za przebadanie domniemanych złóż. Nie obiecał, że znajdzie więcej wody. Powiedział tylko, że być może tam coś jest.

Zaliczka, o którą nie prosił, przyszła zaraz po wysłaniu raportu. Czy się wstydził? Nie. Obawiał się tylko, że cała sprawa wyjdzie na jaw. A dokładniej, że wyjdzie na jaw zbyt wcześnie.

Okolo trzeciej nad horyzontem pojawił się płaski, kanciasty kształt. Poszukiwacz poczuł ukłucie niepokoju. Ze znajomego grava marki Hormann wysiadł mężczyzna w czarnym garniturze. Spomiędzy chmur wyszło słońce, oświetlając teren wykopalisk jasnym światłem. Mężczyzna minął policjantów, którzy zdawali się go w ogóle nie zauważać. Wyjął zza paska archaiczny pistolet kurkowy. Bogato rzeźbiona rękojeść zaśniła w słońcu.

Niebezpieczeństwo! Płaszcz poszukiwacza momentalnie stwardniał i zamienił się w elastyczną zbroję. Jared nie zdążył jednak nic zrobić, kiedy tamten wypalił śrutem wprost w jego pierś. Ziarenka ołowiu przebijały płaszcz jak papier. Jared upadł, charcząc. Czuł obezwładniający ból w klatce piersiowej. Widok przesłoniła mu chmura niebieskawego dymu.

Krew! Policjanci dobiegli, unieśli mu głowę i sprawdzili puls. Komplant doniósł o

przebiciu tchawicy, płuc i serca. Stan krytyczny. Konieczna natychmiastowa pomoc medyczna.

–Umieram – szepnął Jared.

–Uspokój się. Nic ci nie jest.

Widział ich programy diagnostyczne wnikające w jego głowę. Z prawej strony pola widzenia w mgnieniu oka rozwinął mu się *status report*. Kolejne żółte pozycje zmieniały kolor na zielony. Czerwonych nie było. Diagnostery wycofały się. Wtedy wszystko znikło. Subprogram medyczny natychmiast dokonał korekty diagnozy: pacjent zdrowy. Przyspieszone bicie serca, szok.

Jared leżał na piasku, oddychając szybko. Powoli usiadł i spojrzał na własną pierś. Słyszał szum pulsującej w żyłach krwi.

–Dlaczego go nie zatrzymaliście? – zapytał z wyrzutem.

–Kogo? – Policjanci w hełmach pochylili się nad nim.

–Nie widzieliście lądującego grava? Ten człowiek... Strzelał do mnie!

–Upadłeś. Nikogo tu nie było. Za bardzo się przejmujesz, facet.

Więc to było tylko ostrzeżenie. Ostatnie.

Chmury szczelnie zasnuły niebo.

* * *

–Czy instalował pan jakiś *software* z sieci publicznej?

–*Dwanaście latających Murzynek* - przyznał niechętnie Gared. – Zасыpianka.

Elektrolog pokiwał głową. Siedzieli w małym szarym gabinecie odizolowanym od świata. Tylko dwa fotele i wiszące kuliste urządzenie wielkości pięści.

–Proszę go przesłać do egzaminatora. O, tutaj.

Poniżej ikonki *inboxu* pojawiła się teczka. Jared wrzucił do niej zasypiankę.

Elektrolog mrugnął kilka razy.

–Czysta – oznajmił. – Ale robak mógł gdzieś przeskoczyć i zatrzeć ślady. Wciąż może być aktywny.

–Gdzie?

–Gdziekolwiek.

–Może pan to jakoś sprawdzić?

–Staramy się nie ingerować, jeśli to nie jest konieczne. Dałby pan sobie wylistować komplant? Bo ja nie.

Słusznie. Nie dałby.

–Cóż innego?

–Lepszy *guard*. Nawet kilku. Przeczeszą wszystko, pozostając lojalni wobec pana.

–Ile?

–To prezent. Proszę ciągnąć. Z tej samej teczki.

Zainstalował trzy. Wystarczy. Na wszelki wypadek starego strażnika, Boba, ustawił ponad nowymi. Podziękował i wyszedł. Natychmiast pojawiły się trzy komunikaty o podobnej treści. Guardy sugerowały przesunięcie Boba w hierarchii poniżej nich. Twierdziły, że nie jest w stu procentach czysty, a nie pozwala się sprawdzić. Oczywiście każdy chciał najwyższą pozycję. Jared skonfigurował *guardy* w radę. Bobowi przyznał czterdzieści dziewięć procent głosów. Do jakiegokolwiek działania ochronnego potrzeba było większości.

–Przeniesie się pan do pałacu. Tak będzie bezpieczniej – zdecydował Gael, który pod postacią fantomu pojawił się obok Jareda. – Pańskie rzeczy przenieśliśmy już z mieszkaniowca, ale grav odmówił współpracy. Nie chcieliśmy używać siły.

–Zaraz to załatwię. To zabezpieczenie przeciw złodziejom.

Odblokował Skoczka, przekazując nadzór nad nim kontrolerowi.

Na niższych piętrach pałacu nie było wodotrysków, otwartych wind ani ćwierkających ptaków. Szli szarym, słabo oświetlonym korytarzem. Właściwie to Jared szedł, a administrator sunął obok, nie poruszając nogami.

–Kto to mógł być? – zapytał poszukiwacz.

–Fantom. Robak w pana głowie. Ciekawsze jest, kto za tym stoi?

–I kto stoi?

–Ktoś, kto nie chce, by dokończył pan poszukiwania.

–Nie lubi wody?

–Wody? Myślał pan, że się nie domyślę? To nie na wodzie najbardziej panu zależy. Pan sądzi, że znalazł ślady Marsjan i chce je odkopać.

–Otrzymałem zgodę na wykop.

–W zamian za dodatkowe złoza. Pan, zdaje się, wody szuka tylko przy okazji. Jeśli znajdzie ją pan, ta mała dziura w ziemi nie zaszkodzi. Ale proszę pamiętać: umowy należy dotrzymać. To musi pan skończyć do rana. Potem szuka pan wody.

Administrator znikł. Poszukiwacz rozwinął przed oczami mapę pałacu i ruszył w kierunku lądowiska, na którym wysiadł. Wezwał Skoczka.

Chwilę później leciał już nad miastem, powracając na teren wykopalisk. Stracił parę godzin, robiło się ciemno. Słońce skryło się za ciężkimi chmurami, zbliżało się już zapewne do horyzontu.

*** * ***

Buldożer odkrył kawałek muru i zatrzymał się. Operator siedział na progu kabiny i kołysząc się, czekał z zamkniętymi oczami na latający dźwig. Zapewne myślami bawił teraz w elektrycznych światach skalibrowanych indywidualnie dobranych snów. Policjanci, znudzeni, leżeli na piasku, a na widok Jareda nawet nie wstali. Jeden machnął mu tylko ręką. Terenu pilnowały systemy obronne pojazdu. Trzech pozostałych robotników najzwyczajniej w świecie spało. Obudził ich szturchnięciami.

–Bierzcie się do roboty. Musimy skończyć przed zmierzchem.

–Zmierzch będzie zaraz – zauważył jeden z nich.

–Słońce zachodzi za godzinę i dwadzieścia pięć minut. Kopcie.

Niechętnie wrócili do pracy. Lekkie emitery łopat odrzucały piasek na kilka metrów. Jared dbał, by po obu stronach muru poziom piasku był taki sam. Parcie mogłoby spowodować zawalenie się ścian. W międzyczasie latający dźwig zabrał buldożer.

Pierwsza łopata odsłoniła niewielki obły przedmiot. Bielał wśród pomarańczowego piasku.

–Stójcie! – krzyknął Jared, zeskakując do wykopu. Czaszka. Ukłęknął i wyciągnął dłoń, ale coś go powstrzymywało.

–No już... – jęknął jeden z robotników. – Nie czas na cackanie się.

–Nasza zmiana skończyła się – wsparł go dowódca policyjnej ochrony.

Jared otworzył okienko portfela i przetransferował im po sto jednostek. Wrócili po chwili.

–Nie wolno nam – powiedział cicho policjant. – Nie możemy też zostawić tu pana samego.

–Musielibyście mnie zabrać siłą.

–Mamy rozkaz zameldować się w bazie za trzydzieści minut.

–Spieszcie się zatem.

Zawahali się, ale odeszli. Robotnicy wrzucili łopaty do swojego starego grava i z wyraźną ulgą ładowali się do kabiny. Poszukiwacz zapomniał już o nich wszystkich. Delikatnie dotknął znaleziska. Odpiął od paska saperkę, włączył ją i ostrożnie odrzucił piasek. Mała ludzka czaszka. Jakby dziecięca.

To nie tak powinno wyglądać, pomyślał. Za mało szacunku, czci. Za mało czasu...

Ale cóż: albo tak, albo wcale.

Skoczek wypuścił trzy reflektory. Podleciały do wykopaliska i zawisły nad Jaredem.

Delikatnie odrzucał ziarenka piasku, żeby niczego nie uszkodzić. Lecz szczątki osuwały się. Ciało nie było zmumifikowane. Pozostały tylko kości. Nieoczekiwanie odsłonił drugą, jeszcze mniejszą czaszkę. Przeszedł go dreszcz, pociągnął dwa hausty tlenu. Zmienił taktykę i odkopywał teraz wszystko do połowy, tak, by kości nadal miały podparcie w piasku. Wszystkie nauki poszły w las, niczego nie pamiętał. Działał instynktownie. Oto w końcu, po tylu latach, dotarł do celu i zwyczajnie pospiesznie rozgrzebuje piasek. Kopie jak rabuś, bez fanfar, bez nabożeństwa.

Drugi szkielet był jeszcze mniejszy. A więc dwójka dzieci. Leżały pod ścianą, przytulone. Młodsze trzymało głowę na piersi starszego i obejmowało je małą rączką. Większe przytulało je ramieniem.

Dopiero kiedy skończył, poczuł, że bolą go plecy i kark. Padł w piasek i wywołał redakcję „New London Post”. Bez słowa pokazał im *streama* z własnych oczu.

–Już lecimy – rzucił redaktor i rozłączył się.

Trzy następne kwadransy Jared ostrożnie odgrzebywał piasek i mimo że nastawił saperkę na minimalną moc, bateria zaczęła się wyczerpywać.

Poczuł na sobie czyjś wzrok. Na krawędzi wykopu stali trzynastoletnia dziewczynka i dużo młodszy chłopczyk, w czymś, co wyglądało jak koszule nocne. Jared zamarł.

Dzieci patrzyły w milczeniu. Dziewczynka przytuliła chłopczyka, a on objął ją w pasie i oparł na niej główkę. Jared chciał krzyknąć, ale głos uwiązał mu w gardle. Płaszcz, wyczuwając nastrój właściciela, stwardniał.

Małe postacie świeciły w ciemności jak holoreklamy, wydobywając z cienia przeciwległy brzeg wykopu. Jared zmrużył oczy i zauważył, że dziewczynka wskazuje coś z prawej strony. Potem zniknęła w silnym świetle reflektora. Jared spojrzał w górę, nad wykopem wisiał cień, macając snopami światła szczyty ruin i osypujące się stoki. Reflektory Skoczka rozpierzchły się.

–Nie... – szepnął, cofając się pod ścianę.

Biały punkcik światła. Drugi. Dwie opalizujące w ciemnościach kulki wyleciały spod brzucha maszyny i zanurkowały do odkopanego pomieszczenia. Zakręciły się nad wciśniętym w kąt, skulonym poszukiwaczem i zatrzymały nad szkieletami. Grav wylądował za krawędzią wykopu.

W aureoli pojawiła się szczupła postać. Zsuwała się po piasku, pokonując pierwszy uskok wykopany przez buldożer.

–Valerie Pinard, „New London Post”. – Kobieta pomachała w jego stronę, dokonując przyspieszonej prezentacji. – Panie Grant, niech pan wstanie. Chcę mieć dumnego odkrywcę – zdyszana, dokończyła już na dole.

Reporterka, nie zabójca. A czy ja wyglądam jak odkrywca? Kulki-kamery zakręciły się wokół, zapisując jego obraz 3D, i powróciły do szkieletów.

Kobieta dobiegała czterdziestki. Widać było, że dba o siebie i długo jeszcze będzie atrakcyjna. Bujne, kasztanowe włosy, ostre rysy twarzy. Opadająca lekko prawa powieka wskazywała na częste używanie komplanta. Dokonali identyfikacji przez podanie sobie rąk, ale ona nie patrzyła mu w oczy. Jej uwagę pochłaniały szkielety.

–Panie Grant, proszę w kilku słowach opisać znalezisko.

Jared próbował ułożyć sobie wszystko w głowie. Bał się, że zacznie się jąkać albo zapomni o czymś ważnym.

–Wpuściecie to w sieć? – zapytał. – Jaki priorytet?

–Na razie trzeci.

Jedna z kamer krążyła między nimi.

–Jestem archeologiem – zaczął. – Szukam Marsjan... To znaczy wody. Marsjan szukam przy okazji. Wczoraj skaner wykrył przypadkiem echo podziemnych ruin.

Uzyskałem pozwolenie i dokonałem odkrywki.

–To są szczątki Marsjan?

–Sądzę, że to są... dzieci.

–Dzieci Marsjan.

–Nie. Ludzkie dzieci. Dzieci pierwszych osadników. Te kości mogą mieć ponad sto pięćdziesiąt lat.

–Kawałek historii. Zgodzi się pan na transmisję empatyczną?

–Słucham...?

–Odbiorcy mogliby uczestniczyć w tym wydarzeniu. Są ciekawi pana uczuć, chcieliby dzielić pana radość, poznać euforię odkrywcy.

–Ja nie odczuwam żadnej euforii, tylko smutek. Chce pani nagrać smutek?

–Smutek? – Była wyraźnie zaskoczona. – To przecież odkrycie pańskiego życia.

–Mogę się nim zajmować do jutra rana. Potem muszę to rzucić i znaleźć wodę, zanim dojdzie tu linia rozbudowy.

Valerie odesłała kulki poza teren wykopalisk. Uważnie przyjrzała się mężczyźnie.

–Ktoś wprowadził pana w błąd. Przez najbliższe lata nie będzie tu żadnych instalacji przemysłowych.

Robiło się zimno. W ciągu godziny temperatura spadnie poniżej zera.

Jared spojrzał na czarne, bezgwiazdne niebo. Kilka lat? Skąd więc wzięli ten tydzień? I po co? Im więcej czasu, tym większy obszar można przeszukać. Znaleźć więcej wody.

Kobieta postawiła kołnierz krótkiego płaszczyka i odeszła kilka kroków. Najwyraźniej rozmawiała z centralą, bo mięśnie jej twarzy poruszały się mimowolnie.

–Muszę to mieć! – krzyknęła nagle. W zaaferowaniu zaczęła mówić na głos. – Nie pierdol mi tu o polityce. To sensacja!

Musiała mieć przed oczami rozmówcę, bo wzrok utkwiała w jednym punkcie. Pokręciła wściekle głową i odegnęła ręką coś niewidzialnego, przerywając połączenie. Wyciągnęła z kieszeni piersiówkę. Zasyczał rozprężany tlen. Jared mimowolnie sięgnął do rurki pod kołnierzem. Valerie podeszła do niego niepokojąco

blisko.

–Ktoś nie chce, żebyśmy to puścili – szepnęła rozdrażnionym głosem. – Ale właśnie dlatego puścimy! Teraz *teaser*, żeby nam nie ucięli tematu. Potem pełnowymiarowy reportaż. – Położyła mu poufale rękę na ramieniu. – Masz nagrania z odkrywek?

–Zapisuję wszystko w AV. Włączyłem rano...

Doznał olśnienia. Przewinął zapis o kilka godzin wstecz. Jest! Kanciasty statek, facet w garniturze i archaiczny pistolet. A jednak to wydarzyło się naprawdę! Wysoki poziom iluzji, skoro się zapisało. Co jest grane? Pierwszy raz pomyślał o ucieczce. Martwy nigdy już nic nie odkryje.

Ustawił alarm na sygnał z radaru o zbliżaniu się takiego grava.

–Nawet jeśli zabronią ci zbliżać się do tego miejsca, zostanie przynajmniej materiał. Praca nie pójdzie na marne.

–Dobrze, zrobmy to.

Valerie uśmiechnęła się.

–Zabierzmy je do miasta. – Wskazała na odkopane szczątki. – Znam kogoś, kto może je zbadać.

Mrugnęła, a kamery wróciły i zatańczyły wokół kości i odsłoniętych fragmentów murów. Jared przesłał jej pełny zapis z odkrywek i wyselekcjonowany skan ruin. Ciekaw był, jak zareaguje na zapis fikcyjnego zabójstwa.

Wspiął się na powierzchnię i dysząc ciężko, wziął trzy hausty tlenu. Z ładowni Skoczka wyciągnął kontener do transportu znalezisk. Jest, czarna trumna. Pociągnął za uchwyt. Stęknął, ledwie poruszywszy kufrem wielkością i ciężarem przypominającym domową zamrażarkę. Odszukał kontener w managerze urządzeń. Oczywiście był dostępny, skoro znajdował się tak blisko komplanta. Jared uruchomił panel kontrolny i urządzenie zasygnalizowało gotowość, zapalając kilka zakurzonych diod. Baterie wytrzymały dziesięć lat bezczynności. Kontener miał dwa generatory pola. Jeden, który unosił go nad ziemią, i drugi, znacznie droższy, bo selektywny, do zabezpieczania ładunku.

Zawisł kilka centymetrów ponad kośćmi i otworzył frontową klapę. Jared próbował sobie przypomnieć, jak obsługuje się wewnętrzny generator, ale na szczęście konfiguracja była prosta. Wystarczyło odsiać wszystko o wadze poniżej trzech gramów. Zazaczył obszar i wybrał start. Komputer chwilę obliczał ilość, kształt i najbardziej optymalne ułożenie obiektów wewnątrz komory. Zapiszczał ostrzegawczo, a oczyszczone z piasku kości uniosły się. Teraz wyraźnie widać było

dwa przytulone szkieleciki. Śmierć musiała być łagodna.

Wzywane przez kontener kości zaczęły odlatywać. Po chwili były już uwięzione w uścisku pola grawitacyjnego. Klapa zamknęła się i wystarczyło dziesięć sekund, by wewnątrz ustaliły się odpowiednie wilgotność i temperatura.

Teraz kontenerem można było rzucać.

Wyglądało to jak holoanimacja. Kości opuściły kontener i zatrzymały się w polu siłowym ponad metalowym stołem, w identycznej pozycji, w jakiej przez lata leżały w piasku. Jared poczuł smutek. Może zaczątek kolejnej depresji. Spojrzał na stojącą obok dziennikarkę.

Mroczna sala miejskiego szpitala. Bezcieńniowa lampa oświetlała równomiernie stół i pochylonego nad nim lekarza. Mężczyzna mrugał, gdy konfigurował diagnoster.

Teaser poszedł, dziesięć minut temu awansował nawet na priorytet drugi. Jared sprawdził to, chciał zabić narastającą niecierpliwość.

–Czemu nie używamy hologramu? – zapytał lekarz, zacierając ręce, jakby szykował się do operacji.

–Chodzi o dokładniejsze badanie – odparła reporterka.

–To diagnoster do badania włók, ale nie w tak zaawansowanym... stadium rozkładu. Co chcecie wiedzieć?

–Wszystko. Informacje ogólne. Rasa, wiek, płeć.

–Dziewczynka z młodszym bratem – szepnął Jared. Lekarz mrugnął i pod sufitem szcęknęło jakieś urządzenie. Kości, jak zatopione w szkle, obróciły się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Zwielokrotnione cienie żeber, czaszek, kończyn przebiegły po ścianach i podłodze.

–Proszę bardzo – powiedział lekarz. – Dziewczynka antropologicznie zbliżona do typu śródziemnomorskiego, wiek około trzynastu lat. Chłopiec lat pięć. To rekonstrukcja głowy po analizie DNA. – Na holoeckranie starego typu, który lekarz wyświetlił obok stołu, pojawiła się głowa dziewczynki, chwilę później chłopca. Oboje mieli śniadą skórę, ciemne oczy i czarne włosy. – Są rodzeństwem.

–Skąd wiedziałeś? – Valerie popatrzyła uważnie na poszukiwacza.

–Przeczenie.

–Nie wierzę w przeczenia. Potrzebujemy więcej danych. Na przykład wiek kości.

–Dwadzieścia siedem tysięcy lat... – Lekarz uniósł brwi i popatrzył na pozostałych.
– Sprawdzę raz jeszcze. Inaczej.

Mrugnął. Z sufitu opuściła się niewielka rurka zakończona złożonym elementem z kilkoma wypustkami. Jedna z nich jak macka dotknęła kości, niemalże do niej się

przysysając. Po chwili wypustka cofnęła się, a urządzenie zniknęło w mroku kryjącym sufit.

–Zgadza się – potwierdził cicho lekarz, klikając powieką. – Dwadzieścia siedem tysięcy lat. Plus minus pół tysiąca. My przylecieliśmy tu trochę ponad trzysta lat temu. Nie jestem matematykiem, ale coś tu się nie zgadza. Możecie mi to wytłumaczyć?

Patrzył wyczekująco na Jareda.

–Nie mam pojęcia... – powiedział poszukiwacz, wpatrując się w kości. W głowie kłębiły mu się myśli, a wśród nich i taka, że oto naprawdę znalazł Marsjan, którzy wyglądają tak jak ludzie. Ewolucja, niezależnie od warunków, przebiega do najwyższej formy, jaką jest *homo sapiens*, a potem stop. Brawo geniuszu! Kombinuj dalej, ale nikomu o tym nie mów, bo cię siłą zabiorą do kogoś znacznie gorszego niż zwykły elektrolog.

–Wiem. Ludzie na Ziemi są Marsjanami – powiedziała Valerie, powstrzymując gestem ewentualne protesty. – To by było niezłe. Groziła im tu jakaś gigantyczna katastrofa, więc nawiali na najbliższą planetę. Tak jak my przylecieliśmy tutaj, kiedy na Ziemi zaczęły się problemy. Powróciliśmy do domu!

–To z wielu względów niemożliwe. – Lekarz szykował się do wyjścia. – Nie są to też Marsjanie. Mają ludzkie DNA, tego akurat jestem pewien. Myślę, że to... dowcip.

–Czy kości są prawdziwe?

–Tak, ale mógł je ktoś przywieźć z Ziemi, z jakiegoś grobowca i tutaj zakopać.

Jared właśnie uświadomił sobie, że nie przeprowadził badań jednorodności warstw piasku. Teraz już na to za późno.

–Muszę mieć materiał za godzinę – oświadczyła reporterka.

–Jest środek nocy. – Lekarz wzruszył ramionami. – Róbcie, co chcecie, ja idę spać.

–Zaraz. Niech pan powie chociaż, jak umarli.

–Skąd mam to wiedzieć? Widzę tylko, że kości są nienaruszone, choć ich gęstość wskazuje na niedożywienie.

–Głodowali?

–Może, ale to nic pewnego.

Jared dotykami uruchomił kontener. Kości zostały „wessane” i zamknięte. Lekarz,

niecierpliwiony, wypchnął ich prawie na korytarz, pożegnał się i odszedł. W komplantach mieli pełne wyniki z diagnostera.

Popychając przed sobą kontener-trumnę, wyszli przed budynek. Valerie odesłała swojego grava. Oświadczyła, że chce się dowiedzieć więcej o Jaredzie, jego pracy i odkryciu. Cokolwiek to znaczyło. Usiadła na nieużywanym prawie fotelu po prawej stronie kabiny, obok wygniecionego i poprzecieranego fotela pilota. Kamery wleciały za nią i ukryły się gdzieś w ładowni. Były niezależne od jej pojazdu.

Jared zamocował kontener i poczuł, jak dopiero teraz odpuszcza mu stres. I głód – ssanie w żołądku. Coś mu jednak podpowiedziało, że szybkie przegryzienie sucharów będzie w takim towarzystwie nie na miejscu. W każdym mieszkaniowcu ulokowano co najmniej jeden całodobowy zapyziały bar, ale Valerie nie pasowała do takiego miejsca. Uśmiechnął się. Czyli lot do świecącego wszystkimi kolorami, rozmigotanego centrum. Randka mimo woli.

Zaparkował na dachu starego biurowca na obrzeżach Soho. Ta dzielnica przytłaczała go nawet bardziej niż śmierdzące, ponure rzędy mieszkaniowców. Miał wrażenie, że wszystko zaraz zwali się na niego. Reklamy na unoszących się holoboardach nawet mu nie przeszkadzały. Gorzej z virtualboardami. Ich personalizowana transmisja szła na poziomie publicznego info, więc chcąc zachować łączność z otoczeniem, musiał je oglądać. Gdyby je wyłączył, zniknęłyby też drogowskazy, ostrzegacze, cenniki w knajpkach. Nie pomagało odwracanie wzroku. Reklamy grupowały się tam, gdzie akurat patrzył. Serwery agencji reklamowych znały jego upodobania i historię od samych narodzin. Sprawiały im tylko kłopot jego nietypowe jak na Marsa zainteresowania, więc w katalogach różnych operatorów trafiał do różnych szufladek. Zależnie od systemu klasyfikacji, był traktowany jako niezależny farmer, podróżnik lub nawet bezdomny lump. I wyświetlały mu się reklamy dla nich targetowane.

Soho. W świetle witryn, migających reklam mijali setki krzykliwie ubranych przechodniów. Nie wystarczały im elektryczne sny w zaciszu własnych nor. Wyższy poziom intelektualny, finansowy, ale też i zwykłe dziwactwa. Sklepy, kluby i restauracje czynne były praktycznie na okrągło. Bezdomni gnili w ciemnych zaułkach pomiędzy budynkami. Nawet oni musieli płacić za możliwość koczowania tutaj.

Wyszli na szerszy pasaż ze sztucznymi drzewami, który jak większość ulic w centrum był chroniony parasolem selektywnego pola. Niewidzialnymi kominami za pomocą kosztownych pól siłowych wdmuchiowano tutaj powietrze pobierane z najczystszych warstw, między sześćset a tysiąc metrów nad powierzchnią planety.

Zza wózka parującego gorącymi daniami skośnooki mężczyzna czekał coś w dziwnym języku. Zdierał skórę z ryby, rozcinał ją i patroszył. Ryba nie była prawdziwa. Po każdym seansie wrzucał wszystko do otworu w wózku, gdzie bliżej

nieokreślony mechanizm ponownie składał sztuczne truchło w rybę. Jared zablokował odbiór zapachów serwowanych mu przez komplant z sieci publicznej – inaczej zaśliniłby się tutaj, a może nawet kupił jakieś świństwo. Od rana nic nie jadł.

Valerie wzięła go pod ramię.

–Miałaś montować materiał – przypomniał.

–Właśnie to robię. – Posłała mu być może nawet szczery uśmiech. – Widziałam tego strzelającego eleganta. To wyglądało, jakbyś załadował sobie empatyczny zapis morderstwa.

–Ktoś próbował mnie zastraszyć.

Weszli do pierwszego z brzegu baru samoobsługowego. W środku oświetlono tylko lady z kanapkami i stoliki, niemal wszystkie zajęte. Wystrój i zasady obsługi utrzymane były w stylu retro. Wybierało się dania i płaciło kasjerowi na końcu lady. Kasjer był człowiekiem. Przynajmniej od pasa w górę – wyrastał wprost z kontuaru. Prawdopodobnie inwalida, który wolał taki los niż powolną śmierć w trujących oparach przedmieść. Na tej planecie człowiek był tańszy od automatu, a jeszcze tańsza była połowa człowieka. Mechanicznie poruszające się oczy zdradzały nieobecność mieszkańca ciała, który bawił w elektrycznych krainach, pełnych opłacanych przez firmę rozrywek. Tam mógł być, kim chciał.

Jak w większości miejsc także i tutaj cenniki były profilowane indywidualnie. Cena zależała od zasobności portfela i liczonego skomplikowanymi algorytmami prawdopodobieństwa dokonania zakupu, bądź nawet tylko zapamiętania marki. Dodatkowe skomplikowanie algorytmów powodowały indywidualne kodery nastroju w postaci kolejnej aplikacji komplanta. Przed poważnymi zakupami konieczne było zainstalowanie i skonfigurowanie odpowiedniego kodera oraz takie zaplanowanie dnia, by kontakt z produktem na komplancie sprzedawcy sprawił wrażenie całkowicie przypadkowego, czy wręcz niemiłego. Często wprowadzano zamieszanie do własnego nawigatora, posuwano się nawet do oszukiwania własnego zmysłu wzroku lub wręcz sztucznego modyfikowania uczuć. I tak wchodząc do salonu sprzedaży gravów, można było mieć wrażenie, że się wchodzi na przykład do restauracji. Wtedy dyskomfort psychiczny podczas oglądania produktu wpływał na automatyczne obniżenie ceny. Stosowano również trening obrzydający ulubiony produkt. Sposobów było tyle, co strategii obrony przed nimi.

Jared męczył się na samą myśl o takim komplikowaniu sobie życia. Wolał zapłacić pełną kwotę. Było go na to stać. A że wszedł do baru głodny, ze zdecydowanym postanowieniem zjedzenia solidnej obiadokolacji, cena dodatkowo wzrosła. Wziął naleśniki ze szpinakiem i czosnkiem z pełną świadomością, że żaden ze składników tej potrawy nie jest pochodzenia naturalnego. Valerie nie robiła sobie złudzeń i

wybrała witaminizowany koktajl proteinowy o smaku rybnym. Poszukiwacz zauważył na jej twarzy wyraz wystudiowanego niesmaku, gdy zbliżała się do kasy. To był już nawyk.

Usiedli w kącie. Kobieta włożyła do ust kęs gąbczastej masy. Przełknęła, prawie nie gryząc.

–Skończyłam pierwszy reportaż – oświadczyła. – Wyczyszczą go jeszcze i wyemitują. Wszystko wskazuje na to, że dostaniemy priorytet jeden. Będziesz sławny do rana, ale musimy coś sobie wyjaśnić. Wiesz, o co chcę zapytać najpierw?

–Wiem. Odpowiedź brzmi: nie mam zielonego pojęcia.

–Czemu miałyby służyć odkopanie starych kości? Spreparowanie tego byłoby kosztowne i trudne.

–Niemał przeoczyłem cień ruin.

Valerie wypaliła wprost:

–Jeśli ktoś miałby być autorem tego dowcipu, to właśnie ty.

–Jestem w lepszej sytuacji, bo wiem, że tego nie zrobiłem.

–Przekonaj mnie.

–To ty chcesz zrobić ten reportaż. Tobie zależy.

–To ty nas wezwalesz.

–Tylko pokazałem wam znalezisko.

–Na to samo wychodzi.

–Nie szukam sławy. Jeśli chcesz, mogę stąd wyjść i zapominały o sprawie.

Uśmiechnęła się.

–Nie chcę.

Popatrzyli sobie w oczy, Jared pierwszy spuścił wzrok.

Sprawdził wątki w tle, ale nie znalazł nic podejrzanego. *Guardy*, z Bobem na czele, działały poprawnie. Kobieta naprawdę go pociągała.

Przekroił pierwszy naleśnik i spróbował. Ciekaw był, czy naleśnik z prawdziwego

mleka i mąki, z prawdziwym szpinakiem i czosnkiem smakowałby mu bardziej, czy też wydałby się obrzydliwy. Mleko... wydzielina jakichś zwierząt... Czy dałby radę w ogóle to przełknąć? Z drugiej strony już wiedział, że to, co je, ma w sobie domieszkę przetworzonych ludzkich zwłok. Pogodził się z tym już dawno. Bakterie gnilne i neurośliny rozbijały przecież nawóz na podstawowe cegiełki organiczne i dopiero z nich powstawała żywność.

–Ja też chcę dowiedzieć się więcej – powiedział. – Na takie odkrycie czekałem od dawna.

–I nie odstraszy cię kolejny wirtualny morderca?

–Obawiam się, że następny będzie realny.

Za szybą przemknął cień. Jared nie umiał określić, czym różnił się od cieni innych przechodniów, ale przeszedł go dreszcz. Otworzył managera urzędów. Miał bezpośredni dostęp do niekodowanego sterownika ekspresu do kawy. Kiepska broń. Reszta była posłuszna tylko pracownikom. Rozejrzał się po sali. Nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi, ale „to” już się zaczęło. Czując przyspieszający puls, wciągnął tlen. Przeczucie... Nie ma czegoś takiego, uspokój się! Trzy sekundy, dwie, jedna...

Otworzyły się drzwi i do wnętrza wleciała naga kobieta. Wleciała dosłownie – unosiła się w powietrzu ponad głowami ludzi. Wolno poruszała rękoma i nogami. Piersi falowały, jakby... znajdowała się pod wodą. Jared zamrugał. Implanty nośne? Mowy nie ma – byłyby za duże. Selektowne generatory pod podłogą? W ścianach? Dlaczego więc nie unosili się goście? Nie dałoby się skalibrować tak precyzyjnie. Hologram też odpadał, bo rzucała cień. Tyle zauważył. Kobieta rozejrzała się. Jared, obawiając się najgorszego, zgarbił się na krześle. Przeleciał pospiesznie status *report guardów*. Żadnej uwagi o włamie. Wszystkie odczyty zielone. Więc co się dzieje? I dlaczego ona jest naga?

Nagle olśnienie. *Fuck!* Ona jest Murzynką... Ich spojrzenia spotkały się i Jared poczuł, że patrzy w oczy istoty, która nie jest człowiekiem. Wyszczrzyła zęby. Mięśnie pod gładką skórą zadrgały, gdy wyrzuciła ramiona, płynąc w jego stronę. Nawet jej włosy poddawały się nurtowi nieistniejącej wody. Pokonała już połowę dzielącego ich dystansu. Jared wypuścił z rąk sztucce i zerwał się, przewracając krzesło. Ludzie z sąsiednich stolików ucichli i zaskoczeni patrzyli w jego stronę. Dopiero teraz zyskał pewność, że nikt poza nim jej nie widzi. Niezauważona przez nikogo, najzwyczajniej w świecie płynęła przez salę. Była dwa metry od niego, gdy rzucił się w bok. Skręciła w miejscu i znów była tuż za nim. Wywinął się jej dłoni.

–Uciekamy! – krzyknął do Valerie.

Wystarczyła jego mina. Nie pytając o nic, po prostu zerwała się i pobiegła do wyjścia. Jared zauważył, że kiedy mijala pływaczkę, uchyliła głowę przed jej ręką. W barze zapanowało zamieszanie. Część gości wybiegła za nimi. Teraz rozglądali się, próbując zidentyfikować niebezpieczeństwo.

Odbiegli sto metrów i zatrzymali się zdyszani. Jared obejrzał się, zagryzając ustnik. Reporterka sięgnęła do piersiówki.

–Powiesz mi, dlaczego to zrobiliśmy? – Z trudem łapała oddech.

Przesłał jej zapis ostatniej minuty. Teraz już nagrywał wszystko, jak leci.

Widział, jak w miarę oglądania wyczynów pływaczki zmienia się wyraz jej twarzy. Obejrzała się przez ramię.

–Latająca kobieta. Do tego naga... Na pustyni musiałeś czuć się bardzo samotny.

Wypuścił głośno powietrze.

–To ma związek z zasypianką. Załadowałem sobie *Dwanaście latających Murzynek*.

–No to ta jedna nie chce, żebyś o niej zapomniał.

Patrzyli na wejście do baru. Nikt nie płynął w ich kierunku. Wspomnienie stawało się coraz mniej realne. Stali jeszcze chwilę. Ich spojrzenia spotkały się w końcu w ten specjalny sposób. Teraz Jared był już pewien – ten wieczór zakończą w łóżku.

* * *

Hotel był obskurny. Mimo to, a może właśnie dlatego, większość pokoi była zajęta. Przez recepcję przewijało się wiele par, w tym również tej samej płci. Były nawet takie, których jedna połowa istniała tylko w elektrycznej wyobraźni partnera. Nie przeszkadzało im to w głośnej konwersacji, choć tylko fragmenty docierały do uszu postronnych.

–Może wolicie pokój trzyosobowy? – zapytał recepcjonista z niemiłym uśmiechem.
– Będzie wygodniej...

Jared pokręcił głową, zastanawiając się, jak wąskie są tutejsze łóżka.

Kwadrans później leżał w czystym, choć wymagającym remontu pokoju, czekając, aż Valerie skończy brać prysznic, a stać się to miało zapewne dopiero po wyczerpaniu godzinnego limitu wody. Od jak dawna nie miał kobiety? Nie pamiętał dokładnie. Obawiał się, jak zareaguje jego organizm. Znał oczywiście prosty sposób na sukces. Wystarczyło ściągnąć i zainstalować aplikację w stylu „Casanova”. Nie

chciał jednak tego robić z kilku powodów, wśród których najważniejszym było wspomnienie spotkania z latającą Murzynką.

Instalowanie we łbie takiej ilości programów rodziło nieźle sklasyfikowane zagrożenia – choroby elektryczne. Poczynając od złośliwych wirusów o wyraźnie destrukcyjnym działaniu, poprzez wadliwie działające aplikacje, aż po niegroźne z pozoru programy użytkowe, za sprawą sponsorujących je firm informatycznych wywierające dyskretny nacisk na gusta użytkowników. Były też zwykłe reklamy, które męczyły samą natarczywością. Elektrolodzy stawali się najliczniejszą grupą spośród wszystkich specjalizacji medycznych. Korzystanie z pełnych dobrodziejstw sieci zupełnie gołym, niezabezpieczonym *firewall'em* i *guardami* komplantem mogło dla właściciela skończyć się po kilku zaledwie godzinach w domu bez klamek. Natłok agresywnych, bezczelnie wciskających się do głowy przekazów mógł powalić każdego. Dowolny wątek pozwalał się zamknąć bez sięgania po drastyczniejsze środki, ale zazwyczaj, jeśli chodziło o reklamy, było to utrudnione i wymagało złożonej interakcji odbiorcy-ofiary. Trzeba było na przykład wysłuchać instrukcji obsługi, która sama w sobie była kolejnym przekazem reklamowym, albo wykonać jakąś czynność wymagającą zapoznania się z wybraną cechą reklamowanego produktu. Za dziesiątym razem może się znudzić, a przecież każda kolejna reklama nie czeka na zamknięcie poprzedniej. W przestrzeni wokół niezabezpieczonego człowieka robi się coraz gęściej i już nie wiadomo, co jest prawdziwe fizycznie, a co nie. Muzyka, zapachy, obrazy, zdarzają się nawet nielegalne modyfikatory nastrojów. Wpada się w depresję, a po pojawieniu się logo kolejnego uszczęśliwacza następuje euforia. Pozostaje tylko reset komplanta i blokada interfejsów do czasu instalacji zabezpieczeń. To oznacza jednak brak możliwości korzystania z tak prozaicznych urządzeń, jak choćby winda czy airtaxi.

Sytuacja robi się naprawdę beznadziejna, kiedy złapie się wirusa modyfikującego funkcje systemu operacyjnego. Wtedy reset może być w ogóle niewykonalny lub okazuje się po nim, że wcale nie był to reset, tylko zupełnie inne polecenie. Elektryczna schizofrenia to złudzenia indukowane celowo bądź pobocznie. Można widzieć drzwi tam, gdzie ich nie ma, nieistniejących ludzi o wiele realniejszych niż w wizjach schizofreników poprzednich epok. Można też zobaczyć chodnik tam, gdzie jest przepaść, a wszystko to w chaosie mylących, przypadkowych przekazów doprowadzających do już realnego obłądzenia.

Specjalnym rodzajem elektrycznych marzycieli byli neuronarkomani. Interesowały ich modyfikatory uczuć i nastrojów. Cała otoczka w postaci fabuły i scenografii stała się już dla nich nieistotnym, burzącym harmonię śmieciem – chodziło wyłącznie o ekstazę. Coraz silniejszą, bo mózg przyzwyczajał się po pewnym czasie do nowego poziomu doznań.

Ale czy na tym etapie rozwoju można zrezygnować z komplantów? Właściwie opierało się na nich wszystko. Człowiek bez komplanta był jak niegdysiejszy

niewidomy na środku ruchliwego skrzyżowania. Ale istnieli przecież również nałogowcy, elektromaniacy i zwykli hedoniści. Modyfikatory rzeczywistości na tyle odrealniały ich doznania, że nie potrafili już żyć w *defaultowym* świecie. Rozwiązaniem idącym jeszcze dalej był właściwy elektryczny sen izolujący wszystkie zmysły od bodźców zewnętrznych i przenoszący użytkownika w wykreowany od początku świat.

Jared pomacał się za prawym uchem. Zgrubienie czaszki kryło moduł łączności, głębiej tkwił kryształowy procesor komplanta, powyżej cienka żyłka anteny. Miał w głowie to, czego namiastka, kilkadziesiąt lat przed pierwszym lądowaniem na Marsie, zajmowała wnętrze dużej hali. Kryształ skwantowanej precyzji, peryferia wielkości ziarenek piasku i nanoroboty rozprowadzające po mózgu wici o grubości liczonej w angstromach. Przyjaciel czy ciało obce? Wszyscy to mieli. Człowiek pozostawał wolny do dziesiątego dnia życia. Potem prosta operacja i stopniowe aktywowanie kolejnych funkcji. Zadane fabrycznie prezenty urodzinowe.

Jared był ostatnim pokoleniem, które miało jakiś wybór, choć rezygnacja z komplanta oznaczała wyrzucenie poza nawias społeczeństwa. Następnym etapem będzie umieszczanie samokrystalizujących się układów w ciele płodu i instalowanie *software'u* z mlekiem matki. A jeszcze potem co? Dodanie syntetycznych ciągów znaków do DNA?

Sto lat wcześniej nikomu nawet nie śniły się takie wizje.

Woda przestała lecieć. Oczekiwanie było nawet przyjemne. Atmosferę psuło jedynie to, że nie mógł się powstrzymać od zerkania na zasłonięte rozpraszaczem okno. Niczego za nim nie było, jedynie zza ściany dochodziły dźwięki nocnych zabaw kochanków akrobatów.

Owinięta ręcznikiem Valerie stanęła w drzwiach, światło w łazience zgasło automatycznie.

–Czekają na pana nowe odkrycia, panie poszukiwaczu.

Uniosła ręce i ręcznik opadł na podłogę. W słabym, migotliwym świetle ulicznych reklam wyglądała perfekcyjnie. Zmarszczek na twarzy nie było widać. Pełne piersi, wąska talia i płaski brzuch. Wślizgnęła się do łóżka i Jared poczuł, że nie potrzebuje żadnego wspomagania. Poddał się intuicji i rozpoczął rytuał pieszczot. Szyja, usta, ramiona, piersi. Brzuch i uda. Plecy. Gładził ją delikatnie i czuł, jak jej mięśnie reagują na jego dotyk. Skąd wiedział, co należy robić? Dlaczego sprawiało mu to przyjemność? Skomplikowany proces był sterowany przez zaprogramowany genetycznie, organiczny odpowiednik komplanta, który mieli jego przodkowie, nim po raz pierwszy spojrzeli w gwiazdy.

Linia jej pleców, kształt piersi, elastyczna sztywność napiętego brzucha. Tego właśnie kazał mu poszukiwać pierwotny element ludzkiej natury. I tego pożądał.

Objęła go i pocałowała. Delikatnie. Dobrze. Gra niepisanych reguł – kolejne nieświadome prośby i przyzwolenia. Wielopoziomowe sygnały gnające po neuronach, zakodowane językiem niezauważalnym dla ich nosicieli; przekazywane delikatnymi drgnięciami ciała, emisją chemiczną, kinetyczną, teleczymstami. Cała ta złożona, precyzyjnie zestrojona aktywność była odbierana jako banalna, wzrastająca przyjemność. Skoordynowana, rosnąca, dążąca do nieskończoności fala przełamywała się w absolutnym zespoleniu, zwanym orgazmem.

Oto ostateczny i jedyny prawdziwy cel istnienia: reprodukcja genów. Półnieśmiertelność.

*** * ***

Leżeli obok siebie ze wzrokiem utkwionym w niewidoczny w ciemności sufit.

–Nie miałem ostatnio wielu okazji... – wyszeptał poszukiwacz. Miał niejasne poczucie, że się nie sprawdził.

–Nie martw się, załadowałam sobie emulator wrażeń.

–Do czego więc byłem ci potrzebny?

Przekręciła się i pocałowała go w usta. Nie sprawiała wrażenia zawiedzionej.

–Każdy wywiad przeprowadzasz w ten sposób? – zapytał.

–Nie każdy. Posłuchaj, zauważyłam coś jeszcze...

–Nudzając się podczas stosunku?

–Nie wiedziałam, że masz poczucie humoru. Zobacz. – Usiadła, spuściła jedną nogę na podłogę i mrugnięciem rozwinęła wirtualny ekran 2D, by mogli oglądać to samo. Obraz z baru. Wskazała żywą roślinę stojącą przy wejściu. Gdy Murzynka obracała się, jeden z dużych liści zakolysał się.

–Pełna iluzja – stwierdził poszukiwacz.

–Teraz zobacz mój zapis. – Mrugnęła. Prawie to samo: inny kąt, obraz trochę zniekształcony, bo na skraju pola widzenia i bez Murzynki. Mogło się zdawać, że liść zakolysał się od powiewu powietrza. – Mój liść się poruszył za sprawą twojej elektrycznej imaginacji.

–Kiedy uciekaliśmy, uchyliłaś się przed jej ręką. – Przewinał obraz na wiszącym w

powietrzu ekranie.

–Rzeczywiście. Szkoda, że nie możemy sprawdzić zapisów innych gości. Czuję trop prawie tak ciekawy, jak same kości.

–Ja pozostanę przy samych kościach.

–Twoja decyzja.

–Gdybym myślał tak jak ty, powiedziałbym, że uczestniczysz w spisku. Skoro uchyliłaś się, to znaczy, że widziałaś.

–Wprowadziłaś pojęcie spisku. No proszę, to coś więcej niż dowcip, nawet jeśli kosztowny.

Zignorował jej złośliwość.

–Muszę się przespać – mruknął. – I tak rano będę nieprzytomny.

Ekran zgasł. Valerie uśmiechnęła się, pocałowała go w usta i rzuciła się na łóżko, aż zatrzeszczało. Odwróciła się do niego.

–Żartowałam z tym emulatorem – szepnęła. – Udawać można wszystko, ale realne życie to dziś jedyna prawdziwa wartość.

Zasnęła prawie natychmiast. Jared wdychał zapach jej ciała. Realny. Cóż znaczyło to słowo? Ruch liścia na wietrze.

Obudził się późno. Zdecydowanie za późno. Valerie obejmowała go ramieniem i nogą. Trzymała głowę na jego piersi i oddychała równo. Obok łóżka stał Gael w swojej idiotycznie niepraktycznej szarej todze. W rękę trzymał prehistoryczny dzwonek, którego echo właśnie cichło. Gael nie był prawdziwy, nie był nawet hologramem. Był fantomem i istniał tylko w głowie poszukiwacza. Jared zastanawiał się, jak to możliwe, że komplant transmituje ten obraz bez jego wiedzy.

–Nareszcie obudził się pan. – Skinął głową administrator.

–Proszę wybaczyć, ale sam wyznaczam sobie godziny pracy.

–Troszczę się o pana bezpieczeństwo. – Gael podszedł bliżej łóżka, omijając krzesło. – Czekam na pana pokój w pałacu. Nie powinien się pan zapuszczać w podejrzane rejony. Proszę wracać na teren poszukiwań i określić dokładne położenie i rozmiary pozostałych złóż wody.

–Nie obiecywałem, że tam na pewno jest woda.

–Obawiam się, że teraz musi pan znaleźć tę wodę, nawet jeśli jej tam nie ma.

Jared zacisnął usta. Valerie obudziła się, przeciągnęła i usiadła na łóżku.

–Witam, pani Pinard.

Podciągnęła koc pod szyję. A więc to ich wspólny fantom.

–Myślałam, że jest pan administratorem zasobów wodnych – rzuciła nonszalancko.
– A pan tymczasem świadczy usługi dla ludności. Ile kosztuje przyjemność budzenia przez pana?

–Może kosztować licencję reportera, jeśli się kiedykolwiek powtórzy.

Uśmiechnął się wrednie i zniknął.

–Jak on to zrobił? – zapytał Jared. – Nie zamknęliśmy połączenia między nami? Musiał przejść po twoim.

–Lepiej się czuje, jak zepsuje komuś dzień – warknęła, puszczając koc. – Przeszedł i po moim, i po twoim. Połączenie z priorytetem zero. Odbierze się samo, nawet jak nie chcesz.

–Lecę na pustynię. Tam nikt nie będzie wlaził mi w buciorach do głowy. Nadajnik Skoczka przesyła tylko AV.

–Znasz się może na poszukiwaniu wody, ale nie na sieci. Nie można przesyłać tylko AV albo wszystko, albo nic.

–Być może.

Jared ubierał się pośpiesznie.

–Zastanawiałeś się, co by się stało, gdyby cię złapała?

–Zastanawiałem się. Grałaś kiedyś w szachy?

–Nie, ale wiem, co to jest.

–Króla nie można zbić. Trzeba go zamatować. To jak w koszmarze sennym: ktoś cię goni, uciekasz, nogi grzęzną ci w piachu, ale nikt cię nie złapie. Obudzisz się.

–Więc jesteś królem? Ambicji ci nie brakuje. Widziałam mięśnie tej Murzynki. Ktoś systematycznie faszerował ją męskimi hormonami. Myślę, że gdyby była realna, to nie tylko złapałaby cię, ale i rozerwała na kawałki.

–To dlaczego, jeśli chcieli mnie dopaść, użyli tak nieskutecznego sposobu? Przecież pływa się wolniej niż biega.

–Pojawiają się jacyś „oni”. Coraz lepiej kombinujesz. Valerie, nieskrępowana własną nagością, zaczęła się powoli ubierać.

–Może tylko to mieli do dyspozycji? Nie instalowałem chyba nic więcej... – Obserwował jej harmonijne ruchy. – Ale też jest inna możliwość. Zabić kogoś bez wzbudzania sensacji jest trudno. Tym bardziej jeśli stał się właśnie sławny. Lepiej doprowadzić go do szaleństwa, nie zostawiając żadnego śladu ingerencji w softwarze. Murzynka wcale nie miała mnie złapać.

–Atakują cię od środka? Przecież znalazłeś tylko kilka starych kości. Zresztą nie jesteś wcale sławny. Ten materiał za tydzień zejdzie poniżej priorytetu dziesięć i nikt już o tobie nie będzie pamiętał. Niestety, żeby stać się legendą, trzeba najpierw umrzeć.

–Może te kości są znacznie ważniejsze, niż myślimy? Dlaczego Gael skłamał, że tam zaraz będzie budowa? Jaki może być inny powód?

–Nie chcą, żebyś tam grzebał, tylko zajął się szukaniem wody.

–Sądziś, że wiedzieli wcześniej o ruinach? Może istnieje jakiś przepis o ochronie zabytków i boją się opóźnienia budowy?

–Mówiłam ci, nic tam nie będą budować. Sprawdziłam. Uważam, że demonizujesz.

Mimo całego mojego zaangażowania wiem, że takich sensacji jak odnalezienie kości Marsjan jest tygodniowo kilkanaście. Kolejny news. Nic nadzwyczajnego, choć przyznam, że dla mnie to spora szansa. Znajdziesz tę wodę i tylko to jest ważne dla rządu. My tu sobie zwyczajnie robimy wywiad, który nie obchodzi służb specjalnych, nawet jeśli jest nieco pikantny. Jeśli potwierdzimy i ogłosimy, że to kości Marsjan, cóż to zmieni? Kogoś to naprawdę zainteresuje? Ludzie pracują, potem uciekają w elektryczne sny i nie chcą niczego więcej. Mają zapewnione życie, w połowie realne, w połowie nie, i ta druga połowa jest dla nich ważniejsza. Dlatego nikt się nie upomina o demokrację ani o swobody obywatelskie, bo to każdy może sobie sam wyczarować, i to w dowolnej wersji. Nawet mało kto wie, jak wygląda prezydent. I tak nie byłby wtedy bardziej wiarygodny, bo każdego można zaimponować, włożyć w usta dowolne słowa i wpuścić w sieć. Nie zmienimy tego. Nie zagrażamy istniejącemu systemowi. Służymy nielicznym koneserom rzeczywistości.

–A cała reszta? Nie odbierają was.

–Odbierają, ale rzadko trafiają na coś, co ich może zainteresować. Dla całej masy ludzi rzeczywistość jest płaska, bezbarwna, nudna. Traktują wizytę w niej jako zło konieczne. Cóż z tego, że media są wolne, skoro odbiorcy nie. Każdy sam sobie cenzorem.

–Kto więc mnie prześladowuje?

–Ktoś, kto wie o ruinach i szkieletach, i nie chce, by wiedzieli inni. Ten ktoś nie ma bezpośrednich wpływów w rządzie.

–Wiesz to, czy tak sobie gdybasz?

–Może chodzi o ruiny, bo szkielety to nic szczególnego. Kilka lat temu ktoś od nas pisał coś o jakichś tam szkieletach, nie pamiętam dokładnie, ale żadne rewelacje. Nie poszło do publikacji. Zresztą facet potem miał wypadek. Było dużo bieżących spraw i nikt nie pociągnął tematu.

–Puściliście kantem taki temat?!

–Bez obrazy, ale to ciebie interesują kości. Większość uważa, że to nudy. Zresztą to było dawno temu.

–Po co zatem robisz ten reportaż?

–Dla Marsjan. Musimy chwycić się wszystkich możliwości. Po raz pierwszy w historii dla ludzi ważniejsze od informacji staje się ich wirtualne życie wewnętrzne. Jak tak dalej pójdzie, to za parę lat w ogóle nie będzie serwisów informacyjnych.

–Ani tlenu...

–Czy to nie obsesja, którą odziedziczyłeś po ojcu?

Skończyli się ubierać i wyszli. Senny recepcjonista obrzucił ich znudzonym spojrzeniem. Odburknął coś niewyraźnie na pożegnanie. Na zewnątrz było niemal pusto, w górze dryfowało kilka holoboardów. Między wysokie budynki opuszczał się już jeden virtualboard, by reklamą pastylki na kaca przesłonić Jaredowi perspektywę ulicy. Valerie wzięła go pod rękę. Jej obecność zaczęła właśnie odrobinę go męczyć.

Wezwał Skoczka, mając nadzieję, że w niemal bezludnym pasażu nikomu, a szczególnie policji, nie będzie to przeszkadzać. Sufler Prawny zamigotał ostrzegawczo. Dobrze przynajmniej, że jego kompetencje nie obejmowały powiadamiania właściwych służb. Kilka metrów przed nimi zaczął migać nad ziemią czerwony półprzezroczysty marker lądowiska. Jakiś zmęczony przechodzień, klnąc, ominął przeszkodę. Grav wylądował dokładnie w oznaczonym obszarze.

–Polecę z tobą – oznajmiła reporterka. – Dokończymy wywiad. Poznam twoją pracę.

–Pracuję sam.

–Nie będę przeszkadzać. – Uśmiechnęła się przymilnie.

Będiesz, pomyślał. Jednak nic nie powiedział. Odwrócił głowę, patrząc wstecz w perspektywę pasażu. Miał przykre wrażenie, że ktoś go obserwuje.

Wsiedli, a autopilot poprowadził ich nad pustynię. Gdy przelatywali nad terenem wykopalisk, zobaczyli trzy buldożery zasypujące dół w ziemi. Ciekawe po co? Wystarczyło zaczekać do pierwszej burzy. Wylądowali dziesięć kilometrów dalej. Wbrew przypuszczeniom Jareda, Valerie rzeczywiście nie przeszkadzała w poszukiwaniach, a nawet okazała się pomocna. Zainstalował jej (na wyraźną prośbę i wbrew własnym zasadom) moduł do precyzyjnego rozstawiania emiterów pirotechnicznych. Dzięki temu praca szła znacznie szybciej. Kobieta chętnie zakopywała w ziemi ładunki według dyrektyw pomocniczego programu skanera. Zdaje się, że ją to zainteresowało.

–Dlaczego nie używasz automatów albo pomocników? – zapytała po kolejnej eksplozji.

Odpowiedź miał tę samą, co zwykle:

–Lubię pracować sam.

Nagle uniósł rękę, by nic nie mówiła. Wizja wyostrzała się. W znajomy, przyprawiający o dreszcz podniecenia sposób wszystkie obrazy cząstkowe tworzyły wspólny superobraz i otwierały pod jego stopami barwną, wielopoziomową otchłań. Bardzo interesujące formacje geologiczne. Niestety, bez wody.

Na lunch były tylko suchary – nie zdążył uzupełnić zapasów. Kobieta bez słowa sprzeciwu zjadła i popiła je wodą. Zawierały komplet mikroelementów potrzebnych człowiekowi, ale nie były zbyt smaczne.

Przyjrzał się jej. Żelazna dyscyplina. Zastanawiał się, do czego jest zdolna, by skończyć swój reportaż.

Valerie przełknęła ostatniego suchara i mruknęła:

–Nie taka ciężka ta praca...

Jared uśmiechnął się pod nosem. Włączył wizualizację tego, co sam widział. Valerie zaakceptowała połączenie. Krzyknęła i przypadła do niewidzialnego już gruntu. Zrozumiała i parsknęła śmiechem. Podbiegła do Jareda i w żartach dała mu kilka kuksańców. Po chwili śmiali się oboje, tarzając się w piasku. Po raz pierwszy pomyślał o tym, że dzielenie z kimś trudów i radości poszukiwań może być przyjemne. Połączenie, które otworzył przed chwilą, pozostawało aktywne. Ani on, ani ona nie próbowali zamykać *streama*. Mieli teraz czworo oczu i czworo uszu. Dwa ciała spięte bezcielesnym łączem nazywanym potocznie *shared view* – uwspólnionym widokiem.

–Próbowałam kiedyś seksu przy obustronnym *fullstreamie* - zamruczała i dotknęła jego krocza. – Nieziemskie uczucie, ale nie będę tego nigdy powtarzać. Łatwo uzależnia.

Patrząc na przepływające chmury, doznawało się uczucia opadania w bezdenną otchłań. Wydawało się, że piasek tylko cudem trzyma plecy, by ciało nie zsunęło się w dół.

–Czytałam wiele o twoim ojcu... Pozostawał w cieniu, mimo że zrobił dla Waterfall nie mniej niż Griffin.

–Obaj zapłacili najwyższą cenę.

–Obaj popełnili samobójstwo.

–Żaden z nich nie popełnił samobójstwa. Jakkolwiek głupio to brzmi, Griffin złożył się w ofierze, a mojego ojca zamordowano. Nie dopuścili, by zeznawał. Społeczeństwo domagało się krwi, nie wyjaśnień. Niezależnie od oficjalnej wersji wiem, że go zabili. Zrobili to ci sami ludzie, którzy zabili moją siostrę w dzień po upadku Ice Cube.

–Chcesz o tym porozmawiać?

–Chcę zapamiętać.

Gdy słońce zbliżało się do horyzontu, wystartowali w kierunku miasta. Zostawili za sobą długi na wiele kilometrów, wirtualny wąwóz. Bez śladu wody.

Wisiąca między nimi niepewność, czy spędzą ze sobą kolejną noc. Decyzja należała do poszukiwacza, a ten wciąż się wahał. Pragnął Valerie. Im bliżej nocy, tym mocniej. Ona nie odzywała się przez całą drogę, wyczuwając jego nastrój. Jared też milczał. Wysłał pesymistyczny raport do Gaela, obiecując jutro podwoić wysiłki. Miał bardzo szczere zamiary.

Skoczek podszedł do lądowiska, usytuowanego w połowie termitiery pałacu. Zapewne na tej wysokości znajdował się pokój przygotowany przez Gaela. Większa część pałacu, z wyjątkiem górnych kondygnacji, była w połowie hotelem, czy wręcz pionowym miastem, gdzie mieszkali urzędnicy, goście i ważniejsi pracownicy kontraktowi.

Po krótkim oczekiwaniu, przepuszczając kilka pojazdów, grav pacnął na płytę. Jared spojrzął na kontener. Westchnął i wyciągnął go na zewnątrz. Podał rękę reporterce. Skorzystała, dziękując uśmiechem, choć bez wątpienia poradziłaby sobie sama. Skoczek pospiesznie wystartował, w locie zamykając właz. Odleciał na jeden z okolicznych parkingów. Wciąż ich brakowało. Planowano nawet zamienić trzony trzech wież w długoterminowe parkingi gravów. Obliczono, że pomieściłyby kilka tysięcy pojazdów, jednak żaden inżynier nie chciał wziąć odpowiedzialności za ich nośność. Oficjalne plany zaginęły przecież ponad sto lat temu.

Bez trudu przepuszczono ich z nietypowym ładunkiem – nie był niebezpieczny. Idąc w kierunku szybów komunikacyjnych, mijali kolejne pary. Zapewne podążały na cowieczorny bal. Jared, posłuszny wskazaniom komplanta, poprowadził ich bocznym korytarzem i dalej po schodach do przydzielonego mu pokoju. Był większy od klity w mieszkaniowcu, choć salon i sypialnia tworzyły jedną przestrzeń. Podwójne łóżko, miękki dywan, duża wanna. Inaczej niż poprzednio, oświetlenie przydawało wnętrzu przytulności. Pełny luksus. Program obsługi umożliwiał nawet falowanie włosków dywanu, choć poszukiwacz nie miał pojęcia po co. Wyłączył wszystkie funkcje pokoju poza podstawowymi.

Obok łóżka stała torba. Nie należała do Jareda.

–To moje. – Valerie była zaskoczona.

–Dla kogo ty właściwie pracujesz?

–Nie mam pojęcia, kto to przyniósł – oświadczyła zdecydowanie. – Jeżeli chcesz, natychmiast się wyniosę.

Usiedli po dwu stronach łóżka.

–Zostań... – Przełamał się. – Zostań na kilka dni. Potem pomyślimy. Zostań i kończ materiał.

Oparł się plecami o miękki materac. Kobieta położyła się obok i przylgnęła do niego.

–Muszę dziś do północy skończyć drugi reportaż – powiedziała. – Inaczej zainteresowanie spadnie. A do jutra, do północy muszę mieć materiał zamykający serię. Potem kolejne emisje możliwe dopiero za kilka dni.

–Czemu tak?

–Optymalny schemat dotarcia i skorelowane czasowo i tematycznie reklamy.

–W drodze przejrzałem ponownie materiał z diagnostera. Dzieci nie przyleciały z Ziemi z pierwszymi kolonizatorami. Miały zmiany w układzie kostnym typowe dla ludzi urodzonych na Marsie lub przebywających tu od wczesnego dzieciństwa. Ktoś je zabił i teraz nie chce, by prawda wyszła na jaw. Potrzebujemy dalszych analiz. Zwykły diagnoster nie powie nam nic więcej.

–Dobrze, postaram się. – Usiadła. – Znam paru ludzi.

–Chciałbym wiedzieć, ile te kości mają lat.

Następne dwadzieścia minut przeglądała bazę kontaktów. W szcążkowym odruchu jej powieka drgała. Jared też sprawdzał pocztę, której wyraźnie przybyło po publikacji artykułu. Jeden list, od farmera z południa, był szczególnie ciekawy:

„Znalazłem kości. Przypadkiem. Jest tu kilkaset kompletnych szkieletów. Odzywam się do pana, bo jest pan chyba jedynym archeologiem na tej planecie”.

Jared z żalem odpisał, że nie może przybyć. Lot przez pół planety, w tym przez barierę na równiku, byłby zbyt kosztowny. Poza tym nie miał teraz czasu. Cholera, ani śladu wody, którą obiecał! Właśnie, kłamstwo ma krótkie nóżki.

–Redakcja ma dostęp do wielu niestandardowych informacji – odezwała się Valerie. – Dowiedziałam się właśnie, że na dzisiejszym balu może być Hope Haines. Człowiek, który może nam pomóc.

–Powiesz mi coś więcej?

–Na razie sama niewiele wiem. Będę improwizować. Myślisz, że wpuszczą nas na ten bal?

–Ponoć mam nieustające zaproszenie. Jeśli to ma pomóc...

–Zaczekaj.

Pobiegła wziąć prysznic. Poszukiwacz wywrócił oczami, ale powąchał się pod pachami i zdecydował, że zrobi to samo. Kilka minut później, czysti i pachnący, stanęli naprzeciwko siebie. On miał na sobie swój nieśmiertelny płaszcz, a ona czarną koronkową bieliznę zasłaniającą jedynie to, co konieczne.

–Ubierz mnie – zażądała.

–Słucham?

–Ubierz mnie, jak chcesz – powtórzyła. – Rusz komplantem!

–Przecież tylko my zobaczymy to ubranie.

–Tu, w pałacu, będą je widzieli wszyscy.

W ogólnodostępnej sieci pałacu wyszukał odpowiedni program i wybrał jej wirtualny strój. Kusa półprzezroczysta spódniczka oraz równie dyskretny top nie bardzo spodobały się nosicielce. Wybrał więc obcisłą, elastyczną suknię o zmieniających się pod wpływem ruchu wzorach. Też nie to. Suknie krótsze, dłuższe, kapelusz, etola z cętkowanego futra, jedwabny szal, boa. Po kolejnej próbie, zirytowany, zdał się na sugestię doradcy i nim zdążyła się sobie przyjrzeć w transmisji z jego oczu i zaprotestować, prawie siłą wyciągnął Valerie z pokoju.

–Może Gael nie chciał, żebym się z tobą szwendał po mieście – powiedział już na korytarzu. – Mówię o torbie.

Uśmiechali się i trzymali za ręce, jakby znali się od dawna i zamierzali się po prostu świetnie bawić.

Bez problemów weszli na salę, co znaczyło, że zaproszenie od Gaela było dwuosobowe. Bawiło się tu już blisko stu gości, a w wysokiej na kilkadziesiąt metrów, sklepionej na barokową modłę sali zmieścić się mogło swobodnie jeszcze dwa razy tyle. Na środku umieszczono sztuczną skałę z wodospadem – pomniejszoną kopię tej, którą Jared już widział. Brakowało tylko ptaków. Jasne oświetlenie nie docierało do otaczających salę arkadek, pozostawiając je w intymnym cieniu. Najpierw udali się właśnie tam, by posilić się przekąskami z suto zastawionych stołów. Dostrzegli przejścia do mniejszych pomieszczeń utrzymanych w najróżniejszych, często mocno kiczowatych klimatach: dżungla, mroźna jaskinia, ogień piekielny, basen-akwarium. Zapewne były intensywniej wykorzystywane w późniejszych porach.

Ze szklaneczkami musujących pobudzaczo-otępiaczy wrócili do głównej sali. Puste naczynia odstawili na przelatującą właśnie obok tacę i rozejrzeli się. Bal nie miał

żadnego programu. Otyli urzędnicy tańczyli z młodymi blond pięknościami, które były wytworami ich cyberwyobraźni przez *entertainment software* pałacu, wspólnej dla wszystkich gości. Czy partnerka jest realna, czy wirtualna, można było rozpoznać po próbie dotknięcia ich – gorsze emulacje były bezmaterialne; lepsze – ledwie gumowate w dotyku. Dla swoich partnerów pozostawały jednak prawdziwe, przecież miłość nie zna granic.

Można było też dostrzec dobrze sytuowane kobiety. Te jednak, jeśli nie były zanadto szpetne, grube czy zaniedbane, nie musiały posuwać się do wyszukanych emulacji – partner zazwyczaj znajdował się wśród żywych.

Skórzany płaszcz Jareda, wbrew obawom, nie wyróżniał go zbyt wiele spośród gości, czasem dość ekstrawagancko ubranych. Valerie w końcu zmieniła ubranie na klasyczną, choć krótką kremową suknię wieczorową. Tańczyli przytuleni. Ogarnęło ją podniecenie, gdy poczuła jego nogę ocierającą się o wnętrze jej uda.

Tańczący wokół byli zanurzeni w półśnie i skupieni na sobie i swoich prawdziwych bądź elektrycznych partnerach. Niektórzy tańczyli w rytm zupełnie innej muzyki. Jared kątem oka zobaczył, że przygląda im się jakiś mężczyzna stojący w drugim końcu sali. Ktoś na moment go zasłonił i potem w tamtym miejscu nie było już nikogo.

–Myślisz, że nas podsłuchują? – wyszeptał.

–Szept nic nie pomoże. Podsłuchują albo bardzo dokładnie, albo wcale – odpowiedziała, muskając jego ucho wargami. – Myślę, że wcale. Tu jest dużo ważnych osobistości załatwiających przy okazji interesy. Są zainteresowani dyskrecją.

–A nasz pan „Nadzieja”? Poznasz go?

–Mam zdjęcie, ale i tak niełatwo go będzie znaleźć.

–Może wyłączymy *entertainment*? Kolorowe stroje znikną i będzie łatwiej.

–Wywaliliby nas na zbity pysk. Kręcąc się tu w kółko, nic nie działałam. Zostawię cię na chwilę i przejdę się po sali.

Odeszła. Jared zamarł. Znów to uczucie... Rozejrzał się – mężczyzna, podobny do mordercy z pustyni, albo nawet ten sam, przyglądał mu się natarczywie. Czy był prawdziwy? W opcjach *entertainment* nie było możliwości usuwania pojedynczych postaci. Czy facet mógł mu coś zrobić przy tylu świadkach? Prawda, być może nawet go nie widzą. Nie chciał ryzykować. Próbował na kilka sposobów, ale dopiero restart subprogramu balowego usunął intruza z sali. Na chwilę znikła też trzecia część gości, co wszyscy zbyli taktownym milczeniem, podobnie jak to, że fragmenty

garderoby niektórych pań stały się na chwilę zupełnie przezroczyście.

Natychmiast dostał zapytanie od ochrony, dlaczego to zrobił. W odpowiedzi wysłał im zapis znikającego faceta. Dało im to chyba do myślenia, bo nie odezwali się więcej.

Rozejrzał się i ponad tłumem próbował zauważyć, czy nic więcej mu nie grozi. Nigdzie nie mógł dostrzec: Valerie. Przełączył się na jej widzenie, by zorientować się, gdzie teraz jest. Czyjeś ucho i fragment fryzury, w tle fontanna. Zobaczył ją bliżej środka sali. W wolnym tańcu przytulała się do eleganckiego starszego faceta o szpakowatych włosach, szepcząc mu coś do ucha. Chudy, wyprostowany, o zdecydowanych ruchach, mocno obejmował ją w pasie. Jared nie słyszał, o czym rozmawiają, bo Valerie spauzowała pasmo *audio streama*. Podszedł bliżej i zatrzymał się kilka kroków przed nimi. Valerie zauważyła go i wskazała swojemu partnerowi. Facet najpierw przyjrzał się poszukiwaczowi, a dopiero po chwili podszedł i przywitał się, podając rękę. Hope Haines, brak określenia funkcji.

–Jest pan poszukiwaczem wody – bardziej stwierdził, niż zapytał Haines.

–Zgadza się.

–I chce pan dowiedzieć się czegoś o czymś, co nie jest wodą. Czegoś więcej niż może powiedzieć diagnosta medyczny.

–Tak.

–Może mi pan zapłacić wodą, a dokładniej – informacją o lokalizacji złoża.

–Właściwie to niewiele znalazłem.

–W raporcie napisał pan co innego: wiele domniemyanych złożeń wokół tego już odkrytego.

Jared spojrzał zaskoczony, ale szybko odwrócił wzrok. Zastanawiał się.

–Mam umowę z administratorem Gaelem Martinem...

–Wiem. Dla mnie może być ta „nadprogramowa”.

–Dobrze więc. Jaka ilość?

–Wody nigdy za dużo. Powiedzmy... dwa miliony hektolitrow. W trzy dni.

Niespodziewanie odwrócił się i odszedł. Jared chciał zaprotestować, nie zdążył. Zamigotała ikona *inboxa*. Po kliknięciu automatycznie otworzyła się mapa pałacu z oznaczonym punktem i timerem odliczającym czas od dziesięciu minut.

–Gael nie będzie zachwycony – mruknął poszukiwacz, ciągnąc za sobą reporterkę w stronę wyjścia. Gdy dotarli do pokoju, uruchomił kontener i wypchnął go za drzwi.

–Chodź – ponaglił.

–Tam może nie działać *entertainment*. Nie będę goła paradować po korytarzach.

–Dobrze, ale pospiesz się.

Usunęła wirtualny strój i narzuciła swój skórzany płaszczyk. Stukając szpilekami, dogoniła poszukiwacza po kilkunastu metrach.

Nikt ich nie niepokoił, gdy jechali windą i szli kolejnymi korytarzami. Widocznie mieli wolny dostęp do tych poziomów – systemy ochronne na pewno śledziły ich wędrówkę.

Plan doprowadził ich na niewykończony poziom, do drzwi, które wyglądały na dawno nieużywane. Panował tu półmrok.

–Po raz drugi sprzedałem tę samą rzecz, a nawet nie wiem, czy ona istnieje – mruknął Jared.

Zerknął na elegancki zegarek, który wyczarował sobie wcześniej na lewym nadgarstku. Zostały jeszcze trzy minuty. Kończyła się „krótka godzina”, czyli dwudziesta piąta, dodatkowa marsjańska godzina licząca sobie trzydzieści siedem minut. Dodanie tych trzydziestu siedmiu minut było prostsze niż zmiana umownej długości sekundy, a więc co za tym idzie, większości wzorów używanych w nauce. To jakoś przeszło bez bólu, natomiast z miesiącami i latami było gorzej. Jedni chcieli, by przyjąć ziemski kalendarz gregoriański, dodając skomplikowane przeliczniki kompensujące różną długość doby w celu niwelowania różnicy daty, a kompensacja ta, zależnie od wersji, miałyby spadać na i tak już poszkodowany luty bądź na miesiące liczące trzydzieści jeden dni przy jednoczesnym wydłużeniu lutego do trzydziestu dni. Było to wykonalne, ale prowadziło do bałaganu, cykliczność życia na Marsie uzależniona była już bowiem od pór roku i nieregularnych okresów łączności z Ziemią. Teraz doszedłby do tego jeszcze kalendarz niezgodny z faktycznymi marsjańskimi porami roku. Druga koncepcja proponowała, by trwający 687 dni marsjański rok podzielić proporcjonalnie na dwanaście, dłuższych niż ziemskie, miesiące i pogodzić się z niezgodnością numeracji z Ziemią. Ta koncepcja w prostej linii doprowadziła do trzeciej, postulującej pozostawienie istniejących miesięcy wraz ze zwyczajową ilością dni oraz dodanie nowych miesięcy.

Problem był znacznie bardziej skomplikowany, niżby to się mogło wydawać. Od przyjętego standardu zależało bowiem ustalanie tak podstawowych rzeczy, jak chociażby wiek człowieka.

Ostatecznie zdecydowano się na prawie dwa razy dłuższe miesiące, ale numerację lat zmieniono tak, by zgadzały się z ziemskimi. Grudzień przypadał podczas zimy na półkuli północnej, a Nowy Rok wypadał w różnych miesiącach. Wprawdzie z oporami, ale przyjęły to wszystkie miasta i korporacje. W potocznym języku i tak pozostało wiele nieдомówień. Jednoznaczny dla przeciętnego człowieka był tylko dzień i tydzień. W przypadku miesięcy i lat nie było już pewne, czy chodzi o miesiąc trzydziesto – czy sześćdziesięciodniowy i czy o rok kalendarzowy, czy ten naturalny, wynikający z pór roku i nazw miesięcy.

Niezależnie od ustaleń, we wszelkich oficjalnych dokumentach i w większości systemów informatycznych za bazę datowania przyjmowano czas ziemski (również w odniesieniu do godzin i minut), a dopiero na potrzeby konkretnego użytkownika był on przeliczany *on-line* na wybrany standard. To ucięło spory, każdy sam mógł bowiem liczyć czas, jak chciał. *Provider* sieci w przesyłanej wiadomości automatycznie konwertował datę ze standardu nadawcy na standard, jaki przyjął odbiorca.

Mimo problemów z ustaleniem standardu, uporano się z wprowadzeniem systemu w życie zdecydowanie szybciej niż kiedyś na Ziemi z tworzeniem kolejnych, coraz doskonalszych kalendarzy. Ale wszystko to było tylko drobną częścią znacznie większego problemu – normalizacja układu jednostek i miar. Nawet kilogram nie był tu przecież kilogramem. Już samo to sprawiało, że wszystkie dziedziny przemysłu wymagały opracowania nowych technologii.

Jared znów spojrzał na zegarek. Pozostała jeszcze minuta, gdy w głębi korytarza rozległy się kroki. Valerie przysunęła się do poszukiwacza, ale on sam nie czuł się zbyt pewnie. Cofnął się o krok.

–Boisz się, że znów cię zastrzeli? – zapytała z delikatną ironią w głosie. – Przecież to było na niby.

–Ale bolało, jakby było naprawdę. Mam ciągle wrażenie, że ktoś mnie śledzi.

Wiedział, że pałac prezydencki był najbezpieczniejszym miejscem w promieniu kilkuset kilometrów, ale ręka na uchwycie kontenera i tak mu się pocila. Zza zakrętu korytarza wyłonił się Hope. Podszedł, uśmiechając się tajemniczo. Kiedy rozsunęły się przed nim drzwi, przepuścił ich. Znaleźli się w pustej sali, takiej samej, jaką poprzednio Gael zamienił w angielski gabinet sprzed stuleci. Nie było tu żadnych przyrządów – tylko pusta sala. Hope nie trudził się zasłanianiem dekoracją szarych ścian. Popatrzył na kontener i pokiwał głową. Milczał.

–Czy nie mieliśmy badać zawartości? – zapytał Jared.

–Nie ma po co. Znajdujemy takie szkielety od dawna. Ruiny zresztą też. Niczego

nowego pan nie odkrył, panie Grant.

Poszukiwacz patrzył na niego, nic nie rozumiejąc. Tak jak i reporterka.

–Dlaczego więc...

–Zapanowałby niepokój, gdyby ludzie się o tym dowiedzieli. Odwołałem ważną rozmowę, by spotkać się z panem i osobiście tę sprawę wyjaśnić. Niedobrze się stało, że pierwsze informacje już poszły.

–Może tylko dzięki temu jeszcze żyjemy? – zapytał Jared, patrząc Hainesowi w oczy.

Tamten uciekł spojrzeniem w bok. Schował ręce do kieszeni.

–Moi mocodawcy nie są mordercami, panie Grant. Troszczymy się jedynie o stabilność.

–Gael zezwolił na wykopaliska...

–Gael nie zna wszystkich szczegółów – odparł szybko Hope, unosząc wzrok.

–Zatem nasza umowa co do wody jest nieaktualna?

–Wprost przeciwnie. Zaraz powiem panu rzeczy, których nie dowiedziałby się pan w inny sposób. Potem uda się pan na wypoczynek, żeby rano znów szukać wody.

–Moment! Tylko pańskie słowa? W ten sposób nie uzyskam żadnych dowodów. To nie jest warte dwóch milionów hektolitrow.

–A ile jest warte?

–Milion, jeśli to coś, czego nie wiem.

–Niech będzie. Najpierw proszę połączyć trzy fakty. Po pierwsze, kości mają dwadzieścia siedem tysięcy lat. Po drugie, są to kości ludzkie. Po trzecie, rozwijały się w warunkach niskiej grawitacji.

Zapadła cisza.

–Byliśmy tu już... – powiedziała cicho Valerie.

–Byliśmy tu już i nie przetrwaliśmy. Właśnie tak. Kiedyś już skolonizowaliśmy Marsa. Dwadzieścia siedem tysięcy lat temu. Niestety, Mars nas zniszczył. Trwało to mniej niż pięćset lat i planeta powróciła do stanu naturalnego. Martwego. Sami przyznacie, że taka sensacja wyrządzi więcej złego niż dobrego.

–Ale jak?! – zapytał Jared. – Człowiek potrafi opuścić Ziemię od trzystu paru lat... Pierwszy lot na Księżyc miał miejsce w dwudziestym wieku.

–Widać potrafiliśmy to zrobić już kiedyś. Maszynę parową i parę innych wynalazków znano w starożytności, ale wiedza ta zaginęła na dwa tysiąclecia. Może więc konstruowaliśmy pojazdy kosmiczne dwadzieścia siedem tysięcy lat temu, a potem utraciliśmy tę umiejętność?

–I nie zostały żadne ślady?

–Nic nie przetrwa tyle czasu, poza naszymi kośćmi i przypadkowymi śmieciami. Największa z ziemskich piramid niemal przy braku erozji, w łagodnym klimacie, jaki panuje w Egipcie, nie przetrwa kolejnego tysiąclecia. Za dziesięć tysięcy lat nie pozostanie po niej nawet jeden kamień. Pamięta pan los World Trade Center z początku XXI wieku? Wieży Eiffla z początków XXII wieku i całą masę symboli, jakimi szczyciła się zachodnia cywilizacja? Big Ben, Statua Wolności, Buckingham, Luwr, Koloseum, Partenon, Akropol... Pamięta pan te nazwy?

–Oczywiście, jestem archeologiem.

–Łączy je jedno: dziś żaden z tych obiektów nie istnieje. Przyczyny zniszczenia są różne: czynniki naturalne, starość albo ludzkie zło. Trzysta lat temu były symbolami naszej cywilizacji, a teraz nie ma po nich śladu. Dlaczego ludzkie ślady nie mogły zniknąć w ciągu dwudziestu siedmiu tysięcy lat? Tu jest bardzo ostry klimat. Erozja...

–Przez ostatnie tysiąclecia nie było tu wody w stanie ciekłym.

–To tylko przypuszczenia, a erozja to nie sama woda.

–Jaka cywilizacja potrafiła tego dokonać?

–Nie nadano jej nazwy. Z pewnym prawdopodobieństwem można przyjąć, że zajmowała tereny północno-wschodniej Afryki, może Azji Mniejszej. Stary Egipt był resztką, bladym cieniem ledwie, spadkobiercą strzępków mądrości wcześniejszej cywilizacji. Cywilizacji obejmującej swym zasięgiem również Amerykę Południową, a mającej wpływ na całym świecie.

–No właśnie – odezwała się w końcu Valerie. – Na Marsie były piramidy. Jak w Egipcie. W pobliżu tej twarzy...

–Pani Pinard – Hope uśmiechnął się, patrząc na nią krzywo. – Jest tyle ciekawych tematów. Może chciałaby pani zająć się jakąś aferą, która na pewno zainteresuje odbiorców „New London Post”. Mogę sprawić, że dowie się pani pierwsza –

–Zaraz, zaraz... – przerwał Jared. – Ale co z tymi kośćmi? Co zamierzacie zrobić z tą wiedzą?

–Zachować ją dla siebie i uczynić wszystko, byśmy nie podzielili losu naszych poprzedników. Mam nadzieję, że postąpi pan rozsądnie i zapomni o sprawie. Przetrawanie wymaga ładu. Ładu i wzrostu gospodarczego.

–To samo mówiono trzydzieści pięć lat temu, kiedy wprowadzano Ustawę Paliwową, a jest coraz gorzej.

–Chodzi panu o klimat? Nachylenie ekliptyki rośnie, to niezależne od nas.

–Chodzi mi o tlen.

–A ja myślałem, że chodzi panu o kości... Tyle mogę powiedzieć na ten temat. Teraz pana część umowy. Do widzenia.

Odwrócił się i wyszedł. Chwilę patrzyli na drzwi. Potem Jared przeniósł wzrok na Valerie i powiedział:

–Wyszedł tak, jakby przed czymś uciekał.

–Założę się, że sprzedał nam informacje, których nie powinien ujawniać.

–Bałem się już, że mi zacznie opowiadać o Atlantydzie.

–Nie wierzysz mu?

–Oni wszyscy kłamią. Przecież nie chodzi im o nas, wcale nie chcą nas ratować. To za mało opłacalne, więc skazali nas na straty. Chcą wyciągnąć stąd, ile się da, nim wszyscy ludzie zginą. Potem zwiną interes.

–Ale zaczekaj, to pasuje! Piramidy i twarz jakby Sfinksa...

–Twarz może być i z pudełka po szamponie. Usta, nos, oczy. Wszystkie zdjęcia były niewyraźne. Gra cieni.

–Ale Egipcjanie byli spadkobiercami...

–Stare Państwo istniało od około trzeciego tysiąclecia przed naszą erą. To ponad pięć tysięcy lat, a te kości mają dwadzieścia siedem tysięcy. O żadnym spadku nie może być mowy. Dwadzieścia dwa tysiące lat różnicy! Jakakolwiek ciągłość wykluczona.

Wypchnął kontener na korytarz. Rozejrzał się i wyszedł. Kobieta trzymała się blisko. Drzwi automatycznie zamknęły się za nimi.

–Może jakaś wiedza przetrwała.

–W średniowieczu posiadaliśmy zaledwie strzępki wiedzy, znanej naszym przodkom trzy, cztery tysiące lat wcześniej. Do wszystkiego dochodziliśmy niemalże od początku. Wraz z regresją cywilizacji wiedza zanika. A historia uczy, że regresja następuje nieuchronnie po kilkuset latach. Jeśli regresja trwa zbyt długo lub jest zbyt silna – wiedza przepada. Nie mogłabyś nawet porozumieć się ze swoim przodkiem sprzed półtora tysiąca lat, bo język tak dalece się zmienił. Żeby nie szukać daleko – my nawet zagubiliśmy plany budowlane wież tlenowych! Po zaledwie trzystu latach!

–Przez niedopatrzenie. Zakładasz, że wszystko, co wydarzyło się przed twoim narodzeniem, było obarczone niewiedzą.

–Kiedyś byliśmy ignorantami, a geniuszy paliliśmy na stosach.

–I to niby ty jesteś tym geniuszem?

–Tak naprawdę, to coś mi tu nie gra.

–Też zaczyna mi się wydawać, że to nie jest aż taka sensacja. Nie wyobrażam sobie, by to mogło kogoś poruszyć.

–Chyba że puścicie to w darmowym serwisie. Wtedy dotrze do najbiedniejszych. Oni są bardzo blisko związani z rzeczywistością.

–Ale co ty chcesz osiągnąć? – zapytała niespodziewanie. – Chcesz wywołać powstanie? Przeciw czemu?!

–Nie chcę powstania. Chcę ujawnić prawdę.

–Przecież nie wiesz, jaka jest prawda! Nikt nie wie. Są tylko przypuszczenia.

–Tak czy inaczej, możemy te przypuszczenia ujawnić albo zataić. Nie ma trzeciej możliwości.

–Jest – ujawnić selektywnie! W podstawowym płatnym serwisie.

–Kto to odbiera?

–Ty i każdy, kto płaci podatki. Ludzie, którzy są zbyt biedni, by płacić podatki i wynająć klitę w mieszkaniowcu, mają niewiele do stracenia. Po co ich dodatkowo dołować? Wystarczy iskra, by stało się coś złego.

–Czy to powód, by trzymać ich w nieświadomości? Byłem w *spaceporcie*, gdy startował ostatni transport na Ziemię...

–Wiesz więc, jak są zdesperowani i do czego zdolni.

–Tak ci ich szkoda, czy boisz się skutków? Mnie nie obchodzi polityka. Znalazłem coś i chcę o tym powiedzieć wszystkim.

–Więc chodzi o sławę?

–Nie musisz wymieniać mojego imienia. Znajdę tę wodę, jeśli gdzieś jest, i zniknę stąd. Zaraz... – zatrzymał się i złapał ją za ramię. – Kupił cię! No jasne. Powiedział niemal wprost: zostaw tę sprawę, a przyniosę ci na tacy skandal do obrobienia. Więc się przygotowujesz do zamknięcia tematu jakimś banałem.

Kobieta opuściła głowę.

–Jestem reporterką. Taki zawód...

–Mówisz to tak, jakbyś mówiła: „Jestem dziwką”.

Spojrzała na niego wściekłym wzrokiem i spoliczkowała go. Nie próbował się zasłonić. Odbiegła w kierunku windy. Kroki ucichły w oddali, ale wciąż słyszał je jej uszami. Widział też jej oczami uciekającą podłogę i szare ściany niewykończoności poziomu. Obraz rozmazał się. Płakała. Zatrzymała się przed drzwiami windy i walnęła ręką w przycisk (przejęła bez zmian jego emulator tradycyjnego biurowca). Jared poczuł jeszcze ból w jej dłoni i połączenie zostało zerwane. Drgnął, gdy połowa doznań zmysłowych zniknęła. Poczul drażniącą pustkę, ale opanował to uczucie. Było mu za to zwyczajnie głupio.

Ruszył do pokoju inną trasą, pchając przed sobą zawieszony w powietrzu kontener. Szedł wolno, zatopiony w myślach, które błędziły pomiędzy szkieletami a reporterką. Niewyparzony jęzor... Za kolejnym zakrętem coś jaśniało blado. Jared prawie krzyknął, rzuciwszy się w tył. Półprzezroczyste postacie stały na podłodze, tak samo jak przedtem na brzegu wykopu. Dziewczynka przytulała do siebie braciszka i wyciągniętą rączką wskazywała ścianę obok Jareda. Obie postacie patrzyły na poszukiwacza z determinacją i nadzieją. Próbował przekonać sam siebie, że z ich strony nic mu nie grozi. Poczul, że w jakiś sposób jego strach jest oznaką braku szacunku. Z trudem opanował się. Duchy... Duchy są nietrwałe, zakładając, że w ogóle istnieją. A musiał tak zakładać, skoro właśnie na nie patrzył. Duchy z czasem tracą energię, czy też z biegiem lat luzują się im jakieś wewnętrzne wiązania. Z tego, co wyczytał podczas czytelniczych wycieczek na peryferia archeologii, wiedział, że najstarsze obserwowane na Ziemi zjawy nie miały więcej niż czterysta lat.

A może to kolejne fantomy z zawirusowanego komputera? Jak to sprawdzić? Tylko resetem systemu, nawet nie programu *entertainment*. Wtedy znika wszystko. Nie zdecydował się jednak na to. Patrząc na dzieci, zastanawiał się, czy nie są wytworem jego cyberwyobraźni. Czego chciały? Jak je o to zapytać? Dzieci spuściły główki i

rozplynęły się.

Jared mimowolnie spojrział na ścianę, którą wskazywała dziewczynka. Beton, kawałek dalej drzwi. Otworzył i zajrzał do środka. Puste, kwadratowe pomieszczenie. Tylko szare ściany i otwór wentylatora.

Za dużo jak na jeden wieczór! Duchy, przedantyczne cywilizacje, wirtualni mordercy, obrażona kobieta... Sprawdził zapis sprzed minuty, ale był tam tylko pusty korytarz. Przemyśli to w łóżku. Nie, rano. Teraz zapomnieć, zapomnieć! Zawrócił i szybkim krokiem doszedł do najbliższej windy. Wyczarował różę i schował ją za plecami. Miał nadzieję, że Valerie nie wyłączyła *entertainmentu*, bo wtedy idiotycznie by wyglądał, wyciągając przed siebie pustą pięść.

Była w pokoju. Leżała na łóżku z twarzą w poduszce. Na dźwięk rozsuwanych drzwi uniosła głowę i odwróciła się na bok. Już nie płakała.

–Przepraszam – powiedział cicho. – Wyrwało mi się.

–Byłam wściekła. – Usiadła. – Chciałam stąd uciec, ale... miałeś rację.

–Nie umiem postępować z kobietami.

–Zauważyłam. Podjęłam decyzję. Chcę doprowadzić ten temat do końca.

Usiadł na łóżku i objął ją. Wtuliła się w niego.

–Nie mów tak nigdy więcej.

Wręczył jej różę. Uśmiechnęła się. Wyczarowała wazon na stoliku nocnym i włożyła tam kwiat.

–Widziałem duchy – powiedział.

–Kolejne fantomy z komplanta?

–Nie. Widziałem duchy tych dzieci...

–Projekcje holograficzne?

–Nie. Duchy. Zjawy. Jakkolwiek to nazwiesz. Widziałem je wcześniej na skraju wykopu, zanim przyleciałaś, a teraz tutaj. Nie nagrywają się. A do tego wydają mi się znajome.

–Postać niematerialna, niebędąca hologramem, odbierana bez użycia komplanta?...

–Duch. To się nazywa duch.

–Kolejna forma wizualizacji. Analogowa.

–Spłycasz.

–Spłycam. Jestem spóźniona z materiałem. Nie wiem, co robić.

–Puść to, co powiedział Haines, ale zaznaczając, że to wstępna teoria. Źródła niepotwierdzone. Jeśli jest czas na zebranie kolejnego materiału, to mamy duże szanse coś mądrego wymyślić. Trzeba położyć większy nacisk, że oni wtedy zginęli... że możemy jeszcze próbować coś robić... bronić się...

Pokiwała głową. Zerknęła na kontener wciśnięty w kąt pokoju.

–Nie możesz tak wozić tych kości.

–Wiem. Zamierzam je zakopać tam, skąd je wziąłem.

Uniosła brwi.

–Prawdziwy archeolog nigdy by tego nie zrobił.

–Oddałby je do muzeum. Ale tu nie ma muzeów archeologicznych. Ani prawdziwych archeologów. Nie chcę, by te dzieci skończyły jako dekoracja w domu znudzonego miliardera.

–One już skończyły. Dwadzieścia siedem tysięcy lat temu.

Jared wstał i przeszedł kilka razy przez pokój.

–Może powinniśmy z przekazem trafić do wnętrza snów? – zapytał. – To by ogromnie zwiększyło liczbę odbiorców.

–Reklamy w snach są wielokrotnie droższe od tych w realu.

–To informacja, nie reklama.

–Niezamówiona informacja jest reklamą. Zresztą to nic nie da.

–Czemu?

–Znasz się może na wielu rzeczach, ale nie na snach. Jak chcesz, pokażę ci.

Popatrzył na nią, nie wiedząc, co myśleć.

–Będę cię prowadziła.

Niechętnie położył się na wskazanym przez nią łóżku. Zobaczył w rogu ikonę podobną do pocztowej. Valerie zachęcająco kiwnęła głową. Potwierdził wejście w trans.

* * *

Unosili się. To zdaje się była nieokreśloność. Uwspólniony sen.

–Śnimy to samo? – Jared rozglądał się niepewnie.

–Elektryczny sen. Ciało jest odłączone jak podczas snu, ale mózg nie wchodzi w fazę REM. Niektórzy w ten sposób funkcjonują, nie tracąc kontaktu ze światem zewnętrznym. Nie ma żadnych ograniczeń. Żebyś wiedział, w jakich szalonych wizjach brałam udział podczas pracy.

–To nie jest dość szalone? – Z zaskoczeniem obserwował, jak jego ręka zmienia się w szczypce kraba.

Valerie podpłynęła pod postacią skrzydlatej syreny. Cofnął szczypce, żeby jej nie zranić.

–To sen podstawowy, bez jasno określonego profilu, bez wyraźnych kryteriów. Wolna gra wyobraźni, ale bardzo bliska realowi.

–Realowi? Nie wydaje mi się.

Z trudem przywrócił dłoni dawny kształt. Starał się nie myśleć o niczym konkretnym, by coś przypadkowego nie zmaterializowało się.

–To dlatego, że nie masz doświadczenia. Sen jest realny: nie tracisz poczucia własnej odrębności, nie zakochujesz się, nie zmieniasz poglądów. Twoje ego jest poza obszarem modyfikacji. Niektórzy nałogowcy zaczynają elektryczne eskapady od dokładnego rozpląnięcia się w środowisku. Inni tworzą alternatywne życia, do których wracają po całym dniu w realu. Przyspieszają bieg czasu, by móc brać udział w kilku historiach po kolei. Bawiąc się tempem, można w ciągu jednego roku przeżyć kilkadziesiąt lat, na czas snu wyrzucając z pamięci istnienie świata zewnętrznego. Czasem zdejmują wszelkie ograniczenia. Potrafią zdryfować bardzo daleko, gmatwając prawa fizyki, dezintegrując lub rozszczepiając własne osobowości, zmieniając podstawowe założenia egzystencji. I wtedy rzeczywistość jest dla nich snem, koszmarnym snem.

–Co mam robić? – Rozejrzał się. – Tu jest zbyt ogólnie. Sprecyzuj jakieś kryteria.

–Nadmiar wolności ogłupia? Jakich ograniczeń sobie życzysz?

–Nie mam pojęcia.

–Może na początek grawitacja.

Jared stwierdził, że stoi na ziemi. Przypominała wyschnięty grunt marsjański, z rejonów, gdzie nie ma piasku. Dookoła leżało kilka różnej wielkości kamieni. Valerie wciąż unosiła się na tle bezbarwnego nieba. Jaredowi udało się zmienić jego kolor na niebieski.

–Możesz zrobić, co chcesz. Także ze mną. Uderzyć, zabić, pociąć na kawałki. Ustawiłam sobie próg bólu, po którym program automatycznie mnie wyloguje. Zostaniesz z emulatorem i nawet nie zauważysz zmiany. Możesz też dać mi inne ciało, inny charakter, choć sen będzie wspólny już tylko częściowo.

Leciał Skoczkiem, między budynkami tak wysokimi, że ich szczyty ginęły w gwiazdach. Nieskończone ciągi okien, idące w setki rzędy coraz wspanialszych budowli. Mijał swobodnie unoszących się ludzi, ptaki, inne pojazdy. Chmury fotosyntezujących owadów gromadziły się wysoko nad szczytami budynków, przesłaniając gwiazdy. Jeszcze wyżej, nad południowym niebem wisiały wielofazowe pierścienie dostarczające niezbędnych surowców, by świat mógł trwać.

Mimo nocy było jasno.

Miasto nagle skończyło się. Wleciał między drzewa, w starą puszcę sięgającą po horyzont. Zielonoliste gałęzie dębów uchylały się, ustępując mu drogi. Wzniósł się ponad wierzchołki. Przejaskrawiony na nocnym niebie Fobos przypominał, że to nadal jest Mars.

Ciemniejszy pasek na granicy lasu i nieba: ocean, a w nim skaczące delfiny. Został sam, pozbył się nawet ciała. Nagle przestraszył się tego swobodnego lotu nad granatową wodą i nim zdążył pomyśleć, stał na ziemi.

–Prawdziwi elektromani nie ustawiają takich uproszczeń. Jak się oparzą, odczuwają ból, jak spadną z dachu, łamią nogi. Będą leżeć w szpitalu, czekając, aż się zrosną. Tak naprawdę we własnym śnie każdy sam sobie bogiem, świadkiem i ofiarą. W założeniu elektryczne sny miały zbliżać ludzi. Tyle że statystyczny użytkownik po kilku seansach zamyka się we własnym świecie i nie potrzebuje wizyt. Wspólny sen to rzadkość. Trzeba się do kogoś dostosowywać, a sny są tak pożądane dlatego, że tu świat dostosowuje się do nas. Teraz już wiesz, dlaczego dla większości ludzi real jest przykrym przerywnikiem w elektrycznych snach. Każdy człowiek, którego stać na te wizje, może przeżyć całe życie na takim Marsie, jaki sam sobie wybierze. Albo na Ziemi, albo gdziekolwiek indziej. Widok za oknem klity mieszkalnej jest wystarczająco przytłaczający, żeby skoczyć z tego okna, zamiast podejmować walkę. Nie dotrzesz do tych ludzi.

–Skoro to nie ma sensu... po co w ogóle się do tego bierzesz?

–To moja praca. Chcę zrobić reportaż.

–Nie, tylko pytam... Boję się, że mi się spodoba.

–Ja to znam i mi się podoba. Skoro ja potrafię się powstrzymać przed uciekaniem w fikcję, to ty tym bardziej sobie poradzisz. Wprowadziłam cię tu, żebyś zobaczył, na czym polega trudność.

Po wschodzie słońca Skoczek pacnął miękko o piasek, nieopodal szpiczastej skały wystającej wprost z pustyni. Temperatura nie przekroczyła jeszcze zera. Jared załadował do dwóch toreb emitery. Mniejszą wręczył kobiecie i poinstruował jej komplanta, jak należy rozmieścić ładunki. Wskoczył z pojazdu i zbliżył się do pierwszego punktu, dla ułatwienia oznaczonego wirtualną chorągiewką. Mógł przekazać sterowanie motoryczne komplantowi i zająć się czymkolwiek innym, ale lubił robić to sam. Zapowiadał się pracowity dzień.

–Czy ten wirtualny wąwóz, który wczoraj zrobiliśmy... przeszukaliśmy, był przypadkowy?

Jared znów zatęsknił za samotnością.

–Nie. Układ poniżej sugerował, że kiedyś mogła tam być wyschnięta rzeka.

–Wyschnięta rzeka, to rzeka bez wody. Jak to możliwe, że woda, której już wtedy nie było, mogłaby pojawić się teraz?

–Obiecałaś nie przeszkadzać.

–OK. Powiedz jeszcze, czemu otaczasz emiterymi tę skałę?

–Zmieniłem taktykę. Będę szukał tylko tam, gdzie nie można nic wykryć prostymi sposobami. A teraz już zamilcz.

Podwojone echem odgłosy mikroeksplozji rozeszły się po pustyni. Jared przygotował się do odebrania obrazów cząstkowych. Echa z poszczególnych emiterów wskoczyły w jeden superobraz. Valerie odebrała to samo co poszukiwacz. Zakręciło się jej w głowie, aż usiadła na piasku. Skała unosiła się nad wirtualną niecką. Niżej... niżej była cała masa wody... Skaner kończył szacunkowe obliczanie wielkości złoża, ale wskazania wciąż rosły. Cztery i pół miliona, pięć milionów hektolitrow. Granica błędu nieistotna. Było tam kilka razy więcej niż Gael i Haines chcieli razem. Podziemne jezioro, uwięzione między nieprzepuszczalnymi warstwami. Ogromne.

Jared upadł na kolana i pocałował piasek. Woda – rozwiązanie wszystkich problemów.

* * *

Leżeli w cieniu skały w uformowanych z piasku leżakach. W pełni zasłużony odpoczynek.

–Poszperałam trochę w archiwach – odezwała się reporterka. – Hope Haines przyłożył się do wrobienia twojego ojca. Był ekologiem i w ostatniej chwili zmienił obóz.

–Wiem...

–To kombinator. W kilka minut wyciągnął od ciebie obietnicę wskazania źródła wody wartego niezłą sumkę. W zamian sprzedał wymyśloną historyjkę, jak sam twierdzisz.

Jared ładował sprzęt do grava. Pomagając kobiecie wsiąść, powiedział:

–Zapomniał sprecyzować, że chodzi mu o oddzielne złoże.

–Czyli stary kombinator dostanie za swoje?

–Może. Mam sprawę do załatwienia na Południu.

–Daleko na południu?

–Całkiem na Południu. Za barierą. Pomyślałem, że może zechcesz ze mną polecieć.

–Południowe dziwki nie są dość dobre? – zapytała z przekąsem.

–Nie wracajmy do tego. Przecież cię przeprosiłem.

–Nigdy nie byłam na Południu.

–Ani ja.

–OK. Co to za sprawa?

–Facet odkopał kilkaset szkieletów i nie wie, co z tym zrobić. Chce, żebym to zbadał. Odmówiłem mu wczoraj wieczorem, ale dziś sytuacja się zmieniła. On nikomu jeszcze o tym nie powiedział.

–Wchodzę w to. Kiedy wyruszamy?

–Już wyruszyliśmy.

–Nie zabrałam żadnych rzeczy!

–Kupisz sobie. Dziś i tak tam nie dolecimy, więc po drodze zrobimy sobie mały postój.

–Lecisz taki kawał za niesprawdzoną informacją?

–Niedługo i tak będę musiał lecieć na Południe. Tylko tam można jeszcze dostać emitery pirotechniczne. Z zapasów, bo już ich nie produkują.

–Co zrobisz, jak ich zabraknie?

–Najpierw zabraknie tlenu.

Skoczek wznosił się, jednocześnie przyspieszając. Kształt maszyny był kompromisem pomiędzy pojemnością a solidnością. Jako jeden z nielicznych modeli cywilnych gravów miał szansę wyjść bez szwanku z solidnej burzy piaskowej. Taka a nie inna konstrukcja sprawiała jednak, że nie był zbyt szybki. Obły i krótki kadłub nie wpływał korzystnie na aerodynamikę. Granicą jego możliwości była bariera dźwięku, na Marsie osiągnana przy niższej niż na Ziemi prędkości. Moc generatora pola była wystarczająca, by lecieć szybciej, ale wibracje towarzyszące prędkościom ponaddźwiękowym mogły rozerwać grav na kawałki.

Jared zarezerwował przelot tunelem podrównikowym. Na wszelki wypadek. Tuneli było kilkanaście, ale przy większym nasileniu ruchu tworzyły się przed nimi kolejki. Zadał autopilotowi trasę i zabrał się do końcowego opracowania skanu. Obraz był czysty i nie zajęło mu to dużo czasu. Przesłał wyniki Gaelowi, a Hainesowi jedynie informację o położeniu złoża.

Dolecieli do miejsca, gdzie łączyły się mniejsze korytarze powietrzne z dzielnic Nowego Londynu w jeden duży prowadzący prostą drogą do tunelu Churchilla. Korzystanie z korytarzy nie było obowiązkowe, ale umożliwiały one bezpieczne rozwijanie dużych prędkości. Ruch był spory, więc jeśli ktoś nie miał rezerwacji, musiał odczekać swoje przed tunelem. Korytarz, w miarę zwiększania się intensywności ruchu, dodawał nowe pasma oddalone od siebie o kilkanaście metrów. Płaskie luksusowe gravity śmigały wyższym pasmem z prędkością ponaddźwiękową. Na tle zwartej powłoki chmur wyglądały jak matowe pociski.

–No, a jakie jest twoje zdanie na temat korytarzy na Marsie? – zapytała Valerie, nie mogąc dłużej znieść milczenia. – Obserwowano je jeszcze w XVIII wieku. Czy chodziło tylko o niedokładność przyrządów optycznych? A ta twarz z XX wieku? Może jednak istniała, może to było wołanie o pomoc? Niedobitki umierały tutaj, a my, na Ziemi, powolnie odbudowując prehistoryczną potęgę, snuliśmy właśnie opowiadki o Marsjanach szykujących inwazję na Ziemię.

–Mówiłem ci: twarz to absolutny przypadek. Ostatni ludzie na Marsie wyginęli tysiące lat temu. Może nawet właśnie dwadzieścia siedem tysięcy lat temu.

–Więc jednak mu uwierzyłeś... Nie dostrzegam różnicy pomiędzy zdaniem Hopa a twoim.

–Różnica jest taka, że ja nie wyrobiłem sobie jeszcze zdania, a on wszystko wyssał

z palca.

–Podał przecież tyle szczegółów.

–Nie powiedział nic nowego. Podśluchał nas i wyciągnął proste wnioski, na które my nie wpadliśmy. Reszta była zmyślona. Afryka, Egipt. Nie wierzę! Wymyślił to. Nam bliżej do starożytnych Egipcjan, niż Egipcjanom do cywilizacji, która zdobywała Marsa.

–Podśluchał?

–Może potrafi.

–Mamy rezerwację przelotu dwie godziny później niż planowanego przybycia – zauważyła Valerie, przeglądając dostępne pliki jego komplanta. Było to ogólnie przyjęte wśród bliskich znajomych udostępniających sobie transmisję *streama*: niezakodowane zasoby przeglądało się bez pytania o pozwolenie.

–Muszę coś kupić – odparł Jared. – Zatrzymamy się na chwilę.

–Gdzie? Tam nie ma żadnych miast.

–Są...

*** * ***

Ani jedna chmurka nie przesłaniała jasnego światła słońca. Dzięki sprawnej klimatyzacji grava nie czuli panującego na zewnątrz upału.

Wlot do tunelu oznaczony był żółto-czarnymi pasami namalowanymi na betonowej ścianie. Powyżej wlotu, z lewej strony usytuowane były budynki kontroli ruchu. Mimo że dość wysokie, to i tak sprawiały wrażenie bunkrów. Sporadycznie, niewielki zabłąkany odłamek dolatywał aż tu. Mózgi przebywających tam ludzi sprzężone z komplantami i komputerami stacjonarnymi czuwały nad bezpieczeństwem podróżnych. Długość tuneli wyznaczano, kierując się nie tylko bezpieczeństwem, ale i ekonomią. Trzysta metrów na lewo, za budynkami, znajdował się wylot tunelu, którym pojazdy poruszały się w przeciwnym kierunku. Podobnie jak nad miastami, ruchem sterował wyłącznie nadrzędny system kontroli.

Kilkaset metrów od tuneli zaczynała się osada. Wyglądem przypominała przedmieścia dużych miast Północy sprzed półwiecza. Domy miały nieregularny, przypadkowy kształt, czasem kanciasty, czasem były to kopuły, ale najczęściej – pełny chaos. Ulice były krzywe, a ich siatka odzwierciedlała przypadkowy rozwój zabudowy. Miejsce to nazywało się Uru-Dakhą i chyba nikt nie wiedział, co to znaczy. Może to zniekształcona nazwa nadana przez obdarzonego fantazją pierwszego

mieszkańca? Może przeinaczona fonetyczna wersja nazwy jakiegoś afrykańskiego miasteczka? Takie osady samoistnie pojawiały się przy wylotach wszystkich tuneli dzięki temu, że podróż z większych miast Północy do położonych w podobnej strefie czasowej dużych miast Południa trwała zazwyczaj więcej niż jeden dzień i wielu podróżników wolało zatrzymać się na odpoczynek. A mogli to zrobić w dziesiątkach hoteli i hotelików, gdzie oczekiwali na swoją kolejkę. Czasem trwało to i dwie doby. Administratorom terenów, na których powstawały te osady, nie pozostało nic innego, jak uznać je, nadać im odrębny status prawny i pewną ograniczoną formę samorządności. Zapewne chodziło przede wszystkim o inkasowanie podatków. A kupić i sprzedać można tu było praktycznie wszystko.

Jared podszedł do lądowania na jednym z wielu prymitywnych parkingów, na których maszyny stały w równych rzędkach wprost na ziemi. Nie przyjmowano tutaj opłat od komputerów pokładowych pojazdów. Właściciel musiał osobiście uiścić należność.

Założył na głowę sponiewierany hełm ochronny współpracujący z płaszczem, a drugi, jeszcze bardziej poobijany, podał kobiecie. Założyła go, o nic nie pytając.

Otworzyły się drzwi. Do środka buchnęło gorące powietrze.

–O ja pierdolę... – Valerie cofnęła się do wnętrza. – Tam jest ze sto stopni!

–Nie przesadzaj. Tylko osiemdziesiąt dwa. Akurat dziś rozegnało chmury.

–Mam w to wejść?

–Tak. Sugeruję szybki sprint do tego budynku.

–Całe szczęście, że nie jestem w szpilkach – mruknęła i zastosowała się do rady poszukiwacza.

Dobiegając do oddalonego o pięćdziesiąt metrów wejścia do budynku, była już cała mokra. Czowała, jak piecze ją twarz i ramiona. Jared szedł niespiesznym krokiem w szczelnie zapiętym płaszczu z postawionym kołnierzem. Radiatory na ramionach i plecach odprowadzały ciepło na zewnątrz, dymiąc przypalonym kurzem.

Wewnątrz budynku było chłodniej, ale i tak wciąż zbyt gorąco. Ściany obwieszane były używanymi ubraniami, butlami, hełmami, torbami i innym bliżej nieokreślonym sprzętem.

–Co to za miejsce? – zapytała reporterka.

–Kupimy ci płaszcz.

Na dźwięk ich słów zza przepierzenia wyszedł sprzedawca.

**–Witam szanownych klientów. Przypadkiem usłyszałem tę krótką wymianę zdań...
Jaki rodzaj płaszcza państwa interesuje?**

–Powiedzmy... standardowy, ale w dobrym stanie.

**–Mam tutaj mało używany model tekstylny. – Oceniał Valerie wzrokiem, nieco dłużej,
niż to było konieczne, i sięgnął do wieszaka. – Elastyczne zbiorniki na tlen, system
odzyskiwania wilgoci, pełna klimatyzacja –**

–Ile kosztuje? – przerwał mu poszukiwacz.

–Dwa tysiące. Proszę zwrócić uwagę na szwy –

**–Dajemy tysiąc pięćset – powiedział Jared, biorąc do ręki płaszcza. Obejrzał go ze
wszystkich stron. Mocno spłówały kolor khaki.**

–Trzy tysiące za dwa płaszcze.

–Potrzebuję tylko jeden.

–W takim razie tysiąc siedemset.

–Niech będzie, ale do tego spodnie i buty.

**Sprzedawca rozważał i liczył w myślach. Był widać przyzwyczajony do klientów
biegłych w sztuce werbalnego targowania się. W końcu pokiwał głową i zaczął
przegrzebywać zawartość regałów.**

Jared pomógł kobiecie założyć płaszcza.

**–Ciężki... – jęknęła i dodała szeptem – dziwnie się czuję w sklepie, gdzie
sprzedawcą jest człowiek z nieaktywnym komplantem.**

**–Nic na to nie poradzę. Tę końcówkę wepnij tutaj. – Pomógł jej ułożyć kołnierz. – W
ten sposób płaszcza i hełm będą mogły współpracować. Tu masz ustnik z tlenem, a tu
z wodą.**

**Komplant Valerie sam zainstalował program obsługi płaszcza. Jared sprawdził
wszystkie parametry. Akumulatory w połowie rozładowane. Nic dziwnego, skoro
wisi tu miesiącami.**

**–Steruje się nim prosto – kontynuował – ale jak nie będziesz wiedziała, co robić,
wybierz ustawienia *defaultowe*. Wtedy płaszcza sam zatroszczy się o ciebie. Pamiętaj,
żeby jego *software* miał zawsze wysoki priorytet w systemie. Nie będzie ci zawracał**

niepotrzebnie głowy.

–Mam nadzieję, że będzie działać – mruknęła, próbując wszystko spamiętać. – Nie lubię zwracać rzeczy do sklepu.

–Reklamacji nie przyjmuję – wtrącił sprzedawca, wracając z butami. – Zwijam interes.

–Za mały zysk? – zapytał Jared.

–Nie o to chodzi. Nie będzie mnie tu za tydzień. Lecę do Starego Świata.

–Zatem za duży zysk, skoro pana stać.

–Nie, nie. – Przysunął się do nich i dodał konspiracyjnie: Wyglądacie na takich, co nie powtórzą. W spaceporcie Nowego Londynu zimuje statek, „November Rain”.

Spojrzeni na niego zdziwieni.

–Zimuje? – zapytała reporterka.

–Znaczy: czeka na kolejny sezon. Jeśli chcecie... szukamy więcej chętnych. Potrzebujemy pieniędzy.

–Dziękujemy, nie – powiedział Jared. – Widziałem, jak to się kończy.

–Mamy pilotów, nawigatorów...

–Jeśli zagadujecie tak każdego, to misja już jest spalona.

Po zakupach okrążyli budynek i przeszli na drugą stronę ulicy.

–Lepiej, ale i tak jest za gorąco – powiedziała Valerie.

–Zbliża się wieczór. Dopóki wystarczy mu energii, ani się nie przegrzejesz, ani nie zamarzniesz.

–Czuję się bezpieczniej, choć wyglądam koszmarnie. Myślisz, że łatwo jest ukraść raketę i polecieć na Ziemię?

–Myślę, że znacznie łatwiej jest zginąć, kradnąc raketę.

Chwilę szli w milczeniu. Valerie wytrzymała w ciszy pół minuty.

–Dlaczego właściwie zafundowałeś mi ten płaszcz?

–A może tylko pożyczylem?

–To się zdecyduj – powiedziała, śmiejąc się – bo nie wiem, czy się do niego przyzwyczajają.

–Jest twój.

Wszedł do kolejnego sklepu. Valerie została w cieniu pod markizą i przyglądała się ulicy jak z zeszłej epoki. Łaziki z silnikami hybrydowymi, nieliczni ludzie w długich, szczelnie zakrywających skórę ubraniach. W zasięgu wzroku może ze dwa holoboardy. Zero reklam wirtualnych. Wytarła chustką ustniki i pociągnęła tlen. Smakował stęchlizną, więc wody już nie próbowała. Korzystając z okazji, weszła do sklepu obok, w którym kupiła bieliznę i bluzę. Wszystko było nieco przasne.

–Mamy jeszcze ponad godzinę. – Jared wyszedł w końcu ze sklepu. Dźwigał jakiś ciężar zawinięty w płótno.

Słońce prawie dotykało horyzontu. Poszukiwacz wskazał na wschód. Jasna kreska przecinała niebo.

–Co to jest?... Pierścień? – zapytała kobieta, zapominając o pakunku. – Idzie pionowo w górę.

–To złudzenie. Stoisz niemal pod nim. W nocy całkiem nieźle świeci, dopóki planeta nie zasłoni słońca.

–Nie sądziłam, że widać go tak wyraźnie... I ten pierścień stabilizuje planetę?

–Gdyby z materiału, z którego jest zrobiony pierścień, stworzono nowy księżyc, jak to było planowane... Gdybyśmy mieli przyływy i odpływy oceanów... Wtedy tak.

–Dlaczego nie utworzono księżycyca?

–Bo eksploracja surowców podrożałaby setki razy.

–A Nefretete nie starczy?

–Wielokrotnie za lekki.

–Czy to całe stabilizowanie jest aż tak ważne?

–Wiesz, co się stanie, jeśli oś obrotu nachyli się jeszcze bardziej? Średnia roczna temperatura się nie zmieni, ale przez pół roku na półkuli północnej będzie noc polarna z temperaturami sięgającymi minus dwieście stopni, podczas gdy na półkuli południowej zapanuje długi dzień, a temperatura osiągać będzie plus sto pięćdziesiąt stopni. Po pół roku sytuacja odwróci się. Tylko okolice równika pozostaną zdatne do

życia, pominiawszy oczywiście taki drobiazg, jak wiatry wiejące z prędkością półtora tysiąca kilometrów na godzinę.

Valerie spochmurniała, a Jared zamilkł. Tak wyglądała kontynuacja projektu Waterfall. Na orbitę nad równikiem wprowadzano asteroidy zawierające cenne surowce. Eksploatowano je, poczynając od rozdrobnienia. Tak powstał pierścień. Szybko okazało się, że przekształcenie go w księżyc jest zbyt kosztowne, zbyt trudne, więc ta metoda stabilizacji kąta pochylenia osi obrotu planety jest na razie nierealna. Praktyka pokazała, że można bezpiecznie manipulować niewielkimi obiektami na orbicie, więc zdecydowano się na pozyskiwanie cennych surowców z, i tak już istniejącego, pierścienia. Metodą drobnych kroczków korporacje zajmujące się eksploatacją doprowadziły do zmian w prawie zezwalających na powiększanie pierścienia. Oczywiście niebezpośrednio. Nazywano to wyrównywaniem gęstości w celu zwiększenia bezpieczeństwa.

Nieprzypadkowo utrzymywano pierścień precyzyjnie nad równikiem – pracowało nad tym kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Była to najkorzystniejsza lokalizacja zarówno z punktu widzenia stabilności, jak i bezpieczeństwa. Mniejsze fragmenty, o wielkości do dwudziestu centymetrów, umykały precyzji systemów kontrolnych i spadały. Uderzały w pas o szerokości kilkudziesięciu kilometrów, bezludny, z powodu panujących tam temperatur. Tutaj też ewentualnie spadałyby obiekty przed rozdrobnieniem, jeśli na skutek jakiegoś błędu nie trafiłyby na swoje miejsce. Większe kawałki żelaza i substancji organicznych transportowano na powierzchnię w kontrolowany sposób. Tylko lód kruszono i zrzucano swobodnie w postaci brył o średnicy mniej więcej metra. Dzięki temu parował w niższych warstwach atmosfery, nie dolatywał do ziemi. Taki właśnie projekt eksploatacji Ice Cube trzydzieści pięć lat temu odrzucili Senat i znakomita część społeczeństwa.

Zanieczyszczenia powietrza przez substancje powstające w wyniku całkowitego spalania się odłamków organicznych rozchodziły się po całej planecie, natomiast pyły wzbijane uderzeniem żelaza w grunt potrafiły zasnuć niebo na podobieństwo smogu znanego z okolic odleglejszych od równika.

* * *

Pierścień błyszczał jasnym światłem na tle czarnego nieba. Kilkanaście stopni nad wschodnim horyzontem urywał się nagle, wchodząc w cień planety. W praktyce było to kilka pierścieni, w których segregowano różnego rodzaju obiekty, ale stąd nie dawało się tego dostrzec.

–Jak pięknie...

Kobietę bolał już kark od zadzierania głowy. Niebo było pełne powolnie spadających gwiazd. Były ich tysiące. Migotały w stygnącym powietrzu. Niektóre gasły, inne

dolatywały do powierzchni.

–Ludzie, którzy stworzyli podstawy technologii wiążącej pierścieni, wciąż są nazywani zbrodniarzami – powiedział poszukiwacz. – Tymczasem zabije nas dopiero to, co z tą technologią robią współcześni.

Valerie zamówiła jeszcze jedną szklaneczkę wina. O tej porze, dzięki bezwietrznej pogodzie i znośnej temperaturze, na dachach sklepów otwierały się wieczorne knajpki dla turystów. Miejscowi przyzwyczaili się do tego widoku, a wszelkie typy spod ciemnej gwiazdy wołały podziemne tawerny.

–Dobrze, że nic tu nie jemy. – Jared uniósł solniczkę.

Wśród białych ziarenek soli widać było kilka malutkich kremowych robaczków. Podłużne kształty poruszały się niemrawo.

–Robaki... – powiedziała z niesmakiem. – Nie sądziłam, że w soli mogą żyć robaki. Dlaczego wybrały sobie takie miejsce?

–Nie wybrały. One się tam urodziły.

Zapłacili i skierowali się do zaparkowanego nieopodal Skoczka. W kabinie reporterka zaczęła zdejmować płaszcz, ale Jared ją powstrzymał. Posadził ją na fotelu i wetknął uniwersalną końcówkę jej płaszcza do gniazda obok.

–Prąd, woda i tlen? – zapytała.

–Przeplucze i napełni.

Generator zamruczał cicho i Skoczek uniósł się powoli, kierując się na pozycję oczekiwania. Zawisł w regularnej konfiguracji unoszących się w równych odstępach gravów. Co chwilę któryś wyłamywał się z szeregu, płynnie włączając się do świecącego tysiącami reflektorów strumienia znikającego we wlocie tunelu. Następny zajmował jego miejsce.

Podświetlone białymi halogenami budynki kontroli ruchu wyglądały imponująco. Jared dopiero po chwili zrozumiał, że nie zasłania ich żaden virtualboard.

Również jasno oświetlony wlot do tunelu wyznaczały unoszące się przed nim kilkudziesięciometrowe hologramy ostrzegawcze. Wylot z przeciwnego kierunku ruchu nie był już tak widowiskowy. Pojazdy wylatywały z niego w odstępach półsekundowych i kawałek dalej rozdzielały się, podążając w kierunku różnych miast.

Z Uru-Dakha wyruszało w stronę równika kilkaset niewielkich łazików. Z tej odległości widać było jedynie ich zarysy i światła reflektorów.

–Co to za pojazdy? – zapytała Valerie.

–To żółwie. – Powiększenie z kamery Skoczka ukazało łazik wspinający się na wydmę, zakryty od góry obłą powgniataną skorupą. – Teraz, gdy zrobiło się chłodniej, jadą zbierać to, co zgubili ci na górze.

–I nic na nich nie spadnie?

–Często spada. Dlatego mają te skorupy, ale one i tak wytrzymują tylko uderzenia małymi grudkami.

–Tam musi być istne cmentarzysko.

–Nie ma tam wielu wraków. Zniszczony żółw to też niezła zdobycz.

–Straszne...

–Im bliżej równika, tym niebezpieczniej, ale i tym obfitsze zbiory. Nie znasz dnia ani godziny. Dla takich ludzi powinnaś robić reportaże.

–Myślałby kto, że się nimi przejmujesz. – Obruszyła się. – Nigdy nie musiałeś pracować jako automat przez osiem godzin dziennie, sterując bezświadomie zakręcaniem pojemników... czy czymś tam.

–Mówisz, jakbyś była kasą sklepową.

–Kiedyś żyłam tak... Ale to już nie wróci!

Skoczek wyłamał się z szyku i przyspieszał, posłuszny poleceniom kontroli. Opadł i włączył się w korytarz powietrzny. Przyspieszenie wcisnęło ich w fotele. Betonowa ściana pomalowana w żółto-czarne pasy zbliżała się w zawrotnym tempie. Nie mogli się oprzeć wrażeniu, że grav nie trafi w okrągły otwór i roztrzaska się. Skoczek zanurkował jednak łagodnie, bezbłędnie i niemal bezszelestnie wchodząc w okrągłą rurę tunelu. Valerie zamknęła oczy. Jared tylko mocniej zacisnął palce na podłokietnikach fotela. Lampy na górze i po bokach uciekały w tył z prędkością czterystu kilometrów na godzinę. Widok ścian rozmazywał się. Wkrótce tunel przestał opadać, ukazując niesamowitą perspektywę, przesłanianą częściowo przez rufę lecącego przed nimi pojazdu.

–Ile to będzie trwało? – zapytała, otwierając oczy.

–Jakieś dwadzieścia pięć minut.

Klasyczne żelbetowe tunele kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią były zdecydowanie tańszym rozwiązaniem niż umieszczanie generatorów pola

selektywnego na odcinku stu pięćdziesięciu kilometrów, jak to próbowano początkowo robić. Odłamek żelaza o średnicy od pięciu do dziesięciu centymetrów przecinał korytarz powietrzny biegnący niegdyś przez równik średnio co dwie minuty. Dzięki temu, że spadając z orbity, miał mniejszą prędkość od asteroidu, mógłby zostać odbity przez wysokiej mocy generator pola. Ale już obiekt dwukrotnie większy na pewno przebiłby się przez osłonę. Przy rosnącym od kilku lat natężeniu ruchu oznaczałoby to średnio jedną katastrofę dziennie. No i ryzyko zderzenia grava z wieżą, na której dopiero, dla większej skuteczności, musiał być zainstalowany emiter.

Tunele były więc bezpieczniejsze. Nie było precedensu, ale przyjmowano, że strop może zostać zniszczony dopiero przez żelazny odłamek o średnicy dwu metrów, a takie spadały bardzo rzadko.

W samo południe Skoczek wylądował obok zespołu kopulastych budynków farmy. Nieco dalej szklane bańki kryły hodowle roślin jadalnych. Widok nieznan na Północy od półwiecza.

Instalacje przemysłowe na tej półkuli zajmowały kilkakrotnie mniej miejsca, co nie oznaczało niestety wiele mniejszego zanieczyszczenia powietrza. Na tej szerokości geograficznej niebo przesłaniały rzadkie chmury przemieszane z dymami obiegającymi planetę w wyższych warstwach atmosfery. Tutaj nadal istniały farmy i miały się nieźle. Korporacyjne fabryki żywności ciągnące się przez dziesiątki kilometrów nigdzie się nie sprawdziły. Pozostały tylko małe farmy rodzinne. Ich właściciele nie mogli liczyć na łatwy zysk, za to żyli spokojnie. Żywność przez nich produkowana trafiała na bogatsze stoły, także na Północy.

Było gorąco, aczkolwiek nie aż tak jak w Uru-Dakha. Równik pozostał na tyle daleko, że dawało się przebywać na zewnątrz bez hełmu.

–Straciłam kontakt z siecią – mruknęła Valerie. – Głupie uczucie.

Podłoże było twarde, ubite. Pokrywające ziemię w tych rejonach różnej wielkości kamienie usunięto i zgromadzono na przyzmach w pewnej odległości od farmy. W zasięgu wzroku nie było nikogo.

Jared otworzył niewielką klapę w tylnej części kadłuba. Podrzucił w powietrze małą matową kulkę i dotknął wewnętrznej osłony emitera. Wszystkie włosy na głowie stanęły mu na baczność. Kulka opadła i brzęcząc, zaczęła krążyć wokół jego głowy. Odcięte końcówki włosów odlatywały odpychane polem elektrostatycznym.

Valerie klasnęła w dłonie i zaśmiała się jak mała dziewczynka. Poszukiwacz miał teraz o połowę krótsze włosy.

–Dawno się nie strzygłem – wyjaśnił, zamykając klapę w kadłubie. Wrzucił kulkę do wnętrza grava, gdzie sama odnalazła swoje miejsce. Przejrzał się, dosłownie, w oczach kobiety.

–Ja wolę zamówić wizytę „mrówek” – powiedziała, dotykając z niechęcią zakurzonej fryzury. – Wybieram dowolny fason i w dwie minuty mam to, czego chcę.

Jared pomyślał przelotnie, jakie jeszcze wizyty może zamawiać Valerie.

–Zmieńmy nastrój – powiedział. – W końcu gdzieś tu jest zbiorowy grób. Facet powinien się zaraz pojawić.

Był trochę zniecierpliwiony nieobecnością gospodarza. Sto metrów od Skoczka znajdował się wykop, który ze znacznym prawdopodobieństwem był TYM WŁAŚNIE wykopem. Z prawej strony, w tej samej odległości, znajdowała się główna kopuła farmy. Jared spróbował dobić się do farmera bezpośrednim połączeniem, ale jego komplant nie odpowiadał nawet programem sekretarki.

Iść do drzwi czy czekać? Wahał się, ale szybko podjął decyzję. Ruszył w stronę wykopu. W końcu został tu zaproszony. Valerie pobiegła za nim.

Minimalne podłużne zagłębienie terenu Jared od razu zidentyfikował jako pozostałość po starym wąwozie, może nawet wydrążonym strumieniem. Farmer albo tego nie dostrzegł, albo o to nie dbał – wykopał rów pod pewnym kątem do zagłębienia.

Był głęboki na trzy metry. Szkielety czekały. Przyprószone świeżym piaskiem, naniesionym pewnie rano, leżały ułożone równolegle jeden obok drugiego.

–Po co mu rów? – zapytała reporterka.

–Hoduje pewnie jakieś grzyby nie lubiące światła.

–Takie, z których potem robi się mleko?

Poszukiwacz nie słuchał. Zsunął się po osypisku na samo dno. Stąpał ostrożnie, starając się nie poruszyć najmniejszej nawet kostki. W odkopanej części było widać jakieś trzy setki kompletnych szkieletów, w doskonałym stanie. Prawie sami dorośli. Zbiorowa mogiła.

–Wydaje mi się, że powinniśmy poczekać na właściciela – powiedziała niepewnie Valerie.

–Nie odpowiada na wezwania. Miał tu być.

Wspiął się i wyjrzał w stronę budynków.

–Chodźmy – powiedział. – Może oni tutaj włączają nadajniki komplantów tylko w niedzielę.

Ruszyli w kierunku wejścia, ale w połowie drogi Jared zatrzymał się.

–Nie widzisz nic dziwnego? – zapytał.

–Nie...

–Dobrze utrzymana farma... Jest południe i nikogo nie widać. Nikt nie pracuje.

–I co? – przysunęła się do poszukiwacza i ścisnęła jego ramię.

–Nie po to przylecieliśmy, żeby tak po prostu wrócić – powiedział i ruszył, choć już znacznie wolniej. Oczami kobiety widział swoje przygarbione plecy. Rozglądała się niepewnie.

–Masz jakąś broń? – zapytała.

–Nie.

Wejście było zamknięte na stary zamek cyfrowy. Kod najpewniej ośmiocyfrowy. Można zatrudnić komplanta, by wstukał w losowej kolejności sto milionów kombinacji, ale zajęłoby to pół życia.

Nie dostrzegli dzwonka, więc Jared posunął się do prymitywnego zastukania pięścią w drzwi, które kawałek przesunęły się. Spojrzeli na siebie. Jared otworzył je szerzej – nie stawiając oporu, wsunęły się w ścianę. Zniszczone siłownik i blokada.

–Jest tu ktoś? – zawołał do mrocznego wnętrza. – Byłem umówiony z panem Mateo.

Żadnej odpowiedzi.

–Wchodzę – powiedział ciszej, ale Valerie przytrzymała go za ramię. Mrugnęła.

Od strony Skoczka dobiegł stłumiony rumor. Z ładowni wyleciała kulka-kamera zaplątana w wymięty T-shirt. Zbliżyła się do drzwi, gubiąc po drodze materiał. Jared gestem zaprosił ją do wnętrza. Teraz patrzył nie tylko oczami Valerie, ale i obiektywem kamery. Nie ingerował w jej lot, chociaż mógłby, gdyby chciał. Wiedział, że reporterka ma większe doświadczenie w sterowaniu mikrorobotem.

Hall był ciemny, a reflektor kamery spłaszczwał wszystkie kształty.

–Spróbuj włączyć światło – powiedziała Valerie.

–Program obsługi domu się nie ładuje. Brak zasilania.

Drzwi do *living roomu* były otwarte. Zasunięte żaluzje nie wpuszczały do wnętrza ani odrobiny światła. Kamera zrobiła panoramę, nie wychwytyjąc nic nienaturalnego poza przewróconym krzesłem. Na ścianie, w kilku miejscach, były świeże odpryski. Zbliżenie na jeden. Wyglądał, jakby ktoś szpikulcem próbował zabić zwinnego pająka, uderzając niecelnie kilka razy.

Z *living roomu* wychodziło kilkoro drzwi, ale tylko jedno były otwarte. Kamera wleciała przez nie do kuchni, również tonącej w mroku. Pomijając leżący na podłodze pojemnik na żywność, panował tam porządek.

Jared znów poczuł to znajome, nieprzyjemne uczucie. Pełen obaw delikatnie pchnął kamerę pod stół. Duża czarna plama. Czarna w świetle reflektora. Lekko błyszcząca. Kałuża. Kilka nieregularnych linii prowadziło łukiem w stronę drzwi. Jared całkowicie przejął sterowanie kamerą. Szło mu opornie, ale udało się zrobić zbliżenie ciemniejszego kształtu na podłodze, obok linii. Metr dalej był następny i jeszcze jeden. Poszukiwacz prowadził kamerę tropem śladów, aż do hallu, gdzie ostatni, już w świetle dnia, znajdował się tuż przed progiem. Dalej, między jego nogą a nogą Valerie w piasku odcisnięty był wyraźny wzór podeszwy ciężkiego buta. Pochylili głowy, patrząc już na to własnymi oczami. Kamera uniosła się do *defaultowej* pozycji i wypoziomowała obraz. Zobaczyli siebie, nachylonych nad ziemią, a kilkanaście metrów dalej autora śladów mierzącego do nich z broni. Valerie krzyknęła krótko i schowała się za poszukiwacza, który stanął bez ruchu.

–Wyjdź z za niego i stań obok – powiedział spokojne Elegant. – Ręce unieście do góry.

Zrobili, czego żądał. Jared spojrzał na jego broń. Ta sama, tyle że teraz równie prawdziwa, jak właściciel.

–Transmituj! – powiedział Jared po linii bezpośredniego połączenia, nie otwierając ust.

–Co?!

–Cokolwiek! *Streama!* Podaj naszą pozycję!

–Jesteśmy poza zasięgiem nadajników – powiedział na głos Elegant – a przez najbliższy kwadrans nie będzie nad nami żadnego satelity. Mamy więc chwilę dla siebie. Szkoda, że poprzednim razem nie mogłem spotkać pana bezpośrednio, panie Grant.

–Odbiera naszą transmisję? – zapytała reporterka, zerkając na Jareda.

–Jak widzisz – odparł i zapytał na głos – co z nami zrobisz?

–Zabiję was.

Valerie mrugnęła.

–Co ty robisz? – zapytał Elegant, wychytując transmisję, której nie potrafił jednak zdekodować. Coś przemknęło po skomplikowanej krzywej nad farmą i ostro zakręciło. Jared zobaczył zbliżające się plecy Eleganta. Tamten odwrócił się gwałtownie, ale było już za późno. Przez chwilę widzieli drugą kamerę jego oczami. Głuche łupnięcie i spóźniony wystrzał. Śrut zabębnił o kopułę budynku kilkanaście metrów dalej. Elegant zwałił się na piasek.

Ostrożnie podeszli do leżącego.

–Zabiłam go?

–Nie sędzę...

Jared nachylił się i wyjął mu z dłoni broń. Stylizowana na bardzo stary pistolet kurkowy, w rzeczywistości była grawitacyjnym miotaczem śrutu. Po co komu coś takiego? Schował go do kieszeni i przyjrzał się twarzy leżącego. Z rozciętego czoła płynęła krew, ale z pewnością żył. Jared sprawdził puls. Wyraźny. Przeszukał kieszenie, ale nie znalazł w nich nic ponad kilka zwyczajnych drobiazgów.

–Widziałeś to? Odwrócił się, zanim kamera go uderzyła. Nie tylko nas podsłuchiwał, ale i podglądał. – Valerie odpuszczał stres. Chodziła tam i z powrotem, gestykulując przy każdym słowie.

–A może zwyczajnie miewa przeczucia.

–Nie ma czegoś takiego jak przeczucie. Widziałam tę kamerę jego oczami. Odwrócił się przecież. Za późno, ale się odwrócił. Kto go nasłał?

Kamera, która posłużyła jako pocisk, zabrzęczała i spadła na piasek.

–Zabił ich wszystkich – powiedział Jared. – Te ślady na ścianach to po śrutowcu.

–Dobij go...

Popatrzył na nią.

–Nie potrafię. Nie jestem mordercą.

–Dobrzy ludzie żyją krócej.

–Więc sama go dobij.

–Patrz!

Powiódł wzrokiem za jej ręką. Ciała nie było. Rozejrzeli się.

–Daleko nie uciekł – powiedział Jared. – Mam jego broń.

–Panie Grant? – usłyszeli z tyłu.

Odwrócili się gwałtownie. Za nimi stał mężczyzna ubrany w zużyty kombinezon roboczy. Widząc ich przerażone spojrzenia, cofnął się o krok. W połowie drogi między nim a domem stała kobieta. Obejmowała dwoje dzieci i uśmiechała niepewnie.

–Kim pan jest? – zapytał Jared, stwierdzając jednocześnie, że broń znikła z jego kieszeni.

–Nathan Mateo. Pisałem do pana w sprawie tych szkieletów.

–Ach... tak – Jared zamrugał. – Proszę nam wybaczyć... na chwilę.

Odciągnął niczego nierozumiejącą Valerie na bok.

–Rozumiesz już, jak się czułem wtedy na pustyni i potem w barze? – zapytał.

–Ale gdzie on się podział? – zapytała zdezorientowana.

–Wcale go nie było. Przywidział nam się.

–Więc co to było?

–Fantomatyka w najlepszym wydaniu.

–Przeszło na mnie – jęknęła. – Zaraziłam się. Muszę iść do elektrologa.

–Usuń wszystkie niepotrzebne programy.

–Dlaczego?

–Jeśli bawiłaś się na przykład z dwunastoma Murzynami, to możemy mieć jeszcze więcej problemów.

–Goryle...

–Słucham?

–Nieważne! Skasuję wszystko.

Jared spojrzał na farmera, kątem oka kontrolując stan *guardów*. Wszystkie wskazania jak zwykle na zielono. Bez sensu.

–Czy zachowywaliśmy się dziwnie? – zapytał.

–Zacięli się państwo. Stali państwo nieruchomo przez parę minut. Potem pan się odwrócił i powiedział: „Mam jego broń”.

–Mieliśmy ciężką podróż – powiedział Jared, rozkładając ręce. – Proszę się nie przejmować naszym zachowaniem. *Software* do badania gruntu bardzo absorbuje. Możemy zerknąć na kości?

–Nie chcą się państwo najpierw odświeżyć i posilić?

–Zacznijmy od kości, jeśli nie ma pan nic przeciwko. Zżera mnie ciekawość.

–Proszę.

Jared wrócił do Skoczka i wyciągnął z ładowni pakunek, który zakupił w Uru-Dakha. Podszedł do wykopu i zsunął się do środka, zauważając, że jego poprzednie ślady zniknęły. Pomógł zejść kobiecie. Obydwie kamery były sprawne i leżały cały czas w ładowni, dopóki reporterka ich nie wezwała. Przyleciały i zaczęły krążyć nieco dalej, zapisując wszystko pod wszystkimi możliwymi kątami.

Mateo został tam, gdzie go zobaczyli po raz pierwszy.

–Niczego nie nadepnij. – Poszukiwacz rozglądał się uważnie. Wszystkie szkielety leżały na wznak, z rękoma wzdłuż tułowia. Dotknął ręką pierwszej z brzegu czaszki. – Lepiej zachowane od tamtych. Gdybym nie wiedział, że mają dwadzieścia siedem tysięcy lat, powiedziałbym, że leżą w piasku znacznie krócej.

Rozwinął płótno, wyciągając coś, co wyglądało jak toporna broń o kilku lufach różnej średnicy. Poniżej szerokiej obudowy znajdował się uchwyt przypominający kolbę pistoletu. Drugi uchwyt był na górze.

–Cóż to jest? – zapytała Valerie.

–Ręczny diagnoster.

–Myślałam, że takie coś wygląda jak grubsza rękawiczka...

–Owszem, ale ten kosztował tyle co dwa piwa. To model sprzed trzydziestu lat. Tylko *software* jest współczesny.

–Będzie działać?

–Sprzedawca pokazał mi swoje sztuczne zastawki w sercu.

Ponieważ urządzenie było starego typu, współpracowało z komplantem na poziomie podstawowych instrukcji, umożliwiając jednokierunkową transmisję obrazu. Panel kontrolny wyświetlał się dodatkowo na niewielkim holoekranie, wyskakującym w powietrze nad urządzeniem. Zaprojektowano go zapewne z myślą o pierwszych modelach komplantów, mających bardzo skromne możliwości komunikacyjne.

Jared włączył diagnoster i wycelował w zagrzebany w piasku piszczel. Wyniki pojawiły się w oknie, które wypchnął metr przed siebie, by i Valerie mogła je widzieć. Gdyby Mateo zobaczył ich teraz, wpatrujących się w powietrze, pomyślałby, że znów

„się zacięli”.

–Sto pięćdziesiąt lat – przeczytała. – Przeplącałeś.

Jared opuścił diagnoster i zmarszczył brwi.

–Może nie...

–Dlaczego więc nie chowano ich w kraterach, gdzie miały rosnąć lasy? Przed stu pięćdziesięciu laty tam trafiały ciała.

–Żeby uniknąć wprowadzania do statystyk. Ciał nie palono, bo jak to zrobić na Marsie przy takim stężeniu tlenu i braku paliw płynnych? Kopano rowy, układano ciała i... nie wiem. Może wpuszczano mrówki. Mrówki wyjadają ciało do kości, a potem zwyczajnie umierają z głodu i śladu po nich nie ma. Pamiętasz, jak wtedy w hotelu mówiłaś mi o reporterze z waszej redakcji? Tym, który zajmował się sprawą jakichś kości? Zginął, zdaje się.

–Tak, pamiętam go. Zasłynął trzydzieści lat temu wykryciem procederu używania ludzkich zwłok jako pożywki komórek neuroślinnych. Nigdy później nie dorównał sam sobie.

–Sprawdź, jak zginął i nad czym dokładnie wtedy pracował.

–Zginął trzy lata temu. Pamiętam. Tego, nad czym pracował, nie ma w bazie danych.

–To tutaj wygląda mi na masowy grób, znacznie większy niż odkopany fragment.

–Masowy grób sprzed stu pięćdziesięciu lat. – Reporterka wstała i otrzepała kolana.
– Czuję polityczny smród.

Jared włączył radar Skoczka i ustawił alarm na pojawienie się obiektu latającego w odległości pięćdziesięciu kilometrów. Kilkaset szkieletów sprzed dwudziestu siedmiu tysięcy lat to sensacja, ale sprzed zaledwie stu pięćdziesięciu – poważny kłopot.

–Nie chowa się ludzi w ten sposób – powiedziała cicho kobieta. – Nie na Marsie.

Jared podniósł kość małego palca z najbliższej leżącego szkieletu. Obracał ją przed oczami. Wstał i pociągnął tlen z ustnika. Spojrzał w niebo.

–Nie badasz ich? – zapytała kobieta.

–Nie.

Wziął ją za rękę i pomógł wyjść na górę. Mateo stał przy wejściu do domu. Gdy tylko ich zobaczył, zaczął machać rękoma, zapraszając do środka, jakby im

wskazywał drogę w burzy piaskowej.

Zmęczenie zwyciężyło i przyjęli zaproszenie. Wykąpali się, usiedli do obiadu. W końcu stołu stało jedno nakrycie, zapewne dla niespodziewanego gościa. Niektóre narodowości kultywowały tradycje przywiezione ze Starego Świata.

Valerie próbowała nawiązać grzecznościową rozmowę, ale okazało się to niemożliwe. Na każde jej pytanie farmer odpowiadał krótkim zdaniem. Z żoną porozumiewał się przy użyciu pojedynczych słów czy wręcz mruknięć. Dzieci nie odzywały się wcale. Łypały tylko ukradkiem na gości.

Ślady śrutowca na ścianach znikły.

–Nie zmarli śmiercią naturalną – powiedział Jared na kanale zamkniętym.

–Wynośmy się stąd – odparła Valerie, kończąc zupę. – Pewniej czuję się po tamtej stronie bariery.

–Ja też. Po emitery przylecę, jak się uspokoi.

–A co z kośćmi?

–Nic im nie mów. Lepiej, żeby nie wiedzieli.

–Zmieniasz poglądy?

–To dla ich bezpieczeństwa. Nie wiemy, co tu jest grane.

–A czym to się różni od publikacji twojego odkrycia w darmowym serwisie?

–Jedną rodzinę łatwiej zabić.

Podziękowali za poczęstunek. Żona Mateo, sprzątając ze stołu, podniosła pełny talerz, jakby był pusty i zupa rozlała się na stół. Kobieta zignorowała to. Farmer zaproponował zapłatę za przyjazd „specjalistów”, ale Jared uprzejmie odmówił.

Gdy się pożegnali, zapytał jeszcze:

–Co z nimi zrobić?

–Zakopać i zapomnieć – powiedział Jared. – To bardzo stare kości. Poszukiwacze sensacji nie daliby panu spokoju. Wyniki badań opublikuję, nie podając lokalizacji. Myślę, że tak będzie lepiej.

Zamknął właz, nim tamten zdążył zadać następne pytanie. Z ulgą wystartował, ustawił autopilota na tunel Churchilla i zrobił rezerwację przelotu.

–Rozkład pomieszczeń się zgadzał – powiedział po jakimś czasie. – Nawet umeblowanie.

–Słucham...?

–Mówię o domu. Kamera w rzeczywistości nie wleciała przecież do środka. Leżała w ładowni.

–Więc?

–A na zboczu wykopu nie było moich śladów.

–Ale... powiedz wreszcie!

–On wykorzystał ich oczy, by odwzorować wnętrze domu i wykop, i potem wyświetlić nam interaktywny film.

–Kto? Elegant? Sam powiedziałaś, że był fantomem.

–Gdzieś jest prawdziwy Elegant. Steruje swoim fantomem, w nieznany sposób grzebiąc w bebeczach sieci.

–Jak się dostał do ich umysłów? Komplant jest zabezpieczony przed dostępem z zewnątrz.

–A jak Gael wyświetlił się nam wtedy w hotelu?

–Priorytet zero... Ale to tylko projekcja. Ruchomy obraz 3D niewidoczny dla osób trzecich.

–Stał przy oknie, potem podszedł, omijając krzesło. Zanim się obudziłaś. Pamiętam to dokładnie i mam zapis.

–Kto? Gael? I cóż z tego?

–Ominął krzesło, choć go nie widział?

Zostało im pięć minut do wejścia w tunel. Czekali w kolejce wśród setek innych gravów, wpatrując się w strumień pojazdów znikających we wlocie.

–Jak oni to robią, że celują idealnie w czas, bez kolejki? – zapytała sama siebie Valerie, po czym dodała głośniejszym głosem – przygotowałam reportaż z farmy. Nie widać, gdzie to było nakręcone.

Jared drzemał, a przynajmniej próbował. Nie otwierając oczu, wyjął z kieszeni i pokazał jej małą kostkę, którą zabrał z wykopu. Poprawił się w fotelu z zamiarem kontynuowania drzemki, niestety rozbudził go alarm. Komputer pokładowy wyświetlił obraz kanciastego pojazdu, który zajął miejsce tuż za Skoczkiem. Model Hormann. Mało popularny.

Jared widział pojazd dzięki kamerze wstecznej. Numer rejestracyjny oczywiście był zakodowany wyłącznie na użytek policji. Pozostawały przypuszczenia. Również te dotyczące realności widoku.

–To on? – zapytała Valerie. – Nie za dobrze widać.

Jared rozszerzył wizualizację. Najpierw pozornie zniknęła rufa Skoczka, a już po chwili siedzieli na unoszących się w powietrzu fotelach, obserwując kanciasty pojazd za nimi. Jak inne, czekał na przelot. Masywny, płaski dziób i wąskie szparki przyciemnionych szyb. Kłoc metalu i kompozytów dwa razy cięższy od Skoczka. Ale czy prawdziwy?

Reset komplanta, w czasie gdy był sprzężony z komputerem pokładowym, nie wchodził w grę.

–To prawdopodobne. Zanim wejdziemy do tunelu, opublikuj to... Również tę scenę wyimaginowanego morderstwa sprzed kilku dni i to z farmy. Nagrało się przecież.

–Nie mogę. To było zbyt... realne. Będzie wyglądało jak reklama nielegalnych plików empatycznych. Wyjdziemy na neuronarkomanów.

–Zbyt realne, by mogło być prawdziwe... Co za świat!

–Możesz to już wyłączyć?

–*Full view*? Nie chcesz tak przelecieć przez tunel? OK.

Kadłub Skoczka pojawił się z powrotem.

–Dlaczego Elegant zniknął? – zapytała Valerie. – Tam, na farmie.

–Wypadł z roli.

–Miał być myśliwym, a ja go trafiłam...

–Fantom, chcąc pozostać realnym, musi zachowywać się w miarę realnie. Walnięty kamerą, musi upaść. Nie było sensu ciągnąć iluzji, jeśli my byliśmy górą.

–Jak to działa? Sterowałam kamerą, która go uderzyła. Pamiętam to i mam ten zapis w głowie, ale zapis z kamery tego nie potwierdza.

–Fantom to ingerencja w cyberrzeczywistość. Musi za sobą zostawiać ślad w postaci nieciągłości pamięci, różnic w ścieżkach zapisów. Zapisze się na przykład na AV, ale prędkość odtwarzania nie będzie się zgadzała z tym, co pamiętasz, albo tor lotu kamery będzie się różnił. Niewiele to daje, bo można to sprawdzić dopiero *post factum*. Jeśli wiadomo, kiedy następuje to *post factum*...

–Nie o to mi chodzi. Kamera cały czas leżała w ładowni. A skoro tak, to czym go trafiłam?

Poszukiwacz zastanowił się.

–Racja. Musiałaś zrobić to wewnątrz iluzji, którą on przygotował.

–To znaczy, że nie panuje do końca nad tą swoją iluzją. Może dałoby się dostać do niego w ten sam sposób. Odwrócić role.

–Nie sądzę. Następnym razem lepiej się zabezpieczy.

–Tak naprawdę, to każdy „atak” trwa nie dłużej niż kilka minut. Może coś go limituje.

–Limituje go efektywność. Wykonanie zadania, czyli na przykład zastrzelenie mnie. Chociaż... Pod koniec naszego pierwszego spotkania, którego nie nagrałem, Elegant odleciał jakby w przyspieszonym tempie. Nie, to nic nie znaczy. Może w rzeczywistości nadal stoimy nad wykopem? Patrzy na nas Mateo i myśli, że się zacięliśmy.

–Tyle godzin?

–Pozorny upływ czasu daje się oszukiwać. Może przybyliśmy tam przed trzema minutami? Pamiętasz coś z rozmowy przy obiedzie albo z podróży powrotnej?

–Niewiele. Prawie cały czas spałam.

–Widzisz... A nawet jeśli... jeśli można łatwo oszukiwać teraźniejszość, to wszczęcie sztucznych wspomnień nie powinno być trudniejsze. Pamięć

kontekstowa, a taką posługuje się nasz mózg, jest łatwa do oszukania. Wystarczy podać podstawowe dane, a luki same się załatają i trudno je będzie potem wyszperać. Może... ciebie wcale nie ma, a ja, postrzelony przez Eleganta, leżę obok wykopaliska koło Nowego Londynu. Zanim cię poznałem. Może on był prawdziwy i mnie zastrzelił, a to teraz – to jest śmierć...

–Obudź się! Wysadź mnie, jeśli tak sądzisz, i ustaw autopilota na Nefretete. To dopiero będzie piękna śmierć.

No tak, to do niczego nie prowadziło. Popatrzył na Valerie: włosy w nieładzie, zmęczona, zakurzona twarz. Jednak nie narzekała, prowadzona wizją sensacyjnego reportażu. Imponujące samozaparcie. Właściwie, to ona może tak samo myśleć o nim. Tyle że jego motywacja musiała być silniejsza, skoro to było całe jego życie. Dla niej to tylko kolejny temat.

–Jeśli w tunelu zobaczymy katastrofę – powiedział – taką, jak to ją opisują brukowce: zator ze złączonych, pociętych i płonących gravów, na które wpadają wciąż następne? To prawie niemożliwe, ale jeśli jednak?

–Zahamujemy ręcznie.

–Właśnie! Nie wiemy, co jest rzeczywistością, i nie będziemy wiedzieli, przynajmniej do czasu wizyty u niezależnego elektryka. Jeśli tam, w tunelu, nie będzie żadnego zatoru, a my przejmujemy stery od automatycznego pilota i wyhamujemy awaryjnie, to możemy spowodować rzeczywistą katastrofę.

–Więc nie przejmuj sterów. To proste.

–Jest parę sytuacji, które tego wymagają. Skąd mogę wiedzieć, czy mi się tylko nie zdaje? Wyobraź sobie... Na Marsie nie ma słoń, ale jak zobaczysz jednego, pędzącego wprost na ciebie, to zaczniesz uciekać.

–Mówiłeś, że on nie chce cię zabić.

–Sam już nie wiem.

Skoczek wysunął się z szeregu i zaczął zniżać lot. Kanciasty grav poszedł w jego ślady, powtarzając manewr.

–To już bardzo mało prawdopodobne – mruknął poszukiwacz. Zerknął w dół i zobaczył lukę w strumieniu, czekającą na Skoczka. Następnej nie było jeszcze widać. Nie zmieścimy się, pomyślał.

Do strumienia pozostało dwadzieścia metrów. Skoczek już przyspieszał, by płynnie wejść w lukę strumienia pojazdów, poruszających się z prędkością czterystu

kilometrów na godzinę. Hormann wciąż na ogonie. Dwieście metrów do wejścia w tunel. Decyzja, decyzja!

Wyrwał stery autopilotowi i wyhamował. Pojazd z tyłu nie zwalniał. Jared napiął wszystkie mięśnie i skulił się w fotelu. Hormann uderzył w rufę Skoczka. Nie, nie uderzył – wszedł w nią i bez najłżejszego dźwięku przeniknął przez kadłub. Jared patrzył oniemiały na elementy wewnętrznej konstrukcji drugiego pojazdu przemykające przez kabinę Skoczka. Kanciasty kształt przyspieszył i wpasował się w strumień gravów poniżej. Zniknął w otworze tunelu.

–Co to było?! – wrzasnęła reporterka.

Przed oczami poszukiwacza pojawiło się takie samo pytanie od kontroli ruchu.

–Mam kłopoty techniczne – odpowiedział. – Rezygnuję z przelotu.

–Zarejestrowaliśmy kolizję – odezwał się w jego głowie kontroler. Człowiek.

–Nic takiego nie miało miejsca. Zauważyłbym.

Wzniósł się wyżej i awaryjnym kanałem uciezkowym opuścił strefę. Skręcił na północ, zwiększając prędkość.

–Co to było? – powtórzyła ciszej kobieta, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

–Przeniknęliśmy przez siebie. Albo on był iluzją, albo my nią jesteśmy.

–Nie czuję się jak iluzja... Pewne jest tylko to, że się od ciebie zaraziłam.

–Warto zauważyć, że kontrola ruchu rozpoznała go jako pojazd. Dostał wolne miejsce.

–Może zajął nasze. Co ty robisz?

Dopiero teraz zauważyła, że lecą nad terenem usianym rzadkimi kraterami.

–Przelecimy przez barierę. W tej sytuacji to bezpieczniejsze od tunelu.

Z napięciem obserwował wskazania radaru, choć wiedział, że to nic nie pomoże. Pocieszał się tym, że kształt Skoczka minimalizował niebezpieczeństwo trafienia.

–Więc o to chodziło – powiedziała Valerie. – Nikt nas nie zamorduje. Zginiemy na pustyni na własną prośbę.

–Niebezpieczeństwo, że coś nas trafi, jest niewielkie. Przelecimy długą prostą z

maksymalną prędkością.

Jakby w odpowiedzi, sto metrów obok błysnęła biała linia, z gwizdem kończąc swój bieg w pióropuszu pyłu. Huk wstrząsnął pojazdem i został z tyłu. Ziemia pod nimi poznaczona była coraz liczniejszymi kraterami. Niektóre miały po dziesięć metrów średnicy. Kilka minut później komputer pokładowy poinformował ich, że przelecieli nad równikiem. Widzieli jeszcze kilka uderzających o ziemię odłamków.

–Z daleka wyglądają jak spadające gwiazdy – odezwała się ponuro Valerie.

–Z bliska wiele rzeczy wygląda inaczej.

Minęli zgniecioną, przebitą i wypaloną skorupę żółwia. Ledwo wystawał z ziemi z jedną pogiętą felgą.

–Więc chce nas nastraszyć – powiedziała reporterka – żebyśmy nie rozgłosili sprawy szkieletów. Ale ona już jest rozgłoszona.

–Możesz nie zrobić dalszego ciągu i wszystko przycichnie.

–Spotykałam się już z naciskami, choć nie aż tak wyrafinowanymi. Zwykle oznaczało to, że jeszcze nie jestem u celu, ale idę właściwym tropem.

–Czubek góry lodowej. Takich grobów może być więcej.

–To są niebezpieczne sprawy. Zbyt poważnie zagrażają czyjś interesom.

–Jakie miałaś zabezpieczenia, skoro nadal żyjesz?

–Informacje, które automatycznie się publikują w chwili mojej śmierci, zniknięcia lub nawet aresztowania. Cena ubezpieczenia jest taka, że cała prawda nie ujrzy nigdy światła dziennego. To trzeba dobrze wyważyć.

–Twój kolega po fachu nie był chyba ubezpieczony. Sprawdziłaś go?

Valerie przytaknęła. Mrugnięciem otworzyła okno z notatkami.

–Nie ma żadnych danych. Nie przekazał materiałów do redakcji. Policja udostępniła tylko lakoniczną informację, że zginął, przejmując stery od autopilota. Uderzył w ziemię...

Milczeli dłuższą chwilę, patrząc na siebie.

–To nawet się zgadza – zauważył Jared. – No i nas też nie stać na ubezpieczenie.

–Pomyślmy. Gael wyznaczył ci konkretny obszar do szukania wody. Dlaczego?

–W tamtej okolicy ma powstać instalacja, która jej będzie potrzebować.

–Mówiłam już, nie ma żadnych planów i długo nic tam nie powstanie. Gael ograniczył ci obszar, żebyś nie znalazł czegoś podejrzanego.

–Ale tam właśnie znalazłem tę dwójkę. – Wskazał kciukiem na ładownię. – Od tego wszystko się zaczęło.

–Niby tak. Może się pomylił w koordynatach.

–Nie sądzę. Chociaż kilka kilometrów dalej jest coś, co może być korytem wyschniętego strumienia. To pierwsze miejsce, od którego bym zaczął, tam może być sporo wody, ale Gael wyraźnie zaznaczył, żebyśmy nie wychodził poza obszar.

–To oczywiste! Musisz zbadać to koryto.

–Bez ubezpieczenia informacyjnego? Zresztą... to blisko miasta. Zgarną nas po kilku minutach.

–Dobrze. Najpierw przegrzebię Bibliotekę Narodową. Mamy parę godzin.

Zamknęła oczy i ułożyła się w fotelu, jakby do spania. Jared zauważył, że z wyraźną przyjemnością nakryła się płaszczem pustynnym. No cóż, mimo całej sympatii dla niej wolał pozostać samotnym poszukiwaczem. Żadnej rodziny, żadnych dzieci, przykrych zobowiązań. Bo i po co sprowadzać dzieci na świat, który musi umrzeć.

–Pamiętam te duchy – powiedział cicho, jakby sam do siebie. – Myślę, że chciały mi coś przekazać, ale nie wiem co.

To muszą być duchy, skoro komplant ich nie widzi, pomyślał. Ale czego chcą? Za dużo tego naraz. Rozwiążemy sprawę kości, potem zajmiemy się duchami. Jak się do tego zabrać? Musimy zrobić coś, czego nikt się nie spodziewa. Może wbić się znienacka w grunt, by wszystko dookoła znikło? Może to właśnie uczynił tamten facet? Może to, czego się dowiedział, przerosło go, a może po prostu zobaczył coś... coś, co kazało mu wykonać ryzykowny manewr, który nie miał prawa się udać. Jared przejechał dłonią po nieużywanym wolancie. Wystarczy wyłączyć autopilot, system antykolizyjny, grabbągi i pchnąć stery. Może... może kiedyś to będzie najlepsze wyjście. Ale jeszcze nie teraz.

*** * ***

Obudził się, gdy dotknęła dłonią jego ręki.

–Śnił ci się jakiś koszmar – wyjaśniła.

–To normalne...

–Trafiłam na coś. – Wróciła na swój fotel. – To notka prasowa, niestety nie z „New London Post”, tylko z „Inquirera”, na temat śledztwa prowadzonego przez policjanta, porucznika Williama Westwooda. Burza piaskowa odsłoniła w okolicach Nowego Londynu kilkanaście szkieletów. Prawie czterdzieści lat temu.

–Kto je znalazł? Gdzie? Masz coś dokładniejszego?

–Nie... chociaż może i tak. Akta sprawy zaginęły. Wcięto wszystkie pliki. Nasze archiwum z tamtego roku w dziale nekrologów podaje, że porucznik William Westwood zginął w wypadku komunikacyjnym... dwa tygodnie po rozpoczęciu śledztwa.

–Sprawdź autora notki. I datę jego śmierci.

Valerie chwilę grzebała w zasobach archiwum „Inquirera”, po czym uniosła głowę i spojrzała na Jareda szeroko otwartymi oczami.

–Zginął w dzień po Westwoodzie – powiedziała powoli. – W niewyjaśnionych okolicznościach.

–Co się dalej działo z tym śledztwem?

–Czekaj... Dziwne... Zamknięto je! Dopiero po czterech latach zajął się tym agent rządowy o kryptonimie Cosma. Opierając się na materiałach zebranych przez Westwooda, miał badać szkielety w okolicy Nowego Londynu i Benneth... Zginął w katastrofie lotniczej na biegunie, nim śledztwo nabrało rozpędu. Potem zamknięto je na dobre, nie przydzielając innego agenta.

–Prawdopodobieństwo rośnie, a wraz z nim ryzyko. Może powinnaś przyjąć ofertę Hainesa?

Spojrzała zagniewana.

–Podjęłam już decyzję i chcę to doprowadzić do końca. Inaczej nic nie będzie miało sensu. Powiedzmy, że przykładem będzie mi twój ojciec.

–Dobrze.

–Jak zginęła twoja siostra? – zapytała znienacka, ale Jared zawahał się tylko chwilę i odpowiedział:

–Po aresztowaniu ojca bląkaliśmy się po mieście. Odnalazł nas mężczyzna, z którym przedtem lecieliśmy statkiem. W pewnym sensie ocalił mi życie; nakarmił nas

i ofiarował nocleg. Nazywał się Allen Ryan. Gdzieś w środku nocy przyjechali jacyś ludzie, rozwalili drzwi i wpadli do środka. Była tam jeszcze kobieta, Nina Brooks. Sądzę, że to jej szukali.

–Zabili ją?

Przytaknął.

–Najpierw ją, potem świadków: Jessikę i tego mężczyznę. W kilka sekund.

–A ty? Dlaczego ty żyjesz?

–Miałem wtedy pięć lat. Leżałem w gorączce i myślałem, że to mi się śni. Prawdopodobnie w ciemnym mieszkaniu nie zauważyli zawiniętego w koce dziecka.

Popatrzyła uważnie.

–Rozważasz też inną możliwość – powiedziała – że darowali ci życie, bo byłeś dzieckiem.

–To nie bardzo prawdopodobne. Zawodowi mordercy –

–Czujesz wobec nich jakieś zobowiązanie? Znam cię już trochę, niech zgadnę. Zawarta została wtedy niewypowiedziana umowa. Żyjesz, ale milczysz.

–Naprawdę wątpię...

–Kim byli ci ludzie?

–Nie udało mi się tego dowiedzieć przez wiele lat. Potem zostawiłem tę sprawę na zawsze.

–Nie chcesz o tym rozmawiać?

–Nie, i nie wracajmy już do tego. Za pięć godzin dotrzemy do Nowego Londynu. Zaczniemy od oczyszczenia umysłów.

Wzdrygnęła się, zawiedziona.

–Elektrolog? Nie znoszę tego. Nie ma lekarza bardziej ingerującego w prywatność. – Zamrugła. – Wyszukiwanie słów „szkielety” i „masowe groby” wraz z dalekimi skojarzeniami dało mi Wielki Śmietnik. Po odrzuceniu wyników dotyczących Ziemi został mi Mały Śmietnik, ale wciąż zbyt duży, bym zdołała przejrzeć go do końca życia. Pominę kilka etapów, bo widzę, że cię nudzę...

–Nie, nie o to chodzi. Masowe groby powstają najczęściej przy okazji wojen. Bogiem

wojny jest Mars. Wystarczy, że co dziesiąty autor opracowania, artykułu, czegokolwiek, wspomni o mitologii i będziesz miała kilkaset milionów fałszywych wyników. Trzeba to ugryźć od innej strony.

–Jakieś pomysły? – zapytała trochę zła.

–Zastanówmy się najpierw, używając nasze zwykłe mózgi, jak mogą powstać masowe groby. Po pierwsze, w czasie wojny. Głównie wojny narodów, w których chodzi o eksterminację przeciwnika.

–Mieliśmy tu jedną, ale dwadzieścia pięć lat temu. Ofiar śmiertelnych też nie było zbyt wiele. Zakładam, że ufamy wskazaniom tego złomu. – Kciukiem wskazała za plecy na diagnoster.

–Wojna odpada. Co jeszcze? Epidemia, głód, katastrofa, eksterminacja jakichś mniejszości.

–Mniejszość... Trafiłam na coś, co nazywało się projekt Minority.

–Projektów związanych z Marsem było mnóstwo. Poszukaj czegoś o tutejszych epidemiach, podając przedział czasowy plus minus trzydzieści lat.

–A może likwidacja darmozjadów?

–Słucham?

–Jedzenia nigdy nie było tu za dużo.

–Jeśli mówisz o głodzie, takim prawdziwym głodzie, to znaleźlibyśmy ogryzione, ugotowane kości. To się zdarzało wielokrotnie na Ziemi. Dawno, dawno temu.

–Może znaleźliśmy.

–Na surowo ich nie zjedli, a podczas gotowania kości zmieniają kolor. Odpada. W czasach głodu nikt nie bawiłby się w chowanie w grobach równo poukładanych resztek obiadowych.

–Obrzydliwy jesteś, wiesz?

–Nie widziałaś jeszcze, jak jem budyń bez użycia łyżki. Valerie parsknęła śmiechem. Wychyliła się z fotela, zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno pocałowała.

Że też sympatia kojarzy się jej tylko z seksem, pomyślał Jared, odpinając swój pas.

–Wizyta u mnie może być dalszym ciągiem iluzji. Powinien pan dopuszczać taką możliwość.

–Skoro sam pan to mówi, to sędzę, że tak nie jest.

–A może właśnie po to to powiedziałem, żeby pan pomyślał odwrotnie?

–Jeśli jest pan częścią programu mającego mnie oszukiwać, to jaki cel miałby pan w tym, żeby mnie przed nim ostrzegać?

–Mogę być załadowanym z sieci standardowym emulatorem elektrologa, który wypowiada standardowe formułki.

–Pan się kreuje na zbuntowany wątek? Program nadrzędny wyłączyłby pana na początku tej wymiany zdań.

–To część terapii. Do czasu wyleczenia nie może pan całkowicie ufać rzeczywistości.

–Jak zatem dowiem się na sto procent, że terapia dobiegła końca?

–Nikt z nas nie wie, w jakim stopniu istnieje naprawdę ani jak bardzo jest szalony.

Jared siedział w głębokim fotelu w kameralnie oświetlonym, doskonale ekranowanym gabinecie elektrologa. Wybrał go na chybił trafił. Valerie udała się do innego, również wytypowanego drogą losową.

–Jeśli poprzednia terapia nie pomogła – ciągnął elektrolog – to znaczy, że musimy sięgnąć głębiej. Proszę teraz zdjąć część zabezpieczeń. Załaduję panu *debuggera*, który przeanalizuje zawartość komplanta pod kątem wykrycia przyczyn opisanych przez pana zjawisk. To potrwa nie dłużej niż dobę, ale nie musi pan zmieniać rozkładu dnia. Nie zajmie panu więcej niż trzy procent zasobów. Po zakończeniu badania program sam prześle do mnie raport.

Jared wstał i skierował się do drzwi.

–Nie jest pan zbyt popularnym lekarzem – powiedział, gdy drzwi rozsunęły się, by go wypuścić. – Nie widzę żadnego pacjenta oprócz mnie.

–Za wcześnie. Zaczną się pojawiać koło trzeciej w nocy. Jeśli nie chce pan tu wrócić za szybko, to zamawiając dziewczynę proszę korzystać z własnego *software'u*.

Gdy dotarł na miejsce spotkania, Valerie już na niego czekała.

–Też ci włądował *debuggera*? – zapytała.

–Tak. Jakoś nie wierzę w skuteczność elektrologa w tym wypadku. Jesteśmy obiektami ataków z zewnątrz. Tego się nie leczy.

Przeszli obok baru, w którym spotkali Murzynkę. Ominęli drzwi sporym łukiem.

–Gdzie my właściwie idziemy? – zapytał poszukiwacz.

–Do niezłego klubu. Mam zamiar na źródło informacji... niejawnych. Tak to nazwijmy.

Skręcili tam, gdzie i większość idących w tę stronę ludzi. Klub Czerwony Smok wchłonął ich razem z gęstniejącym tłumem. Tutejszy *entertainment* był znacznie bardziej rozbudowany od tego w pałacu prezydenckim. Można było wybrać profil muzyczny, płynnie regulować głośność i barwę dźwięku, zmienić kolor skóry i ubrania swoje i reszty gości, ich sposób i tempo poruszania się. Niektóre zmiany dostrzegali tylko oni, ale nie wnikali głębiej w *interface*. Zaawansowane ustawienia umożliwiały nawet pozostanie niewidzialnym dla innych gości. Wybrali identyczne ustawienia prostego profilu, by uniknąć nieporozumień. Muzyka zadudniła, odbijając się od wysokiego sufitu, światło przygasło i zmieniło charakter. Błyski stroboskopów i laserów. Hologramy i vitruale. Dominująca, przynajmniej w tym profilu, czerwień i czerń. Naga tancerka wibrowała nad tłumem w klatce z pionowych promieni pomarańczowego lasera. Każde dotknięcie promienia przygotowało ją o dreszcz i znaczyło skórę czerwoną pręgą.

Klub urządzony był w obszernej hali, której konstrukcja ginęła w mroku. We wnętrzu znajdowało się kilkanaście pomostów połączonych stalowymi pochylniami i schodami. Pulsujący na wielopoziomowych pomostach tłum bawił się doskonale, choć w różnym tempie. Jared wyczuwał sztucznie podwyższony poziom tlenu.

Valerie „ubrała się” w krótką, obcisłą sukienkę z półprzezroczystej mikrosiateczki. Podrygiwała w rytm muzyki. Jared przyczepił nad jej głową migającą lampkę. W takim tłumie to może być lepsze od tradycyjnego namiaru. Zmarszczyła brwi, ale zamiast ją zdjąć, uśmiechnęła się i przypięła mu identyczną. Nikt poza nimi nie mógł tego dostrzec.

Zamówili po drinku pobudzającym. Wyłącznie ze względu na tradycję, bo to samo można było załatwić programowo. Pośrednim rozwiązaniem było zamówienie wody i dodanie jej cech konkretnego drinka w modulatorze smaku. Tak czy inaczej, lepiej się rozmawiało ze szklanką w ręku.

Nad barem, w wielkiej wodnej elipsoidzie utrzymywanej w ryzach pola

grawitacyjnego, pływały dwa małe rekiny. Prawdziwe. Tego typu miejsca przyciągały maniaków realu. Starannie dobierano poziom nasycenia środowiska nowinkami wirtualnymi, by nie zniechęcić stałych klientów. Wszak to samo każdy mógł osiągnąć w domu, w postaci praktycznie nieodróżnialnej. Przychodzili tu, aby kontemplować dyskretny urok rzeczywistości, ale nawet dla nich czysta rzeczywistość była zbyt monotonna.

By wypełnić tę lukę, powstawały kluby podobne do Czerwonego Smoka oraz, idące nieco dalej, miejsca wyraźnie ukierunkowane na wybrany rodzaj rozrywki. Oferowały doznania pozornej podróży w czasie z efektem *déjà vu*, umożliwiały doświadczenie całkowitej amnezji. Można się było poddać dwudziestowiecznej operacji medycznej polegającej na naruszeniu ciągłości tkanek, by potem nanoroboty naprawiły wszystko, usuwając bez śladu nawet efekt chwilowej amputacji – thriller medyczny na żywo. Istniały też takie, których specjalnością była zamiana osobowości – na kilka godzin można było zostać wybraną postacią, z pełną jej charakterystyką, wśród innych materialnych postaci. Możliwości mnóstwo, ale im dalej od realu, tym mniej to się różniło od programów rozrywkowych, które były dostępne w sieci po niewygórowanych cenach.

Dla wszystkich innych pozostawały modyfikatory rzeczywistości i elektryczne sny, których możliwości ograniczała już tylko wyobraźnia.

–I gdzie to twoje źródło? – zapytał poszukiwacz, ścisząc muzykę. – I kim jest?

–Przedstawia się „Szperacz”. Wysłałam mu wiadomość. Spotyka się z nami tutaj, bo najłatwiej się ukryć w tłumie. Lokalizatory mają problemy z wyłuskaniem pojedynczego człowieka.

–„Szperacz”... Trochę głupio brzmi.

–A „Poszukiwacz” to nie?

–Od kogo masz jego namiary?

–Od innego reportera z naszej redakcji. Wymieniłam się z nim kontaktami. Trochę niechęć...

–Nie chcę pytać, w jakiej sytuacji.

–Zazdrosny? – Zmrużyła oczy.

–Musimy go spotykać osobiście?

–Tak chciał. O! Jest.

Dwa poziomy wyżej nad tłumem zamigotała biała lampka. Widać pomysł był rozpowszechniony. Solidnie zbudowany Murzyn z dreadami schodził po metalowych schodkach. Miał na sobie spłowiałą kurtkę, luźne spodnie z dużą ilością kieszeni i ciężkie buty. Białe światło było przedpotopową żarówką unoszącą się nad jego głową. Obok gwintu dyndał sznurek, po którego pociągnięciu żarówka zamiast zgasnąć, znikła.

Szperacz uniósł wzrok i pokiwał głową na widok ich lampek. Uśmiechnął się pobłażliwie.

–Jeśli myślicie, że tylko wy to widzicie, to jesteście w błędzie.

Podali sobie ręce, potwierdzając tożsamość. Szperacz, poszukiwacz, reporter.

–Skoro je widzisz, to umiesz manipulować tutejszym *entertainmentem* - powiedział Jared.

–Nie mam żadnych szczególnych informacji w głowie. Tylko rewelacyjną wyszukiwarkę.

–Chcemy wiedzieć coś o epide –

–Ciii... – Szperacz przyłożył palec do ust. – Tu jest już dwa tysiące osób i nie wiem sam ile mikrofonów. Przygotuj plik ze zwięzłym zapytaniem i jasno określonymi kryteriami. Wrócę za chwilę.

Odszedł do baru. Jared zaczął układać w głowie plik ze zwięzłym zapytaniem i jasno określonymi kryteriami. Zgasił też lampki nad ich głowami.

–Czemu akurat ty? – zapytała nerwowo Valerie. – To mój kontakt!

–Nie jesteśmy konkurencją. Schowaj kły.

–Nie możemy tego zrobić razem?

–Proszę bardzo. Masz dostęp do pliku.

–Powinniśmy zastanowić się, ile możemy mu powiedzieć.

–Powinniśmy też ustalić cenę – wtrącił Szperacz, stając obok ze szklaneczką w dłoni.

–Więc ustalmy.

–Najpierw chciałbym poznać pytania.

Dotknął palcem wierzchu dłoni Jareda. Ten przesłał mu plik z podstawowymi pytaniami. Transmisja dokonana w ten sposób była powolna, ale niezwykle trudna do przechwycenia. Wymagało to oczywiście fizycznego spotkania.

–Masowe groby sprzed stu pięćdziesięciu lat – mruknął Szperacz, zapominając o swoim własnym ostrzeżeniu. – Już ktoś o to pytał.

–Kto?

–Nie chcesz chyba, żebym następnemu klientowi opowiadał o tobie. Moja cena to pięćset jednostek, ale może wzrosnąć, jeśli pojawią się trudności.

–Kiedy otrzymamy odpowiedzi?

–Za kwadrans, ale pewną radę mogę dać ci już teraz.

–Słucham.

–Mówi ci coś liczba 248791?

Jared zagryzł zęby, nie odpowiadając.

–Potrójne kodowanie PIN-ów. Popraw to. – Szperacz odszedł w tłum.

–Tylko potrójne kodowanie? – zapytała Valerie. – Gdzieś ty się uchowal?

–Poza miastem.

Zmienił numery i zakodował je lepiej niż poprzednio. Nie wierzył, że to zapewni bezpieczeństwo jego pieniądzom. Złodzieje zawsze mieli wiele różnych sposobów.

–Naprawdę jest taki wielki, czy tak się „zrobił”, żeby lepiej wypaść? – zapytała Valerie.

–Jeśli nie będzie chciał, to się tego nie dowiemy. A szczerze mówiąc – nie obchodzi mnie to.

–Ciebie w ogóle nie obchodzą ludzie. Chyba że nie żyją od paru tysięcy lat.

–Jak chcesz ze mną zatańczyć, to powiedz to normalnie.

Zmienili właśnie muzykę na znacznie wolniejszą, ubiegłowieczną. Wokół potworzyły się pary, choć zapewne niewiele to miało wspólnego z rzeczywistością, bo słuchali innej muzyki. Valerie objęła poszukiwacza i zaczęli się kołysać w powolnym rytmie.

–Co zrobisz, jak skończę reportaż? – zapytała po chwili.

–Nie wiem.

–Nie mógłbyś być bardziej kreatywny?

–Moja praca polega na analizie – odparł tonem dającym do zrozumienia, że to koniec rozmowy. Puścił ją i oparł się o bar. Valerie, nie przestając tańczyć, wzruszyła ramionami. Jared zamówił kolejnego drinka i zapatrzył się w oddzielony siatką sześcian „zero G”. W pozornej nieważkości polatywali sobie imprezowicze spragnieni spokojnej i wyciszonej zabawy.

Zdenerwowany Murzyn podszedł do Jareda. Valerie od razu znalazła się obok.

–Temat, który was interesuje, jest bardzo rozległy. Dotarłem jedynie do strzępków, ale zostałem wykryty. Szczegóły znajdują się w niedostępnych mi miejscach pod kryptonimem „Projekt Minority”.

–Kto cię wykrył? – zapytała reporterka.

–Z pewnością nie policja.

Jared spojrzał ponad tłumem. Szperacz zobaczył w jego oczach coś, co kazało mu się odwrócić.

–Niezła sztuka – zdążył jeszcze powiedzieć bez przekonania, nim Murzynka chwyciła go za gardło. Chrupnięcie słycać było mimo muzyki. Szklanka upadła na podłogę. Ciało osunęło się chwilę później. Ludzie wokół cofnęli się. Patrzyli to na ciało, to na Jareda. Latającej kobiety najwyraźniej nie widzieli.

–Ja też to widzę! – krzyknęła Valerie. – Resetuj!

–Nie! Nie zachowaj się to, co mi przekazał.

–Resetuj – powtórzyła, cofając się wraz z nim krok za krokiem. – Trzy słowa powiedział! Takich gości jak on jest mnóstwo, a my jesteśmy jedyni!

–Co?

–Ja jestem jedna, a szperaczy jest wielu.

–Reporterów też jest dużo – powiedział, odwracając się. Pociągnął ją za sobą. – To poszukiwaczy wody wciąż brakuje.

Zbiegli po trzy stopnie na podłużny chodnik. Ludzie usuwali im się z drogi. Ci kilkadziesiąt metrów dalej nie wiedzieli nawet, co się stało.

Jared kątem oka zauważył, że ikona Suflera Prawnego pozostała zielona.

Zredukował iluzję do zera, a klub znacznie stracił na atrakcyjności. Zatrzymali się na kolejnym pomoście. Wokół wszędzie tańczyli ludzie. Mimo to zobaczyli go. Elegant stał nieruchomo między gośćmi na sąsiednim pomoście.

–On nie jest prawdziwy – powiedziała Valerie.

–Cała ta mistyfikacja od kilku dni może być po to, żebyśmy tak właśnie myśleli, kiedy już spotkamy go naprawdę.

Pociągnął ją dalej. W basenie poniżej ciasno splecione pary obściskowały się w oleistej pianie. Tuż obok z grubych rur wylewał się dym i snuł po parkiecie, a tańczący brodzili w nim po pas. Obok chodnika, którym biegli Valerie i Jared, formowała się w powietrzu kula wody. Nieco wyżej dwie dziewczyny szykowały się do skoku z pomostu.

–To jasne, że ty go zabiłeś – powiedziała Valerie, gdy zatrzymali się na chwilę.

–Co?!

–Nie zrobiłeś tego, ale tak to wyglądało. Ze świadkami zrobili pewnie to, co z nami na Południu. Uciekliśmy.

–Były mikrofony. Może kamery.

–Krzyknęłam: „Zresetuj komplant” – kobieta zasłoniła usta ręką. – To tak, jakbym chciała, żeby ci się nie zapisała scena morderstwa.

–Ale go nie zresetowałem.

–Może on żyje? Jak w ogóle fantom może zabić człowieka?

–Jeśli Murzynka jest fantomem. Pamiętasz liść?

Dziewczyny, jedna za drugą, odbiły się od pomostu wskoczyły do kuli. Przepłynęły przez nią i wynurzyły ze śmiechem głowy. Jedna z boku, druga u dołu wielkiej kropli. Chlapały na siebie, ale ani odrobinka wody nie wyrwała się poza obszar działania pola. Z fontanny u dołu wiąż przybywało wody.

–Którędy do wyjścia? – Valerie rozglądała się.

–Jakoś... straciłem orientację.

Wzmocnił minimalnie iluzję i ukazały się im strzałki drogi ewakuacyjnej.

–Dobrze, że wtedy wieczorem załadowałem sobie latające Murzynki, a nie biegające Indianki.

–Patrz! – Valerie obejrzała się i wskazała Jaredowi – Murzynka uparcie płynęła ich tropem, choć została wyraźnie w tyle. Trójka imprezowiczów zatrzymała się, by ją przepuścić. Nie wykazali zdziwienia.

–Albo traktują ją jako jedną z tutejszych atrakcji – powiedział Jared – albo widzą zamiast niej coś innego.

–Facet by się obejrzał...

Od wyjścia dzieliło ich kilka chodników i pomostów wypełnionych bawiącymi się. Eleganta nie było nigdzie widać.

–Jeśli myśli logicznie, to czeka przy wyjściu – powiedział Jared. – I tak nie mamy wyboru. Chodź.

Szybkim krokiem, ale nie biegnąc, ruszyli do wyjścia. Nad nimi, na suficie znajdował się kolejny parkiet taneczny. Pięćdziesiąt osób tańczyło głową w dół, kolejne szły tam po wygiętym w łuk trapie. Automaty z drinkami ustawiono w połowie drogi, na ścianie.

–Równie dobrze złudzeniem mogłyby być któreś schody – powiedział Jared, unosząc głowę. – Spadlibyśmy, nie wiedząc, co się dzieje.

–Mówiłeś, że nie chcą nas zabić – zauważyła Valerie. Ledwie nadażała za poszukiwaczem.

–Wiemy coraz więcej, więc zagrożenie rośnie. Być może ograniczają ich dostępne środki.

–Jesteśmy coraz bliżej rozwiązania. Doprowadzili do tego, że teraz będzie nas ścigać policja.

–Może nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, by ją powiadomić.

–Komplanty świadków zrobią to automatycznie.

Przepychali się przez rozbawiony tłum w kierunku portalu wejściowego. Bez trudu minęli bramkę i... zobaczyli przed sobą dwa pojazdy policyjne. Policjant w hełmie zasłaniającym twarz rozmawiał z ochroniarzem. Dlaczego nie zaczęli od zablokowania wejścia?

Eleganta nie dostrzegali. Może był tylko przywidzeniem? Półprzezroczysta sukienka Valerie znikła, ustępując miejsca znajomemu skórzanemu płaszczkowi. Wycofali się, chyłkiem przemykając obok policyjnych gravów. Przed narożnikiem portalu Jared odwrócił się – ktoś go popchnął i nagle znalazł się wewnątrz pojazdu policyjnego.

Rozejrzał się zaskoczony, spojrzął w dół – jego nogi poniżej kolan wchodziły w podłogę. Do komplanta agresywnie dobijał się jakiś program, mający zapewne naprawić ten błąd kolejną iluzją, ale *guardy* go nie wpuściły. Jared wyszedł z pojazdu, czując słaby opór pola.

Co jeszcze jest nieprawdziwe?, zapytał sam siebie.

Noc była chłodna. Jak zwykle otaczały ich nachalne reklamy, *virtualboardy*. Szybkim krokiem oddalali się od Czerwonego Smoka. Skoczek czekał już na najbliższym wolnym lądowisku. Pobiegli i wspięli się schodami.

Dopiero gdy wystartowali, poczuli się bezpiecznie.

–Tam było tylu ludzi, że gdyby Szperacz nie żył, policja już by nas miała – powiedział Jared. – Teraz siedziałby tu z nami policyjny fantom i kazał natychmiast lądować.

Pozycję każdego człowieka znajdującego się poza budynkami zdradzał lokalizator, którego nie wolno było wyłączyć.

–Kiedy wchodziliśmy i wychodziliśmy z Czerwonego Smoka, zarejestrowano nasze dane, a nikt nas nie ściga – przytaknęła Valerie. – To oznacza, że facet żyje.

–Albo że go nigdy nie było i znów daliśmy się nabrać.

Pod nimi przesunęło się powoli jasno oświetlone Soho. Im dalej od niego, tym ciemniej. Żółtawy poblask ginął w oddali w smogu. Miasto rzucało pomarańczową poświatę na niską powłokę chmur i dymów.

–Nie traćmy czasu – powiedział Jared. – Szukaj według nowych wytycznych. Projekt Minority.

Chciała coś odpowiedzieć, ale zamilkła. Wyrzuciła do kosza ponaglającą wiadomość z redakcji. Do swojego adwokata wysłała pierwszą część pakietu ubezpieczeniowego. Poprawiła się w fotelu i otworzyła okna wyszukiwarek, zadając im nowe pytania. Chwilę później, nie doczekawszy się odpowiedzi, zapadła w sen. Jared westchnął i skierował Skoczka do pałacu, gdzie, wciąż czekał na nich pokój, o ile Gael dotrzymał umowy.

Nie mógł się pozbyć natrętnej wizji Murzynki, która powoli, uparcie płynęła nad miastem ich śladem.

Obudzili się koło południa. Wymięta pościel nie była efektem nocnych namiętności, lecz sennych koszmarów.

Usiedli na łóżku i spojrzeli na siebie zmęczonym wzrokiem. Jak stare małżeństwo, pomyślał Jared. Powlókł się do łazienki. Żony, wypuszczając mężów wieczorem z domu, żądały od nich *streama AV*. Tak przynajmniej opowiadano w dowcipach z czasów, gdy małżeństwa były jeszcze powszechne. Być może dlatego przestały być.

Kwadrans później siedzieli w niewielkim bufecie, przyciszonymi głosami dyskutowali zawzięcie. Śniadanie było w cenie pokoju, a ta w kontrakcie z Gaelem.

–Otrzymałem wczoraj zlecenie na kolejne poszukiwania – powiedział Jared. – Daleko stąd.

–Rzucasz tę sprawę? – zapytała zaniepokojona.

–Nie! Chcę to doprowadzić do końca.

–A... potem?

–Potem zobaczę. Podejrzewam, że trudno się odzwyczaić od kobiety, która jest zawsze pod ręką.

–Powinnam się obrazić?

–Nie.

–Więc się nie obrażę.

Uśmiechnęła się ledwie, ale zamilkła.

–W serwisach kryminalnych nie było ani słowa o zabójstwie w Czerwonym Smoku – powiedziała.

–Elegant chce nas dopaść, ale nie potrafi. Ma ograniczenia. Tak jak Murzynka.

–Myślisz, że współdziałają? Hm... Byłoby dziwne, gdyby tego nie robili.

–Dziwne jest co innego.

–Co? To, że nie powiadomiliśmy policji o zagrożeniu, że ktoś chce nas zabić?

–Nie możemy tego zrobić. Dziwne jest to, że nie próbuje nas powstrzymać nic

materialnego, rzeczywistego.

–Wprost nie mogę się doczekać! Pyszne to jedzenie. Niech żałują ci, którzy nie mogą próbować.

–Większość ludzi mieszkających tam, w dole, nigdy nawet nie zobaczy takiego śniadania.

Machnęła niedbale ręką.

–To nie znaczy, że ma się zmarnować. Niech używają modulatorów smaku.

Opróżniła już drugi talerz i chętnie zamówiłaby pewnie trzecią porcję.

–Co wyrzuciły wyszukiwarki? – zapytał Jared.

–Nie wolisz sam przejrzeć? A jeśli mam ci opowiadać, to lepiej chodźmy gdzieś indziej.

–Podслуchać można wszędzie i każdego. Wyjątkiem jest może pustynia, choć i tego nie jestem pewien.

Wstał jednak, dopijając kawę. Wyszukał na planie pałacu najbliższy taras zewnętrzny, doszedł bowiem do wniosku, że tam nieco trudniej będzie ich podsłuchać. Mogli wprowadzić rozmawiać na kanale zamkniętym, dotykając skórą skóry, ale woleli metodę tradycyjną. Poprowadził reporterkę do wind, które zachowały ustawienia przeszklonych kabin.

Taras nie miał balustrady. Przed upadkiem w dół chroniło pole siłowe. Jared natychmiast skorygował to, dodając przy krawędzi lity mur wysokości metra.

–Nigdzie tak nie śmierdzi, jak na trzystu metrach – mruknęła Valerie, opierając się o gumowy w dotyku mur. – Wyborny smród, naprawdę. Wdychajmy, zanim nas wyrzucą. Do kiedy opłaciłeś klimatyczne?

Przeczekał jej złośliwości, obserwując panoramę Nowego Londynu. Teraz z białej mgły, która tak naprawdę nie była mgłą, wystawały tylko szczyty budynków. Bliżej – biurowców, próbujących zachować styl wysmakowanej architektury, dalej – czarnych kłoców mieszkaniowców, które nie udawały zupełnie niczego. Nad i pomiędzy budynkami nieprzerwanie płynęły strumienie gravów, wypełniając brudne powietrze szumem i buczeniem.

Valerie patrzyła na Jareda, jakby oczekiwała czegoś więcej niż zachęty do zrelacjonowania wyników poszukiwań.

–Słucham – powiedział.

–Pierwsza zasada jest taka, że najtajniejszy dokument zawsze ma odnośniki z dokumentów o niższym priorytecie tajności. Te z kolei z jeszcze niższych, i w końcu dochodzimy do pełnej jawności. Druga zasada jest taka, że zdarzają się, choć rzadko, linki do dokumentu wyższego o dwa lub więcej stopni w hierarchii tajności. Jest więc oczywiste, że dobrze szukając, można trafić na link do najtajniejszego dokumentu z dokumentu zupełnie jawnego.

–I na taki trafiłaś?

–Nie na jeden. Jest jednak jeszcze trzecia zasada – nie można dotknąć linki takiego dokumentu, nie narażając się na wykrycie. To zasada do obejścia dla dobrych hackerów. Można to zrobić, używając *deadmmies*. Znajduje się w sieci gościa bez dobrych zabezpieczeń, zwykle lumpa, i zadaje jego systemowi polecenia odczytania pliku. Jeśli się uda, plik koduje się po swojemu i pobiera okrężną drogą przez publiczny serwer. Można, dla większego bezpieczeństwa, użyć kilku kolejnych *deadmmies* połączonych szeregowo. Jest w tym jednak –

–Potrafisz to zrobić?

–Twoje sumienie ci pozwoli? – zapytała ironicznie.

–Pytam tylko, czy potrafisz.

–Nie potrafię ani pobrać pliku, ani go potem zdekodować.

–Dowiedziałas się w ogóle czegoś konkretnego?

–Projekt Minority istnieje co najmniej od czasu przybycia pierwszych osadników, czyli od połowy XXII wieku. Jeśli ktoś go kontynuuje, musi to być jakiś zakon szaleńców.

–Ale czym jest sam projekt? I co ma wspólnego z tymi grobami?

Valerie wzruszyła ramionami.

–Nie mam pojęcia. Mam tylko linki, których nie potrafię wykorzystać. Zresztą to już byłoby przestępstwo. Po chwili mielibyśmy na głowie policję, prawdziwą, i żadnego pożytku.

–Stoimy więc u wrót tajemnicy, bojąc się zapukać.

–U frontowych wrót.

Uśmiechała się tajemniczo, wywołując obok ust kilka delikatnych zmarszczek.

–Znasz inne? – zapytał.

–Może...

–Więc może mi powiesz?

–A dostanę buzi?

Pod wpływem tonu jej głosu rozdrażnienie mężczyzny przeszło płynnie w ciepły dreszcz. Pocałował ją w szyję, potem za uchem. Opanował się.

–Wyszukiwarki, które dostałam z redakcji, potrafią iść tropem wątków i dat – powiedziała. – Kiedy spałam, mój mózg wykonał całkiem niezłą robotę. Popatrz. – Powietrze za barierką tarasu zamieniło się w pulpity, na którym wyświetlały się kolejne informacje: obrazy, opisy i daty. – Tutaj mamy pierwszy lot załogowy na Marsa. William Anderson i Lemoine Pulaski ustawiają pierwsze automaty uzyskujące tlen na potrzeby niewielkiej bazy. Dwadzieścia lat później jest tu już kilkuset ludzi budujących pierwsze wieże elektrolityczne, zwane później tlenowymi, i nadzorujących aparaturę, która ma odzyskiwać wilgoć z gruntu. Potrzeba stu dziesięciu lat, by uznano Marsa za zdolnego do przyjęcia pierwszych osadników. Ci przybywają, zakładając miasta w miejscach, które uznano za najlepsze. Wtedy właśnie na środku pustyni powstaje miasto Nowy Londyn. Mimo fatalnego położenia staje się najbardziej znaczącym ośrodkiem politycznym, kulturowym i gospodarczym planety. I tak pozostaje do dziś. Wtedy właśnie pojawia się pierwsza wzmianka o projekcie Minority.

–Prowadzisz wykład? Jestem pod wrażeniem i bez tej poezji.

–Mam się jąkać? Punktem zaczepienia jest lokalizacja Nowego Londynu – środek pustyni. To nie jedyne miasto leżące na piaskach, ale tutaj wiatry są najsilniejsze. W pobliżu nie ma nawet gór. Dlaczego więc tutaj? To przecież skazuje miasto na ciągłą walkę z napierającymi na nie masami piasku. Paradoksalnie, to właśnie perspektywa zatrudnienia przy usuwaniu tego zagrożenia ściągała tutaj ludzi. Siła w słabości, ale to mało prawdopodobne, by planiści o tym myśleli. Chodziło więc o coś innego. Duży nacisk w tamtym okresie kładziono na badania fizyki wydm, jeśli tak to można nazwać, żeby wiedzieć, pod wpływem jakiego wiatru gdzie zacznie ubywać piasku, a gdzie przybywać. To nawet jest zrozumiałe. Oznaczono wtedy rejony najbardziej stabilne, ale co już zupełnie dziwne, zamknięto je dla użytku cywilnego. Tam, między innymi, znajduje się domniemane koryto wyschniętego strumienia, o którym mówiłeś. Twój obszar poszukiwań wody wyznaczony przez Gaela graniczy z zakazanym obszarem sprzed stu pięćdziesięciu lat.

–Martwe prawo wciąż obowiązuje.

–Raczej znajduje się tam coś, czego ktoś nie chce ujawnić.

–Masowe groby...

–Tego nie wiemy. Obszary te nie są dostępne dla badań. W praktyce oznacza to, że można tam legalnie wylądować i zrobić sobie piknik, ale wykopanie dołka głębszego niż dziesięć centymetrów jest już przestępstwem federalnym.

–Federacji nikt nie traktuje poważnie, ale przestępstwo federalne – owszem.

–Właśnie. Obszarów tego typu na całej planecie jest kilkaset i zawsze są umiejscowione w obszarach najbardziej stabilnych, jeśli chodzi o ruchy piasku.

–Niech zgadnę: na takim terenie leży wykop należący do Nathana Mateo?

–Zgadłeś. Założył farmę na skraju jednego z obszarów. Interes mu się rozwinął i teraz naruszył nieco granicę.

–To typowe dla farmera – przyznał poszukiwacz. – Dzięki temu odkrył to, co odkrył.

–Tak, ale dysponujemy tylko tym jednym przykładem.

–Jeśli wszystkie obszary będą pokryte grobami, to...

–To, w wielkim przybliżeniu, będziemy mieli ponad pół miliarda szkieletów...

Dłuższą chwilę milczeli.

–Na Marsie nigdy nie było cmentarzy – powiedział Jared. – Sto pięćdziesiąt lat temu ludzie chowano w ziemi na obszarach przeznaczonych pod zalesianie. Biomasa nie mogła się marnować.

–To się zgadza... Zalesiano obszary, które miały nie ulegać erozji.

Poszukiwacz pokręcił głową.

–Nie. Zalesiano... próbowano zalesiać wnętrza kraterów i tereny osłonięte przed wiatrem naturalnym ukształtowaniem terenu. Tam trafiały ciała zmarłych. Nie licząc afery z przerabianiem ich na pożywkę dla neuroślin.

–Wtedy afera, dziś standardowa procedura.

–Jeśli pamiętasz, to sprawa ucichła sama, gdy pojawiło się widmo głodu.

–Mimo wszystko...

Jared uniósł rękę, by ją uciszyć.

–Zaraz, zaraz... To mi się nie mogło przywidzieć! – powiedział.

Valerie powiodła za jego wzrokiem, spodziewając się zobaczyć Murzynkę, ale Jared patrzył na trzy wieże.

–Chodź.

Nie czekając na nią, wszedł do wnętrza budynku. Wezwał Skoczka. Reporterka ledwie za nim nadążała. Nie próbowała nawet o nic pytać.

*** * ***

Wielkie drzewa były teraz bezlistnymi, suchymi kikutami znikającymi w wiszącej kilkanaście metrów nad ziemią mgłę. Na szarym klepisku, niegdyś trawniku, leżały połamane konary powoli rozsypujące się w proch. Jared kluczył wokół ruin kopuły, wzbudzając zainteresowanie owiniętych w koce bezdomnych. Z powodu nisko wiszącej mgły, która mogła mieć agresywny skład chemiczny, na wszelki wypadek założył hełm. Również reporterce kazał założyć kompletny strój pustynny.

–Jestem rzeźbiarzem – załkał jakiś głos ze sterty śmieci. – Pan potrzebuje rzeźbiarza... Mogę pracować za jedzenie, za tlen...

Brudna twarz, wystająca spomiędzy szmat, w żaden sposób nie zdradzała wieku. Gruba czapka zasłaniała oczy. Kształtu reszty ciała nie dawało się rozpoznać pod wieloma warstwami pomiętej odzieży. Obok leżała pusta, obtłuczona butla. Inni żebracy nie próbowali ich zaczepiać.

Jared, widząc cel, zatrzymał się nagle. Podeszedł powoli, czuł się trochę jak we śnie. Dotknął. Wodził ręką po pokrytej nalotem i kurzem metalowej powierzchni. Pomnik zagubionych duszyczek. Dwójka dzieci z brązu. Dziewczynka wskazywała coś wyciągniętą przed siebie rączką, chłopczyk przytulał się do niej, obejmując ją w pasie.

–Stoi tu co najmniej od sześćdziesięciu lat – powiedziała reporterka. – Może widziałeś to kiedyś?

–Widziałem jako dziecko i zapomniałem. Chciałem się tylko upewnić, że to prawda. Nie ukradli. Nie przetopili...

–Chronią je przesady?

–Może. To dobrze, że tu nadal stoi, bo zaczynałem podejrzewać, że mam przywidzenia.

Valerie zaklikała okiem.

–Może masz przywidzenia – powiedziała po chwili. – Właśnie znalazłam kilkaset doniesień o obserwacji duchów z okolic Nowego Londynu w ciągu ostatnich stu lat. Dziewczynka i młodszy od niej chłopiec. To jak legenda o potworze z Loch Ness. Sugestia albo nadinterpretacja naturalnego zjawiska. Po jakimś czasie widzą to już wszyscy, a nawet stawiają temu pomniki.

–Widziałem je bardzo dokładnie.

–Załóżmy. Ale czy to ma związek z tym, czego szukamy?

–Szkielety tych dzieci leżą w ładowni Skoczka. Od nich się wszystko zaczęło, więc związek istnieje. Muszę się nad tym zastanowić.

–Zimno tu. – Reporterka postawiła kołnierz, wpychając go w przeznaczoną do tego szczelinę w podstawie hełmu.

–Jesień, choć liście opadły ze trzydzieści lat temu.

–Nastrój nie najlepszy, co?

–Tak jakby. Sprawdź kroniki imigracyjne, statystyki narodzin i zgonów, od początku kolonizacji, pierwsze sto lat albo lepiej wszystko, aż do dzisiaj. Porównaj jedno z drugim.

–Jak porównać?

–Ilu ludzi przyleciało i urodziło się tu, a ilu zmarło.

–Nie znam się może na demografii, ale te liczby powinny być zgodne.

–To właśnie sprawdź. Różnica w każdym okresie powinna być równa wielkości populacji.

Czując podrażnienie oczu i nosa, włączyli nadmuch filtrowanego powietrza na twarze i zawrócili. Cokół najbliższej wieży, której góra spowita była we mgle, wyglądał jak mur otaczający okrągły teren. Przygnębiający widok, biorąc pod uwagę wielkość konstrukcji i jej niegdyś rolę.

–Dokąd teraz?

–Zakopać kości.

–Więc naprawdę chcesz to zrobić...

Mgła wyraźnie opadała, więc odeszli szybkim krokiem w stronę grava.

–Mój dziadek zrobił ten pomnik – rzucił zanimi znajomy żebrak. – Niewdzięcznicy!

Gdy wsiedli do Skoczka, przemyli twarze i odetchnęli świeższym powietrzem.

–Jak ci ludzie mogą wytrzymać na zewnątrz? – zapytała Valerie, pokasłując.

–Nie mają wyboru. Najwięcej zanieczyszczeń snuje się blisko ziemi, a wysokość, na jakiej mieszkasz, zależy od wysokości twoich zarobków.

Jared zauważył, że jej płaszcz ochronny wisi na haczyku za „jej” fotelem. Zadomowiła się, pomyślał. Ciekawe, kiedy zaczniesz robić tu porządki?

Wystartował, nie podając jeszcze komputerowi destynacji. Przejrzał lokalizacje obszarów zakazanych w pobliżu. Pięć znajdowało się wokół Nowego Londynu, następne koło Benneth. Pół dnia lotu. Jak zbadać teren bez ściągania policji? Niemożliwe. Co go pilnuje? Satelity, *tracking* lokalizatorów osobistych. Pewnie jeszcze naziemne systemy ochrony obszaru i radary kontroli ruchu. Do tego dochodzą stacje meteorologiczne i cała masa obiektów-donosicieli, których istnienia nawet się nie domyśla. Satelitę można przeczekać, lokalizator być może ekranować, ale reszta...

Jared wstał i przeszedł na tył, do ładowni. Grzebał w poupychanych tam rupieciach. Po chwili wyciągnął na wierzch ciężki worek.

–Co tam jest? – zapytała Valerie, odwracając się.

–Roboty. – Rozsznurowywał zapięcie. – Zdalnie sterowane.

Wyjął jeden przedmiot wielkości niemowlaka i podobnej wagi. Metaliczny, kanciasty, skomplikowany kształt. Można było rozpoznać trzy dysze na spodniej części. Napęd rakietowy.

–I po co nam one?

–Muszę mieć pewność. Upuścimy je nad pustynią w ogólnodostępnej strefie. Kilka godzin później, łączem publicznym nadamy sygnał. Roboty przelecą nisko nad ziemią na wyznaczone pozycje i umieszczą emitery nad jednym z rowów. Otrzymamy ostateczny dowód.

Sufler Prawny zamigotał czerwienią.

–Znajdą nas. Policja... może ktoś jeszcze.

–Roboty używają silników rakietowych małej mocy. Detektory wahań pola nic nie wykryją, radary również. Potem dopiero fala sejsmiczna może ujawni ich obecność,

ale nim ktokolwiek je odnajdzie, ulegną samozniszczeniu.

–Tak zdobyty dowód nie nadaje się do publikacji.

–Przynajmniej będziemy wiedzieli, że mamy rację.

–Domyślą się.

–Już się domyślają. Już wiedzą. Czytają w naszych myślach.

–Dobrze się czujesz?

–Pamiętasz naszą pierwszą noc? I rano w tym tanim hotelu? Gael nieprzypadkowo ominął krzesło. Widział je naszymi oczami. To nic trudnego. Rząd może odbierać sygnały ze wszystkich zmysłów wszystkich obywateli. Nie ma znaczenia gdzie ani jak rozmawiamy. Możemy krzyczeć albo szeptać. Oni nie muszą nas podsłuchiwać. Wszystko wyciągają prosto z naszych głów!

–Uspokój się! – Złapała go za ramiona. Miał rozbiegane spojrzenie.

–Życie to gra pozorów – powiedział, opuszczając głowę. – Jestem spokojny, nic mi nie jest. Szukaj dalej.

Wróciła na swój fotel. Jared zrobił kilka głębokich wdechów. Mimo podłego nastroju zajął się pracą – zainstalował emitery małej mocy na spodzie robotów. Miały odpalić ładunki i przekazać sygnał za pomocą nadajników umieszczonych w jednym z robotów. Chwilę później roboty miały wznieść się wysoko i eksplodować, rozsiewając szczątki po dużym obszarze.

Skoczek krążył powoli nad miastem przypadkowymi trasami. Jared wykonywał wszystkie czynności mechanicznie, zatapiając się coraz głębiej w myślach. Program komplanta Valerie analizował dane demograficzne z kilku niezależnych źródeł.

–Mam już porównania, które chciałeś – powiedziała po kilku minutach. – Poczynając od roku 2150, bo wtedy przylecieli pierwsi osadnicy, do roku 2250 populacja stale rosła. Przyrost niemal liniowy. W roku 2250 było nas dwa i pół miliarda. W roku 2300 doszliśmy do trzech koma cztery miliarda, ale wtedy przyrost już zdecydowanie zwalniał i w chwili obecnej mamy trzy i pół miliarda ludzi. Za rok przyrost ma być ujemny. Różnica, o której wspominałeś, po uwzględnieniu poprawek, to na przestrzeni stu dziewięćdziesięciu lat kolonizacji jakieś pięćdziesiąt tysięcy.

–Mało. Za mało jak na wyjaśnienie.

Wstał i otworzył drzwi. Wiatr wtargnął do ładowni. Jared, trzymając się uchwytów, przytknął pierwszego robota do zewnętrznej powłoki kadłuba. Robot przylgnął

magnetycznymi przyczepami, chwilę potem to samo zrobił drugi i, niżej, trzeci.

Poszukiwacz zamknął drzwi i poprawił zmierzwione włosy.

–Może grób jest tylko jeden? – zapytała reporterka.

–Mało prawdopodobne. Zdjęcia satelitarne pokazują dwa podłużne wgłębienia terenu obok tamtej farmy. Każde z nich ma kilkadziesiąt kilometrów długości i moim zdaniem jest pozostałością sztucznego rowu. Zakładając, że każdy ślad rowu jest grobem, to tylko tam mamy trzydzieści, czterdzieści tysięcy szkieletów. Sprawdziłem pozostałe obszary wyrywkowo i wszędzie znalazłem podobne ślady, niekiedy znacznie dłuższe. Widać je dopiero po specyficznej obróbce obrazu, bo różnią się od otoczenia gęstością piasku. Jeden z tych śladów w okolicy Nowego Londynu wziąłem pierwotnie za zasypane czy też wyschnięte koryto strumienia lub rzeki.

–Myślałam, że kanały na Marsie obserwowano już w poprzednim tysiącleciu.

–Kanałów nie było. Były za to niedoskonałe przyrządy optyczne.

Gdy wrócił na fotel pilota, Valerie popatrzyła na niego uważnie. Wyglądał nie najlepiej.

–Na farmie Mateo powiedziałeś: „Oni nie zmarli śmiercią naturalną”. Skąd to wiesz? Znow przeczucie?

–To nie były kości staruszków – powiedział poszukiwacz z ponurą miną.

–To niewiele. Zapewne nie włączali do statystyk bezdomnych umierających na ulicach. To może być brakujące pięćdziesiąt tysięcy. Tylko dzisiejszego ranka w Nowym Londynie zmarło z powodu zanieczyszczenia ponad sto osób.

–Najwięcej umiera, gdy miasto zasnuwa mgła...

–Nie znaleziono wszystkich, bo jest jeszcze wczesnie. Wielu pewnie nie znajdą wcale – szczury będą szybsze.

–My poczuliśmy się źle po kwadransie, a oni tam siedzą cały czas. Szukaj dalej. Sprawdź lądowania rakiet z Ziemi, ilość wydawanych na lotnisku butelek z wodą, ilość kursów ze *spaceportów* do miast, ilość wydanych kart ID, gdy jeszcze ich używano, etc.

–Tylko tyle? – zapytała z przekąsem, ale posłusznie zaklikała okiem.

Jareda zaczęły drażnić migające i przelatujące okienka robocze, które widział dzięki uwspólnionemu widokowi. Bez odpowiedniego *software'u*, którego nie chciał

instalować, i tak nie umiał ich odczytać. Zwiększył więc transparentność prawie do maksimum i odsunął na bok.

Przez kolejne dwadzieścia minut wsuwał się coraz głębiej w fotel, na przemian walcząc z dopadającą go depresją i z pokusą sztucznego usunięcia jej. To byłoby proste. Tysiące darmowych programików czekało. Wystarczyłoby załadować sobie parę mega i odetchnąć z ulgą. Ale co potem? Za dwa dni, może za tydzień kolejny strzał? Mocniejszy...

Z czarnej studni wyrwał go głos kobiety:

–Z grubsza się zgadza. Rozumiem, że rozbieżności rzędu stu tysięcy cię nie zadowolają?

Potrzebował chwili, by pozbierać myśli i odpowiedzieć:

–Sięgnij do danych na Ziemi. Sprawdź ziemskie biura podróży i ich bazy danych, raporty z odpraw paszportowych w ziemskich portach. Sprawdzaj to bezpośrednio na ziemskich serwerach.

–Nie za dużo? Powiesz mi w końcu, co chcesz znaleźć?

–Coś, co się nie będzie zgadzało. Chcę znaleźć różnicę.

Wziął się w garść i zanurzył w przepastnych zasobach sieci, kierując się wyłącznie intuicją. Z braku lepszego pomysłu zadał Skoczкови lot nad pustynią.

–Czy twoja redakcja ma kontakty do dobrych hackerów? – zapytał.

–Oczywiście. Chcesz wtajemniczyć kolejną osobę?

–Musimy. Przemyślałem to. Rozkodowanie plików Minority jest kluczem do wszystkiego.

–Dobrze. Jest jeden całkiem niezły, pracowałam z nim już. Od niego wiem, że najlepsze zabezpieczenia sprzed stu lat dziś można rozmontować w kilka minut.

–Wyślij mu zaraz linki do plików. Uprzedź go też, że to niebezpieczne.

–Myślę, że dla hackera Elegant i Murzynka nie są problemem. Z własną głową potrafi zrobić porządek.

–Nie wiadomo, na co jeszcze może trafić.

Kolejne minuty dołującego milczenia.

–Biura podróży i odprawy paszportowe – tu też nie znalazłam nic podejrzanego.

–Dalej. Rachunki firm cateringowych dostarczających posiłki na pokład. Liczba pozwoleń na starty statków pasażerskich z ziemskich portów i liczba pozwoleń na lądowania tutaj.

–Nie wiem, po co ci to, ale poszukam. Masz świadomość, że to spore poświęcenie z mojej strony?

–Ja też nieco poszperałem. Przypadkiem trafiłem na coś, co może nas zainteresować. Raport Nowolondyńskiej Rady Lekarskiej w sprawie wad rozwojowych układu kostnego. Sprzed kilku miesięcy. Na samym początku podają zestawienie, z którego wynika, że blisko trzy czwarte obywateli tego okręgu ma wady układu kostnego. Siedemdziesiąt pięć procent.

Reporterka patrzyła na niego długo. Nie doczekawszy się wyjaśnień, zapytała:

–I co z tego?

–Ludzie urodzeni na Marsie cierpią głównie dlatego, że ich ciała rozwijają się w niskim ciśnieniu. Gdyby nie cywilizacja wraz z jej medycyną, ewolucja uporałaby się z tym problemem w kilka tysięcy lat... ale nie o to chodzi. Wszyscy ludzie urodzeni na Marsie mają problemy z kręgosłupem, ze stawami, z gęstością kości. Praktycznie każdy nadaje się do leczenia. Dwa i pół razy mniejsze ciśnienie sprawia, że schorzenia te są mniej uciążliwe, niż by były na Ziemi, ale jednak są.

–Ci, którzy przylecieli z Ziemi, nie są chorzy.

–Ci, którzy przylecieli w wieku szesnastu, osiemnastu lat, są zdrowi – lekki zanik mięśni się nie liczy. Tacy jak ja, którzy przybyli tu jako dzieci, mają pewne problemy, ale nie tak poważne, jak rodowici Marsjanie.

–Mówże normalnie! Ja naprawdę nic nie rozumiem.

–Zwykła matematyka wystarczy, by wykazać, że rodowitych Marsjan powinno być obecnie ponad dziewięćdziesiąt pięć procent.

–Gdzie więc jest te dwadzieścia procent?

–Wiesz chyba gdzie.

Niższe elementy instalacji ginęły we mgle. Niezliczone kominy pluły płomieniami lub dymem w pobrużdżone brzuchy gęstych chmur sprowadzających południe do ponurego wieczoru. Jasnoszary, granatowy, czarny. Artretyczne słupy dymów kolejno zostawały w tyle. Rozmyte matowo setki tysięcy lamp nadawały mgle poniżej wygląd powiększonej kolonii fluorescencyjnych bakterii. Przy niskiej widoczności pojazdy techniczne krążyły bez problemów – piloci mieli w głowach kompletną mapę swojego sektora.

Gravy w tej odległości od miasta formowały już gęste strumienie w połowie odległości pomiędzy mgłą a chmurami. Skoczek leciał dalej od korytarzy i nieco niżej. Autopilot omijał gęstsze wstęgi dymów i słupy gorącego powietrza nad płomieniami.

–Miły widok, co? – z goryczą rzucił Jared. – To dzieło ludzi, nie żadnej siły wyższej. Efekt dotychczasowych wyborów. Decyzji. Tu nadal panuje demokracja.

Wlecieli nad pustynię. Dopiero tam mgłę rozwiewał wiatr, drąc ją na rzadkie, długie pasma.

–Coś mi się nie zgadza – powiedziała Valerie, przerzucając pospiesznie dziesiątki okien, jakie wyskakiwały przed nią w powietrzu, lekceważąc niewielkie rozmiary kabiny. – Sprawdziłam przykładowy okres od roku 2250 do 2300. Podstawą floty pasażerskiej głównych przewoźników były wtedy statki klasy 500. Nazwa ta określała, ilu pasażerów mogły zabierać na pokład. Tymczasem, analizując liczbę startów i lądowań, wychodzi mi, że jednym kursem zabierało się średnio około trzystu osób. To dziwne, bo był to jeszcze okres masowej emigracji.

–Wiem, sam przyleciałem tu frachtowcem. Ojciec ściągnął nas pospiesznie w ostatniej chwili, spodziewając się przetasowań we władzach swojego ugrupowania. Nie było już miejsc na statku pasażerskim. Trzysta osób... Może dokonano zmian konstrukcyjnych?

–Owszem, część floty zmodyfikowano w latach 2255-2271, ale modyfikacja polegała na dodaniu czterdziestu dwóch miejsc w klasie ekonomicznej modeli 500 i trzydziestu ośmiu miejsc w modelach 300. Tych drugich było zaledwie kilka, bo wychodziły już wtedy z użycia.

Poszukiwacz chwilę milczał, po czym odezwał się:

–Wylicz ubytek populacji ziemskiej związany z emigracją na Marsa.

Reporterka wywróciła oczami.

–To niewykonalne! Głowa mnie już boli. Wykorzystujesz mnie.

–Obejrzałem zapis z moich wykopalisk – powiedział, ignorując jej narzekania. – Chwilę przed naszym pierwszym spotkaniem zobaczyłem duchy tych dzieci... Pamiętasz pomnik w Central Parku?

–Owszem. Nadal kręci mnie w nosie.

–Dziewczynka pokazuje coś ręką. Jesteśmy idiotami, że tego wcześniej nie złapaliśmy. Pokazuje coś. Co?

–Nie mam pojęcia.

–Sprawdziłem to w takim stopniu, w jakim wystarczyło mi naturalnej pamięci. Widziałem duszyczki dwa razy. Pokazywały mi coś, ale za każdym razem w innym kierunku. To się nie nagrywa, ale potrafię to odtworzyć. Duszyczka z pustyni pokazywała w przybliżeniu północ, podobnie jak duszyczka z pałacu, chociaż stały pod innym kątem. Sprawdziłem doniesienia o duchach na Ziemi. Nie śmieję się, wciąż mam ciarki na plecach. Duchy nawiedzają konkretne miejsca, pojawiają się w wybranych budynkach, a nawet w pojedynczych pomieszczeniach. Nie podróżują w przestrzeni.

–Więc to nie są duchy.

–Cokolwiek to jest, przekazało mi informację – kierunek. Potrzebuję zapisów z odległych punktów, gdzie widziano zagubione duszyczki. Znajdź mi je.

–Dobrze, ale po co?

–Nie pokazywały niczego, co jest w pobliżu. Jeśli nie potrafisz przekazać informacji o odległości, musisz pokazać kierunek z innego, w miarę odległego miejsca. Na przecięciu się dwóch wektorów będzie właśnie to, co chcesz pokazać. Muszę wiedzieć, co pokazują.

–Zdecyduj się, czego mam szukać: danych o populacji ziemskiej czy doniesień o obserwacji duchów?

–Obu tych rzeczy.

Skoczek sterowany autopilotem przeleciał nad zakazanym obszarem, zniżył lot i kilometr dalej upuścił trzy roboty. Wbiły się pod powierzchnię piasku i pozostały nieruchome.

Jared przejął stery, zmuszając grava do ostrego podejścia.

–Co robisz?

–Chcę ci coś pokazać.

Odruchowo zasłoniła twarz, gdy wlecieli w puszyste kształty. Na szybach zasyczały wypalane kwasem drobinki kurzu. Skoczek zaczął szarpać, ale wciąż się wznosił. Drgania ustały po kilkunastu sekundach. Musieli zmrużyć oczy. Nad nimi było czyste, jasne niebo z białą tarczą słońca; pod nimi szara, miękka i pozornie przyjazna płaszczyzna toksycznych chmur. Niewielkie wybrzuszenia wskazywały większe skupiska gorących kominów poniżej.

–Mars już nie świeci czerwono na ziemskim niebie – powiedział poszukiwacz. – W zasięgu wzroku mamy miliardy ton kwasu siarkowego i innych toksycznych substancji trwających na tej wysokości w chwiejnej równowadze.

–Ale pierścień... – nieśmiało zaprotestowała Valerie, nieco oniemiała. – Wciąż próbują ratować środowisko.

–To wszystko pochodzi z pierścienia. Wodę i inne substancje wykorzystuje przemysł i tylko to tłumaczy jego istnienie. Grunt i powietrze są skażone na setki lat. Technologia, którą dysponujemy, pozwalała na dokończenie terraformowania Marsa, ale nie pozwala na to nasza zbiorowa świadomość. Wiesz, co stało się dziś rano w Central Parku? Przeczytałem w twoim „New London Post”. Gdy opadła toksyczna mgła, zginęli wszyscy mieszkający tam bezdomni. Godzinę po naszym odlocie...

Valerie lekko zbladła, ale odpowiedziała:

–Byli tam od miesięcy. Trucizna kumulowała się w ich organizmach. Ty... ty wierzysz w to, że Mars nas zabije... nas wszystkich, prawda?

–Myślę, że to część naturalnego procesu, w którym ludzka głupota pozbywa się swych nosicieli. Bardziej pasuje mi do tego określenie „samobójstwo”.

–Ładnie powiedziane. A dopuszczasz do siebie myśl, że może nikt nie zabija celowo? Mógł się skończyć budżet całej imprezy. Biurokracja przekreśla wielką szansę na podbój kosmosu. Dlaczego zależy ci na buncie proli?

–Nie mów tak o nich. Nie zależy mi na niczym buncie. Chcę, żeby wiedzieli, nawet jeśli jest za późno.

–Więc wierzysz w demokrację?

–Skomplikowanie świata dawno przekroczyło nasze możliwości pojmowania. Obecny stan umysłów to zniewolenie przez rozpieszczenie. Można mieć wszystko, cóż z tego, żena niby? Dziś rzeczywistość to kwestia wiary, ale uważam, że wolny

wybór jeszcze istnieje. Co z analizą kierunku?

–Jeszcze chwilka. Obszar mi się precyzuje.

Uśmiechnął się, słysząc to sformułowanie przywodzące na myśl skanowanie warstw geologicznych. Czekanie drażniło go, ale wiedział, że niesłusznie. Kilkaset lat temu zdobycie takiej informacji zajęłoby część życia, jeśli w ogóle byłoby możliwe.

W rozwoju technik przekazywania i magazynowania informacji było kilka znaczących etapów. Najpierw pojawiła się mowa, język. Przekazy ustne potrafiły przetrwać wiele pokoleń, ale w sposób nieunikniony ulegały zniekształceniom. Pismo temu zaradziło, ale księgi łatwo było zniszczyć. Nieprzepisywane przez skrybów po kilku stuleciach rozpadały się w proch i zawarta w nich informacja przepadała. Dopiero rewolucja cyfrowa, po ustaleniu standardów, utrwaliła zapis aż do granicy niezniszczalności. Informacje mogły być już przechowywane w kilku miejscach jednocześnie, a bezbłędne ich kopiowanie zapewniło im nieśmiertelność. Globalna sieć sprawiła, że informacje stały się dostępne z każdego miejsca, gdzie dotarł człowiek. Teraz problemem najczęściej był nie tyle brak lub niedostępność informacji, ile jej przytłaczający nadmiar, z którego trudno było wyłuskać coś naprawdę ważnego.

Ostateczną formą utrwalenia było wyemitowanie falą radiową w kosmos. Nośnika, którym jest sam wszechświat, nie można przecież zniszczyć. Jediną trudnością w odzyskaniu tak zabezpieczonej informacji było dogonienie jej.

–Wybrałam kilkanaście przekazów w miarę precyzyjnie określających kierunek – odezwała się Valerie. – Program przeanalizował wyłącznie kierunek, jaki wskazuje dziewczynka, i wyrzucił mi obszar leżący kilkadziesiąt kilometrów na północ od Nowego Londynu. Wygląda na to, że miałeś rację.

Skoczek zanurkował w chmury, a Valerie złapała się poręczy fotela.

–Mówiąc wprost: tak, uważam, że zginiemy. – Po stężącej twarzy Jareda przemykały cienie. – Przemysł zużyje cały tlen, po powierzchni będzie szalała jedna, wielka, niekończąca się burza piaskowa. Wtedy zginiemy.

*** * ***

Obszar wyznaczony przez program był okręgiem o średnicy kilometra. Z lotu ptaka, oglądany we wszelkich możliwych pasmach, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Pustynia i niskie, krótkie wydmy. Trochę kamieni.

Wyszli na zewnątrz. Kobieta poprawiła ciężki płaszcz i rozglądała się wokoło. Wypuściła obie kamery, by przeczesać teren. Jared zapakował do torby emitery pirotechniczne i teraz patrzył wyłącznie pod nogi, czubkiem buta przesuwając

piasek. Przerwała mu ikona rozmowy przychodzącej na dole pola widzenia i donośne pipczenie w uchu. To coś, co przebiło się przez filtry, nie było reklamą. Było elektrologiem, którego Jared odwiedził wczoraj.

–Mam już wyniki – powiedział lekarz, pojawiając się na pustyni. – Nie są zbyt dobre.

–A konkretnie? Nie bardzo mogę teraz rozmawiać.

–Wszystko, co się z panem dzieje, może być złudzeniem. Wszystko co pan widzi i słyszy.

–Nawet pan.

–Sprawa jest poważna. Musi się pan podłączyć bezpośrednio do naszego robota medycznego. Kuracja bezprzewodowa niesie ze sobą zbyt wysokie ryzyko.

–Jeśli poruszam się wewnątrz iluzji, jak mogę do pana dotrzeć?

–Już poruszaliśmy ten temat. Wystarczy, że ja wiem, że nasza rozmowa odbywa się naprawdę.

–Jeśli pan nie istnieje, to pańska wiedza nie jest wiele warta.

Elektrolog westchnął.

–Po prostu proszę przylecieć. Wirus, który pan złapał, może być zaraźliwy, więc jeśli nie zgłosi się pan sam, odetnie pana system. Nic na to nie poradzę. To grozi masowym zatruciem *software’owym*.

Zniknął, zrywając połączenie. Jared zaczął się głośno śmiać i równie nagle spowaźniał.

–Mój nie pofatygował się osobiście – powiedziała Valerie, która oczywiście widziała i słyszała rozmowę. – Przysłał mi podobną w treści wiadomość. Nie chciałam ci mówić...

–Więc wiesz już, że wszystko wokół może być na niby. Ale w to nie wierzysz.

–To aż taka różnica?

–Zasadnicza. Poinformować jest łatwo, przekonać znacznie trudniej.

–Wierzysz w Boga?

Poszukiwacz rozejrzał się po szarej okolicy, jakby spodziewał się Murzynki bądź Eleganta.

–Wierzę – odparł – choć wiem, że nie istnieje.

–Żałuję, że zapytałam...

–W życiu pewne jest tylko to, że nic nie jest pewne. Nie ma rozwiązań ostatecznych. Wszystko, co istnieje, to rozciągnięte w czasie zjawiska. Most, budynek, planeta, gwiazda, wszechświat. Zjawiska.

–Wszystko jest tymczasowe?

–Tak, a i ta tymczasowość w końcu musi przeminąć. Nasza obecność na tej planecie nie jest wyjątkiem. Myślę, że wystarczy już tego czekania – poszukiwacz uciął rozmowę. Aktywował zadane makra w komputerach pokładowych robotów oddalonych o kilkanaście kilometrów. Miały przelecieć na nowe pozycje, zagrzebać się w piasku i po kilku minutach odpalić ładunki. – Twoje zielone. – Wręczył kobiecie cztery emitery wraz ze współrzędnymi niezbędnymi do ich rozmieszczenia.

Nic nie wyjaśniając, odszedł w stronę najbliższej czerwonej wirtualnej chorągiewki wystającej z piasku trzysta metrów dalej. Valerie wruszyła ramionami, odwróciła się i odszukała wzrokiem pierwszą zieloną chorągiewkę.

*** * ***

–Odezwał się do mnie Szperacz – powiedziała, gdy po półgodzinie spotkali się przy Skoczku. – Upomniał się o pieniądze. Mówił, że wysłuchaliśmy go i uciekliśmy. Przeprosiłam i zapłaciłam.

–Czy mówił coś o latającej Murzynce?

–W pewnym sensie tak. Powiedział, że byliśmy we trójkę.

–Może to taki żart?

–Wspomniał coś o „zmodernizowanej hormonalnie” kobiecie, która była z nami. Nie wyjaśniałam tego, bo byłam zajęta wbijaniem tych twoich emiterów.

–Czy to nie był kontakt od tego reportera, który zginął trzy lata temu?

–Możliwe, ale nie masz powodu do zazdrości. Miał wtedy prawie sześćdziesiąt lat.

–Szedł tym samym tropem, co my...

–I zginął.

Jared mrugnął. Stłumione puknięcia i fontanny piasku potwierdziły odpalenie ładunków.

Obraz wyostrzał się kilkanaście sekund. W milczeniu patrzyli na wirtualny krajobraz pod stopami. Stali czterdzieści metrów ponad ruinami jakiejś ogromnej budowli. Szczałki były porozrzucane na obszarze większym niż zasięg skanu. Zachowała się jedynie podstawa – kwadrat o boku trzystu metrów ułożony z wielkich, kamiennych bloków.

–To nie jest forma naturalna – zauważył poszukiwacz. – Wygląda, jakby rozsadziła ją potężna eksplozja. Uruchomił program rekonstrukcji architektonicznej. Bloki drgnęły, uniosły się i wpływały do wnętrza kwadratu, po drodze naprawiając pęknięcia i ubytki. Klocki wskakiwały na swoje miejsca. Budowla rosła w oczach, widmowymi ścianami wznosząc się ponad piasek. Luki w konstrukcji zapełniały się dodanymi przez program elementami. Ciszę zakłócał jedynie szelest ziarenek piasku przesuwanych słabym wiatrem. Gdy ostatni klocek wskoczył na sam szczyt, dzieło zostało dokonane.

–Niesamowite – szepnęła Valerie.

–I gdzie są ci, którzy powiedzieli, że wybrałem złą planetę? – Poszukiwacz z trudem powstrzymywał wzruszenie. – To przecież piramida!

Świeący model, potężniejszy od największej ziemskiej piramidy, szczytem celował w ponury dywan chmur.

–Mówiłam... Cydonia! Piramidy i Twarz. Mamy sensację!

–Cydonia jest daleko stąd. – Jared zmarszczył brwi i przesunął dłonią ponad gruntem. Liczby przed jego oczami wskoczyły na wyższe wartości. – Mamy podwyższony poziom radiacji. Zniszczono ją, i to niedawno. Nie dalej niż trzysta lat. Krawędzie kamieni są zaokrąglone przez czas, pęknięcia są ostre.

Valerie widziała wskazania cyfr umocowanych pół metra przed jego twarzą.

–Trzysta lat temu kontrolowanymi reakcjami nuklearnymi podgrzewano grunt, by oddał wodę – przypomniała.

–Widać energia nuklearna służyła nie tylko temu.

–Po co ktoś miałby to robić?

Jared zadarł głowę, wpatrując się w szczyt wirtualnej piramidy.

–Żeby nikt nie wiedział, że już tu byliśmy. I że przegraliśmy.

–Czy... czy to samo zrobiono z resztą budowli, które zdołały przetrwać dwadzieścia siedem tysięcy lat? Cydonia...

–Zrobili to wszędzie. Twarz zamienili w bezkształtne rumowisko jeszcze w dwudziestym wieku. Publikuj, póki możesz.

–To nie wszystko – zaprotestowała reporterka. – Zaczekam na wyniki z zakazanego obszaru.

–Za trzy minuty odpalą ładunki. Za cztery będzie skan.

–Nie możemy go tak od razu ściągnąć! Domyślą się, że to nasze dzieło.

–Od dawna już wiedzą. Przylecą po nas, gdy tylko usłyszą wybuchy w zakazanej strefie.

Wyświetlił jej się rezultat poszukiwań, błysnął ponagającym wykrzyknikiem.

–Mam wyniki demograficzne, o które prosiłeś – powiedziała. – Aproksymując dane z krajów mniej cywilizowanych, na podstawie... Mniejsza o szczegóły. Różnica, której szukałeś to...

Nie musiała kończyć. Widział wynik bardzo wyraźnie. Czerwone cyfry świeciły w powietrzu – blisko cztery miliardy.

Według tych danych Ziemię opuściło cztery miliardy ludzi więcej, niż wylądowało na Marsie.

–Musieli być w bazach danych – powiedział cicho – ale wykasowano ich już potem. Muszą być jakieś archiwa...

–Nic z tego – powiedziała zmęczonym głosem. – Żadnych więcej poszukiwań. Głowa mi pęka.

–Cztery miliardy! Znacznie więcej, niż przypuszczałem.

Usiedli na piasku, patrząc na piramidę.

–Gdzieś wyparowała czwarta część obywateli tej planety i nikt tego nie zauważył? To niemożliwe.

Jared wstał i nerwowo rozejrzał się.

–Nie mam łączności – wyszeptał.

Chwilę później znikł również uwspólniony widok. Valerie złapała go za rękaw.

–Odcięli nas! – krzyknęła. – System nas odciął. To kwarantanna.

–Niestety nie...

Rozglądał się już w oczekiwaniu na kanciasty kształt na niebie. Nie zawiódł się. Hormann pojawił się nisko nad horyzontem, od strony miasta. Ucieczka była bezcelowa.

Wylądował. Wybiegło z niego kilku identycznych Elegantów. Jeden z nich złapał kobietę od tyłu za ramiona. Szarpała się, próbując się wyrwać, ale nie miała żadnych szans. Kilka metrów od Jareda stało jeszcze kilku sobowtórów Eleganta. Każdy trzymał w dłoni identyczny pistolet. Jeśli byli fantomami, to kobieta szamotała się sama ze sobą.

Jako ostatni stanął na piasku szczupły mężczyzna w nowym płaszczu pustynnym. Opierał się na czarnej lasce z wprawionym w rękojeść czerwonym kamieniem. Hope Haines. Reporterka, widząc go, znieruchomiała. Dwóch Elegantów bez trudu wepchnęło ją do wnętrza pojazdu.

–Nie słuchałeś ostrzeżeń. – Haines podszedł do Jareda. – Czego ty właściwie chcesz? Zabrać tym ludziom resztkę nadziei? Nie dość ci, że mają niebo zasnuwane dymem i jałowy grunt? Wszyscy tu, na Marsie i tak są skazani na zagładę. Nie potrafimy ustabilizować kąta rotacji planety i już nie będziemy potrafili. Oceany ze swoimi przyływami i odpływami by nam pomogły, jeśli mielibyśmy prawdziwy księżyc, ale sam rozumiesz, że oceany nigdy nie miały się tu pojawić. Podobnie jak księżyc. I jak lasy.

–Obiecywaliście...

Hope rozłożył ramiona, śmiejąc się.

–My? Jacy „my”? Nie ma żadnych „nas”. To wszystko dzieje się samo. Zbiorowa świadomość nie ma lidera. Ktoś kiedyś próbował tu zasadzić las i mu nie wyszło. Twój ojciec był jednym z tych, którzy obiecywali.

–Więc kto cię przysłał?

–Ja, i jeszcze paru ludzi, chcemy bezpiecznie i bogato wrócić na Ziemię, ale najpierw musimy dokończyć kilka spraw. Unikamy kłopotów.

–Ja jestem kłopotem? A jeśli zawrzemy umowę? Obiecuję, że nikomu nie powiem. Będziecie mogli mnie zabić, jeśli coś ujawnię.

Hope uśmiechnął się.

–Na ogłoszeniu odkrycia zależy ci przecież bardziej niż na życiu.

Ta rozmowa nie miała sensu! Czytali jego myśli, wiedzieli, jak zareaguje. To jasne. Znali każdy bit pamięci jego komplanta.

Jared rozejrzał się niespokojnie. Eleganci stali nieruchomo między załomami rusztowań, za stalowymi kontenerami, w absydach z rur i zaworów. Zachmurzone niebo przeświecało między wielopiętrowymi instalacjami.

Skąd tu się wzięły te wszystkie rury?

–Jeden z nich jest prawdziwy i to on cię zastrzeli – powiedział Hope, opierając się o fundament stalowego filara. – Wierz mi, że robię to z przykrością, ale skracam tylko twoje cierpienia. Tlenu ubywa w tempie pół procent rocznie. Nawet, gdybyś się załapał do jakiegoś habitatu (a powstają coraz liczniej), to na paczkę żywnościową z Ziemi raczej nie masz co liczyć. Aerostaty dryfują przyzwyczajeniem. Nie produkują już tlenu. Zdechły. Bez tlenu neorośliny w fabrykach żywności też zdechną. Niedobitków załatwi zmieniający się klimat. Nic nie poradzisz. Po co więc żyć?

–Zanim... Przedtem... Chciałbym poznać prawdę.

–Niech ci będzie. To, co powiedziałem wtedy w pałacu, to była niemal cała prawda. Niemal, nic bowiem o Marsjanach nie wiemy. Ani kim byli, ani dlaczego tu przybyli, ani dlaczego zginęli. Sam zgaduję, że ta cywilizacja pochodziła z północnej Afryki, ale mogły to być i tereny dzisiejszych Indii. Nie było żadnych badań. Wszelkie ślady zatarto, żeby nie wzbudzać niezdrowej sensacji, a miejsca, w których znajdowały się ruiny, wymazano z map. Po co mącić ludziom w głowach...

–To musiała być cywilizacja globalna. – Jared pokręcił głową. – Inna nie poleciałaby w kosmos, mając wokół siebie tereny do ekspansji. Zmarnowaliście taką kopalnię wiedzy o naszej przeszłości...

–Na twoim miejscu martwiłbym się o własną przyszłość.

Jared uniósł wzrok.

–Zniszczyliście piramidy, ale nie ukryliście ruin dość dobrze.

–Któż trzysta lat temu mógł przypuszczać, że będziemy szukać wody w sposób, w jaki ty to robisz?

–Czym był projekt Minority?

–Odnoszę wrażenie, że marnujesz mój czas. Po co mam ci przekazywać informację, która za minutę i tak wraz z tobą ulegnie zniszczeniu?

–To jedyny powód, dla którego możesz mi ją przekazać. Choć fakt: raczej nie będę

się mógł odwdziżyć.

–Poczucie humoru trzyma się ciebie do końca. Pamiętam cię jako dziecko... Powiem ci to tylko przez wzgląd na twojego ojca. Projekt Minority to uproszczone określenie procesu, który i tak musiał nastąpić. Oznacza masową eksterminację ludzi o określonych cechach. Bez względu na rasę, wyznanie czy przynależność narodową.

–Przecież projekt rozpoczął się, zanim tu wykopano pierwszy grób!

–Już wtedy było wiadomo, że będzie wykopany – Hope się rozkręcał. – Nikt, nawet wszyscy ludzie razem, nie mogli temu przeszkodzić. Wiesz już chyba sam: Mars jest wielkim obozem koncentracyjnym. Wielopokoleniowym. Jedyne skąd przedsięwzięcia sprawia, że nikt tego nie dostrzega. To wyjaśnia, dlaczego ekonomiści łamali sobie głowy nad brakiem bezrobocia i kryzysów gospodarczych. Do likwidacji wybierano bowiem głównie ludzi dobiegających kresu wieku produkcyjnego i notorycznych nierobów. Problemy były takie same, z jakimi stykali się zawsze projektanci i administratorzy tego typu miejsc. Tylko że tutaj były one o tyle większe, o ile większa była powierzchnia i populacja. Nie można wylądować liniowcem pasażerskim na pustej planecie, wysadzić na pustyni pięciuset osób i tak po prostu ich zabić. Musiała powstać administracja, miasta, telekomunikacja i cała reszta; słowem – maska, która wygląda jak prawdziwa, szczęśliwa kolonia. To miało zwabiać następnych. Ludzie, również przyszłe ofiary, mieli normalnie żyć i pracować, czekając na swoją kolej. Wiedzano, że uda się zlikwidować tylko mniejszą ich część, stąd nazwa projektu, ale „wydajność” okazała się jeszcze niższa. W końcu projekt ugrzązł w tej masce i zupełnie przestał funkcjonować. Dzisiejszy Mars to pozostałość, efekt uboczny tamtej maszyny.

–A sumienie?

–Moje jest czyste. Każdy z nas kiedyś się o tym dowiedział. To nie było przyjemne, ale musimy z tym żyć. Musimy troszczyć się, by to wspomnienie nie zniszczyło pamięci naszych dokonań na tej planecie.

–Stabilności...

–Tak, stabilności. Nie można żyć przeszłością. Co się stało, to się nie odstanie. Zresztą pomyśl o tych wszystkich pokoleniach, które przeżyły tutaj szczęśliwe życia. Gdyby nie Minority, oni by się nigdy nie narodzili. Dziesięć żyć za jedną śmierć. Jak dla mnie, wychodzi na plus.

–Ładna matematyka. Ale po co to wszystko? Czy nie wystarczyło wyeksponować chętnych i zostawić ich swemu losowi? Po co te groby?

–Groby... Musiały być, by zrobić miejsce dla następnych.

–Stąd miasta na środku pustyni? Chodziło o miejsce na groby?

–Metropolia i nekropolia. Tak było zawsze.

–A nie martwiliście się o biomasę? Może jeszcze trzeba ich było przerobić na konserwy.

Hope skrzywił się z niesmakiem.

–Przydzieliliś mi rolę adwokata w sprawach, które wydarzyły się sto lat przed moim urodzeniem.

–Jak to możliwe, że zamordowaliście cztery miliardy ludzi i nikt tego nie zauważył?!

–Dobrze, czemu nie? Powiem ci. Naszym największym sprzymierzeńcem były absolutna jawność i wolność. Bez jakiegokolwiek zezwolenia można było przemieścić się w dowolne miejsce na planecie. Nikt tego nie kontrolował. Jeśli człowiek zniknął, wystarczyło wymazać go z baz danych urzędów i ślad zniknął również. Takie drobiazgi jak przeniesienie przeszłych wpłat podatków na inną osobę załatwiał odpowiedni program. Robiono to tak: wybierano zamkniętą grupę. Niekoniecznie musieli to być znajomi, ale ludzie, którzy kontaktowali się ze sobą wewnątrz umownej grupy i mieli luźne kontakty z innymi. Na tyle luźne, żeby nikt spoza grupy nie zaniepokoił się ich zniknięciem lub żeby dało się ten niepokój łatwo zobojętnić. Oczywiście idealne grupy zamknięte nie istnieją. Tak więc trzeba było stosować metody pomocnicze. Na przykład fałszywe oferty pracy. Facet sam opowiadał na prawo i lewo, że dostał nową pracę w innym mieście, i wyjeżdżał. Potem preparowano kilka listów uśmiercających stare znajomości. Metod mogło być wiele. Śmierć pięciu zdrowych sąsiadów każdego by zdziwiła, ale ich wyjazd, pod byle pretekstem, już nie. Czasem trzeba było rozbić małżeństwo... Sam fakt, że ktoś się tu znalazł, predestynował go do utylizacji – kampanie reklamowe Marsa trafiały w konkretne gusta.

–Ktoś mógł się tu znaleźć przez przypadek.

–Jeśli ktoś dostał się tu przez przypadek i potrafił wrócić, to znaczyło, że należy do tej lepszej części ludzkości. Do większości. Nie było w tym żadnej celowości, w ludzkim rozumieniu tego słowa. Działo się to niejako samo, w wyniku aktywności jakiegoś bardzo złożonego mechanizmu. Drzewo pozbywa się liści na jesień, choć nie można wskazać ośrodka decyzyjnego, który jest za to odpowiedzialny. Taka jest naturalna kolej rzeczy. Eskimosi zostawiali słabych członków plemienia, by ci zamarli i nie byli ciężarem dla grupy. Najsłabsze pisklaki są przez rodzeństwo wypychane z gniazda. Czy to można rozpatrywać w kategoriach dobra i zła? Ludzkość (nie ludzie) zrobiła to samo, korzystając z dogodnej okazji. Pozbyła się balastu – tej części, która zatrzymywała resztę w jej dalszym rozwoju. Tak, jesteś śmieciem na wysypisku.

–Czy po to samo skolonizowaliśmy Marsa poprzednio? Autoholocaust?

–Raczej samooczyszczenie. Zrozum wreszcie, że nikt nie jest za to odpowiedzialny bardziej niż ty albo ta reporterka. To proces naturalny.

–Co zrobicie z Valerie?

–Z nią można negocjować... Powtórzę jej swoją propozycję.

–Musieli być ludzie, którzy fizycznie zabijali. Faszyzm, komunizm też nie działały się same.

–Idee karmią się ludzkimi myślami. To proste, ludzie sami to sobie robili. Ktoś musiał, a przecież łączyło się to z rozlicznymi korzyściami. Działał mechanizm „Jeśli nie ja, to i tak znajdzie się chętny. Zło zostanie wyrządzone tak czy inaczej, a ja nic nie zyskam”.

–Wszyscy mogli odmówić.

–Zaprzeczasz naturze ludzkiej. Trend jest silniejszy od woli jednostki. Weźmy przykład, pierwszy z brzegu. Naturalną konsekwencją rozwoju cywilizacji technicznej jest wynalezienie telefonu. To oznacza, że wkrótce potem powstanie ministerstwo łączności i będą w nim pracować jacyś ludzie. Rozumiesz? Natura nie znosi próżni. Ty się oprzesz, stu się oprze, ale sto pierwszy da się wciągnąć. Tak było, jest i będzie. Zresztą można zabijać, nie stając się mordercą.

–W jaki sposób?

–Trzy osoby: pierwsza przygotowuje truciznę i przekazuje drugiej osobie, nie wiedząc, co tamta ma z nią zrobić. Druga wysypuje truciznę do jedzenia trzeciej osoby, nie wiedząc, że to trucizna. Ktoś umrze, ale mordercy nie będzie.

–Mordercą będzie ten, kto to zorganizował.

–Minority, czyli nikt. Natura naszego gatunku.

–A jak to było naprawdę? Jak to robiono fizycznie? Musiały istnieć całe rzesze morderców.

–Nie znam szczegółów. Może przychodzili po wytypowane ofiary w nocy, niedługo po przeprowadzce, nim zdążyły się zawiązać jakiegokolwiek znajomości?

–A może powiesz mi, kim jest latająca Murzynka?

–Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

–Czy uznano mnie za wroga systemu?

–Wróg systemu?! Nie ma czegoś takiego! Nie stanowisz zagrożenia dla systemu polityczno-gospodarczego Marsa, jeśli o to ci chodzi, bo system właśnie rozpoczyna wieloletni proces autodestrukcji. Wszelkie inwestycje powoli zamierają. Mars zwrócił się, przynosząc dochód przekraczający kilka tysięcy razy łączne nakłady. Ziemia jest bogata, zdrowa, szczęśliwa.

–Jesteś pewien, że twoi przyjaciele cię tam zabiorą?

–Mars będzie martwy, jak i był – kontynuował niezrażony Hope. – Nikt nic nie stracił. A wielu zyskało.

–Skąd pewność, że coś takiego jak Minority w ogóle może istnieć? Nikt tego nie badał?

–Postęp naszego poznania nie tyle pomaga nam zrozumieć złożoność świata, ile raczej stawia przed nami coraz więcej nowych zagadek i uświadamia nam naszą małość. Potrafimy udowodnić istnienie wielu wymiarów, ale i tak nadal poruszamy się tylko po czterech. Co gorsza, tak naprawdę dobrze sobie radzimy tylko w dwóch. Do poruszania się w pionie potrzebujemy już wszelakich urządzeń, a po czwartym wymiarze po prostu dryfujemy bezwolnie. Jesteśmy być może jak mrówki, które większych od siebie zwierząt nawet nie dostrzegają i trwają w przekonaniu o własnej potędze. Minority to jak kryzys gospodarczy. Nazwa zjawiska powodowanego przez ludzi, ale będącego poza ich kontrolą. Zbrodnia, którą zarzucasz pewnym osobom polega tylko na nadaniu nazwy. Czy ten, kto nazwał tornado, jest winien wszystkich zniszczeń powodowanych przez nie? Nie ma winnych! Wskaż planujących migracje ludów bądź sterujących powstaniem Stanów Zjednoczonych od momentu zatwierdzenia budżetu wyprawy Kolumba.

–Sztuczna inteligencja?

–Nie. W pełni naturalna.

–Nie przekonasz mnie. Informacja i tak zostanie opublikowana!

–Nie zamierzamy blokować publikacji, nawet jeśli „New London Post” zdecyduje się to puścić, w co wątpię. Wiemy o ubezpieczeniu informacyjnym pani Pinard. Nie będziemy polować na kolejną sensacyjną plotkę o odkryciu Marsjan. Jedna więcej teoria w tym tygodniu, jedna mniej. Sami ostatnimi czasy zmyśliliśmy kilka. Co za różnica? Nie będziemy wam zatykać ust. Wy po prostu nie przekrzyczycie hałasu, który was otacza. Nie słyszycie go? Tu nie ma miejsca na prawdę! Prawda jest zbyt wieloznaczna, trudna, nieprzyjemna. Prawda jest zbyt niewiarygodna, nierealna, by ktoś w nią uwierzył. Elektryczne sny to sens istnienia tych wszystkich ludzi. – Wykonał gest w stronę miasta i dalej. – Oni nie chcą prawdy. Twojej, ani żadnej

innej. Wiesz przecież o tym i nie masz pomysłu, co na to poradzić. Zresztą za chwilę takie sprawy nie będą już zaprzętać twojej głowy.

Jeden z Elegantów zamienił się na chwilę w elektrologa, ale może było to tylko złudzenie wywołane słabym światłem.

–Jeśli nie boisz się stać tak blisko mnie, to albo ufasz szybkości tego jednego prawdziwego goryla, albo sam nie jesteś prawdziwy.

–Może to ty nie jesteś prawdziwy? Nie pomyślałeś o tym wcześniej, prawda? – Hope zaśmiał się.

Jared uniósł ręce i spojrzał w dół. Przeszedł go zimny dreszcz. Miał na sobie grafitowy garnitur. Był jednym z Elegantów. Był w manekinie!

–*Full dummy* - potwierdził rozbawiony Hope, widząc jego przerażenie. – Prosta sztuczka, jeśli się dysponuje odpowiednią technologią. Masz tylko potrójne zabezpieczenia, więc trwało to chwilę – czytam w twoich myślach, przynajmniej tych elektrycznych, jak w otwartej księdze. Twoje ciało leży na pustyni kilka kilometrów stąd. Nie, nie zabiłem cię jeszcze, ale mogę przejąć nad nim kontrolę i upozorować samobójstwo albo popełnić tobą, że się tak wyrażę, przestępstwo, mając na to dowolną ilość świadków. Uprzedzając ewentualne próby, wyjaśniam, że nałożono ci inteligentne blokady motoryczne i nie możesz mnie zaatakować, a nasz czas nie jest tym razem limitowany.

Jared czuł jednak nadal swoje prawdziwe ciało. Zaczynała mu właśnie drętwieć prawa ręka, na której prawdopodobnie leżało. Rozmasował ją, co oczywiście nie dało żadnego rezultatu.

–Właściwie za to cię lubię – ciągnął Haines. – Zamiast prosić o łaskę, wdajesz się w nieistotne dyskusje. Hm... A może w pewnym sensie są istotne, skoro koniec dyskusji ma oznaczać koniec życia. To interesujące: całe twoje przyszłe życie to ta dyskusja.

–Nie muszę prosić o łaskę. Mam ubezpieczenie informacyjne.

–Masz na myśli tę teorię o Marsjanach? Nikt nie odkopie tej piramidy, żeby sprawdzić, czy to prawda.

–Mam na myśli informacje o twojej roli w projekcie Waterfall.

Hope zbladł i zerknął nerwowo na Eleganta stojącego pod transformatorem, zdradzając tym samym, który z nich jest prawdziwy.

–Nic nie możesz wiedzieć... – wysyczał przez zęby.

–Nie zniszczyłeś wszystkiego. Gdy aresztowano mojego ojca, nikt nie zwracał uwagi na pięciolatka płaczącego się między policjantami. Co więcej, wyrzucili mnie i moją siostrę i zostawili własnemu losowi. Zabrałem kryształ pamięci z backupem jego korespondencji, myśląc, że zawiera moje gry. Twoje życie zależy od zawartości kryształu.

–Nawet jeżeli, to po tylu latach...

–Nigdy nie zamknięto śledztwa. Martwa maszyna wciąż działa.

Mierzyli się wzrokiem. Hope walczył sam ze sobą, miotając się pomiędzy wściekłością a bezsilnością.

–Dobrze... – Złość wyparowała z niego do reszty. Oklapł, ale wyglądał również na człowieka, któremu ulżyło. – Dobrze... Kupiłeś swoje życie. Skąd wiedziałeś, że ze mną będziesz o nie grał?

–Nie wiedziałem. Materiały zbierałem latami, żeby oczyścić imię ojca, ale teraz to już nie ma znaczenia. O Waterfall nikt nie pamięta, Minority nie istnieje.

–W tym drugim się mylisz – powiedział cicho Hope. – Maska go przygniotła, ale lawina idzie dalej. Największe dzieło dopełni się wraz ze śmiercią ostatniego człowieka na Czerwonej Planecie. Trudno to pojąć, prawda? To naprawdę dzieje się samo. Siła stojąca za Minority sprawiła, że doprowadziliśmy tę planetę do stanu, który nas zabije w ciągu kilku lat. Memorganizmy, których jesteśmy budulcem, komórkami, bawią się nami, jak chcą. Jeden trend zabił inny, wysyłając jego ciało (nasze umysły) na pewną śmierć tutaj.

–Potyczki gigantów...

–Tak. Śmiało! Rozgłoś to! Opublikuj wszystko z najwyższym priorytetem! Nikt się nie przejmie. I... nie posłałem twego ojca do więzienia. Sam się tam posłał. Nie potrafił w odpowiednim momencie wyhamować. Był złym politykiem, sam wyszedł pod kule. Teraz ty chcesz zrobić to samo.

Odwrócił się i wszedł do statku. Eleganci, jak cienie, kolejno podążyli za nim.

*** * ***

Szare chmury ciężko sunęły po niebie. Jared podniósł się z ziemi, masując zdrętwiałą rękę. Żadnych intruzów – tylko świecący wciąż model piramidy i leżąca kilka metrów dalej Valerie. Podbiegł do niej, przyklęknął i uniósł jej głowę. Otworzyła oczy. Spojrzała na niego, potem na piramidę.

–Nic mi nie jest. – Wstała i rozejrzała się. – Eleganci wciągnęli cię do tego grava, a

ja byłam z Hope'em w strefie przemysłowej. Chyba upadłam...

–On nie będzie nas więcej niepokoił.

Nie odnowiła uwspólnionego widoku.

Nie dbając o bezpieczeństwo ani pulsującą na czerwono ikonę Suflera Prawnego, otworzył plik wprost z sieci. Dzięki trzem emiterom obraz był ostry, ale bez szczegółów i niezbyt rozległy. Białe pokłady wapnia kładły się wyraźnymi wstęgami w kwarcowym otoczeniu.

–Mam wyniki skanu – powiedział. – Cztery warstwy szkieletów oddzielone cienkimi warstwami ziemi. Jeśli podobnie jest wszędzie, to rachunek się zgadza.

–To straszne.

–Hope powiedział, że to proces naturalny.

–Hope to kłamca.

–Nie tym razem. Mówił prawdę, bo myślał... nieważne. Skan sięga głębiej. Dwadzieścia metrów poniżej grobów sprzed stu pięćdziesięciu lat są następne trzy warstwy i pokrywają się niemal idealnie. Historia się powtarza, a zawsze kolejnym etapem jest zagłada.

Wziął saperkę, wyznaczył dokładny środek piramidy i zaczął odrzucać piasek na pryzmę kilka metrów dalej. Valerie usiadła na ziemi i przyglądała mu się w milczeniu. Po kilku minutach dół miał prawie trzy metry głębokości. Poszukiwacz otarł pot z czoła i wdrapał się na powierzchnię. Wezwał stojącego trzysta metrów dalej Skoczka i znikł w środku. Po dłuższej chwili wyłonił się z ładowni, pchając przed sobą kontener. Wrócił do wykopu i otworzył klapę. Kości wypłynęły, układając się w dwa małe, przytulone do siebie szkieleciki. Nie tracąc kształtu, powoli opadły na dno. Jared przyklęknął przy usypanej pryzmie i zaczął zasypywać grób, uważając, by zbyt mocnym strumieniem piasku nie poruszyć kości wciąż trzymany w ryzach pola kontenera. Gdy po dole nie było już niemal śladu, poszukiwacz odrzucił saperkę i ukląkł ciężko na piasku. Ręce drżały mu ze zmęczenia. Sięgnął do ustnika i pociągnął kilka głębokich wdechów tlenu.

–Elektryczne sny są niematerialne – powiedział. – W nich wszystko wydaje się prawdziwe, a próżność zaspokaja się zmianą kilku bitów w kryształowych pamięciach serwerów.

Kobieta położyła mu rękę na ramieniu.

–Redakcja nie puści mi materiału – powiedziała cicho. – Nie uwierzyli w to.

Próbowałam ich przekonywać, ale powiedzieli, że nawet jak przekonam ich, to nie przekonam innych. Może gdyby chodziło o eksterminację jednego miasta... Gdybyśmy znacznie zmniejszyli skalę... Może wtedy.

Jared opuścił głowę i zamknął oczy.

–Fragment prawdy to przecież kłamstwo.

–Mówią, że jak ktoś nie uwierzy od razu, to nie zada sobie trudu dalszego myślenia. Łatwiej nie wierzyć.

–Więc to koniec?

Przytaknęła. Jared wstał i wyłączył wizualizację piramidy. Kamienne bloki rozsypały się, powtarzając nuklearne zniszczenie sprzed lat. Bezmaturalne skutki eksplozji rozeszły się w okręgu o średnicy dwóch kilometrów. Wirtualny grzyb atomowy wniknął szczytem w chmury, nie burząc ich monotonnej szarości, po czym rozplynął się, zamykając program. Prawdę, zbyt prawdziwą, by w nią uwierzono, znów ukryły piaski pustyni.

–Odezwał się też nasz hacker – powiedziała Valerie. – Dobrał się do plików, których adresy mu podałam, i sam trafił na kilka następnych tropów. Chce je pobrać i rozkodować. Czekają na nasze potwierdzenie.

–Użyje pewnie jakiegoś biedaka. Nie boi się? Można wyśledzić go, idąc wstecznym tropem.

–Wszystko można sprawdzić. Sztuką jest minimalizacja ryzyka. Pierwszym *deadmmy* powinien być ktoś, kto umrze, nim do niego dotrą. Skazaniec, ciężko chory lub nawet pilot rakiety, która straciła ciąg i zaraz ulegnie katastrofie. Istnieje cały rynek baz danych potencjalnych *deadmmies*. Ty też tam trafisz, gdy dopadnie cię solidna depresja. Gdy samobójca staje na krawędzi dachu, już dobija się do jego głowy zastęp hien.

–Znasz się na tym, widzę.

–A ja widzę, że twoje sumienie jest dziwnie spokojne.

–O moje sumienie się nie martw. Jak ktoś ma umrzeć, to umrze.

–Musisz wiedzieć, że samobójcy często się w ostatniej chwili rozmyślają, ale samobójca użyty jako *deadmmy* już nie ma takiej szansy.

–Cztery miliardy...

–Więc ten jeden człowiek nie robi różnicy? To chciałeś powiedzieć?

Poszukiwacz zacisnął pięści.

–Nie drażnij się ze mną. Jeśli znasz lepszy sposób, powiedz od razu.

–Znam, owszem. Zostaw tę sprawę w spokoju. I tak mi tego nie puszczą.

–Chcę tylko ogłosić prawdę!

–Chcesz otworzyć puszkę Pandory, a nie wiesz, co z niej wylezie. To może pożreć ciebie, mnie, wielu innych. Hacker ma wejście do *deadmmiego* za dziewięćdziesiąt sekund. Musimy zdecydować.

–Wiemy, czym jest Minority. Hacker pomoże nam dowiedzieć się, jak tego dokonano i kto brał w tym udział.

–Po co ci to? Winni nie żyją od lat. Chcesz karać ich wnuki?

–Chcę zrobić to, co każe mi sumienie.

–Próbujesz iść indywidualną drogą w świecie, gdzie nikt nie może być indywidualny. Pomyśl: kilku, kilkunastu, kilkuset naukowców opracowuje nową teorię, a każdy z nich zna tylko jej mały fragment. Jednostka nie potrafi zrozumieć czy ocenić, choćby w przybliżeniu, wyników pracy. Czas jednostek się skończy!

Na zachodzie spody chmur zajaśniały nagle jakby w kolejnym, tym razem prawdziwym, wybuchu nuklearnym. Odruchowo unieśli dłonie, zasłaniając oczy przed jaskrawym blaskiem wynurzającym się nad pustynię. Odległy grzmot dotarł do nich z opóźnieniem.

–Porwali raketę – powiedział z niedowierzaniem Jared.

–Przecież to niemożliwe!

„November Rain” szedł stałym ciągiem pionowo w górę. Oślepiające światło wkrótce zgasło zasłonięte chmurami. Grzmot przeszedł w matowe brzmienia i cichł powoli. Statki wciąż musiały odbywać pierwsze kilometry lotu dzięki napędowi klasycznemu, by pole grawitacyjne wysokiej mocy nie siało spustoszenia na powierzchni ziemi. Grawitacji nie dawało się ekranować.

–Może to nie był taki zły pomysł – westchnęła Valerie.

–Odległość między Ziemią a Marsem stale rośnie – powiedział Jared. – To pewna śmierć.

–Więc po co to zrobili?

Przez kożuch chmur nad ich głowami przepływały powolne fale.

–Może wolą jasną sytuację. Co on ci obiecał?

Valerie drgnęła i spojrzała zaskoczona.

–O co ci chodzi?

Patrzył jej wprost w oczy, aż spuściła wzrok. Odwrócił się i odszedł kilka kroków.

–Nie wiem, czy ty to ty – powiedział. – Nic już nie jest pewne. Ja też mogę być kimś zupełnie innym.

–Co ty bredzisz?!

Jared potarł twarz dłonią.

–Ile ściągnął w poprzedniej sesji? – zapytał.

–Kilka plików. Mam tu jakąś listę. – Kliknęła okiem, przewijając pozycje. – To chyba lista ofiar... Nowy Londyn, rok 2301 do 2306.

–Pokaż! – krzyknął, aż drgnęła.

Nie mieli już *streama*, więc nie mógł zobaczyć tego co ona, dopóki nie przesłała mu pliku.

Odszedł jeszcze dwa kroki, jakby bojąc się, że kobieta zajrzy mu przez ramię. Przelatywał kolejne miesiące, aż znalazł to, czego szukał. Przeczytał kilka razy. Usiadł na piasku i opuścił głowę.

–Dostała nową pracę – powiedział cicho. – Przeprowadziła się do Nowego Londynu i dwa dni później została... utylizowana. Nina Brooks... – Uniósł głowę i spojrzał na Valerie. – Odwołaj hackera.

Wieczorem pułap chmur wyraźnie się obniżył. Gdy Skoczek wypuścił ich na pałacowym lądowisku, ostro zarysowane spody chmur zdawały się szorować niemal o szczyty trzech wież. Miasto w dole wciąż tonęło w gęstej szarej niby-mgle.

–Zbiera się na deszcz – powiedziała kobieta ubrana w przesadnie puszyste futro, nadające jej kształt pluszowej kulki. Minęła się z Jaredem, zmierzając do grava, który zajął miejsce Skoczka.

Poszukiwacz odwrócił się, odprowadzając ją wzrokiem. Pierwsze krople deszczu wyhamowały na niewidzialnym balonie pola selektywnego. Cięższe sprężynowały, zagłębiając się na moment nieco mocniej, lżejsze sphywały od razu, zdradzając kształt zapory. Kwaśny deszcz – inne od dawna nie padały.

Nagle jedna spora kropla przeleciała przez włoski futra i pacnęła na płytę. Włoski wzdłuż linii przelotu kropli zadymiły i zwiędły, pozostawiając wąski przedziałek. Odpryski kropli na ziemi zmatowały materiał lewego buta. Kobieta nieświadoma tego, co się stało, wsiadła do grava, który po zamknięciu wjazdu natychmiast odleciał.

Jared szybkim krokiem dogonił Valerie, wziął ją za łokieć i pchnął w kierunku wejścia. Spojrzała na niego zaskoczona, ale nie zaprotestowała.

–Ulewa nie deszcz – mruknął, powstrzymując chichot, który w dziwny sposób naszedł go niespodzianie. Spoważniał chwilę później, też bez wyraźnego powodu.

Deszcz bębnił głośno o ściany pałacu. Szli szybko.

–Nie chcą piłować gałęzi, na której sami siedzą – powiedziała Valerie.

–Tu nie ma żadnych gałęzi. Może uschnięte.

–Ta lista to instrukcja zbrodni – wyjaśniła. – Kolejność zabijania, ale to nic nie zmienia. Redakcja tego nie puści. Ludzie uciekają od rzeczywistości, bo jest zbyt okrutna. Ta lista, sam rozumiesz, pogarsza tylko sprawę.

–To nie jest instrukcja. To zapis zbrodni *post factum*. Kronika obserwatora.

–Nazywaj to, jak chcesz. Trzymasz w rękach rozżarzone żelazo.

Szli korytarzem w kierunku wind.

–Haines kierował Elegantem, ale Murzynka wciąż jest tajemnicą – powiedział.

–I to nie jedyną.

–Może ona nie miała złych zamiarów? Nigdy nie zachowywała się agresywnie. Ona po prostu za mną... podążała.

–Nie dałeś się złapać, więc nie będziesz wiedział. Myślę, że gdy zostawimy tę sprawę, wszystkie problemy same znikną.

–Już podjęłaś decyzję.

–A co mam robić? Redakcja powiedziała wyraźnie, że dla nich sprawa jest zakończona.

–To nie jest jedyna redakcja w tym mieście.

Valerie spojrzała na niego ze złością.

–Jeśli przekażę materiał komuś innemu, będzie to mój zawodowy koniec.

–Masz w ręku reportaż życia.

–Nie chcę skończyć jako półautomatyczna kasa w jakimś hotelu z pokojami na godziny!

–To jasne! – Jared pacnął się otwartą dłonią w czoło. – Recepcjonista! W tamtym hotelu pytał mnie o trzyosobowy pokój. Myślałem, że mają bardzo wąskie łóżka. Sprzedawca w Uru-Dakha chciał nam sprzedać jeszcze jeden płaszcz. Podczas obiadu w domu Mateo stał dodatkowy talerz, a Szperacz mówił o kobiecie, która była z nami.

–I... co?

–Murzynka tu jest.

–Gdzie?

–Obok nas. – Rozejrzył się. – Cały czas. My jej nie widzimy, ale widzą ją ci, którzy z nami rozmawiają. Może nawet w ich wersji rzeczywistości występuje między nami a nią interakcja.

Valerie rozejrzała się niespokojnie, ale zaraz zrobiła znudzoną minę.

–Masz obsesję. Może złapałeś jakiegoś nowego *buga*? Jakie wersje rzeczywistości?

–Widzimy co innego. Pamiętam, że Eleganci ciebie wciągali do tamtego grava. Ty mówiłaś, że mnie. Obrazy z kamer nic nie dadzą, to też jest część planu.

Chciała iść dalej, ale poszukiwacz zaczepił mijającego ich właśnie mężczyznę.

–Ile nas tu jest? – zapytał. – Ile nas tu stoi? Zaskoczony, już otwierał usta, ale zmarszczył brwi i spojrzał w bok.

–Przepraszam, mam rozmowę – powiedział, mrugając do swojego komplanta, i odszedł na bok.

Jared spojrzał wymownie na reporterkę i wyjaśnił:

–Program opiekujący się Murzynką tak łatwo nie pozwoli się przerobić. Teraz pewnie lepiej ją ukryje.

Zaczepił przechodzącego urzędnika.

–Ile kobiet jest ze mną?

–Tylko ta pani... – odparł tamten niemal bez zdziwienia.

–Lepiej ją ukrył – mruknął Jared, gdy urzędnik się oddalił.

Odwrócił się nagle i wykrzyknął:

–Zobacz! Nie ma go!

–Daj spokój, gdzieś skręcił. Obserwując twoje dzisiejsze zachowanie, zgadzam się z elektrologiem, że potrzebna ci jest solidna terapia.

Jared zachichotał.

–Uspokój się! – Potrząsnęła nim. – Czy ty to jeszcze ty?

Spoważniał. Przez chwilę obawiała się, że ją odepchnie, ale on patrzył gdzieś ponad nią i powiedział w przestrzeń:

–Każdy z nas jest zbiorowiskiem, zlepkiem, systemem niezliczonej liczby bytów materialnych i niematerialnych; komórek naszego ciała, genów w nich zawartych, memów niosących nasze wspomnienia, umiejętności i uczucia. Jesteśmy jak ogromne miasto bez wyodrębnionego punktu, który moglibyśmy nazwać „ja”. Nasze „ja” to wszystkie te byty razem wzięte. Skąd mam więc wiedzieć, czy ja to „ja”?

–Dobrze się czujesz?

–Położę się na trochę i zarzucę autoskan – powiedział jakby nigdy nic.

Wyminął ją i wszedł do windy. Podbiegła za nim.

–Zachowujesz się dziwnie, wiesz o tym?

–Wiem, ale nic nie mogę na to poradzić.

Wymyślone drzwi zamknęły się za nimi.

–Jesteś po prostu przemęczony – powiedziała ze zrozumieniem Murzynka.

Cofnęli się, przerażeni, opierając się o sprężynujące jak guma ściany windy. Murzynka, ubrana w jasnoszary elegancki kostium, stała tuż obok i patrzyła na nich z lekko zdziwionym wyrazem twarzy.

–Co jest? Wyglądacie, jakbyście zobaczyli ducha.

Valerie dopiero teraz krzyknęła, ale zaraz zamilkła. Jared pierwszy odzyskał głos.

–Kim jesteś?

–Nie pamiętasz mojego imienia?

–Zabiłaś Szperacza, a on żyje...

–Tylko go poturbowałam. Próbował cię uderzyć.

–Broniłaś mnie?

–A wątpisz? – Murzynka była zaskoczona. – Mam cię ochraniać. Na farmie Mateo też wyciągnęłam cię z opresji. Walnęłam Eleganta.

Jared i Valerie patrzyli na nią w osłupieniu.

–Nic nie pamiętasz? – pytała dalej.

Pokręcił głową.

–Czemu się tak boicie? Coś ze mną nie tak?

–Wyglądasz jak...

–Zmutowana? Najwyżej hormonalnie wspomagana. To, na co patrzysz, to wiele lat solidnej pracy.

–Przed wykonaniem tej pracy wyglądałaś zapewne lepiej.

–Może. Poza tym nie jestem Murzynką.

–Byłaś naga...

–Tego nie było w umowie. – Pogroziła mu palcem.

–Ale byłaś... – Jared próbował zebrać myśli. – Ona też cię widziała.

–Ona... – Murzynka obrzuciła bladą Valerie obojętnym spojrzeniem. – Nie pamiętasz? Po to był ci elektrológ. Zamówiłeś wirtualną dziewczynę z profilem „Doświadczona dziennikarka przeprowadza pikantny wywiad”, ale potem program nie odinstalował się poprawnie i nie możesz się jej pozbyć.

–Więc ona jest sztuczna? – wskazał kciukiem reporterkę.

–Istnieje tylko w twojej cyberwyobraźni. Dlatego redakcja nie puści jej materiału. Jej nie ma i nie ma materiału.

Valerie chciała zaprotestować, ale Jared wykrzyknął:

–Tak, pamiętam! Kosztowała dwadzieścia jednostek.

Murzynka znikła. Jared nie odebrał tego jako gwałtownej dematerializacji, tylko w pewnym momencie stwierdził, że w windzie jest tylko on i Valerie.

–Co tu się dzieje? – zapytał, rozglądając się nerwowo.

–Szalejesz, a mnie się to udziela! Dwadzieścia jednostek...

Drzwi otworzyły się na ich piętrze. Do pokoju mieli kilka kroków.

–Gdy powiedziała, że jesteś fantomem, przez chwilę naprawdę w to wierzyłem. – Potarł skronie. – Pamiętałem, jak wybieram z katalogu pozycję „Doświadczona dziennikarka przeprowadza pikantny wywiad”. A potem rozmawiałem z Murzynką w sprawie ochrony... Te wspomnienia były bardzo realne.

–To spotkanie to tylko krótkie spięcie.

–Ale mogła nas zabić w tej windzie, gdyby chciała.

–Nie sądzę.

Gdy tylko weszli, Jared rzucił się w płaszczu na łóżko i zamknął oczy. Zapуścił wszelkie możliwe skanery antywirusowe i czekał na wynik ich pracy. Znów poczuł niekontrolowany przyływ wesołości. Zawsze miewał wahania nastrojów. Wiedział, że balansuje na jakiejś granicy, choć nikt nigdy nie nazwał tego chorobą afektywną dwubiegunową ani manią depresyjną. Teraz, być może, granicę tę przekraczał. Co będzie dalej? Poniżej pewnego poziomu depresji, która nieuchronnie nastąpi, wezmą się za niego hackerzy. Czy to naprawdę tak działa?

Gdy otworzył oczy, zobaczył Valerie stojącą nad łóżkiem z uniesioną ręką. Trzymała w niej mały czarny przedmiot.

–Wybacz, to dla twojego dobra – powiedziała. Nacisnęła starter i Jared poczuł, że nie może się ruszyć. Przestał się szarpać, bo przyjrzał się dokładniej przedmiotowi w jej dłoni. Unieruchamiacz – kolejne zastosowanie pola selektywnego.

Drzwi rozsunęły się i do pokoju wszedł elektrolog, pchając przed sobą unoszący się w powietrzu zespół kul i wysięgników. Jared znów podjął próbę wyrwania się, ale szybko się poddał. Zaczął za to budować barykady we własnej głowie. Skupiony w rozpaczliwym kodowaniu, zabezpieczaniu i ukrywaniu zasobów, nie zauważył, że jest już nieprzytomny.

Robot medyczny zawisł obok łóżka. Elektrolog, mrugając, rzucał kolejne komendomyśli. W kierunku leżącego mężczyzny wędrowały już wężowidła kontaktronów.

Valerie odwróciła głowę.

Wężowidła dotykały skóry i pełzły po niej, wypuszczając ze zgrubiałych końcówek wiązki metalicznych włosów. Pomagając sobie nimi jak samonośną szczotką, trafiały w odpowiednie miejsca. Dwa do nosa, dwa do uszu, a ostatnie, grubsze, do ust. Włosy brnęły dalej, wysuwając się i zagłębiając we wszelkie możliwe szczeliny. Każdy z nich za chwilę rozdzielił się na kolejne tysiące nanowłosów, które przenikając między żyłami i tętnicami mózgowymi, omijając włókna nerwów i mięśnie, rozpychając ścianki komórek, wepnął się w większość portów komplanta i przejmą pełną kontrolę nad jego najbardziej podstawowymi funkcjami.

Barykady zostaną zdobyte w pierwszej mikrosekundzie ataku.

Dzieci stały u podstawy wielkiej piramidy, uśmiechnięte trzymały się za ręce. Było bardzo jasno, ale Jared nie musiał mrużyć oczu. Słońce wisiało wysoko, pojedyncze białe chmurki sunęły po błękitnym niebie. Bliżej, z prawej strony stała Murzynka. Jej luźną białą suknię poruszał delikatny wiatr. Niewątpliwie była to ta sama kobieta, tyle tylko że przed hormonalną metamorfozą.

–Czy tak lepiej? – Uśmiechnęła się.

–Znacznie. – Odpowiedź tak czy inaczej pasowała. – Byłaś moim ochroniarzem?

–Nie. Próbowалам z tobą porozmawiać. Niestety odebrałaś moją obecność jako zagrożenie.

–Nie byłem zbyt domyślny. To pierwsze takie doświadczenie w moim życiu.

–Z narkomanami szło lepiej. Byli otwarci i doskonale nas odbierali, ale ich nikt nie

traktował poważnie. Nawet oni sami. Teraz nie ma już narkomanów, a komplant tłumia naturalne zdolności umysłu.

–Staram się go niewiele używać.

–Dlatego możemy rozmawiać. To, co widzisz i co widziałeś przedtem, było tylko twoją imaginacją. Dzieci próbowały porozumiewać się z ludźmi od samego początku. Dopiero ty zrozumiałeś, że chcą coś przekazać. Straciły bardzo wiele energii. Już prawie ich nie ma, ale przyprowadziły cię do mnie. Jestem symbolem, resztką bardzo starej informacji.

Jared przyglądał się dzieciom. Spodziewał się, że znikną, ale trwały. Uśmiechały się, mrugały powiekami, wiatr poruszał kosmykami ich włosów.

Przeniósł wzrok na piramidę. Równo przycięte bloki pięły się monumentalnie do nieba.

–Och, to niekoniecznie wyglądało tak – powiedziała Murzynka. – To tylko twoje wyobrażenie. Moje słowa też tylko w ogólnym zarysie są tym, co chcę ci powiedzieć. Nie potrafię przekazać żadnych szczegółów. Poddaję tylko twojemu umysłowi zarys, a on... ty dorabiasz do tego resztę. Obrazy i słowa. Jestem świadoma twoją świadomością. Emitujesz nawet moją postać do świata zewnętrznego, powodując zakłócenia w elektrycznych wizjach innych. Gdy nasz kontakt jest zbyt słaby, zaczynam mówić rzeczy, których mówić nie chcę. Teraz twój komplant jest odłączony, a umysł czysty. Możemy rozmawiać.

–Ale ja wciąż nie wiem, co chcecie mi przekazać.

–Wiedzieliśmy, że ludzie wrócą tu, by zrobić to samo co my wcześniej. Poznaliśmy mechanizmy tego, co wy nazwaliście Minority, mechanizmy prowadzące do wielu strasznych rzeczy, ale było już za późno. Wszyscy zginęliśmy. Cała nasza wiedza to ja i te dzieci. Czekaliśmy tu przez tysiące lat w samotności, aż przybędziecie. Próbowaliśmy was ostrzec, ale się nie udawało. Umieściliśmy zapis naszych dziejów w piramidach. Wykuty w kamieniu, chroniony płaszczem zewnętrznym, miał przetrwać tysiące lat. Niestety, bojąc się, że ktoś podważy wasze prawo do tej planety, zniszczyliście je. Straciliście swoją szansę. Zło się dokonało.

–Może Minority zmusiła nas do zniszczenia ostrzeżeń?

–Tego nie wiem.

Jared zauważył niskie zabudowania na horyzoncie.

–Nie szkicuj w myślach mapki terenu. – Kobieta uśmiechnęła się. – To tło sam dorobiłeś. Nie szalej, bo zaraz będziemy tu mieć ruchliwe miasto i się zgubimy.

–Jak się nazywasz?

–Nie powiem ci. Możesz usłyszeć tylko imię wymyślone przez siebie. To ciało to też twoje dzieło. Twoja wyobraźnia połączona w nieharmonijnym związku z elektrycznym mózgiem stworzyła mi tę postać i zaczęła ją przerabiać, karmiąc się strachem. Konflikt między mózgiem a komplantem doprowadził cię na skraj szaleństwa. Za kilka chwil będziesz zdrowy. Wtedy mnie już tu nie będzie. Nie zdołaliśmy zapobiec odrodzeniu się zła, ale wy jeszcze możecie uczynić coś dobrego.

–Możemy uratować ludzi na Marsie?

–Niestety...

–Cóż zatem mamy zrobić?

–Ostrzec następnych.

*** * ***

Żebrowane ozdobnie sklepienie pałacowego pokoju w kolorze ecru i miękkie łóżko. Powrót do rzeczywistości. Ciekawe, czy mówiąc „wy”, miała na myśli mnie i Valerie, czy wszystkich ludzi na Marsie?, myślał. Czy też może ja sam to wszystko sobie wymyśliłem? Popatrzył na Valerie, która na skraju płaczu trzymała go za rękę. Siedziała na brzegu łóżka. Przesunęła wierzchem dłoni po policzku, ocierając łzę.

–Miałem sen... – powiedział Jared.

–Lekarz mówił, że brak impulsów z komplanta może wywołać krótki nadrealny sen, który dokładnie zapamiętasz.

–Gdzie on jest? Chcę z nim zamienić kilka słów.

–Uciekł. Bał się, że mu coś zrobisz.

–Słusznie...

–Powiedział też, że to był ostatni moment na kurację. Za godzinę... dwie...

–Wiem. Dziękuję, że go wezwałaś. Nie byłem sobą.

Pogładziła go po włosach.

–Spróbujmy zrobić coś od nowa. Mamy szansę. Myślałam wiele o przyszłości...

–Jesteśmy ostatnim pokoleniem, które może żyć na powierzchni. Potem nieliczni będą potrafili przetrwać w habitatach lub stacjach orbitalnych. Będą wegetować,

czekając na wypadek, awarię, która zakończy ich istnienie. Nic więcej.

–Więc lećmy na Ziemię. Za dwa lata.

–Widocznie tak musi być – mówił dalej do swoich myśli. – Skandynawowie zasiedlili Grenlandię na długo przed wyprawą Kolumba. Zabiło ich oziębienie klimatu. Wcześniej nawet Europa była zasiedlana wiele razy. Może tak musi być? Może na sukces musi zapracować wiele pokoleń ofiar?... Rzeźbiarz... Tak, potrzebny będzie rzeźbiarz! Wielu rzeźbiarzy. Rzeźba to najtrwalszy nośnik informacji.

–Kupię bilet. Mam oszczędności. Zarobimy jeszcze więcej... Nie słuchasz mnie.

–Słucham. Wracajmy na Ziemię! Przyjmą nas tam z otwartymi ramionami. Tyle że nie zdołamy ich uściskać, bo rozplaszczymy się na betonie kosmodromu. Nie będziemy mogli unieść głowy. Nowe wspaniałe życie w starym świecie. Horyzontalne szczęście.

–No to jesteś zdrowy. – Wstała i zaczęła pakować swoje rzeczy do torby. – Niepotrzebnie się rozklejam. Mam reportaż. Ty chyba też dostałeś nowe zlecenie.

Usiadł na łóżku i sprawdził zawartość pamięci komputera. Idealny porządek. Na straży zasobów znów stał samotny *Bob*.

Jared podniósł z podłogi broszkę, która upadła Valerie przy pośpiesznym pakowaniu...

–Nasze przedmioty nas przeżyją, wiesz o tym?

–Niedoczekanie!

Wyrwała mu z ręki broszkę, rzuciła i wdeptała w miękki dywan.

–Zatem przeznaczenie nie istnieje – podsumował. – Haines ci coś obiecał. Co?

–Dowiem się, kto trzydzieści pięć lat temu zaplanował zamach na senatora Richarda Griffina.

–Powie ci, kto to zrobił – „przypadkowi ludzie”.

–Nie rozumiem.

Jared kątem oka zobaczył broszkę, którą włoski dywanu w stanie nieuszkodzonym wypchnęły na powierzchnię. Otworzył drzwi. Nie miał żadnego bagażu, więc pomógł kobiecie nieść torbę. Wyszli z pokoju i skierowali się do windy.

–Griffin dowiedział się o Minority, gdy było jeszcze za wcześnie, by to ujawniać. Ci,

którzy zestrzelili samolot, szukali trzech sztabek złota przewożonych przez jednego z pasażerów w bagażu podręcznym. Wyjaśniono to już dwadzieścia lat temu. Mogli nawet nie wiedzieć, że Griffin jest na pokładzie. Rabunek na zlecenie – przypadek. Griffin przypadkiem przeżył katastrofę, choć wkrótce potem popełnił coś na kształt samobójstwa. Mój ojciec, przejmując po nim stanowisko, przejął też jego dokumenty i wpadł na ten sam trop. Dlatego nie dożył procesu. Dlatego zginęło kilka innych osób z jego otoczenia. Doris Westwood uznano za zaginioną w dniu upadku Ice Cube. Pracowała z Griffinem i przejęła część jego dokumentów. Też dowiedziała się o Minority na krótko przedtem.

–Widzę, że przeprowadziłeś prywatne śledztwo.

–Miałem *backup* danych mojego ojca. W wolnych chwilach przeglądałem w necie materiały, które go dotyczyły. Teraz dopiero zrozumiałem, co łączy pozornie niezależne wydarzenia. Agent rządowy o kryptonimie Cosma, któremu Griffin powierzył wyjaśnienie sprawy Minority, zginął na biegunie podczas katastrofy niewielkiego samolotu transportowego. Leciał zbadać odkopane szkielety w rejonie miasteczka o nazwie Benneth. Przypadkiem samolot przewoził też nielegalne materiały rozszczepialne należące do organizacji przestępczej. Samolot porwała inna grupa, zmieniając jego kurs dla zmylenia pościgu. Thomas Gaunilo, pracujący na zlecenie biura Griffina, wykorzystał obie grupy, by doprowadzić do skażenia bieguna i oczyścić go z ludzi przed upadkiem Ice Cube. Gaunilo nie wiedział o agencji. Moja siostra... Jessica, zginęła, bo znalazła się jednej nocy w jednym domu z Niną Brooks z listy Minority. Przypadek goni przypadek. Gdyby nie takie przypadki, to Minority zostałyby wyciągnięte na światło dzienne trzydzieści pięć lat temu. Nikt nie wie, ilu ludzi wpadało na trop i ile razy wcześniej dochodziło do podobnych „przypadków”. Znalezienie konkretnych osób, które mordowały bądź preparowały dowody, jest możliwe, ale szukanie pomiędzy nimi związku do niczego nie doprowadzi. Nie było żadnej organizacji zlecającej morderstwa. To działa się za sprawą czegoś, co siedzi w naszych umysłach, w umysłach nas wszystkich. To coś nie działa bezpośrednio, ale doprowadza do sytuacji, w których dzieją się rzeczy pchające naszą historię w konkretnym kierunku.

–A może to wszystko tylko miało wyglądać przypadkowo? Wiarygodne motywy, dla ukrycia prawdziwego celu.

–Kieszonkowcy, którzy kiedyś kradli ludziom drobne przedmioty, działali zupełnie niezależnie od siebie, choć metody i skutki zawsze były podobne. Inną teorię, w której za wszystkim stoją tajemniczy „oni”, też mogę wymyślić. Daj mi dwie minuty.

–A my? Dlaczego wciąż żyjemy?

–Bo teraz prawda nie ma już znaczenia. Mars umiera.

Dochodzili do wylotu korytarza. Skoczek właśnie siadał na lądowisku.

–Co... będziesz robił? – zapytała, łapiąc go za rękaw. Zatrzymał się i spojrzał jej w oczy.

–Będę szukał wody. Jestem poszukiwaczem.

–Archeologiem...

–Już nie. Jestem poszukiwaczem. Poszukiwaczem wody... i budowniczym.

Pocałował ją w policzek i podał jej torbę. Stała zeszywniała złością, smutkiem, zawodem. Jakiś rodzaj dumy nie pozwolił jej zaprotestować i zatrzymać go. To był zły rodzaj dumy, ale nie potrafiła jej pokonać. Patrzyła, jak mężczyzna w zniszczonym płaszczu skórzanym idzie w kierunku lądowiska i wsiada do Skoczka. Dwie kamery wyleciały przez otwarte drzwi, przebiły się przez pole selektywne i zawisły nad ramionami swojej pani. Skoczek odleciał. Kobieta upuściła torbę, usiadła pod ścianą i zasłaniając twarz dłońmi, zaczęła płakać.

Kamery zmieniły pozycję, by lepiej to sfilmować.

*** * ***

Wszystko, co wiedział o Minority, zapisał w przystępnej formie i wysłał do znanych mu redakcji oraz zamieścił na kilku darmowych serwerach, by wszyscy zainteresowani mogli do informacji dotrzeć. Nawet jeśli zostanie to uznane przez znakomitą większość odbiorców za tanią sensację, to i tak nic lepszego nie mógł zrobić. Każdy musiał decydować sam, co o tym myśli.

Jesteśmy jak trybiki w wielkiej, nieskończenie skomplikowanej maszynie, myślał. Małe trybiki żyjące ułudą wolnej woli w postaci niewielkiego luzu w mechanizmie. Cóż z naszej walki o przetrwanie, o lepsze jutro, o szczęście, skoro i tak kręcimy się w kółko, jak nam każe nieznaną siłą. Nigdy nie poznamy złożoności kosmosu i nigdy też nie będziemy wiedzieli, kim jesteśmy i po co istniejemy.

Słońce przebijało w kilku miejscach kożuch chmur ostrymi ukośnymi promieniami, docierając aż do powierzchni pustyni. Autopilot prowadził Skoczka do nowego celu. Jeszcze parę godzin i Jareda czekać będzie kolejna rozmowa z kolejnym administratorem. Potem kolejne godziny spędzone na wypalanej pustyni. Wszystko jest cykliczne.

Fotel obok był pusty. Nic ponadto – po prostu pusty.

Obracał w dłoni małą kostkę – fragment palca anonimowej ofiary sprzed stu pięćdziesięciu lat.

Sprawdził oszczędności na wszystkich kontach, jakie posiadał. Na początek wystarczy, choć wyzwanie, które sobie postawił, było potężne. Niemal niewykonalne, na granicy szaleństwa. Może tak naprawdę było to szaleństwo. Ale nawet jeśli, nawet jeśli to wszystko było tylko imaginacją chorego umysłu – cóż z tego? Wystarczy, że zacznie. Inni przyłączą się, widząc jakiś konkretny, wielki cel, któremu będą mogli się poświęcić. Nie mógł być przecież jedynym szaleńcem wśród trzech i pół miliarda ludzi, a jego idea nie mogła być bardziej szalona niż stworzenie tego szalonego świata na Krwawej Planecie.

Zdecydował, że zacznie od piramid w Cydonii.

Warszawa-Łeba-Murzasichle, 2002-2003

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/